



K.A. Tucker

Autorka **DZIESIĘCIU PŁYTKICH ODDECHÓW**

JEDNO MAŁE KŁAMSTWO

Intensywna, seksowna, wzruszająca... Nikogo nie pozostawia obojętnym.
Colleen Hoover, autorka Hopeless

K.A.Tucker

JEDNO MAŁE KŁAMSTWO

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek



Dla Lii i Sadie

Przeżyjcie swoje życia, jak chcecie.

Dla Paula

Za opiekę nad dziećmi.

Dla Stacey

Prawdziwej agentki pisarza.

PROLOG

Odchodzę.

Zostawiam głosy, krzyki, rozczarowania.

Zostawiam złudzenia, błędy i żale.

Zostawiam wszystko, czym powinnam być i to, czym być nie mogę.

Wszystko to jest kłamstwem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZBYT IDEALNA

Czerwiec

– Livie, uważam, że jesteś popieprzona.

Drobinki sernika wylatują mi z ust i rozpryskują się na szybie tarasu, gdy krztuszę się kawałkiem, który mam na widelcu. Moja siostra ma pokręcone poczucie humoru. Właśnie na jego karb zrzucam tę uwagę.

– To nie jest śmieszne, Kacey.

– Masz rację. Pewnie, że nie jest.

Sposób, w jaki to mówi – spokojnie i łagodnie – sprawia, że lekko kurczy mi się żołądek. Ocierając usta z resztek sernika, odwracam się, by przyjrzeć się jej twarzy, szukając podpowiedzi – czegoś, co obnaży jej grę. I nic nie dostrzegam.

– Jesteś poważna, prawda?

– Jak zawał serca.

Panika podchodzi mi do gardła.

– Znowu ćpasz?

Odpowiada mi spojrzeniem przymrużonych oczu.

Nie wierzę jej jednak. Pochylam się, by się zbliżyć i poszukać w jej oczach oznak – rozszerzonych źrenic, przekrwionych białek – wskazówek, które nauczyłam się rozpoznawać, gdy miałam dwanaście lat.

Nic. Nic, tylko kryształowo czyste, niebieskie spojrzenie wbite we mnie. Pozwalam sobie na niewielkie westchnienie ulgi. Przynajmniej nie wracamy do punku wyjścia.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc nerwowo chichoczę, biorąc do ust kolejny kawałek ciasta.

Tyle że tym razem jego smak jest gorzki, a konsystencja ziemista. Zmuszam się do przełknięcia.

– Jesteś zbyt idealna, Livie. Wszystko, co robisz, co mówisz,

takie jest. Nie pozostawiasz sobie miejsca na błędy. Gdyby ktoś uderzył cię w twarz, przeprosiłabyś go. I nie wkurzasz się za to, co mówię. To tak jakbyś nie była zdolna do złości. Mogłabyś być ukochanym dzieckiem Matki Teresy i Gandhiego. Jesteś... – Kacey milknie, szukając właściwego słowa. Znajduje je natychmiast: – Popieprzenie zbyt idealna!

Krzywię się. Kacey rzuca wulgaryzmami jak niektórzy uśmiechami. Już dawno przywykłam do tego, jednak teraz każde brzydkie słowo uderza we mnie jak cios w nos.

– Uważam, że pewnego dnia się załamiesz i zmienisz w Amelię Dyer.

– Kogo? – Marszczę brwi w zdziwieniu, jednocześnie przeżuwając ostatni kęs ciasta.

Kacey lekceważąco macha ręką.

– Och, ta babka w Londynie, która zamordowała setki dzieci...

– Kacey! – Posyłam jej śmiertelne spojrzenie.

Przewraca oczami i marudzi pod nosem:

– Nie o to chodzi. Właściwie to chciałam ci powiedzieć, że Stayner zgodził się z tobą porozmawiać.

To się robi coraz bardziej niedorzeczne.

– Co? Ale... ja... ale... doktor Stayner? – pryham. *Jej terapeuta zespołu stresu pourazowego?* Ręce zaczynają mi się trząść. Odkładam talerzyk na stół, nim go upuszczę. Kiedy Kacey poczęstowała mnie ciastem i zaproponowała, abyśmy wspólnie obejrzały z tarasu zachód słońca nad plażą Miami, myślałam, że będzie uroczo. Teraz widzę, że wykombinowała sposób, by przekazać mi swój szalony pomysł, którego nie potrzebuję. – Kacey, ja nie cierpię na ZSP.

– Nie powiedziałam, że cierpisz.

– Cóż, więc po co to wszystko?

Kacey nie ujawnia mi powodu. Za to wozi się na moich wyrzutach sumienia.

– Jesteś mi to winna, Livie – mówi płaskim głosem. – Kiedy trzy lata temu prosiłaś, bym poddała się leczeniu, zrobiłam to. Dla

ciebie. Nie chciałam, ale...

– Potrzebowałaś tego! Byłaś wrakiem. – To niedomówienie. Wypadek samochodowy spowodowany przez pijanego kierowcę, w którym zginęli nasi rodzice, sprawił, że Kacey upadła na samo dno, kończąc na narkotykach, jednorazowych przygodach seksualnych i przemocy. Niestety, trzy lata temu okazało się, że można spaść jeszcze niżej i myślałam, że ją straciłam.

Jednak doktor Stayner sprawił, że ją odzyskałam.

– Tak, potrzebowałam – mówi, zagryzając zęby. – I nie mówię, byś poddawała się takiej samej ambulatoryjnej terapii. Proszę cię tylko o to, byś odebrała, gdy zadzwoni doktor Stayner. To wszystko. Zrób to dla mnie, Livie. – To kompletnie irracjonalny, wręcz szalony pomysł, mimo to, po tym jak Kacey zaciska dłonie w pięści, jak przygryza wargę, wnoszę, że nie żartuje. Naprawdę się o mnie martwi. Gryzę się w język i bezmyślnie spoglądam na fale, na których tańczą ostatnie promienie zachodzącego słońca. I rozmyślam.

Co do diabła mógłbyś mi powiedzieć doktor Stayner? Jestem piątkową uczennicą na drodze do Princeton, mam zamiar iść na medycynę. Kocham dzieci, zwierzęta i starszych ludzi. Nigdy nie wyrywałam muchom skrzydełek ani nie przypalałam lupą mrówek. Z pewnością nie jestem ciekawym przypadkiem. I obficie pocę się w obecności przystojniaków. Z pewnością dostanę udaru na pierwszej randce. No, chyba że najpierw roztopię się w kałużę potu, zanim ktoś będzie miał szansę mnie zaprosić.

Wszystko to sprawia, że jestem dwa kroki od stania się kolejnym psychopatycznym seryjnym mordercą. Mimo to lubię i szanuję doktora Staynera, pomimo jego osobliwości. Rozmowa z nim nie będzie nieprzyjemna. Z pewnością będzie to szybka konwersacja...

– Telefon mnie chyba nie zabije – mamrocę pod nosem, po chwili dodaję: – A potem będziemy musiały porozmawiać o tym etapie w karierze psychologa, nad którym pracujesz. Jeśli widzisz nad moją głową powiewające czerwone chorągiewki, to nie wróży to dobrze twojej długoterminowej, owocnej karierze w tym

zawodzie.

Kacey relaksuje się odrobinę i opiera wygodnie na leżaku, a uśmiech zadowolenia maluje się na jej ustach.

I wiem, że dokonałam właściwego wyboru.

* * *

Wrzesień

Czasami w życiu podejmujesz decyzję, a potem wątpisz w jej słuszność. Bardzo. Nie żałujesz, bo wiesz, że dokonałeś właściwego wyboru, i że tak prawdopodobnie jest lepiej. Za to spędzasz mnóstwo czasu zastanawiając się, co, u diabła, robisz.

Ja nadal zastanawiam się, dlaczego zgodziłam się odebrać ten telefon. Codziennie nad tym rozmyślam. I teraz też to robię.

– Nie sugeruję, że masz odtwarzać scenariusz filmu *Girls Gone Wild*, Livie. – Doktor zdążył włączyć łagodny i gładki ton głosu, którego używa, by kogoś do czegoś zmusić.

– A skąd mam wiedzieć? Trzy miesiące temu sugerował pan, że mam rozmawiać z orangutanem.

To prawda.

– Minęły trzy miesiące, jak się miewa stary Jimmy?

Gryzę się w język i biorę głęboki oddech, zanim powiem coś niestosownego.

– To nie jest dobra chwila, doktorze Stayner. – I tak jest. Naprawdę. Słońce grzeje, powietrze jest parne, a ja taszczę różową walizkę i kaktus przez malowniczą okolicę wprost do akademika, w pochodzie wraz z tysiącem innych studentów i ich wzburzonych rodziców. To dzień, w którym wszyscy się wprowadzają, a mnie nadal jest niedobrze po podróży samolotem, podczas której przeżyliśmy turbulencje. Jedną z partyzanckich rozmów z doktorem Staynerem to nie to, czego w tej chwili pragnę.

Mimo to rozmawiamy.

– Nie, Livie. Prawdopodobnie nie. Być może, wiedząc, że dzisiejszy ranek spędzisz w samolocie lecącym do New Jersey, powinnaś przełożyć naszą sesję terapeutyczną. Ale tego nie zrobiłaś – wytyka mi doktor Stayner.

Rozglądam się wokół siebie, czy nikt nie podsłuchuje, po czym i tak szepczę:

– Nie przełożyłam, bo nie miałam czego przekładać. Nie jestem na terapii.

Dobra. To nie do końca prawda.

To nie może być prawda, od kiedy w pewien przyjemny, czerwcowy wieczór siostra poczęstowała mnie sernikiem. Doktor Stayner zadzwonił do mnie następnego ranka. Zgodnie ze standardowym protokołem nie przywitał się ze mną, mówiąc „cześć” czy „miło znów cię słyszeć”. Nie, on po prostu powiedział: „Słyszałem, że jesteś tykającą bombą”.

Reszta rozmowy przebiegła gładko. Rozmawialiśmy o mojej nieskazitelnej karierze akademickiej, o moim braku życia miłosnego, o nadziejach i marzeniach, i planach na przyszłość. Trochę czasu mówiliśmy o rodzicach, ale na to nie naciskał.

Pamiętam, że odłożyłam słuchawkę i uśmiechnęłam się, ponieważ z pewnością powinien przekazać Kacey, że ze mną wszystko dobrze, że się trzymam, i że swoje polowanie na niestabilne psychicznie czarownice może prowadzić gdzie indziej.

Gdy ten sam chicagowski numer pojawił się na wyświetlaczu mojego telefonu w kolejną sobotę punktualnie o dziewiątej rano, byłam bardziej niż zaskoczona. Jednak odebrałam. Od tamtej pory odbieram w każdą sobotę o dziewiątej. Nigdy nie widziałam rachunku lub kartoteki ani też gabinetu psychiatry. Oboje z doktorem omijamy słowo „terapia” i on nigdy wcześniej go nie używał. Być może dlatego odmawiam tytułowania doktora tym, kim dla mnie jest.

Moim terapeutą.

– Dobrze, Livie, idź. Porozmawiamy w kolejną sobotę.

Przewracam oczami, ale nic nie mówię. Nie ma sensu. To tak jakbym rzuciła grochem o ścianę.

– Do tego czasu wypij kieliszek tequili. Zatańcz. Cokolwiek wy młodzi robicie podczas pierwszego tygodnia studiów. To ci dobrze zrobi.

– Zaleca mi pan odurzenie i wykonywanie ruchów

zagrożających mojemu dobremu samopoczuciu? – Po drugiej rozmowie telefonicznej stało się jasne, że doktor Stayner podjął się „leczenia” mojej nadmiernej nieśmiałości za pomocą tygodnia absurdów, żenujących sytuacji oraz w miarę nieszkodliwych zadań. Nigdy nie przyznał się do tego, co robi, nigdy nie wyjaśnił po co. Oczekiwał tylko, że je wykonam.

I zawsze to robię.

Być może dlatego powinnam uczestniczyć w terapii.

Zaskakujące jest to, że to działa. Trzy miesiące idiotycznych zadań naprawdę pomogły ukoić moje zdenerwowanie spowodowane przebywaniem w tłumie, uwolniły moje głęboko skrywane myśli i wzmocniły pewność siebie, więc teraz, gdy atrakcyjny mężczyzna wchodzi do pomieszczenia, nie pocę się każdym porem skóry.

– Sugerowałem tequilę, Livie, nie metamfetaminę. I nie, nie zalecam tequila, masz tylko osiemnaście lat, a ja jestem lekarzem. To by było wysoce nieprofesjonalne. Poleciałem ci, byś poszła się zabawić!

Wzdycham z rezygnacją, po czym się uśmiecham i mówię:

– Wie pan, że byłam normalna. Chyba zmienił mnie pan w świruskę.

Słyszę wybuch śmiechu.

– Normalność jest nudna. Tequila, Livie, pozwala nieśmiałym rozwinąć skrzydła. Być może nawet poznasz... – zatrzymuje oddech dla lepszego efektu – ... chłopaka!

– Naprawdę muszę już iść – mówię, czując, że się rumienię, wspinając się po schodach do holu oszałamiającej rezydencji w stylu Hogwartu.

– Idź. Zdobądź wspomnienia. To twój szczęśliwy dzień. Twoje zwycięstwo. – Rozbawiony głos doktora nagle traci lekkość i staje się szorstki. – Powinnaś być dumna.

Uśmiecham się do telefonu, szczęśliwa z powodu tej poważnej chwili.

– Jestem, doktorze Stayner. Jednak... dziękuję.

Doktor nie wypowiada słów, ale i tak je słyszę. *Ojciec byłby*

z ciebie dumny.

– I pamiętaj... – Wraca wesołość.

Przewracam oczami.

– Wiem, wiem, umiarkowana spontaniczność. Zrobię, co w mojej mocy. – Gdy kończę połączenie, słyszę, że doktor się śmieje.

ROZDZIAŁ DRUGI

GALARETKOWE SHOTY

Właśnie tak musiał czuć się Kopciuszek.

Gdyby tylko, zamiast tańczyć z wdziękiem w balowej sali, był przyciśnięty do ściany na imprezie w studenckim domu, otoczony ze wszystkich stron przez pijanych ludzi. I, jeśli zamiast olśniewającej, szyfonowej sukni, miałby na sobie togę, którą ukradkiem naciągałby, pilnując, by istotne części ciała pozostawały zakryte. I, gdyby zamiast matki chrzestnej spełniającej każde jego życzenie, miałby nieznośną, starszą siostrę, która wmuszałaby w niego galaretkowe shoty, pakując mu je wprost do gardła.

Jestem Kopciuszkciem.

– Umowa to umowa! – wrzeszczy Kacey, przekrzykując DJ-a i podając mi maleńki kubeczek. Bez słowa wyjmuję go z jej dłoni, wychylam jego zawartość, pozwalając, by śliska pomarańczowa substancja spłynęła mi do gardła. Właściwie podoba mi się to. Bardzo. Oczywiście nie przyznam się siostrze. Nadal mam jej za złe, że szantażowała mnie, by moja pierwsza noc na uczelni była również nocą, podczas której się upiję. Po raz pierwszy. Miałam do wyboru to lub pozwolenie jej, by weszła do holu akademika w koszulce z moim zdjęciem i napisem: „Uwolnić Libido Livie”. I była poważna. Dała to draństwo do druku.

– Przestań być takim ponurakiem, Livie. Przyznaj, że jest fajnie – krzyczy Kacey, podając mi dwa kolejne kubeczki z galaretką. – Nawet, jeśli jesteśmy ubrane w prześcieradła. Na serio, no kto w dzisiejszych czasach urządza imprezy z togami?

Mówi coś dalej, ale jej nie słucham, za to jedna po drugiej wychylam galaretki. Nie wiem, ile ich wypiałam w ciągu ostatniej godziny. Czuję się dobrze. Nawet jestem zrelaksowana. Jednak nigdy wcześniej nie byłam pijana, więc skąd mam wiedzieć, jak

mam się czuć? Galaretki nie mogą być za mocne. To przecież nie tequila.

Dobra. Właściwie to mogę być pijana.

Niska postać z wieloma krągłościami przeciska się w moim kierunku, machając do mnie, co natychmiast wywołuje u mnie uśmiech. To Reagan, moja współlokatorka i jedyna osoba tutaj, oprócz mojej siostry, z którą rozmawiam. Każdego roku studenci uczestniczą w losowaniu i otrzymują przydzielone akademiki. Pierwszaki dostają dość losowych współlokatorów. I, chociaż poznałyśmy się dzisiaj, już myślę, że pokocham Reagan. Żyje intensywnie, lubi imprezować i w kółko gada. Jest też uzdolniona. Gdy się wprowadziłyśmy, na drzwiach wykaligrafowała nasze imiona, otoczone kwiatami, buźkami i całuskami. Myślę, że to urocze. Kacey uważa, że świadczy to, iż w tym pokoju mieszkają lesbijki.

Gdy weszłyśmy na dzisiejszą imprezę, Reagan natychmiast zniknęła, dołączając do chłopaków. Biorąc pod uwagę fakt, że jest tu nowa, muszę stwierdzić, że zna wielu ludzi. Głównie płci męskiej. To ona wymyśliła, byśmy tu dzisiaj przyszły, w przeciwnym wypadku mogłyśmy skończyć na jednym z wielu spotkań organizowanych przez kampus, na które się wybierałam, póki Kacey nie popsuka moich planów. Najwyraźniej studenci Princeton mieszkający poza kampusem to rzadkość, dlatego impreza w tym domu nie powinna zostać przez nas pominięta.

– Dobra, księżniczko, wypij to – mówi Kacey, podając mi butelkę wody. – Nie chcę, żebyś w nocy wymiotowała.

Chwytam butelkę i piję, a świeża, zimna woda zwilża mi usta. Wyobrażam sobie, jak całą kolację zwracam na Kacey. To powinno ją spotkać za karę.

– Och, Livie! Przestań się na mnie złościć! – Głos Kacey podnosi się nieznacznie, co oznacza, że naprawdę jej przykro. Zaczynam mieć wyrzuty sumienia, z powodu jej poczucia winy...

Wzdycham.

– Nie jestem zła. Tylko nie rozumiem, dlaczego chcesz mnie upić. – Pijany kierowca zabił naszych rodziców. To chyba dlatego

unikałam wszystkiego, co zawiera alkohol. Kacey też ledwo go używa. Choć wydaje się, że dzisiaj sobie odpuszcza.

– Mam misję: upewnić się, że się dobrze bawisz i poznajesz ludzi. To imprezowy tydzień w twoim pierwszym roku na studiach. To coś, co dzieje się tylko raz w życiu. Powinien zawierać morze alkoholu i przynajmniej jeden poranek z głową w kiblu. – W odpowiedzi przewracam oczami, ale to jej nie zniechęca. Staje naprzeciw mnie i opiera ręce na moich ramionach. – Livie, jesteś moją siostrzyczką i cię kocham. Przez ostatnie siedem lat nic w twoim życiu nie było normalne. Dzisiaj będziesz się zachowywać jak normalna, nieodpowiedzialna osiemnastolatka.

Oblizuję wargi, rozważając to.

– Nie wolno pić osiemnastolatkom. – Wiem, że przy siostrze ten argument nic nie da, ale i tak mam to gdzieś.

– Ach tak, masz rację. – Wsuwa rękę pod togę, by z kieszonki spodenek wyciągnąć coś, co wygląda jak prawo jazdy. – I właśnie dlatego, gdyby zjawyły się gliny, jesteś dwudziestojednoletnią Patricią z Oklahomy.

Powinłam była wiedzieć, że siostra ma wszystko zaplanowane.

Muzyka zaczyna przyspieszać, moje nogi same zaczynają poruszać się w jej rytmie.

– Niedługo ze mną zatańczysz! – krzyczy Kacey i podaje mi jeszcze dwie galaretki. Ile to już? Straciłam rachubę i czuję, że język mi się płacze. Siostra obejmuje mnie ramieniem i ciągnie do siebie, więc stykamy się policzkami. – Gotowa? – pyta, wyciągając telefon. – Uśmiech! – Strzela lampa błyskowa. – Dla doktora Staynera!

Aha, dowód.

– Zdrówko! – Kacey stuka kubeczką o mój, po czym wychyla jego zawartość, przelyka i szybko sięga po drugi. – Och, niebieskie! Zaraz wracam! – Jak pies za kotem, Kacey biegnie za gościem, który dźwiga wielką tacę, kompletnie ignorując odwracające się za nią ludzkie głowy. Moja siostra ma rude włosy, olśniewającą twarz i muskularne ciało, więc zawsze ściąga

spojrzenia. Wątpię jednak, by w ogóle zwracała na to uwagę. Z pewnością nie czuje się źle z powodu tych spojrzeń.

Przyglądając się jej, wzdycham. Wiem, co robi. Oczywiście oprócz próby upicia mnie. Chce odciągnąć moją uwagę od smutnej strony dzisiejszego dnia. Nie ma dzisiaj ze mną taty. W dniu, kiedy zaczynam naukę w Princeton. Przecież marzył o tym. Był dumnym absolwentem tej uczelni i chciał, aby obie jego córki tutaj uczęszczały. Kacey po wypadku opuściła się w nauce, więc ten obowiązek spadł na mnie. Zatem żyję marzeniem taty – i swoim też – a jego tu nie ma i nie może w tym uczestniczyć.

Biorę głęboki oddech i akceptuję cokolwiek los – i mam tu na myśli galaretkowe shoty – ma dla mnie dzisiaj w planach. Na pewno mniej się denerwuję niż wtedy, gdy przestępowałam próg. A atmosfera panująca na imprezie jest całkiem fajna. Jestem na mojej pierwszej uczelnianej imprezce. Przypominam sobie, że nie ma w niej nic złego ani w tym, że tu jestem i cieszę się tym.

Trzymając kubeczek pełny galaretki, zamykam oczy i pozwalam sobie na odczuwanie rytmu muzyki. „Odpuść i baw się” – to właśnie ciągle powtarza mi doktor Stayner. Odchylam głowę w tył, ściskam dno kubeczka, by galaretka wyciekła do moich ust, prześlizgnęła się po języku i utworzyła niezwykle zjawisko smakowe przy przełykaniu. Czuję się jak ekspert.

Z wyjątkiem jednego amatorskiego błędu – zamknięcia oczu.

Gdybym tego nie zrobiła, nie wyglądałabym jak łatwa, podpita panienka. I zobaczyłabym, że on się zbliża.

Ostry pomarańczowy posmak ledwo dotyka moich warg, wtem silne, męskie ramię obejmuje mnie w talii i odciąga od bezpiecznej ściany. Otwieram oczy, kiedy plecami zderzam się z czyjąś klatką piersiową, podczas gdy muskularne ramię nadal mnie trzyma. W ciągu kolejnego uderzenia serca – nie mojego, ponieważ moje w ogóle przestało bić – dłoń łapie za mój podbródek i kubeczek, który mam przy ustach, odchyła mi głowę w tył, więc patrzę w górę pod kątem. W tej samej chwili dochodzi mnie piżmowy zapach wody po goleniu, a wtedy chłopak pochyla się i wkłada mi język do ust, obraca nim delikatnie, po czym

wysysa mi galaretkę. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie mam czasu pomyśleć czy zareagować. Czy odgryźć mu język.

W ciągu kolejnej sekundy chłopak zostawia mnie bez galaretki, bez tchu i muszę złapać się ściany, ponieważ drżą mi kolana. Przez kilka kolejnych chwil staram się odzyskać spokój, a kiedy już dochodzę do siebie, mój umysł rejestruje głośny pomruk zadowolenia dochodzący zza moich pleców. Odwracam się i widzę grupkę wysokich, dobrze zbudowanych facetów – wszyscy noszą togi przewiązane w taki sposób, by widać było ich muskularne klatki piersiowe – dopingujących i poklepujących jednego z nich po plecach, jakby gratulowali mu wygranego wyścigu. Nie mogę dostrzec jego twarzy. Wszystko, co widzę to burza ciemnobrązowych – prawie czarnych – włosów i szerokie ramiona.

Nie wiem, ile czasu stoję i gapię się z otwartą buzią, ale jeden gość z grupy w końcu to zauważa. Rzuci ukradkowe spojrzenie „Galaretkowemu Rabusiowi”, po czym wskazuje na mnie ręką.

Co, do diabła, mam powiedzieć? Delikatnie rozglądam się za rudą głową siostry. Gdzie się podziała? Zniknęła i zostawiła mnie, bym poradziła sobie z tymi... Brakuje mi tchu, gdy widzę, że „Galaretkowy Rabuś” odwraca się wolno, by po chwili stanąć ze mną twarzą w twarz.

Język tego faceta był w moich ustach? Ten gość... ten wysoki, przystojny Adonis z ciemnymi, pofalowanymi włosami, opaloną skórą i ciałem zbudowanym tak, że skusiłoby ślepą zakonnicę... wsadził mi język w usta.

O Boże! Znow zaczynam się pocić! Wszystkie te tygodnie szybkich randek na nic! Czuję jak strużki – wiele strużek – potu spływają mi po plecach, gdy jego kawowe spojrzenie mierzy moją sylwetkę z góry na dół, nim powraca do mojej twarzy. Po czym widzę, jak unosi jeden kącik ust, obdarowując mnie zarozumiałym uśmiechem.

– Niezła.

Nadal nie wiem, co powinnam mu powiedzieć, ale wtedy pojmuję, jak mnie określił i widzę ten pyszałkowaty uśmiezek...

Zatem biorę zamach i uderzam go w twarz.

Wcześniej uderzyłam tylko jedną osobę. Chłopaka mojej siostry, Trenta, i tylko dlatego, że złamał jej serce. Po tym potrzeba było tygodni, by ręka przestała mnie boleć. Wtedy Trent nauczył mnie, jak wyprowadzać cios, poinstruował, że kciuk powinien być na zewnątrz zwiniętych palców, a nadgarstek przekrzywiony w dół.

W tej chwili naprawdę uwielbiam Trenta.

Śmiech wybucha wokół nas, gdy „Galaretkowy Rabuś” pociera szczękę i rusza nią na boki, by sprawdzić, czy działa. Widząc to, wnioskuję, że musi boleć. Gdybym nie była wstrząśnięta faktem, że ten gość właśnie siłą wymusił na mnie pocałunek z języczkiem, prawdopodobnie miałabym teraz ogromny uśmiech na twarzy. Zasłużył sobie na cios. Nie tylko ukradł mi galaretkę. Skradł mi pierwszy pocałunek.

Chłopak podchodzi do mnie, a ja instynktownie stawiam krok w tył, ale ponownie trafiam plecami w ścianę. Przebiegły uśmieszek zakrada mu się na usta, tak jakby wiedział, że nie mam jak uciec i był z tego zadowolony. Jest już blisko, wyciąga ręce i opiera dłonie o ścianę po obu stronach mojej głowy, jego muskularna, wysoka sylwetka dosłownie mnie nokautuje. I nagle nie mogę złapać tchu. To takie przytłaczające. Szukając siostry, staram się wyjrzeć zza niego, ale przez ciało zbudowane z solidnych mięśni nie potrafię niczego dostrzec. I nie wiem, gdzie mam patrzeć, ponieważ gdziekolwiek zerknę, patrzę na niego. W końcu ryzykuję spojrzenie w górę. Ciemne jak noc oczy są pełne żaru i wpatrują się w moją twarz. Przetykam ślinę, a mój żołądek wykonuje trzy pełne salta.

– Cholernie dobry cios jak na kogoś tak... – Jedną rękę opuszcza blisko mojego ramienia. Czuję, jak kciukiem śledzi krzywiznę mojego bicepsa. – ...kobiecego. – Drzę w odpowiedzi, a mój umysł zalewa wizja trzęsącego się królika złapanego przez wilka.

Facet pochyla głowę w moją stronę i w jego spojrzeniu dostrzegam przebłysk ciekawości.

– Zatem jesteś nieśmiała... ale nie na tyle, by dać mi w pysk.
– Przerywa na moment i obdarowuje mnie kolejnym skrzywionym, aroganckim uśmiechem. – Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Wyglądałaś, jakbyś naprawdę cieszyła się tą galaretką. Musiałem osobiście jej spróbować.

Przełykam ślinę i krzyżuję ręce na piersiach, by stworzyć jakąś barierę oddzielającą nasze ciała. Mówię drżącym głosem:

– I?

Uśmiecha się szeroko i tak długo patrzy na moje usta, że zaczynam tracić nadzieję, iż uzyskam jakąś odpowiedź. Jednak w końcu ją otrzymuję, po tym jak liże dolną wargę.

– I mógłbym spróbować jeszcze jednej. Gotowa?

Instynktownie wciskam się w ścianę, jakbym chciała się z nią stopić, żeby uciec od tego gościa i jego sprośnych intencji.

– Dobra, wystarczy! – Obmywa mnie fala ulgi, gdy delikatne dłonie rozdzielają nas, lądując na nagiej piersi „Galaretkowego Rabusia” i popychając go w tył. Ustępuje wolno, cofając się, unosi ręce w geście poddania. Odwraca się, by dołączyć do kumpli.

– Dobry start, Livie. Chyba przez to Stayner odczepi się od ciebie na jakiś czas – mówi Kacey. Ledwo ją rozumiem, bo tak się śmieje. Rechocze!

– To nie jest śmieszne, Kacey! – syczę. – Ten facet zmusił mnie do tego!

Kacey przewraca oczami, ale po chwili wzdycha.

– Tak, masz rację. – Wyciąga rękę i bez cienia wahania szczypie faceta w ramię. – Hej, kolego!

Odwraca się ku nam z „cholera” na ustach, pocierając rękę. Grymas na jego twarzy jest chwilowy, gdy dostrzega spojrzenie Kacey. A raczej jej twarz i ciało. Wtedy wraca ten jego głupkowaty uśmiech. Co za niespodzianka.

– Zrób to jeszcze raz, a zakradnę się do twojego pokoju i obetnę ci jaja podczas snu, kumas? – ostrzega go Kacey, wymachując mu palcem przed nosem. Większość gróźb mojej siostry zawiera wizję okaleczenia krocza.

Na początku „Galaretkowy Rabuś” nie odpowiada. Po prostu

na nią patrzy, a moja siostra, zupełnie niewzruszona, nie ustępuje mu w spojrzeniu. Jednak po chwili jego wzrok przeskakuje między nami dwoma.

– Jesteście siostrami? Wyglądacie podobnie. – Często to słyszymy, więc nie jestem zaskoczona, chociaż ja tego nie dostrzegam. Obydwie mamy jasnoniebieskie oczy i bladą karnację. Ale moje włosy są czarne i jestem wyższa od Kacey.

– Śliczny i mądry. Masz w rękach skarb, Livie! – krzyczy siostra, żeby wszyscy słyszeli.

Facet wzrusza ramionami i jego cwaniacki uśmiezek powraca.

– Nigdy nie miałem naraz sióstr... – zaczyna, sugestywnie unosząc brwi.

O mój Boże!

– I nigdy nie będziesz miał. Przynajmniej tych sióstr.

Ponownie wzrusza ramionami.

– Może nie w tym samym czasie.

– Nie martw się, kiedy moja siostrzyczka będzie pierwszy raz uprawiać seks, to na pewno nie zrobi tego z tobą.

– Kacey! – upominam ją, spoglądając na jego twarz, mając w duchu nadzieję, że głośna muzyka zagłuszyła jej słowa. Jednak dostrzegam u niego wyraz zaskoczenia, więc wiem, że tak się nie stało.

Łapię ją za rękę i odciągam na bok. Natychmiast zaczyna się tłumaczyć:

– Rany, Livie, przepraszam. Chyba jestem pijana. Wymknęło mi się...

– Wiesz, co właśnie zrobiłaś?

– Napisałam ci „dziewica” na plecach i oznaczyłam jako cel?

– mówi Kacey, zaciskając wargi.

Ostrożnie zerkam przez ramię i widzę, że chłopak dołączył do kolegów, śmieje się i popija piwo. Ale nadal spogląda na mnie. Gdy widzi, że patrzę, bierze od kumpla kubeczek z galaretką. Przystawia go sobie do ust, przesuwa językiem po jego brzegach, sugestywnie unosi brwi i pyta:

– Twoja kolej?

Odwracam głowę i patrzę na siostrę. Rzucam ostro:

– Powinnam pozwolić ci założyć tę przeklętą koszulkę! –
Może jestem niedoświadczona i naiwna, ale dobrze wiem, że, gdy facet taki jak on odkrywa osiemnastoletnią dziewicę, jego umysł uznaje to za przysłowiowy garnek złota na końcu łączy.

– Przepraszam... – Kacey wzrusza ramionami, spoglądając na niego. – Chociaż muszę przyznać, że jest apetyczny, Livie. Wygląda jak model bielizny Dolce & Gabbana. Nie miałabyś przy nim poranku kojota.

Wzdycham. Nie wiem, dlaczego Kacey upiera się, bym straciła dziewictwo. Przez wiele lat jej nie zależało. Właściwie to cieszyła się z faktu, iż w liceum nie chodziłam na randki. Jednak ostatnio ma bzika na temat tego, że jestem seksualnie stłumiona. Naprawdę zaczynam nienawidzić tego, że wybrała psychologię.

– Tylko spójrz na niego!

– Nie – odmawiam z uporem.

– Jak chcesz – marudzi pod nosem, porywając cztery kubeczki z galaretkami z tacy, którą niesie chłopak w kilcie. *Kilt na imprezie z togami?* – Ale gdybyś jednak planowała się poddać, mogę się założyć, że byłby to niezapomniany pierwszy raz. Jestem pewna, że szybko byś z nim nadrobiła to, co umknęło ci przez ostatnie kilka lat.

– Wliczając w to rzeżączkę i wszy łonowe? – mruczę, patrząc na dwa kubeczki z niebieską galaretką, które mam w rękach. Cieszę się, że jest ciemno, ponieważ czuję, że policzki mi płoną. Biorę jedną z galaretek do ust, przesuwam po niej językiem, przypominając sobie, co zrobił mi ten gość – odmawiam uznania tego za mój pierwszy pocałunek.

– Do dna! – woła Kacey chwilę później.

Wykonuję jej polecenie. Przy przełykaniu drugiej galaretki ryzykuję rzut okiem, z nadzieją, że chłopak znalazł sobie nową, niczego nieświadomą ofiarę. Jednak tego nie zrobił. Stoi otoczony kilkoma dziewczynami, ręka jednej z nich spoczywa na tatuażu, który ma na piersi. Ale nadal mi się przygląda. I się uśmiecha.

Tylko że tym razem jest to dziwny, mroczny uśmiech, jak gdyby skrywał tajemnicę.

Myślę, że właśnie tak jest. Z tym, że to moja tajemnica.

Wstrząsa mną dreszcz, gdy zamieram z kubeczkim przy ustach.

– To Ashton Henley! – krzyczy mi ktoś do ucha. Odwracam się i widzę Reagan, w jednej ręce trzyma piwo, w drugiej kubeczek z galaretką. Jest tak niska, że musi stanąć na palcach, by powiedzieć mi to do ucha.

– Skąd wiesz, kto to jest? – pytam zawstydzona, bo przyłapała mnie na gapieniu się.

– Jest kapitanem osady wioślarstwa wagi ciężkiej w Princeton. Mój tata jest ich trenerem – wyjaśnia, a po jej słowach domyślam się, że jest lekko pijana. Szerokim ruchem ręki wskazuje całe pomieszczenie. – Znam tutaj wielu facetów. – Wnioskuje, że to tłumaczy jej zaangażowanie towarzyskie. – Chyba wpadłaś mu w oko, współlokatoro – dodaje i mruga.

Wzruszam ramionami i obdarowuję ją sztucznym uśmiechem, chcąc zmienić temat, zanim damy mu satysfakcję i pokażemy, że o nim rozmawiamy. Jednak, gdy rozglądam się po pomieszczeniu, dostrzegam grupki dziewczyn rzucających spojrzenia w jego kierunku – niektóre są ukradkowe, a niektóre wręcz przeciwnie – jestem pewna, że temu Ashtonowi zainteresowania nie brakuje.

Reagan potwierdza to chwilę później.

– Jest najprzystojniejszym chłopakiem w szkole. – Bierze łyk piwa. – I jest też strasznym dupkiem.

– Zdążyłam zauważyć – mamroczę pod nosem bardziej do siebie niż do niej. Wysysam z kubeczka kolejną galaretkę, celowo odwracając się do niego plecami z nadzieją, że swoje drapieżne spojrzenie skieruje na kogoś bardziej chętnego.

– I jest też żigolakiem.

Coraz lepiej.

– Jestem pewna, że nie ma problemu ze znalezieniem dla siebie chętnych... kandydatek do łóżka. – Byle nie mnie.

Nie wiem, czy oficjalnie jestem pijana, czy Kacey jest magikiem, ale pojawia się nagle, a w moich dłoniach lądują kolejne kubeczki z galaretkami. Muzyka jest coraz głośniejsza i szybsza, w całym ciele czuję wibracje, więc moje biodra mimowolnie zaczynają bujać się do rytmu.

– Fajnie tu, nie?! – krzyczy Reagan, jej miodowo-złote włosy podskakują, gdy dziewczyna zaczyna tańczyć, wyrzuca ręce w powietrze i piszczy. – Jupi! – Ma sporo energii. Jak jedno z tych dzieci leczonych stymulantami. – Ludzie, emocje, muzyka! Uwielbiam to!

Uśmiecham się i przytakuję, rozglądając się wokół. I muszę przyznać, że jest naprawdę fajnie.

– Cieszę się, że przyszłam! – krzyczę, wpadając w ramiona Kacey. – Chociaż proszę, trzymaj mnie z dala od kłopotów – błagam, przełykając kolejne dwie galaretki.

Kacey odpowiada ze śmiechem, zarzuca mi rękę na ramiona, drugą identycznie obejmuje Reagan, która dołącza do konsumpcji galaretek.

– Oczywiście siostrzyczko. Dzisiaj Princeton będzie bawiło się w stylu Cleary.

Chichoczę. Wesołość mojej siostry spycha wszystko inne na dalszy plan.

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

Z permanentnie złośliwym uśmiechem, Kacey mówi:

– Wkrótce się dowiesz.

ROZDZIAŁ TRZECI

BESTIA

Otwieram oczy i przez pięć sekund trwam w spokoju i błogiej nieświadomości. Pięć sekund gapię się w biały sufit, moje oczy przyzwyczajają się do półmroku, a mój umysł odpoczywa, czekając, aż neurony zaczną działać.

Po czym uderza we mnie lawina niewiadomych.

Gdzie jestem?

Jak się tu dostałam?

Co się, u diabła, stało?

Odwracam głowę i kilka centymetrów od siebie spostrzegam twarz siostry.

– Kacey? – szepczę.

Mamrocze coś, a do mojego nosa dociera zapach jej ciężkiego oddechu. Zwijam się w kulkę i odwracam. Robię to chyba zbyt szybko, ponieważ mój mózg przeszywa ostry ból. Zwijam się po raz drugi.

Jesteśmy w moim pokoju w akademiku. Mogę to stwierdzić, rozpoznając niewielką przestrzeń i kilka moich rzeczy. Tylko że nie pamiętam powrotu.

Co pamiętam?

Wolno unoszę dłonie do twarzy, by ją przetrzeć, jednocześnie próbuję dotrzeć za mgłą moich wspomnień, starając się poskładać noc z kawałków... Rozmyte sceny przelatują przez mój umysł tak szybko, że nie jestem w stanie stwierdzić, czy są prawdziwe. Galaretką za galaretką. Poprawiona galaretką. Pomarańczowe, niebieskie, zielone... Razem z Kacey tańczymy jak roboty na parkiecie? Jęczę i natychmiast się krzywię, gdy kolejne ukłucie bólu trafia w moją głowę. Boże, mam nadzieję, że to nie jest prawda. Ale to ostatnie moje wspomnienie... Dalej nic nie pamiętam. Jak mogę nic nie pamiętać?

Kacey coś jęczy, a mnie dopada kolejna fala smrodu. Przełykam kilka razy ślinę i godzę się z faktem, że mój oddech musi być równie pachnący jak oddech Kacey, i że zabiłabym za butelkę wody. Powolnymi i niezbyt skoordynowanymi kopnięciami odsuwam kołdrę.

Marszczę brwi, gdy dostrzegam, że jestem naga. *Dlaczego jestem goła? Ach... prawda.* Wczoraj miałam na sobie tę głupią togę. Tylko że to nie tłumaczy, dlaczego teraz mam na sobie jedynie majteczki, ale głowa boli mnie zbyt mocno, by myśleć nad tym dlaczego... *Nieważne.* Jest tu tylko moja siostra. I Reagan, ale przecież to dziewczyna.

Usilnie walczę, by przybrać siedzącą pozycję, wkładam dłonie w kołtun, który mam na głowie, ściskam skronie, uwalniając tym nieco ciśnienia. Dlaczego czuję, jakby głowa miała mi eksplodować? Myślę, że gdyby teraz wszedł tu ktoś z siekierą, wyciągnęłabym szyję, podsuwając ją pod topór.

Czuję w ustach wstrętny posmak, gdy uderzają we mnie mdłości. Potrzebuję wody. Natychmiast. Za pomocą drżących kończyn opuszczam ciało w dół piętrowego łóżka, darując sobie schodzenie po drabince i mając nadzieję, że nie nadepnę na twarz Reagan. Gdyby tylko udało mi się dostać do maleńkiej lodówki i wyciągnąć stamtąd butelkę zimnej wody, od razu poczułabym się lepiej. Wiem to...

Chwilę później, gdy staję na białym, puchatym dywaniku Reagan, jaki ma pod łóżkiem, doznaję ponownego szoku.

Widzę tyłek. Męski tyłek. I nie są to tylko pośladki. To bardzo duży i bardzo nagi chłopak wyciągnięty w poprzek łóżka Reagan, jego nogi i jedna ręka zwisają poza krawędzie materaca. Po burzy miodowo-blond włosów wystających na drugim krańcu łóżka spod kołdry wnioskuję, że Reagan też gdzieś tam jest.

Nie potrafię przestać się gapić. Stoję ubrana jedynie w majtki, pokój wiruje, w ustach mam posmak ścieków i zamieram, skupiona na nagim mężczyźnie, którego mam przed sobą. Po pierwsze, dlatego że jest ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam, schodząc na dół. Po drugie, dlatego że jest pierwszym nagim

facetem, którego widzę na żywo. Po trzecie, zastanawiam się, co on tu, u diabła, robi.

I... co ma na szczycie lewego pośladka? Moja ciekawość zwycięża nad doznanym szokiem i ostrożnie podchodzę bliżej, wahając się, czy nie jestem za blisko. To wygląda jak... tatuaż. Jest czerwony i opuchnięty. Widziałam kilka zdjęć świeżych tatuaży i ten wygląda dokładnie tak samo. Jakby był bardzo, bardzo świeży. To napis zrobiony fantazyjną czcionką i brzmi „Irlandka”.

Irlandka? Marszczę brwi ze zdziwienia. Dlaczego to słowo odbija się echem w moim umyśle...?

Nachylałam się, a podłoga skrzypi, co mnie zaskakuje, więc natychmiast się cofam. Nagły ruch sprawia, że pokój znów zaczyna wirować. *Potrzebuję wody!* Na miękkich nogach docieram do lodówki i dostrzegam swój szlafrok zawieszony na jej drzwiczkach. Niestety nasze pokoiki w akademiku są maleńkie, a ja, nie oszukujmy się, kiedy jestem zdenerwowana, zachowuję się jak słoń w składzie porcelany. Cofając się, uderzam plecami o komodę Reagan na tyle mocno, że wywracam buteleczki jej perfum. Wstrzymuję oddech, mając nadzieję, że hałas nie jest na tyle głośny, by zbudzić śpiącego wielkoluda.

Nie mam tyle szczęścia.

Serce mi staje, gdy obserwuję, jak chłopak odwraca głowę, by się rozejrzeć. Otwiera oczy.

O mój Boże!

To „Galaretkowy Rabuś”. Ashton.

Wspomnienia napływają jak wzburzona fala.

Zaczynam przypominać sobie kradzież galaretki, ale na tym historia się nie kończy. Nie... jest tego dużo, dużo więcej, każde wspomnienie trafia we mnie niczym błyskawica, przez co jeszcze bardziej miękną mi kolana i kurczy mi się żołądek. Dudniąca muzyka, błyskające światła i Ashton pochylony nade mną na parkiecie. Ja wrzeszcząca na niego, ścierająca mu pięścią zarozumiały uśmiezek z twarzy. Pamiętam, że uderzyłam go potem płaską dłonią w klatkę piersiową, raz, dwa razy... w sumie nie wiem ile. Po czym przestałam uderzać. Oparłam dłonie na jego

nagiej klatce piersiowej, z ekscytacją palcami śledziłam znajdujący się tam celtycki wzór wielkości pięści oraz krzywizny jego mięśni. Pamiętam taniec... szybki, wolny... palce zagrzebane w jego włosach, jego dłonie na mojej talii, przyciągające mnie do niego.

Pamiętam, że chłodne, nocne powietrze owiało moją skórę, po czym poczułam chłód ceglanego muru za plecami, gdy Ashton i ja...

Ucieka mi westchnienie, dłońmi nakrywam usta.

Ashton najpierw zaciska powieki, walcząc, by przyzwycząić się do półmroku, po czym otwiera je szeroko, z zaskoczeniem taksując całe moje ciało i skupiając spojrzenie na moich nagich piersiach. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę oddychać. Znów jestem przerażonym królikiem na dwie sekundy przed pożarciem przez wilka. Królikiem ubranym wyłącznie w majtki w kwiatki.

Udaje mi się poruszyć rękami, by skrzyżować je na piersiach i zakryć nagość.

Ten ruch wyrywa Ashtona z transu, ponieważ coś jęczy, dłonią przeciąga przez ciemne, stojące w każdym możliwym kierunku włosy, w jakiś sposób burząc je jeszcze bardziej. Obraca głowę, by zobaczyć Reagan wygrzebującą się spod kołdry, budzącą się ze zmieszaniem, po czym zrozumienie sytuacji wypełnia jej spojrzenie.

– Kurwa... – słyszę, jak Ashton mamrocze pod nosem, ściskając nasadę nosa, jakby odczuwał ból. – Czy my...? – cicho pyta Reagan.

Kręci głową dziwnie spokojna.

– Nie. Byłeś zbyt pijany, by wrócić do siebie. Miałeś spać na podłodze. – Siada i widzi strój Ashtona, a właściwie jego brak. – Koleś, dlaczego, do cholery, jesteś goły?

Jej słowa przypominają mi o tym, że on nadal cały jest nagi. Moje spojrzenie znów spoczywa na jego masywnej sylwetce, na jej widok czuję dziwne łaskotanie w brzuchu.

Ashton opiera głowę na poduszce.

– Och, dzięki Bogu. – Słyszę, jak mamrocze, ignorując jej pytanie.

Z zaskakującym wdziękiem, wydostaje się z dolnego poziomu piętrowego łóżka i staje. Wzdycham ciężko, przenosząc zdumione spojrzenie na okno, jednak wcześniej udaje mi się zobaczyć całą jego okazałość.

Śmiejąc się, pyta:

– Co się stało, Irlandko?

Irlandko.

Natychmiast podrywam głowę.

– Jak mnie nazwałeś?

Śmieje się szeroko, rękę opiera na drążku drabinki, pozornie wyluzowany mimo braku ubrania.

– Niezbyt dużo pamiętasz z wczorajszej nocy, co?

Jego intensywne, mroczne spojrzenie przykute do mojej twarzy sprawia, że kurczy mi się żołądek. Muszę odzyskać kontrolę nad mięśniami, nim zrobię pod sobą kałużę.

– Jeśli chcesz wyjaśnienia, dlaczego jesteśmy razem w pokoju, a ty jesteś nago... to nie – mówię drżącym i dwie oktawy wyższym głosem niż normalnie.

Ashton stawia krok w przód, a ja natychmiast się cofam, starając się wcisnąć między szafę i komodę. Tak bardzo kręci mi się w głowie, że mam pewność, iż zemdleję. Albo zwymiotuję. Na nagą pierś, którą wczoraj w nocy obmacywałam.

Na komodzie obok mnie leży białe prześcieradło. Zwijam się w kulkę, gdy po nie sięgam, przyciągam je do siebie, by zakryć nagość. Ashton wykonuje kolejny krok, a ja muszę wesprzeć się na komodzie, by nie stracić równowagi. Staram się nie patrzeć w dolne rejony jego ciała, jednak cały czas panikuję. Jeśli podejdzie jeszcze bliżej, otrze się o mnie *tym czymś*.

– Nie musisz się martwić. Już wczoraj uzgodniliśmy, że nie jestem dobrym kandydatem na męża – mówi.

Mocniej przyciskam prześcieradło do klatki piersiowej i z uporem zaciskam zęby.

– Cóż, przynajmniej w jakiejś części nadal byłam przytomna.

– Nie umiem oderwać spojrzenia od jego ciekawych, brązowych oczu. Jego wzrok utkwiony jest w mojej twarzy, ale jest w nim coś,

czego nie potrafię odczytać. Zastanawiam się, czy pamięta, że mnie całował. Myślę nad tym, czy tego żałuje.

Wyczuwam, że ma ochotę jeszcze troszkę się zbliżyć.

Przestaję zachowywać kontrolę i wypalam:

– Proszę, mógłbyś zabrać to coś gdzie indziej?!

Odrzucając głowę w tył, zaczyna wyć ze śmiechu, unosi rękę w geście poddania i się cofa.

– Reagan, nie mów nikomu, zwłaszcza ojcu – mówi głośno przez ramię.

– Bez obaw – mruczy Reagan, pocierając twarz.

– Co do cholery? – Słyszę, jak mamrocze Kacey, dochodząc do siebie. Siada na górnym łóżku i spogląda w dół na Ashtona, ocenia go całego, po czym rzuca okiem na mnie, stojącą w kącie. Jej oczy na chwilę się rozszerzają. – O nie... Proszę, powiedzcie mi, że wy nie... – mówi, jęcząc.

Obejmuję się ciaśniej ramionami, patrząc na nią błagalnym wzrokiem. *Nie wiem! Nie wiem, co robiliście!*

– Nie, nie zrobili tego! – woła Reagan.

Ulga sprawia, że powietrze z siłą huraganu wydostaje się z moich płuc, po czym się krzywię. Nawet to sprawia, że huczy mi w głowie.

Nie tylko ja czuję ulgę. Grymas na twarzy mojej siostry znika. Kolejny raz Kacey patrzy na Ashtona, tym razem jej wzrok opada na jego niższe partie ciała.

– Nie chcesz czasem okryć swoich klejnotów, stary?

Ashton uśmiecha się, trzymając ręce w górze.

– Myślałem, że tak wam się podobam.

Kacey odpowiada własnym uśmiechem, jej spojrzenie nie odkleja się od jego krocza.

– Lepsze rzeczy czekają na mnie w domu. – Macha ręką w kierunku drzwi. Cała Kacey. Spokojna i opanowana w obliczu przypadkowego penisa.

Kręcąc głową, ale śmiejąc się, Ashton mówi:

– W porządku. – Odwraca się i przez dłuższą chwilę patrzy na mnie z nieodgadnioną miną. Zaraz jednak jego spojrzenie

spoczywa na prześcieradle, którego trzymam się jak tonący brzytwy. – To chyba moje – mówi, w tym samym czasie szarpiąc za materiał, wrywając mi go i zostawiając mnie ponownie nagą. Próbuję osłonić się ramionami, widząc, jak w tym samym czasie Ashton stawia cztery duże kroki i już jest przy drzwiach. Otwiera je i wychodzi na korytarz.

Dokładnie w tej samej chwili przechodzą obok studentka z matką, niosąc walizki. Nieskrępowany ich otwartymi ustami Ashton mija je, niespiesznie owijając się prześcieradłem.

– Moje panie – wita się, salutując. Po czym słyszę jego głos, donośny tak, że prawdopodobnie słyszy całe piętro: – Przepraszam, ale nie lubię numerków na jedną noc, Irlandko!

Stoję w otwartych drzwiach, ramionami zasłaniając gołe cycki, mając nadzieję, że przez sufit spadnie fortepian, by zakończyć najbardziej upokarzającą chwilę mojego życia.

I wtedy czuję ostrzegawczy skurcz żołądka i jego zawartość podchodząca mi do gardła. Wiem, co się zaraz stanie. I nie ma szans, bym na czas zdążyła do łazienki. Zakrywam dłońmi usta, w panice rozglądając się wokół, w poszukiwaniu jakiegoś naczynia. Czegokolwiek. Dostrzegam fikus Reagan rosnący w złotobrazowej donicy. Rzucam się w jego kierunku w chwili, w której wracają galaretki z zeszłej nocy.

Myliłam się. Dopiero teraz jest najbardziej upokarzająca chwila mojego życia.

* * *

– Powinnam pozwolić ci założyć tę koszulkę – jęczę, przyciskając rękę do czoła. Po podlaniu roślinki współlokatorki sporą dawką kwasów żołądkowych wymieszanych z toksynami, z powrotem wczołgałam się na górne łóżko, mając przy sobie zestaw na kaca Reagan – ibuprom i wiadro napoju izotonicznego – gdzie położyłam się, dryfując pomiędzy snem a użalaniem się nad sobą. Kilka godzin snu poskutkowało na potworny ból głowy. Rzyganie pomogło na mdłości. Nic jednak nie chciało pomóc na wstyd.

Kacey chichocze.

– To nie jest śmieszne, Kacey! Nic z tego nie jest zabawne! Miałaś pilnować, bym nie wpakowała się w kłopoty! – Przesuwam się, a ruch przypomina mi o bólu na plecach. – I dlaczego boli mnie między łopatkami?

– Być może od muru, do którego przyszpilił cię Ashton, zmierzając do drugiej bazy? – mruczy Kacey z szatańskim uśmiechem.

– Niczego takiego nie pamiętam! – krzyczę, ale czerwienieją mi policzki. Zasadniczo pamiętam wszystko, co ma związek z dotykiem, obejmowaniem lub całowaniem Ashtona. – Dlaczego on? – jęczę, dłońmi nakrywając twarz, gdy kolejna fala koloru dotyka moich policzków.

– Och... Oliveczko. Kto mógł przypuszczać, że kilkadziesiąt galaretkowych shotów uwolni bestię skrytą w twoim wnętrzu?

Oliveczko? Marszczę czoło, ponieważ kolejny znajomy dźwięk tłucze się w moim umyśle. Tata zawsze mnie tak nazywał, tylko dlaczego to przypomina mi o wczorajszej nocy?

– Masz... To może pomóc. – Kacey podaje mi telefon. Drżącymi rękoma i ze ściśniętym żołądkiem zaczynam przerzucać zdjęcia w galerii.

– Co to za ludzie? I dlaczego przytulam się do nich?

– Och, to twoi najlepsi przyjaciele. Kochasz ich – rzeczowo wyjaśnia Kacey, unosząc brwi. – Przynajmniej wczorajszej nocy nie przedstawiałaś im tego powtarzać.

– Wcale nie! – krzyczę. Po czym zasłaniam usta, gdy do mojego umysłu napływa więcej wspomnień. Właśnie, że mówiłam. Pamiętam, jak wypowiadałam te słowa. I to często. Dlaczego nie mogłam stracić głosu? Albo czemu ktoś nie obciął mi języka? Myśl o języku ściąga do mojej głowy Ashtona, więc jęczę. Jemu też powiedziałam, że go kocham? To właśnie dlatego to wszystko miało miejsce?

Wracam do przeglądania zdjęć, aby odwrócić uwagę od rumieńca malującego mi się na policzkach. Jest tu jedno przedstawiające chłopaka w kilcie i z dudami obejmującego Kacey. Na kolejnym Kacey wskazuje na jego kilt, a brwi ma

uniesione na znak zapytania.

– Dlaczego on nie jest w todzie...? – zaczynam pytać, ale przerzucam na kolejne zdjęcie i brakuje mi tchu, gdy rozumiem na co patrzę.

– To się nazywa „ubiór tradycyjny” – wyjaśnia Kacey.

Z głęboką dezaprobatą i kręcąc głową, przeglądam zdjęcia dalej, po czym czuję, że z mojej twarzy odpływa cała krew. Na większości zdjęć jesteśmy ja albo Kacey. Na niektórych wyglądamy, jakbyśmy chciały za pomocą wyciągniętego języka i dzikiego spojrzenia uwieść obiektyw. Raz na jakiś czas pojawia się na nich jaśniejący uśmiech Reagan.

– O nie... – To zabawne jak zdjęcie może obudzić wspomnienie. Tak właśnie się dzieje, gdy przed oczami mam samą siebie wskazującą na napis „tusz”. – O rany boskie! – mówię przynajmniej dziesiąty raz tego ranka. – O Boże, o Boże, o Boże... – mamrocę gorączkowo, przerzucając kolejne zdjęcia, mając nadzieję, że to tylko chory wymysł mojej głowy. Nie! Jestem dość pewna, że siedzę okrakiem na krześle, łokcie wyciągając na jego oparciu, zabierając włosy z pleców, odchylając górę togi, kiedy barczysty mężczyzna w czarnych, skórzanych spodniach stoi za mną i trzyma wypełniony tuszem pistolet do tatuowania. Gapię się na zdjęcie i opada mi szczęka. To by wyjaśniało, dlaczego bolą mnie plecy. – Kacey, jak mogłaś pozwolić, by to się stało?! – syczę, gdy dopada mnie histeria.

– O nie, nie możesz mnie obwiniać – wtrąca Kacey, wyrывая mi z dłoni telefon. Szybko znajduje plik video, wciska guzik odtwarzania i podaje mi telefon. Uśmiecham się na filmie, moje oczy i usta wyglądają na nieco obwisłe.

– Kiedy się obudzę, nie będę obwiniać mojej siostry, Kacey Cleary, za moje czyny! – deklaruje na filmie z nadspodziewaną płynnością.

Zaraz słyszę podekscytowany głos siostry:

– Mimo tego, że ostrzegałam cię, iż rano nie będziesz z tego zadowolona, prawda? I tego, że i tak spróbujesz mnie obwinić? – Też nie bełkocze, kiedy jest pijana.

– Zgadza się! – Unoszę rękę, a tatuażysta na chwilę przerywa pracę, by przytrzymać moją rękę w dole i nakazuje mi, bym się nie ruszała. Wraca do pracy, a ja mówię: – Mam cholerne prawo mieć tatuaż, ponieważ ja, Olivia Cleary – dźgam się palcem w pierś niczym jaskiniowiec, zarabiając kolejną przerwę w pracy i groźne spojrzenie tatuażysty – jestem supertwardzielką.

Opuszczam rękę, w której trzymam telefon, drugą przecieram oczy.

– Jak ten facet z czystym sumieniem mógł mnie wytatuować? To znaczy, no popatrz na mnie! – Pokazuję jej wyświetlacz telefonu. – Byłam pijana. To nie jest nielegalne?

– Nie wiem, czy to jest nielegalne, może jest, ale z pewnością jest nieetyczne – przyznaje Kacey.

Zwijam się w kulkę, gdy kurczy mi się żołądek.

– Cóż, zatem jak...?

– To kumpel Ashtona.

Wyrzucam ręce w górę.

– Po prostu pięknie! On jest tak godny zaufania! A co, jeśli używał brudnych igieł? Kacey! – Moje oczy stają się wielkie jak spodki. – W salonach tatuażu ludzie zarażają się zapaleniem wątroby i HIV-em! Jak mogłaś pozwolić...?

– To bezpieczne i czyste miejsce. Nie musisz się martwić – mruczy Kacey ze spokojem, ale słyszę w jej głosie irytację, której używa w nielicznych przypadkach mojej histerii. – Nie byłam pijana tak, jak ty. Wiedziałaś, co się dzieje.

– W jaki sposób? Ile razy patrzyłam na ciebie, przelykałaś galaretkę!

Kacey prycha.

– Ponieważ moja tolerancja na alkohol jest trochę wyższa niż twoja. Obiecałam Staynerowi, że zostanę świadoma.

– Stayner. – Kręcę głową. – Co za psychiatra namawia pacjenta na wizytę w salonie tatuażu w stanie upojenia i zrobienie sobie przypadkowego obrazka?

– Zupełnie niekonwencjonalny i dlatego genialny psychiatra? – odpowiada Kacey, patrząc na mnie surowo. Jej odpowiedź wcale

mnie nie zaskakuje. W oczach mojej siostry, doktor Stayner potrafi przemieniać wodę w wino. – I on nie miał z tym nic wspólnego, Livie. Powiedział ci tylko, byś się zabawiła. Tatuazu zażyczyłaś sobie sama.

– A ty wiedziałaś, że dzisiaj będę wściekła – mówię ze zrezygnowanym westchnieniem.

Kacey wzrusza ramionami.

– Tatuaz jest ładny. Mogę powiedzieć, że ci się spodoba, gdy go zobaczysz.

Udaję, że przez chwilę przyglądam się plamie na suficie, gdy z uporem zaciskam zęby. Nigdy nie obraziłam się na siostrę.

Nigdy. Być może to będzie mój pierwszy raz.

– Och Livie, daj spokój! Nie złość się. Nie udawaj, że zeszłej nocy nie bawiłaś się dobrze. Powiedziałaś mi, że to była najlepsza noc twojego życia. Powtórzyłaś to chyba ze sto razy. Poza tym... – Pociera ramię, a ja wiem, że robi to bezwiednie. – ... po tym, co przeszliśmy, zasługujemy na wspólną nieszkodliwą zabawę.

Spoglądam na długą, wąską bliznę biegnącą się wzdłuż jej ramienia. Ta blizna stawia całą sprawę w innej perspektywie.

– Masz rację – mamrocze pod nosem, palcem śledząc jej białą, wąską linię. – To nic. – Milknę na chwilę. – Mówiłaś, że tatuaz jest ładny?

Kacey przerzuca jeszcze kilka zdjęć, aż znajduje właściwe, na którym widnieje napis: „Oliveczka”, napisany między moimi łopatkami delikatną, zawijaną czcionką. Nie jest szerszy niż dziesięć centymetrów. Teraz, gdy początkowy szok ustępuje, moje serce rośnie.

– Ładny – zgadzam się, patrząc na pięknie kaligrafowaną czcionkę, zastanawiając się, czy tacie by się podobało.

– Tata byłby zachwycony – mówi Kacey. Czasami mogłabym przysiąc, że siostra jest podłączona do mojego mózgu. I, raz na jakiś czas, dokładnie wie, co powiedzieć. Pierwszy raz tego ranka się uśmiecham.

– Wieczorem przemyłam ci go. Przez następne dwa tygodnie musisz to robić kilka razy dziennie. Tam stoi butelka lubridermu. –

Leniwie macha ręką w stronę biurka. – Powinnaś nosić też lekkie ubrania, by nie podrażniały skóry.

– Właśnie dlatego obudziłam się praktycznie naga?

Kacey prychnęła i kiwnęła głową.

Pocieram czoło.

– Teraz to wszystko nabiera sensu. – Pijanego, kretyńskiego sensu. Ponownie spoglądam na zdjęcie. – Pewnie jest teraz spuchnięty i zaczerwieniony?

– Tak, było trochę krwi.

Wizja sprawia, że jęczę, rękę opieram na nadal ściśniętym żołądku, bo znów czuję mdłości.

– Tam chyba masz jeszcze jeden kwiatek.

Jęczę ponownie.

– Muszę odkupić Reagan tamten.

Przez dłuższą chwilę leżymy w ciszy.

– W jaki sposób wylądowałaś na górnym łóżku? To naprawdę do bani – mówi Kacey. Niektóre z pokoi w akademiku mają oddzielne łóżka, ale niektóre są za małe i muszą być wyposażone w łóżko piętrowe. Do takiego właśnie pokoiku trafiłyśmy z Reagan.

– Reagan ma lęk wysokości, więc oddałam jej dolne. Nie miałam nic przeciwko.

– Aha... ma to jakiś sens. Jest niska. Niemal jak karzełek.

Odwracam się, by porazić siostrę spojrzeniem. Reagan jest tuż pod nami. Śpi, ale jest blisko!

Następuje kolejna chwila ciszy, zanim Kacey ciągnie z szatańskim uśmiechem:

– Cóż, mam nadzieję, że nie będzie jej przeszkadzało twoje szalone życie seksualne. Mogłoby okazać się dla niej zabójcze, gdyby to łóżko jednak nie było stabilne.

Nagłe poruszenie na dole zdradza nam, że Reagan nie śpi, tylko słucha.

– Och, nie musisz się martwić. Znam zasady – odzywa się z dołu ochryplym głosem. – Mam czerwoną skarpetkę, którą będziemy mogły wieszać na kłamce, gdy Livie będzie tu z

Ashtonem...

Nakrywam głowę kołdrą, bo dokładnie wiem, dokąd zmierza ta rozmowa i moje policzki już są czerwone jak burak. Dziwnym trafem zostałam z mniejszą wersją mojej siostry jako współlokatorką. Niestety moja pościel nie jest dźwiękoszczelna i słyszę, jak Kacey kontynuuje przekomarzanie się.

– Nie trzeba, Reagan. Livie lubi mieć świadków.

– Zauważyłam! Z tego, co słyszałam, Ashton też lubi. I ja nie mam nic przeciwko, bo dla tego chłopaka można się zabić! Ma najbardziej niesamowitą klątę, jaką w życiu widziałam. Całą noc mogłabym ją lizać. Tak, jak robiła to Livie...

Wybucham nerwowym śmiechem, zarówno przerażona, jak i rozmarzona.

– Wcale nie lizałam. Przestańcie!

– Nie, póki nie przyznasz, że cieszyłaś się, mogąc bawić się z nim ubiegłej nocy.

Zaciekle kręcę głową.

– Ma też twardy tyłeczek. Raz udało mi się pomacać.

Chociaż to nie był oburęczny chwyt, jak złapała go Livie – ciągnie Reagan.

– PRZESTAŃCIE!

Mój podniesiony głos tylko podsycza rozbawienie Kacey.

– Nie mogę się doczekać, gdy pierwszy raz położy obie ręce na jego...

– Dobra! Podobało mi się! Bardzo! Proszę, skończmy tę rozmowę. Nigdy więcej nie chcę go widzieć.

– Przynajmniej póki ponownie się nie upijesz.

– Nigdy w życiu już się nie upiję – oświadczam.

– Och Livie... – Kacey obraca się i tuli mnie.

– Mówię poważnie! Kiedy piję, jestem jak doktor Jekyll i pan Hyde.

– Och, tata zawsze powtarzał, że nawet w najbardziej poważnej Irlandce jest odrobina szaleństwa. Udowodniłaś to zeszłej nocy.

Irlandka.

– Ashton nazwał mnie Irlandką, dlaczego?
– Nie wiem, Livie. Musisz go zapytać, gdy następnym razem wspólnie się upijecie.

Przewracam oczami, ale nie kłopotuję się odpowiedzią.
Jednak nadal coś nie daje mi spokoju.

Irlandka.

Irlandka.

Nagle otwieram oczy. Znow nakrywam się kołdrą.

– Czy Ashton nie ma przypadkiem na tyłku tatuażu z napisem „Irlandka”?

Następuje chwila milczenia. Wtedy Kacey zaczyna się śmiać, usta ma otwarte, oczy jej błyszczą.

– Całkiem o tym zapomniałam! – Razem z Reagan wyją ze śmiechu. – Jak mogłam o tym zapomnieć? – Wskazuje na mnie palcem i mówi: – Nazwałaś go zarozumiałym draniem! – Klaszcze w dłonie i śmieje się tak, jak nieczęsto można to u niej zobaczyć. Śmieje się jak czterolatek, który najadł się czekolady. Unosi dłoń i wyciąga mi ją nad głowę, po dłuższej chwili niechętnie przybijam jej piątkę. – Myślisz, że ty masz kaca moralnego? Poczekaj, niech on dojdzie do tego, dlaczego boli go tyłek...

Reagan śmieje się tak mocno, iż jestem pewna, że łzy płyną jej po policzkach i to jest zaraźliwe. Wkrótce całe łóżko piętrowe trzęsie się od śmiechu z kapitana osady wioślarskiej i napisu na jego zadku.

I tak bardzo jak nie chcę się do tego przyznawać, jednak muszę powiedzieć sobie w duchu, że ostatnia noc... bardzo mi się podobała.

Każda jej chwila.

* * *

O trzeciej po południu czuję się o wiele lepiej. Wystarczająco dobrze, by żołądek nie wywracał mi się z powodu zapachu kawy i świeżych wypieków, gdy siedzimy w pobliskiej kawiarni i jemy. Jednak teraz kaca zastępuje melancholia.

Dzisiaj żegnam się z siostrą.

Oczywiście, że istnieją SMS-y, rozmowy telefoniczne, e-maile, zobaczę ją także, gdy za kilka tygodni polecę na ślub naszych przyjaciół, Storm i Dana, ale... to nie samo. Pamiętam, gdy przez dwa miesiące była pod opieką doktora Staynera. Czułam się wtedy, jakby ktoś wyrwał mi kawałek serca. Oprócz tego okresu, każdego pojedynczego dnia mojego życia widywałam jej twarz.

Codziennie.

Nawet, gdy po wypadku była na oddziale intensywnej terapii, nawet, gdy opuszczała szkołę, piła i ćpała, nawet, gdy pracowała jak szalona po nocach za barem w *Pałacu Penny*, wtedy przychodziłam zerknąć na nią, gdy już spała, byle tylko przyjrzeć się jej twarzy. By sobie udowodnić, że i ona mi nie umarła.

Wcale nie było mi łatwo ze świadomością, że ten dzień nadejdzie. Teraz, gdy to się dzieje, czuję się, jakbym coś traciła. To tak, jakbym zegnała część mojego życia, do której już nigdy nie powrócę.

– Cóż... – mówi Kacey, patrząc na mnie szklącymi się niebieskimi oczami i z niepewnym uśmiechem, gdy stoimy obok taksówki. Moja siostra nie płacze zbyt często. Nawet po tym, przez co przeszliśmy i jak daleko zaszła, zazwyczaj tryska nieodpowiednim humorem, aby zagłuszyć wszelaki smutek. Jednak teraz... teraz widzę, jak pojedyncza łza spływa jej po policzku. – Siostrzyczko – mruczy, gdy łapie mnie za kark i pociąga, by nasze czoła oparły się o siebie. – Udało ci się, Livie.

Uśmiecham się.

– Nam się udało. – Byłoby jej łatwiej, gdyby trzy lata temu zostawiła mnie z ciotką Darlą i wujkiem Raymondem. Do diaska, to powinna była zrobić. Nie musiała się przejmować gębą do wykarmienia. Myślę, że wielu ludzi w jej sytuacji wybrałoby wyjście przez drzwi i nieoglądanie się za siebie. Ale Kacey tego nie zrobiła. – Dziękuję... – zaczynam mówić. Kacey przerywa mi typowym dla niej uniesieniem brwi.

– Och nie, nie dziękuj mi, Livie. Jestem wrakiem, którego siostra w jakiś sposób, cudowny sposób nie wykoleiła się przez

całą tę kupę gówna. – Zamyka oczy i szepcze: – To ja wszystko ci zawdzięczam. – Obejmuje mnie mocniej. – Pamiętaj, że nigdy nie będę za daleko. Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała, daj mi znać, a natychmiast się zjawię. Dobrze?

– Nic mi nie będzie, Kacey.

– A nawet, jeśli coś się stanie, nadal będę przy tobie, rozumiesz?

Kiwam głową, nie ufając swojemu głosowi.

Słyszę dzwonek telefonu obwieszczający nadejście wiadomości. Myślę, że to Storm, bo tylko ona oprócz Kacey wysłała mi SMS-y, więc sprawdzam telefon.

POWIEDZ, ŻE W NOCY NIE ZACHOWYWAŁAŚ SIĘ JAK ZWYKLE.

– To są chyba jakieś jaja! – wybucham.

– Co się dzieje? – pyta Kacey, marszcząc brwi i pochylając się, by przez ramię zerknąć na mój telefon.

– Jaki lekarz wysłała pacjentowi SMS-a? – To znaczy nie-pacjentowi.

– Masz jakieś pięć minut na odpowiedź, nim do ciebie zadzwoni. Wiesz o tym, prawda? – pyta Kacey.

Przytakuję. Nauczyłam się, że doktor Stayner jest bardzo cierpliwym człowiekiem... no, chyba że chce odpowiedzi.

– Co powinnam mu napisać?

Wzrusza ramionami i się uśmiecha.

– Chyba szok najlepiej na niego działa.

– Cóż, mam ku temu sporo materiału.

Kacey czeka ze skrzyżowanymi rękami na piersiach, a ja piszę:

WYSĄCZYŁAM TYLE GALARETKOWYCH SHOTÓW, ŻE WYSTARCZYŁOBY, ABY WYPEŁNIĆ NIMI BASEN, PO CZYM WYPRÓBOWAŁAM KAŻDE RUCHY TANECZNE ZNANE LUDZKOŚCI. JESTEM TERAZ DUMNĄ WŁAŚCICIELKĄ TATUAŻU I GDYBYM NIE MIAŁA DOWODU W POSTACI FILMIKU, UWIERZYŁABYM, ŻE

ZROBIŁAM GO SOBIE W CIEMNEJ ULICZCE, ZA POMOCĄ
IGIEŁ WYCIĄGNIĘTYCH ZE ŚMIETNIKA. ZADOWOLONY?

Kurczy mi się żołądek, gdy wciskam „wyślij”. Doktor ciągle powtarza mi, abym uwolniła ten wewnętrzny sarkazm, jaki siedzi w mojej głowie.

Dziesięć sekund później telefon znów pika.
TO DOBRY POCZĄTEK. ROZMAWIAŁAŚ Z JAKIMŚ
CHŁOPCEM?

Gapię się z niedowierzaniem na wyświetlacz telefonu, przetwarzając reakcję doktora, albo jej brak, z powodu mojej nocnej rozpusty. To daje Kacey szansę, by wyrwać mi z dłoni telefon.

– Kacey, co robisz?! – Gonię ją wokół taksówki, gdy usilnie stara się coś napisać; klika nieprzerwanie. Nie wiem, jak potrafi jednocześnie pisać i biegać, jednak jej się to udaje. Wciska „wyślij” i zwalnia, by rzucić mi telefon. Łapię go i szybko sprawdzam, co napisała.

NIE TYLKO ROZMAWIAŁAM Z CHŁOPAKIEM, ALE
WIDZIAŁAM TEŻ DWA PENISY, UWZGLĘDNIAJĄC TEN
PRZYCZEPIONY DO NAGIEGO FACETA ZNAJDUJĄCEGO
SIĘ TEGO RANKA W MOIM POKOJU, GDY SIĘ
OBUDZIŁAM. MAM ZDJĘCIA. CHCE PAN ZOBACZYĆ?

– Kacey! – krzyczę, waląc ją w ramię.
Po krótkiej chwili przychodzi odpowiedź.
CIESZĘ SIĘ, ŻE ZAWIERASZ ZNAJOMOŚCI.
POGADAMY W SOBOTĘ.

Następuje kilka sekund ciszy, podczas których walczę z szokiem, ale po chwili obie wybuchamy śmiechem, rozjaśniając nastrój pożegnania.

– Dobra, muszę jechać, bo spóźnię się na samolot – mówi Kacey, kolejny raz mocno mnie tuląc. – Idź do przodu i popełniaj

błędy.

– Większe niż wczorajsza noc?

Kacey puszcza mi oko.

– Nie widziałam, byś wczoraj w nocy popełniała jakieś błędy.

Otwiera drzwi taksówki i macha mi na pożegnanie, zanim wskakuje do środka. Macha do mnie nadal przez tylną szybę, gdy taksówka znika za rogiem ulicy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ŻAL

Myślę, że większość dziewczyn, po upiciu się i obmacywaniu na rogu przypadkowej ulicy z Ashtonem Henleyem zrobiłaby wszystko, co w ich mocy, by zaaranżować przypadkowe spotkanie.

Jednak nie jestem jak większość.

Planuję unikać go przez resztę swojego akademickiego życia.

Niestety, los decyduje, że otrzymuję jedynie dwadzieścia cztery godziny wolności.

Długo stoję w kolejce w księgarni, po czym spieszę do akademika, by zanieść tam dziesięć kilo książek, następnie mam w planach popołudniową grupową wycieczkę po kampusie. Ta dwustupięćdziesięcioletnia uczelnia składa się z hektarów oszalałającej gotyckiej architektury, bogatej w historię, którą chcę zobaczyć na własne oczy. Nie mam czasu na samodzielne zwiedzanie.

Oczywiście to idealny moment, bym wpadła w zasadzkę.

– Irlandka! Co tu robisz? – Pojawia się ręka, która łapie za arkusz planu zajęć, który tkwi przyciśnięty książkami do mojej piersi. Wzdycham i drzę, gdy palec ociera się o mój obojczyk.

– Nic – mamroczę pod nosem, ale nie zawracam sobie głowy lepszą odpowiedzią, bo uważam, że nie ma sensu.

Ashton uważnie studiuje mój plan zajęć, w zamyśleniu przygryzając pełną wargę. Zatem znów wzdycham i czekam cierpliwie, ciesząc się z możliwości oglądania rzeczy, których z powodu upojenia alkoholowego i ciemności nie zaobserwowałam wcześniej. Ani gdy byłam naga i roztrzęsiona. Jak na przykład to, że artystyczny nieład na głowie Ashtona w późnopołudniowym słońcu wydaje się bardziej brązowy niż czarny. Albo to jak starannie przycięte są jego gęste brwi. I to, że w jego oczach na tle

brązu widać zielone plamki. I może jeszcze to, że niewiarygodnie długie rzęsy podwijają mu się na końcach...

– Irlandko?

– Co? – Zostaję wyrwana z transu i widzę, jak na mnie patrzy. Na twarzy ma łobuzerski uśmieszek, który świadczy o tym, że musiał coś do mnie powiedzieć, a ja nie usłyszałam, ponieważ byłam zbyt zajęta gapieniem się na niego.

Co oczywiście miało miejsce, bo straciłam czujność.

Odchrząkuję, palą mnie zarówno uszy, jak i reszta twarzy. Chcę zapytać, dlaczego ciągle mnie tak nazywa, ale udaje mi się jedynie wydusić:

– Słucham?

Na szczęście nie drażni się ze mną.

– Jak tatuaż? – pyta, powoli wsuwając kartkę tam, skąd ją wyjął, jego palec raz jeszcze ociera się o mój obojczyk, a moje ciało ponownie odpowiada dreszczem na jego dotyk.

– Och... super. – Przełykam ślinę, mocniej ściskam książki i odwracam spojrzenie w kierunku akademika. Patrzę na grupki kręcących się niedaleko studentów. Chciałabym być gdziekolwiek, byle nikt mi nie przypominał o nocnym wyskoku.

– Naprawdę? Bo mój mnie drażni jak cholera.

– Trochę swędzi – przyznaję, ponownie skupiając uwagę na Ashtonie. Widzę, jak jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu, ujawniając dołeczki formujące się pośrodku jego policzków, które są jeszcze głębsze niż Trenta. Na tyle głębokie, bym straciła dech. Na tyle że przypominam sobie, iż podziwiałam je, gdy byłam w stanie upojenia. Jestem pewna, że wsadzałam w nie palce. I być może język.

– Przynajmniej ciebie swędzi na plecach – mówi, obdarowując mnie nieśmiałym spojrzeniem. Jest mocno opalony, więc trudno mi jednoznacznie powiedzieć, czy jego policzki się rumieniają.

Ucieka mi mimowolny chichot. Ashton dołącza, śmiejąc się lekko. A wtedy uderza we mnie wspomnienie – stoimy naprzeciw siebie i się śmiejemy. Tyle że palcami bawię się włoskami na jego

karku, a on językiem wodzi po płatku mojego ucha. Nagle przestaję chichotać i przygryzam dolną wargę.

– To najgłupsza rzecz, jaką zrobiłem – mruczy i kręci głową.
– Przynajmniej jest mały.

Nadal staram się wypchnąć z umysłu wspomnienie, kiedy mimowolnie mu przytakuję.

– Tak, nie można odczytać napisu, póki człowiek nie pochyli się bardzo blisko... – Czuję, jak tornado rozpędza mi się w żołądku, zabierając ze sobą całą krew z twarzy. Powiedziałam to na głos? Nie, nie powiedziałam. Nie mogłabym.

Jednak sądząc po błysku w jego oczach, z pewnością to zrobiłam. Chyba znów zwymiotuję.

– To... Nie chciałam... Naprawdę muszę już iść. – Zaczynam go wymijać, a pot strużką spływa mi po plecach.

Idzie za mną, kiwa głową w kierunku moich książek i mówi:

– Wybrałaś dużo ścisłych przedmiotów. – Plan ucieczki zostaje udaremniony. Co on robi? Dlaczego chce ze mną rozmawiać? Liczy na powtórkę? Ja też jej chcę?

Patrzę na jego sylwetkę. Tak, muszę przyznać, że bym chciała. Jest przystojny. Jak zauważyła Reagan, być może jest najlepiej wyglądającym facetem na uczelni. Jestem tu od czterech dni. Nie mam porównania, a mimo to jestem przekonana o prawdziwości tego twierdzenia. I mam zbyt wiele żenujących wspomnień, by próbować zaprzeczać, że tamtej nocy bawiłam się świetnie.

Jednak... nie. Nie chcę tego powtarzać. To znaczy, kiedy patrzę na niego, wszystko, co widzę, jest nie tak. On nawet nie wygląda jak uczeń Princeton. Nie chodzi o to, że jest tu jeden określony typ ludzi; nie ma takiego. Z tego, co widziałam, ma dobrze zbudowane ciało jak na studenta. Nic z rozpieszczonego bachora ubranego w sweter i kamizelkę, co było stereotypem w filmach z lat osiemdziesiątych.

Tylko że Ashton nie pasuje do mojego wyobrażenia studenta Princeton. Nie wiem, czy to przez jego znoszone jeansy, które wiszą mu zbyt nisko na biodrach, a może cienką, szarą koszulkę z

długimi rękawami, które ma podwinięte do połowy ramion lub może tatuaż, który ma po wewnętrznej stronie przedramienia, a może skórzaną szeroką bransoletę owiniętą wokół nadgarstka... Nie wiem.

– Irlandko?

Słyszę, jak wypowiada moje imię. *Grr!* To nie moje imię. To przezwisko jakie mi nadał. Po łobuzerskim uśmieszku rozciągającym mu usta wnioskuje, że znów przyłapał mnie na gapieniu się i ma z tego ubaw.

Odchrząkuję i zmuszam się, by powiedzieć:

– Tak. Wybrałam wyłącznie ściśle przedmioty. Wszystkie, prócz jednego. – Zajęć z angielskiego. Są niepraktyczne i bezużyteczne dla mojej medycznej kariery, ale spełniają „sugestię” doktora Staynera, by zapisać się na jedne, które będą mi zupełnie niepotrzebne.

– Niech zgadnę, chcesz później iść na medycynę?

Przytakuję i się uśmiecham.

– Na pediatrię. I onkologię. – W przeciwieństwie do wielu uczniów, którzy mocno zastanawiają się, co chcieliby robić w życiu, ja to wiem. Wiem, odkąd moja przyjaciółka Sara Dawson umarła na białaczkę. Miałam dziewięć lat. Decyzję podjęłam dość łatwo. Płakałam i pytałam tatę, co mogłabym zrobić, a on z delikatnym uśmiechem zapewniał mnie, że na stan Sary nic nie mogłam poradzić, ale, że gdy dorosnę, mogę zostać lekarzem i pomagać innym dzieciom. Ratowanie dzieci brzmiało jak szlachetne zajęcie. Cel, którego nigdy nie podałam w wątpliwość ani nie zachwiałam się w dążeniu do niego.

Jednak grymas malujący się na twarzy Ashtona wskazuje, że powiedziałam mu, iż moim marzeniem jest praca w oczyszczalni ścieków.

Następuje chwila ciszy, po czym raptowna zmiana tematu.

– Słuchaj, odnośnie tego, co się stało w sobotę...

Moglibyśmy udawać, że to się nigdy nie wydarzyło? – pyta, wsuwając ręce w kieszenie.

Szczęka mi opada, gdy w umyśle przetwarzam jego słowa.

Słowa, które sama układałam w głowie od trzech dni. Czy potrafię to zrobić? Chciałabym. O wiele łatwiej byłoby wcisnąć guzik wymazywania i usunąć wszystkie te wspomnienia, od których nadal się rumienię i skupić się na... wszystkim innym.

– Pewnie – mówię z uśmiechem. – Cóż... o ile uda nam się zmusić moją siostrę i Reagan do tego samego.

Ashton unosi rękę i drapie się po karku, przez co koszulka napina mu się na klatce piersiowej, uwydatniając jego mięśnie. Dotykałam ich.

– No tak, ale będąc daleko stąd, twoja siostra chyba nie narobi kłopotów.

– Nie, nie narobi – zgadzam się. *Tylko może wysłać mi zdjęcia grubego, tysego faceta trzymającego nad twoim tyłkiem pistolet do tatuowania, jak to zrobiła wczoraj.* Szybko je usunęłam, ale mogę się założyć, że Kacey wyśle mi jeszcze kilka.

– A Reagan nie piśnie słowa – mówi Ashton. Opuszcza rękę i patrzy w dal, mrużąc pod nosem: – Jest w tym dobra.

– W porządku, świetnie, cóż... – Być może uda mi się zapomnieć o tym i znów być sobą. Livie Cleary. Przyszłą panią doktor. Grzeczną dziewczynką.

Ashton ponownie patrzy mi w oczy, po czym jego spojrzenie na sekundę opada do moich ust, prawdopodobnie dlatego, że tak mocno przygryzam dolną wargę, że zaraz ją sobie odgryzę. Czuję, że powinnam powiedzieć coś więcej.

– I tak ledwie to pamiętam, więc... – mówię lekko, pozwalając sobie na kłamstwo, zawierające w sobie tyle chłodu, że nawet mnie to zaskakuje. I zadziwia.

Ashton przechyla głowę na bok i ponownie mi się przygląda, jakby nad czymś intensywnie myślał. Po czym uśmiech rozciąga mu usta.

– Żadna dziewczyna nigdy mi tego nie powiedziała.

Niewielki uśmiezek unosi mi kąciki ust, gdy patrzę w dół, przyglądając się jego tenisówkom, czując, jakbym w końcu zdobyła przewagę. Livie – jeden, upokarzające rozmowy – milion.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. – Niski śmiech

przykuwa moją uwagę, więc unoszę głowę, aby spojrzeć w jego błyszczące oczy. Kręci głową, jakby śmiał się z jakiegoś żartu.

– Co?

– Nic. Tylko... – Następuje chwila ciszy, jakby się zastanawiał, czy wypada mu powiedzieć. W końcu decyduje się to zrobić, okraszając moje upokorzenie swoim zawadiackim uśmiechem. – Tamtej nocy było wiele twoich pierwszych razów, co Irlandko? Nie zapominałaś mnie przy każdym informować.

Nie potrafię powstrzymać zduszonego westchnienia, jakbym umierała. Co może mieć miejsce, ponieważ serce przestało mi bić. Nie wiem, czy rozluźniłam chwyt, czy wyciągnęłam rękę, by nakryć usta, ale nagle książki lecą ku ziemi i kończą rozrzucone na trawie. Tuż obok ostatniego kawałka mojej godności.

Zbieram książki i próbuję przekopać własny umysł. Chodzi o to, że praktycznie nie pamiętam rozmów z Ashtonem, a już z pewnością nie pamiętam, bym mówiła mu o moich pierwszych...

Nagle głupia szufladka otwiera się w mojej głowie na tyle, by prześlizgnęło się kolejne wspomnienie. Czuję za plecami ceglany mur, przed sobą mam Ashtona, owijam nogi wokół jego pasa, a on na mnie napiera. Wtedy szepczę mu do ucha, że nigdy wcześniej się tak nie czułam, i że jest twardszy, niż myślałam, że będzie...

– O mój Boże – jęczę, trzymając się za brzuch. Jestem pewna, że zwymiotuję. Zaraz stanę się rzygaczem-ekshibicjonistą.

Moje serce znów zaczyna bić – teraz to właściwie wali jak młotem – kiedy uderza we mnie nowy poziom zmartwienia. Zabrzmiałam jak aktorka z tego okropnego filmu od Bena, do którego oglądania w lecie zmusiła mnie Kacey. Dosłownie. Przypadkowo weszłam, gdy te dziwadła oglądały to w nocy. Kacey zwietrzyła w tym sposobność, by przyszpilić mnie do kanapy, kiedy Trent, Dan i Ben zanosili się śmiechem z powodu moich płonących policzków i okrzyków przerażenia.

Moja siostra jest antychrystem. To wszystko jej wina. Ona i Stayner. I te głupie galaretkowe shoty. I...

– Irlandko! – Podrywam głowę z powodu podniesionego głosu Ashtona. Chwilę trwa, nim uświadamiam sobie, że kuca

przede mną, trzymając w dłoni książkę i podając mi ją z zaciekawieniem malującym się na twarzy. Zaraz też łapie mnie za łokieć i podciąga, bym stanęła. – Masz wiele na głowie, prawda? – zastanawia się, nadal podając mi książkę.

Nie jestem pewna, co powiedzieć, więc się nie odzywam. Na chwilę, zabieram od niego książkę i mówię cicho:

– Sobotnią noc uważa się za zapomnianą.

– Dzięki, Irlandko. – Pociera czoło. – Nie chciałbym, żeby się to rozniosło. Żałuję, że to się stało. To znaczy... – Kuli się, patrząc na mnie, jak gdyby wpadł na mnie i sprawdzał, czy nic mi się nie stało. Słyszę ciche westchnienie, gdy cofa się o krok. – Do zobaczenia.

Obdarowuję go lekkim skinieniem głowy i napiętym uśmiechem, chociaż w duszy krzyczę: „Twoje cholerne niedoczekanie!”.

* * *

– Szlag – mamroczę pod nosem, przychodząc na miejsce zbiórki wycieczki po kampusie spóźniona dziesięć minut. Rozglądam się, ale nigdzie nie widzę zwiedzającej grupy. Już poszli poznawać historię tej znakomitej uczelni, a ja utknęłam, w kółko odtwarzając w głowie rozmowę z Ashtonem. Za każdym razem te słowa – jego słowa – tkwią w moich myślach.

Żałuję, że to się stało.

Żał mu, że mnie spotkał. Ten żigolak żałuje, że się ze mną bawił. To wystarczyło, aby mnie znalazł i poprosił o trzymanie buzi na kłódkę. Nawet poczuł się źle, gdy mi o tym powiedział. Właśnie dlatego się skulił.

Mnie żał tylko z jednego powodu. To znaczy, dlatego że zrobiłam coś głupiego i kompletnie do mnie niepodobnego. Oddałam całą furę pierwszych razów facetowi, którego praktycznie nie znam. Który zapewne po pijanemu ma zaliczone sto jednorazowych numerków, o wiele dalej posuniętych niż to, co stało się między nami.

I któremu żał, że mnie poznał.

Siadam na schodach i mimowolnie gapię się na swoje ręce. Każda racjonalna cząstka w moim ciele mówi, żebym przestała o tym myśleć, jednak nie potrafię. Przełykam ślinę kilka razy, ale suchość w gardle nie ustępuje, gdy myślę o wszystkich powodach, dla których Ashton żałuje. Czy uważa, że jestem nieatrakcyjna? Czy w sobotę rano po przebudzenia miał ten „poranek kojota”, o którym mówiła Kacey? Wiem, że musiałam strasznie wyglądać, z włosami jakby piorun strzelił w kępę szczypioru, przekrwionymi oczami i oddechem tak śmierdzącym, że wiedły od niego kwiatki.

A może to „poziom moich umiejętności”? Wiem, że nie mam doświadczenia, ale... byłam aż tak kiepska?

Jestem tak pochłonięta uspokajaniem własnego ego, że gdy słyszę męski głos mówiący „przepraszam”, licząc na to, że zwraca się do kogoś innego, kompletnie go ignoruję, nie unosząc spojrzenia. Jednak kolejne słowa – może nie tyle same słowa, co sposób, w jaki zostały wypowiedziane – sprawiają, że unoszę głowę, szukając osoby, która się odezwała.

– Dobrze się czujesz?

Wiem, że mam otwartą buzię, gdy obserwuję chłopaka siadającego obok mnie na schodach, jednak mam to gdzieś. Kiwam tylko głową i gapię się na głęboką zieleń jego oczu i miły uśmiech.

– Jesteś pewna? – pyta, cicho chichocząc. Ten dźwięk jest równie ciepły jak jego uśmiech.

– Pochodzisz z Irlandii? – wypalam, nim potrafię się powstrzymać. Zamykam oczy i próbuję wyjaśnić, o co mi chodzi: – To znaczy... Chodzi mi o to... Masz akcent... Brzmisz, jakbyś pochodził z Irlandii. – *A ty brzmisz jak kretynka, Livie.*

– Na imię mi Connor – odpowiada. – I tak, pochodzę stamtąd. Właściwie jestem z...

– Dublina – przerywam mu, gdy wybucha we mnie ekscytacja.

Przytakuje rozpromieniony, a ja się cieszę.

– Przeniosłem się do Ameryki, gdy miałem dwanaście lat.

Uśmiecham się jeszcze szerzej. Nic nie mogę na to poradzić.

Muszę wyglądać jak idiotka.

– A ty masz jakieś imię? A może powinienem nazywać cię Śmieszka?

– A tak, racja. – Zaciskam wargi, by odzyskać kontrolę nad własną twarzą, po czym wyciągam rękę. – Livie Cleary.

Unosi brwi, potrząsając moją dłonią. To ciepły, silny i pełen bezpieczeństwa uścisk.

– Mój tata dorastał w Dublinie. Twój akcent... Po prostu brzmi jak on.

Ojciec przeprowadził się do Stanów, gdy miał trzynaście lat, więc stracił w większości akcent, ale pozostały ślady, barwiąc wdziękiem jego słowa. Dokładnie jak słowa Connora.

– Masz na myśli to, że twój tata jest czarujący i równie mądry?

Śmieję się, po czym moje spojrzenie opada na chwilę, bo gryzę się w język, by natychmiast nie sprostować, że tata był uroczy i mądry. Dwie minuty rozmowy nie są wystarczające, by wyciągać sprawę moich nieżyjących rodziców.

Następuje chwila ciszy, po czym Connor pyta:

– Dlaczego siedzisz samotnie na tych schodach, panienko Cleary?

Lekceważąco macham dłonią.

– Och, miałam zwiedzać kampus z grupą, ale się spóźniłam. Nie zdążyłam, bo... – Moje myśli uciekają ku poprzedniej rozmowie, zabierając ze sobą część spokoju. – Dupek – mamrocze pod nosem z roztargnieniem.

Connor pośpiesznie rozgląda się wokół, po czym z uśmiechem pyta.

– Czy ten dupek nadal jest gdzieś blisko?

Czuję, że robię się czerwona jak burak.

– Nie miałaś tego usłyszeć. – Od tygodnia, w którym doktor Stayner kazał mi wypowiadać różnorakie przekleństwa, a które wybierała moja siostra, każde zdanie wychodzące z moich ust zawiera bardziej kolorowe niż do tej pory słownictwo. Zwłaszcza kiedy jestem podekscytowana lub zdenerwowana, a teraz orientuję

się, że wrze we mnie i jedno, i drugie. – I nie, mam nadzieję, że jest daleko stąd. – Mocno zajęty z dziewczyną, której towarzystwa nie będzie żałował.

– Cóż... – Connor wstaje i wyciąga do mnie rękę. – ... wątpię, czy moja wycieczka będzie tak samo bogata w informacje, ale uczę się tu od trzech lat, więc, jeśli jesteś zainteresowana, zapraszam. – Nie waham się, łapiąc jego dłoń. W tej chwili nie ma innej rzeczy, którą chciałabym robić niż spacer po kampusie Princeton z Connorem z Dublina.

* * *

Okazuje się, że Connor z Dublina zaskakująco mało wie o historii Princeton. Mimo to nadrabia, opowiadając żenujące historyjki z własnego życia. Brzuch boli mnie od śmiechu, kiedy docieramy do ustronnego, wyglądającego na średniowieczny, dziedzińca pod moim akademikiem, o którego istnieniu nie miałam pojęcia, a z odkrycia którego się cieszę, ponieważ będę się mogła tu uczyć w spokoju.

– ...i następnego ranka znaleźli tutaj mojego współlokatora tylko w czarnych skarpetkach – mówi Connor, z uśmiechem na twarzy wskazując na drewnianą ławkę.

Gdzieś między miejscem naszego spotkania a tym podwórkiem, zaczęłam zauważać, jak atrakcyjny jest Connor. Od razu tego nie dostrzegłam, ale chyba tylko dlatego, że byłam rozbita z powodu wcześniejszego spotkania z Ashtonem. Connor jest wysoki, ma włosy w kolorze piaskowym – krótko przycięte, ale ułożone – i gładką, opaloną skórę. Jest szczupły, ale po sposobie w jaki układają się spodnie koloru khaki, gdy idzie, i zapinana koszula na jego szerokich ramionach, wnioskuję, że jest wysportowany. Właściwie jest facetem, z jakim zawsze wyobrażałam sobie, że spaceruję po uczelnianym kampusie.

Myślę jednak, że do Connora przyciąga mnie jego uśmiech. Jest szczery i szeroki. Nic się za nim nie kryje, nie jest sztuczny.

– Jak zaliczasz zajęcia? Brzmi, jakbyś cały czas imprezował – pytam, opierając się o ławkę i przyciągając do siebie kolano.

– Nie tak bardzo, jak chcieliby tego moi współlokatorzy. – Słyszę jego śmiech i ucieka mi westchnienie. – Imprezy zaczynają się, gdy rozpoczynają się zajęcia i trwają do egzaminów. Oni robią, co chcą, ale ja chciałbym wrócić do domu z dyplomem, a nie z uszkodzoną wątrobą i jakąś chorobą weneryczną.

Unoszę głowę zaskoczona.

– Przepraszam. – Policzki nieco mu różowieją, ale zaraz szybko pojawia się na twarzy uśmiech. – Nadal jestem lekko na nich wkurzony. W sobotę urządzili imprezę z togami. Ciągle sprzątam dom.

Natychmiast się spinam. Imprezę z togami? Tę samą, na której byłam i poznałam na niej Ashtona? Przetykam ślinę, nim udaje mi się wyszeptać:

– Gdzie mówiłeś, że mieszkasz? – Nie mam pojęcia, gdzie była impreza, więc poznanie adresu nie sprawi mi różnicy. Różnicę zrobi fakt, że Connor był świadkiem mojego show.

Powoli zaczyna patrzeć na mnie z ciekawością.

– Poza kampusem, z kilkoma chłopakami.

Poza kampusem. To właśnie powiedziała Reagan, gdy wybierałyśmy się na imprezę w sobotni wieczór. Może tamtej nocy było więcej przyjęć, których tematem przewodnim była toga?

– Ach tak? – Staram się brzmieć lekko i spokojnie. Zamiast tego słyszę, jakby ktoś chciał wydusić ze mnie życie. – Byłam na takiej imprezie w sobotę.

Connor się uśmiecha.

– Doprawdy? To musiało być u mnie. Niewielu ludzi organizuje przyjęcia z togami – mruży, przewracając oczami. – To musiał być pomysł Granta. Jest taki tandetny. Dobrze się bawiłaś?

– Och, tak. – Obserwuję go kątem oka. – A ty?

– Byłem na ślubie kuzyna w Rochester – mówi i kiwa głową. – Trochę do bani, że to był ten sam weekend, ale moja rodzina to... moja rodzina. Mama zabiłaby mnie, gdybym nie przyjechał.

Wzdycham boleśnie, ponieważ nie chcę, żeby stało się oczywiste, iż cieszę się z tego, że nie było tam Connora. Chociaż gdyby był, prawdopodobnie byśmy teraz nie rozmawiali.

– Chociaż słyszałem, że było dość dziko. Wpadła policja.
– Tak, było kilka pijanych osób... – mówię wolno, po czym chcąc rozpaczliwie zmienić temat, pytam: – Jaki wybrałeś kierunek?

– Politykę. Przygotowuję się, by iść na prawo. – Patrzy na mnie uważnie, gdy to mówi. – Jeśli dobrze mi pójdzie, mam nadzieję, że za rok dostanę się na Yale albo Stanford.

– Fajnie – to wszystko co mówię. A potem łapię się na gapieniu w te zielone oczy i uśmiechaniu się.

– A ty? Jakies pomysły na główny kierunek?

– Biologia molekularna. Mam nadzieję, że dostanę się na medycynę.

Connor w niepodobny do siebie sposób marszczy brwi.

– Wiesz, że możesz startować na medycynę nawet, wybierając kierunek humanistyczny, prawda?

– Wiem, ale przedmioty ściśle są dla mnie łatwe.

– Aha. – Spojrzenie Connora taksuje mnie z zaciekawieniem.

– Piękna i mądra. Zabójcza kombinacja.

Opuszczam głowę, bo policzki mam czerwone jak cegła.

– Cóż, jesteśmy na miejscu. – Gestem wskazuje wejście do akademika. – Piękny budynek, prawda?

Przechylam głowę na bok i podziwiam gotycką architekturę. Normalnie bym przytaknęła. Ale teraz czuję się rozczarowana, ponieważ oznacza to, że moja wycieczka i mój czas z uśmiechniętym Connorem dobiega końca, a ja nie jestem na to gotowa.

Patrzę, jak opiera się, wkładając ręce w kieszenie.

– Miło było cię poznać, Livie z Miami.

– Nawzajem, Connorze z Dublina.

Przez kilka niezręcznych sekund kopie jakiś kamyk, po czym wstaje i mi się przygląda. Następnie z niewielkim wahaniem pyta:

– W sobotę mamy w domu niewielką imprezę, gdybyś była zainteresowana, zapraszam. Jeśli chcesz, możesz przyprowadzić tę zwariowaną współlokatorkę, o której opowiadałaś.

Przechylam głowę na bok, zaciskam usta, po czym mówię:

– Ale mówiłeś, że imprezy zaczynają się, gdy rozpoczynają się zajęcia.

Jego spojrzenie skupia się na mojej twarzy i dostrzegam w nim błysk.

– No, chyba że to wymówka, by zaprosić piękną dziewczynę.
– Po czym rumieniec oblewa jego policzki, więc Connor kieruje spojrzenie na buty.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że nie tylko dobrze wygląda, ale jest tak czarujący, jak tylko może być. Nie wiedząc za bardzo, jak odpowiedzieć, po prostu mówię:

– Do zobaczenia w sobotę.

– Super. Powiedzmy o ósmej? – Podaje mi nazwę ulicy i numer domu, po czym z ostatnim szerokim uśmiechem odchodzi szybkim marszem, jakby gdzieś się spieszył. Opieram się i patrzę, jak idzie, zastanawiając się, czy zaprosił mnie tylko dlatego, że chciał być miły. Następnie, gdy dochodzi do rogu budynku, zwalnia i obraca się, by spojrzeć w moim kierunku. Dostrzegając, że nadal mu się przyglądam, posyła mi buziaka, po czym znika.

Muszę zacisnąć zęby, by nie szczerzyć się jak kretynka.

Ten dzień zdecydowanie jest na plus.

ROZDZIAŁ PIĄTY

DIAGNOZA

Podczas gdy ja próbowałam zaliczyć jak najwięcej wydarzeń zorganizowanych przez Princeton, zanurzając się w jego duchu i kulturze, Reagan postanowiła zanurzyć się w tylu wydarzeniach z wódką i piwem w tle, ile tylko potrafiła znaleźć. I postanowiła, że muszę zanurzyć się wraz z nią. A ponieważ chciałam dobrze żyć z moją żywiołową współlokatorką, skończyłam chodząc na codzienne wieczorne imprezy w akademiku, rano natomiast przez cały tydzień ciężko było mi wstać. Ponadto liczyłam, że spotkam Connora. Gdzieś w podświadomości obawiałam się wpaść na Ashtona, mimo wszystko jednak nadzieja wygrała ze strachem.

Niestety, Connora nigdzie nie spotkałam. Nie spotkałam też Ashtona. Chociaż poznałam kilku pierwszaków, wliczając w to Koreankę imieniem Sun, która okazała się być tak samo nowa w imprezowaniu jak ja, więc w czwartkowy wieczór przykleiła się do mnie.

Szczerze mówiąc, nie wiem, jak Reagan zamierza przetrwać ciężkie zajęcia. Ułożyła książki w stosik na biurku, ale ich nie rozpakowała. Nawet nie ściągnęła z nich folii. Zaczynam wierzyć, że nie jest uczniem, tylko kimś wysłanym do mnie przez Kacey i doktora Staynera. Mogę ich sobie nawet wyobrazić spiskujących podczas układania planu. Mimo to, studentka czy nie, cieszę się, że Reagan została moją współlokatorką. Oprócz chwil, gdy patrzy na mnie jak głodny szczeniak, błagając, bym z nią piła.

* * *

Budzi mnie natarczywe pukanie do drzwi.
– Dobij mnie – mruczy Reagan.
– Dobiję, ale mogłabyś najpierw otworzyć? – mamroczę, unosząc głowę z poduszki, zrzucając sobie na twarz podręcznik z

wyjatkowo ostrymi brzegami. Wczoraj w nocy udało mi się wymknąć z imprezy odbywającej się dwa piętra wyżej, by przyjść tutaj i trochę poczytać. Ostatni raz, gdy patrzyłam na zegarek, była trzecia w nocy. Teraz jest siódma rano. – To na pewno ktoś do ciebie, Reagan. Ja nikogo tu nie znam. – Uświadamiam to sobie i mocniej zwijam się w kulkę.

– Bądź cicho... Może ten ktoś sobie pójdzie – szepcze. Ale ktoś nie odchodzi. Pukanie rozbrzmiewa z nową siłą, a ja zaczynam się martwić, że nasz gość obudzi połowę piętra. Gdy unoszę się na łokciach gotowa, by zeskoczyć z górnego łóżka i otworzyć, słyszę jęk Reagan, kiedy ta gramoli się z pościeli. Człapie do drzwi. Otwiera je, klnąc pod nosem coś o szatanie.

– Pobudka, śpiochy!

Podrywam się tak szybko, że pokój zaczyna wirować.

– Co pan tu robi? – pytam piskliwym głosem, gdy elegancki mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze wchodzi do pokoju. Nie widziałam doktora Staynera przeszło dwa i pół roku. Na pierwszy rzut oka wygląda tak samo, może ma nieco więcej siwych włosów, których w ogóle ma mniej.

Wzrusza ramionami.

– Jest sobota. Mówiłem ci, że będziemy rozmawiać.

– No tak, ale przyjechał pan do mnie. I jest siódma rano!

Doktor z dezaprobatą patrzy na zegarek.

– Naprawdę jest tak wcześnie? – Po czym wzrusza ramionami, wyrzuca ręce w górę, a jego oczy błyszczą z powodu ekscytacji. – Co za piękny dzień! – Tak szybko jak podniósł ręce, tak szybko je opuszcza i mówi spokojnym głosem: – Ubieraj się. Mam w mieście konferencję, na której muszę być w południe. Za pół godziny widzimy się na dole w holu.

Nim wychodzi, przygląda się rozczochranej, ale zaciekawionej Reagan, ubranej w podkoszulek i spodnie od piżamy. Wyciąga do niej rękę.

– Cześć, jestem doktor Stayner.

Potrząsa jego dłonią, ma zmęczony wyraz twarzy.

– Cześć, jestem Reagan.

– Ach, tak. Współlokatorka. Wiele słyszałem.
Od kogo? Przecież nie rozmawiałam z nim odkąd...
Wzdycham. Moja nieoceniona siostrzyczka. Oczywiście.
– Dopilnuj proszę, żeby Livie stała się towarzyska, dobrze?
Ma tendencję do zbytniego koncentrowania się na szkole. Tylko trzymaj ją z dala od galaretkowych shotów. – Nie czekając na jej reakcję, wychodzi tak żwawo, jak wszedł, pozostawiając moją współlokatorkę gapiącą się na mnie.
– Kto to był?
Od czego mam zacząć? Kręcę głową, przerzucam nogi za krawędź łóżka i mamroczę:
– Nie mam czasu, by ci teraz wyjaśnić.
– No dobra... ale to lekarz? To znaczy...? – waha się. – Twój lekarz?
– Wygląda na to, że na dobre i złe. – Niczego bardziej nie chcę, niż naciągnąć kołdrę na głowę na kilka godzin, ale wiem, że jeśli za pół godziny nie zejdem na dół, doktor przemaszeruje korytarzem, wołając moje imię, ile będzie miał pary w płucach.
– Jakiej specjalizacji to lekarz? To znaczy... – Reagan zawija kosmyk długich włosów na palec. Nerwowa Reagan to rzadkość.
Otwieram usta, by odpowiedzieć, ale wpada mi do głowy psotny pomysł. Nadal ma u mnie dług za kieliszek wódki, który mi wczoraj niemal siłą wlała do gardła... Zaciskając wargi, aby ukryć uśmiech, przekopuję się przez komodę, szukając pary spodni i koszulki, po czym mówię spokojnie:
– Och, jego specjalnością jest schizofrenia.
Następuje długa chwila ciszy. Nie muszę patrzeć, by wiedzieć, że opada jej szczęka.
– Och... no cóż... istnieje coś, czym powinnam się martwić?
Łapię kosmetyczkę i podchodzę do drzwi, ale przystaję z ręką na klamce, spoglądając na nią jakby w głębokim zamyśleniu.
– Nie sędzę. No, chyba że zacznę... – Macham ręką lekceważąco. – A nieważne. To się pewnie nigdy nie stanie. Po czym po cichu zamykam drzwi. Dwa metry dalej zaczynam się śmiać wystarczająco głośno, by z sąsiedniego pokoju ktoś jęknął

„Cisza!”.

– Zapłacisz mi za to, Livie! – Przez zamknięte drzwi słyszę, jak Reagan krzyczy, po czym sama zaczyna się śmiać.

Czasami służy mi poczucie humoru.

* * *

– Wiedziałem, że tamta wiadomość była od Kacey – mówi doktor Stayner, po czym wychyla ostatni łyk kawy z największego kubka, jaki w życiu widziałam. Swojej kawie pozwoliłam wystygnać, ponieważ doktor Stayner postanowił wyciągnąć ode mnie każdy, nawet najmniejszy, żenujący szczegół mojego pierwszego tygodnia na studiach.

Doktor jest gadułą. Pamiętam, że na początku Kacey bardzo na to narzekała. Moja siostra była wtedy załamana. Odmawiała rozmowy – o wypadku, o stracie, o złamanym sercu. Jednak w końcu intensywny program doktora Staynera wyciągnął z niej każdy drobny szczegół i dzięki temu pomógł jej wyzdrowieć.

Ostrzegła mnie też przed tym, ale wtedy zaczęły się telefony. *Livie, po prostu powiedz mu, co chce wiedzieć. I tak to z siebie wyciągnie, więc ułatw to sobie i od razu mu powiedz. On i tak już pewnie wszystko wie. Uważam, że używa mentalnych sztuczek Jedi.*

W ciągu trzech miesięcy trwania nie-terapii, nigdy nie miałam trudności w rozmowie z doktorem Staynerem, nic nie było dla mnie zbyt bolesne, zbyt tragiczne, czy zbyt trudne. Fakt, prosił mnie o robienie rzeczy, od których nadal mam palpacje, jak skok na bungee czy oglądanie maratonu *Piły*, po czym przez wiele tygodni miałam koszmary. Jednak nasze właściwe rozmowy – o mamie i tacie, o tym, co pamiętam z dzieciństwa, nawet o wujku Raymondzie i wyjeździe z Michigan – nigdy nie były dla mnie trudne i problematyczne. Właściwie większość z nich była przyjemna.

Mimo to, mówienie przez dwie godziny o moim pijackim wyskoku i wszystkim, co się później stało, sprawia, że czuję się wypruta z emocji, a twarz pali mnie żywym ogniem. Wiedziałam,

że będzie pytał o tamtą, sobotnią noc. Planowałam opuścić najbardziej upokarzające momenty, ale doktor Stayner i tak znalazł sposób, by wyciągnąć każdy detal.

– Daleko zaszłaś w ciągu tych kilku naszych wspólnych miesięcy, Livie.

– Nie bardzo – sprzeciwiam się.

– Na miłość boską, przecież idziesz dzisiaj z chłopcem na randkę!

– To właściwie nie jest randka. To bardziej jak...

Doktor przerywa mi lakonicznym machnięciem ręki.

– Trzy miesiące temu bez zastanowienia walnęłabyś tego chłopca książką.

– Chyba tak. – Zakładam za ucho kosmyk włosów, który wiatr przywiał mi na twarz. – Albo padłabym zemdlona na ziemię.

Doktor Stayner prychnął.

– Dokładnie.

Następuje chwila ciszy, w której zerkam na niego z ukosa.

– Czy to znaczy, że moja terapia dobiegła końca? No proszę na mnie spojrzeć. Praktycznie stałam się ekshibicjonistką. A jeśli wkrótce nie skończę z imprezowaniem, będzie pan musiał zapisać mnie na odwyk.

Doktor Stayner wybucha głośnym śmiechem. Kiedy przestaje rechotać, przez długą chwilę wpatruje się w kubek, palcem wodząc po jego krawędzi.

Zaczynam się denerwować. Doktor Stayner rzadko tak długo nic nie mówi.

– Mam zamiar pozwolić ci żyć uczelnianym życiem, jakiego potrzebujesz – przyznaje cicho. – Nie muszę ci mówić, co masz robić, czy jak się bawić. Te decyzje musisz podejmować samodzielnie.

Z westchnieniem ulgi opieram się o ławkę, ogarnia mnie dziwny spokój. Doktor Stayner bardzo szybko znalazł się w moim życiu, a teraz szybko z niego znika.

– Wydaje mi się, że Kacey nie miała racji – mówię bardziej do siebie, a kiedy to sobie uświadamiam, z ramion spada mi ciężar,

którego nie byłam świadoma.

Znów słyszę śmiech.

– Ach, twoja siostra... – przerywa, gdy obok przejeżdża grupa rowerzystów. – Gdy Kacey pierwszy raz zgodziła się na moją opiekę, zastanawiałem się nad tobą, Livie. Naprawdę. Zastanawiałem się, jakim cudem radzisz sobie tak dobrze, mając wszystko pod kontrolą. Ale miałem pełne ręce roboty z Kacey i Trentem, a ty wydawałaś się prosto podążać swoją wyznaczoną ścieżką. Nawet, gdy na wiosnę Kacey przedstawiła mi swoje obawy, byłem sceptyczny. – Ściąga okulary i przeciera oczy. – To ludzie tacy jak twoja siostra, wyraźnie rozbici, sprawiają, że moja praca jest łatwa.

Marszczę brwi z powodu jego dziwnych słów.

– Ale ja nie jestem jak ona, prawda? – Słyszę drżenie we własnym głosie.

Doktor Stayner kręci głową. Ten gest mówi mi więcej niż słowa.

– O nie, Livie. Jesteś podobna do niej w bardzo wielu aspektach, ale inaczej przeżywasz tragedię.

– Naprawdę? Zawsze myślałam, że jesteśmy swoimi przeciwieństwami.

Doktor się śmieje.

– Obie jesteście uparte jak osły i bystre jak górski potok. Oczywiście twój dowcip jest dużo bardziej subtelny niż jej. Twoja siostra swój temperament nosi na wierzchu, a ty... – Zaciska usta. – Ty parę razy zaskoczyłaś mnie swoimi wybuchami, Livie. A mnie nie łatwo zaskoczyć.

Gdy rozważam jego słowa, obserwuję tych samych rowerzystów, jak zmierzają inną dróżką, a niewielki uśmiech unosi kąciki moich ust. Nikt wcześniej w taki sposób nie porównywał mnie do siostry. Ja zawsze byłam tą uczącą się i odpowiedzialną. Godną zaufania. Ostrożną, spokojną i zrównoważoną. Moja siostra jest jak petarda. Czego jej w skrytości ducha zazdrościłam.

I myślę o zeszłym lecie, o rzeczach jakie zrobiłam, a które według mnie nie były możliwe i o innych, których zrobienia w

ogóle nie rozważałam. Kacey często pomagała mi w działaniu, chętnie upokarzając się wraz ze mną.

– To lato było ciekawe – przyznaję z uśmiechem. Unoszę głowę, patrzę na siwiejącego doktora i zadaję mu pytanie, jakiego nie zadałam wcześniej, licząc na to, że teraz odpowie: – Dlaczego kazał mi pan robić te wszystkie szalone rzeczy? O co właściwie chodziło?

Doktor wydyma wargi, jakby rozważając, jak mi odpowiedzieć.

– Uwierzyłabyś mi, gdybym powiedział, że wyłącznie o moją rozrywkę?

– Może – odpowiadam zgodnie z prawdą, zarabiając od niego uśmiech. – To znaczy rozumiem szybkie randki, ale nie wiem, jak miało mi pomóc tańczenie w klubie country czy przeklinanie. Właściwie uważam, że odniosło to wręcz przeciwny skutek. No wie pan... to spowodowało powstanie u mnie psychologicznych blizn.

Doktor Stayner ma sceptyczną minę.

– W jaki sposób tańczenie miało uszkodzić ci psychikę?

Unoszę brwi.

– Był pan kiedyś w jednym z tych miejsc? Z moją siostrą?

Przewraca oczami.

– Och, przesadzasz. Nie mogło być takie...

– Miała mikrofon! – podnoszę głos. – Zaaranżowała aukcję, by sprzedać mnie na randkę. – Dzięki Bogu była tam też Storm i zapanowała nad Kacey... Unoszę dłonie, gdy przypominam sobie o najlepszej części. – O, a potem dołała mi alkoholu do soku. – Doktor Stayner chichocze, a ja kręcę głową. – Oczywiście zaraz to wykryłam. Inaczej kto wie, co by się stało. – Opieram się o ławkę i mamrocę pod nosem: – Pewnie wyszłabym stamtąd z kowbojem, mechanicznym bykiem czy czymś takim. Być może doczekałabym się wypalenia na tyłku znamienia...

Doktor opiera się, zanosząc się śmiechem, a po chwili, nie mogąc się opanować, ja też się śmieję.

– Och, Livie – mówi, ściągając okulary, by otrzeć łzy z oczu.

– Przecież nigdy cię o to nie prosiłem. W każdym zadaniu chodziło o to, by uwolnić twój entuzjazm. – Patrzy na mnie ze zdziwieniem, nadal słysząc śmiech w jego głosie. – Czekałem, żebyś posłała mnie do diabła, ale nadal odbierałaś telefon, wykonując każde moje szalone polecenie i to bardzo dokładnie!

Przechylałam głowę na bok, gdy o tym myślę.

– Wiedział pan, że to było szaleństwo?

– A ty nie? – Kręci głową, po czym na jego twarzy maluje się smutny uśmiech. – Przez lato wiele się nauczyłem na twój temat, Livie. Pomiędzy twoimi polowaniami na dzikie gęsi a naszymi pogawędkami. Właśnie o to chodziło. O zbieranie informacji. – Milknie na chwilę i pociera policzek. – Livie, jesteś najbardziej dobroduszną osobą, jaką kiedykolwiek poznałem. Silnie reagujesz na ludzką krzywdę. Tak jakbyś absorbowała czyjś ból. Pomijając twoją ekstremalną nieśmiałość, zrobisz wszystko, by nie zawieść. Nie lubisz zawałać egzaminów i z pewnością nie lubisz zawodzić ludzi. Szczególnie tych, na których ci zależy i których szanujesz. – Kładzie rękę na sercu i pochyla głowę. – Jestem naprawdę wzruszony.

Pochylałam głowę, bo oblewa mnie rumieniec.

– Dowiedziałem się też, że, podczas gdy jesteś otwarta na ludzi i akceptujesz ich błędy, jesteś wyjątkowo wymagająca w stosunku do siebie. Sądzę, że gdybyś zrobiła coś źle, rozchorowałabyś się fizycznie. – Przez moment doktor stuka palcami o swój podbródek. – A jeśli chodzi o moje największe odkrycie? Powód, dla którego chciałem dzisiaj porozmawiać z tobą osobiście... – Wzdycha. – Wydaje się, że twoim życiem rządzi plan. Jest zakorzeniony w twojej codziennej rutynie. Jest dla ciebie niemal jak religia. Dyktował wybory, jakich do tej pory dokonałaś, a także te, które założyłaś na przyszłość. Nie podajesz go w wątpliwość, nie testujesz jego granic. Po prostu go wykonujesz. – Wodzi palcem po krawędzi kubka, kontynuując powolną tyradę: – Uważam, że rodzice pomogli stworzyć plan, którego się trzymasz, tak jakbyś trzymała się ich. – Przerywa na chwilę, po czym jego głos staje się delikatniejszy: – Myślę też, że

to tłumii twój rozwój jako odrębnej osoby.

Wielokrotnie mrugam, starając się zrozumieć, jak ta rozmowa przeskoczyła z mechanicznego byka na mój tłumiony rozwój.

– O czym pan mówi? – pytam napiętym głosem. Czy to diagnoza? Czy doktor Stayner postawił mi właśnie diagnozę?

– Mówię, Livie... – milknie, otwiera usta, by coś powiedzieć, ma zamyślony wyraz twarzy. – Mówię, że nadszedł dla ciebie czas, byś dowiedziała się, kim naprawdę jesteś.

Mogę wyłącznie gapić się na mężczyznę siedzącego przede mną. Kim jestem? O czym on bredzi? Wiem, kim jestem. Jestem Livie Cleary, córka Milesa i Jane Cleary. Dojrzała i odpowiedzialna córka, przykładna uczennica, kochająca siostra, przyszła lekarka, miła i troskliwa osoba.

– Ale ja... – Walczę, by znaleźć właściwe słowa. – Wiem, kim jestem i czego chcę, doktorze Stayner. Nigdy w to nie wątpiałam.

– A nie sądzisz, że to nieco dziwne, Livie? Że w wieku dziewięciu lat postanowiłaś zostać pediatrą, specjalizować się w dziecięcej onkologii, i że przenigdy nie rozważałaś innej drogi życia? Wiesz, kim chciałem zostać, gdy miałem dziewięć lat? – Przerywa na sekundę. – Spidermanem!

– Zatem moje cele są bardziej realne. Nie ma w tym nic złego – rzucam.

– A zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego unikałaś chłopaków jak ognia aż do teraz?

– Dokładnie wiem dlaczego. Ponieważ jestem nieśmiała i...

– Chłopcy wysysają z dziewczyn mózgi...

– I sprawiają, że przez nich wariują. – Ze smutnym uśmiechem dokańczam ostrzegawcze stwierdzenie ojca. Tata zaczął mnie ostrzegać mniej więcej w tym samym czasie, w którym zaczęły szaleć hormony Kacey. Powiedział, że jeśli wpadnę w tę samą pułapkę, ucierpią moje oceny.

– Myślę, że twoja reakcja na płęć przeciwną jest w mniejszym stopniu związana z twoją nieśmiałością, a bardziej z

podświadomym tokiem rozumowania, aby mężczyźni nie odciągali cię od życiowego planu, za wskazówkami, którego musisz w życiu podążać.

Podświadomy sposób rozumowania? Niepokój wije mi się w żołądku niczym wąż, wysyłając dreszcz przez moje ciało. Czy on potwierdza słowa Kacey? Jestem... seksualnie stłumiona?

Pochyliam się, kładę podbródek na dłoniach, łokcie opierając na kolanach i myślę. Jak doktorowi Staynerowi udało się znaleźć we mnie coś nie tak? Jeśli już, powinien być zadowolony. Sam tak powiedział! Tak dobrze mi szło. Wiem, że rodzice byliby dumni. Nie, nie ma nic złego w tym, kim jestem.

– Uważam, że pan się myli – mówię cicho, wpatrując się w ziemię. – Myślę, że na siłę próbuje mnie pan zdiagnozować. – Siadam prosto, rozglądam się po kampusie, po pięknym kampusie Princeton, do którego żeby się dostać, pracowałam tak ciężko, i czuję przyływ złości. – Jestem piątkową uczennicą, która zaczyna naukę w Princeton, na litość boską! – Jestem na granicy krzyku, ale nic mnie to nie obchodzi. – Dlaczego u licha pojawia się pan o siódmej rano w sobotę, kiedy właśnie zaczęłam studia, by powiedzieć mi, że całe moje życie jest... No jakie...? – Przetykam gulę formującą mi się w gardle.

Doktor Stayner zdejmuje okulary i ponownie przeciera twarz. Wydaje się całkowicie spokojny, jakby spodziewał się takiej reakcji. Kiedyś powiedział mi, że przywykł do tego, że ludzie na niego krzyczą, więc już nie czuje się winny z tego powodu. Z pewnością nie będzie też czuł się winny z powodu bomby, jaką na mnie właśnie zrzucił.

– Bo chcę, żebyś była tego świadoma, Livie. Żebyś w pełni zdała sobie z tego sprawę. – Przesuwa się nieco, tak, że siedzi teraz całkowicie zwrócony twarzą do mnie. – Jesteś mądrą dziewczynką, Livie, a teraz jesteś dorosła. Poznasz tu różnych ludzi i zaczniesz chodzić na randki. Będiesz ciężko pracowała, by osiągnąć swoje cele. Mam też nadzieję, że będziesz chodziła na imprezy i będziesz się bawiła. Chciałbym tylko dopilnować, byś dokonywała własnych wyborów i ustanawiała własne cele, a nie kierowała się

tymi, którymi chcesz zadowolić innych. – Ponownie opiera się o ławkę i dodaje: – Kto wie? Być może Princeton i medycyna to faktycznie to, czego naprawdę pragniesz. Być może mężczyzna, który będzie cię uszczęśliwiał do końca życia to ten sam, którego wybrałoby dla ciebie rodzice. A może odkryjesz, że nie jest to dla ciebie właściwa ścieżka. Tak czy inaczej, chciałbym byś bardziej samodzielnie dokonywała wyborów, niż działała na autopilocie.

Nie wiem, co powiedzieć odnośnie tego wszystkiego, więc milczę, gapiąc się przed siebie, czuję zmieszanie i napływające wątpliwości.

– Życie znajduje zabawne sposoby, by poddać nas testom. Generuje krzywe, które sprawiają, że robisz, myślisz i czujesz rzeczy różne od tych, jakie miałaś zaplanowane, i które nie pozwalają ci żyć w czarno-białym świecie. – Klepie mnie po ojcowsku w kolano. – Livie, chcę, żebyś wiedziała, że w każdej chwili możesz do mnie zadzwonić. Zawsze. Bez względu z jaką sprawą. Jeśli będziesz chciała porozmawiać o szkole czy o chłopcach. Ponarzekać na siostrę... – mówi to z krzywym uśmiechem. – O czymkolwiek. I liczę na to, że będziesz dzwoniła. Regularnie. Gdy będziesz gotowa na rozmowę. W tym momencie zakładam, że masz ochotę wylać mi swoją kawę na głowę. – Wstaje, rozciąga się i dodaje: – A nasze rozmowy będą poufne.

– To znaczy, że nie będzie się pan wysługiwał moją siostrą, by wykonywała brudną robotę?

Pocierając podbródek, uśmiecha się i mruczy:

– A takiego miałem fajnego pomocnika.

– Zgaduję, że ta cała sprawa z poufnością w stosunku pacjent–lekarz to kwestia wyboru.

Spogląda na mnie i unosi brwi.

– Przecież nigdy nie byłaś moją pacjentką, prawda?

– A teraz jestem?

Uśmiecha się, gestem dając znać, że idziemy.

– Zostawmy to. Po prostu zadzwoń do mnie, jeśli będziesz chciała pogadać.

– Nie będę mogła zapłacić.
– Nie oczekuję, że to zrobisz, Livie. – Po chwili namysłu dodaje: – Wynagrodzisz mi to oddając swoje pierworodne dziecko.

Normalnie przynajmniej przewróciłabym oczami na taki żart. Jednak nie teraz. Nie jestem w nastroju do żartów. Waga tego, co noszę na ramionach, od trzech miesięcy zastanawiając się, co doktor Stayner mógł odkryć na mój temat, a co ujawnił niecałe dwadzieścia minut temu, rozbija się teraz na mojej głowie, przygniatając mnie z całą swoją siłą.

Jestem pewna, że doktor się myli.

A co, jeśli nie?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„KIEDY” KONTRA „CZY”

Prawie dwugodzinna podróż z Princeton do Szpitala Dziecięcego na Manhattanie daje mi sporo czasu na rozważanie niespodziewanej wizyty doktora Staynera i jego skandalicznej diagnozy. Do chwili, w której staję w rejestracji, by wpisać się jako wolontariuszka na moją pierwszą wizytę, czuję się jeszcze gorzej. Jestem też przekonana, że doktor jako genialny psychiatra traci swoją cudowną moc. Albo sam jest stuknięty i nikt tego jeszcze nie zauważył. A może obydwa założenia są poprawne.

– Pracowałaś kiedyś w szpitalu z dziećmi, Livie? – pyta siostra Gale, gdy idę za nią długim korytarzem.

– Nie, nie pracowałam – odpowiadam z uśmiechem. Chociaż dużo czasu spędziłam w szpitalach, tak, że dźwięk maszyn i zapach lekarstw wypełniający mi nozdrza natychmiast sprowadza wspomnienia sprzed siedmiu lat, prowadzi mnie do czasu sztucznych uśmiechów, kiedy Kacey była cała zabandażowana, do ciała miała przyczipione mnóstwo rurek i patrzyła pustym wzrokiem.

– Cóż, widzę, że twoje referencje są olśniewające – żartuje siostra, gdy wychodzimy z za rogu i ukazuje nam się tabliczka pokoju zabaw, najwyraźniej moja krótka wycieczka po szpitalu dobiegła końca. – Jesteś naturalnym magnesem na dzieci.

Mimowolnie przewracam oczami. Nie z powodu stwierdzenia pielęgniarki – tylko doktora Staynera. Wracam pamięcią do czerwca, gdy powiedziałam mu, że złożyłam aplikację na wolontariat w tym szpitalu, ale nie dostałam odpowiedzi, więc od niechcenia wspomniał, że ma tu kilku znajomych. Tydzień później odebrałam telefon i przeprowadzono ze mną krótką rozmowę kwalifikacyjną, szybko przechodząc do oferty pracy w sobotnie poranki w programie „Życie Dziecka” – polegającym na

zabawie z małymi pacjentami. Skorzystałam z okazji. Oczywiście wiedziałam, że doktor Stayner przyłożył do tego rękę, jednak doceniałam to, bo wiedziałam, że gdy pójdę na medycynę, życiorys z tym wolontariatem udowodni, że od lat chciałam być pediatrą. Wydawało się, że doktor wspiera mnie w dążeniu do celu, co teraz wygląda ironicznie, biorąc pod uwagę fakt, iż myśli, że jestem mechanicznym dronem, który w ogóle nie powinien tutaj trafić.

Odsuwam te myśli od siebie, dlatego że wiem, czego chcę, a wiem to, ponieważ tu pasuję. Zatem kiwam głową siostrze Gale i mówię:

– Myślę, że one są magnesem na mnie.

Siostra staje w drzwiach i obdarowuje mnie melancholijnym uśmiechem.

– Cóż, uważaj tylko, by się nie przywiązywać, dobrze kochana? – Wchodzimy do jasnego, kolorowego pokoju zabaw, gdzie znajduje się garstka dzieci i ich opiekunowie. Gdy słyszę zaraźliwy śmiech, natychmiast się odprężam. Tak jakby środek uspokajający został wstrzyknięty bezpośrednio w moje żyły.

Wiem, że nie byłam całkiem normalna. Gdy byłam dzieckiem to zawsze ja biegłam do nauczycielek, gdy ktoś potrzebował plastra, a także rozdzielałam zwaśnione koleżanki. Jako nastolatka byłam wolontariuszką w YMCA[1], na basenie i w bibliotece. Wszędzie tam, gdzie byli mali ludzie. W dzieciach jest coś nieskomplikowanego, co sprawia, że mnie do nich ciągnie. Być może to zaraźliwy śmiech i nieśmiałe uściski. A może ich brutalna szczerłość. Być może sposób w jaki lgną do mnie, gdy się boją lub cierpią. Wiem tylko, że chcę im pomóc. Wszystkim.

– Livie, to Diane – mówi siostra Gale, przedstawiając mnie pulchnej, niskiej kobiecie w średnim wieku, z kręconymi brązowymi włosami i życzliwym spojrzeniem. – Jest częścią naszego programu Życie Dziecka. Dzisiaj nadzoruje ten pokój zabaw.

Diane puszcza do mnie oko i w ciągu pięciu minut pokazuje wszystko w jasnym pokoju i wyjaśnia swoją rolę. Kończąc,

wskazuje na dwóch chłopców siedzących obok siebie na podłodze po turecku, plecami do nas, bawiących się klockami LEGO. Są tego samego wzrostu, z tym, że ten po prawej wydaje się szczuplejszy. Jest też zupełnie łysy, a chłopczyk po lewej ma krótkie brązowo-piaskowe włosy.

– Ci dwaj są dzisiaj twoi. Derek? Eric? To Livie.

Identyczne buźki obracają się ku nam.

– Bliźniaki! – zauważam z uśmiechem. – Pozwólcie mi zgadnąć... ty jesteś Derek. – Wskazuję na tego po lewej, tego z włosami.

Obdarowuje mnie szerokim uśmiechem, ukazującym brak przednich zębów, co natychmiast przypomina mi o córce Storm, Mii.

– Jestem Eric.

Przewracam oczami.

– Nigdy tego nie zapamiętam. – Dlaczego rodzice czują potrzebę nazywania bliźniąt podobnymi imionami? Nie zadaję jednak tego pytania na głos. Uśmiecham się tylko.

– Derek jest łysy. Łatwo skumać – informuje Eric, wzruszając ramionkami. – Ale niedługo ja też będę łysy. Wtedy będziesz mieć przerabane.

– Eric – upomina go Diane, unosząc brwi.

– Przepraszam pani Diane. – Z zawstydzoną miną przenosi uwagę na leżące obok resoraka, a moje serce natychmiast się ściska. Obaj są chorzy?

– Jesteś tu, żeby się z nami bawić? – pyta cicho Derek.

Kiwam głową.

– A chcesz, żebym się z wami bawiła?

Jego małą twarzyczkę natychmiast rozjaśnia uśmiech i zauważam, że jemu też brakuje dwóch ząbków.

Spoglądając na jego brata, który teraz rozbija o siebie dwa resoraki, pytam:

– A ty, Eric? Chcesz, żebym się z wami pobawiła?

Eric zerka na mnie i wzruszając ramionami mówi:

– Pewnie. Chyba. – Jednak, kiedy się odwraca, widzę u niego

słaby uśmiech, bez wątpienia jest większym łobuziakiem.

– No to dobrze. Ale najpierw ustalę kilka rzeczy z panią Diane, w porządku?

Równocześnie odwracają głowy i wracają do zabawy klockami.

Nadal na nich patrząc, cofam się kilka kroków i szeptem pytam:

– Rak?

– Białaczka.

– Obaj? Ciężko mi w to uwierzyć.

Siostra kręci głową i wzdycha.

– Wiem.

– Jak... – Przetykam ślinę, niepewna jak dokończyć zdanie, ponieważ w gardle utworzyła mi się gęła. – Jak źle jest?

Diane krzyżuje ramiona na piersiach.

– Jest dobrze. Cóż... – Jej spojrzenie na chwilę spoczywa na Dereku. – Mają spore szanse – poprawia się. Klepie mnie w ramię i mówi: – Podczas pobytu tutaj zobaczysz bardzo wiele, Livie. Postaraj się nie myśleć o tym za dużo. Najlepiej będzie, jak skupisz się na tu i teraz, pozostawiając resztę medycynie i modlitwie.

Gdy podchodzę do chłopców, muszę pamiętać, by przestać marszczyć czoło. Siadam obok nich po turecku na podłodze i klaszczę.

– Który z was pokaże mi, jak buduje się taki fajny domek? – Najwidoczniej żaden, ponieważ zasypują mnie gradem pytań, robiąc to naprzemiennie, jakby ćwiczili godzinami.

– My mamy prawie sześć lat, a ty? – pyta Eric.

– Osiemnaście.

– A masz rodziców? – Głos Erica jest cichszy, ledwo udaje mi się usłyszeć pytanie.

Po prostu uśmiecham się i kiwam głową, nie wyjaśniając.

– A po co tu jesteś?

– Oczywiście po to, żeby dowiedzieć się, jak buduje się z klocków LEGO.

– Kim chcesz zostać, jak dorośniesz?
– Lekarzem. Dla dzieci takich jak wy.
– Aha. – Eric bawi się samochodzikiem. – Ja to bym chciał być wilkołakiem. Ale... jeszcze nie wiem. Wierzysz w wilkołaki?
– Hm... – Zaciskam usta, gdy nad tym myślę. – Tylko w te przyjazne.
– Aha. – Teraz on wydaje się nad tym myśleć. – A może będę kierowcą wyścigówki. – Przesadnie wzrusza ramionami. – Jeszcze nie wiem.
– Cóż, na szczęście masz dużo czasu, by zdecydować, prawda? – Czuję, jak podświadomość kopie mnie w żołądek, ostrzegając przed rozwijaniem rozmowy w tym kierunku.
Na szczęście Derek zmienia temat.
– Masz chłopaka?
– Nie, jeszcze nie. Ale się staram.
Mały ściąga bezwłose brwi.
– Jak to się starasz?
– Cóż... – Nakrywam dłonią usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Rzucam okiem w lewo i widzę, że Diane, pomagająca innemu dziecku malować, ma zaciśnięte usta. Zapewne wszystko słyszała i stara się powstrzymać od śmiechu. – Poznałam kogoś, kto mi się podoba i myślę, że ja jemu też się podobam – odpowiadam szczerze.
Derek powoli przytakuje, po czym układa usta w kółeczko.
– Och. – Wygląda, jakby był gotów zadać kolejne pytanie, ale ubiega go brat.
– Całowałaś się kiedyś z chłopakiem?
– Um... – Zastanawiam się przez chwilę nad odpowiedzią, ponieważ nie spodziewałam się takiego pytania. – Nie można się całować, po czym o tym opowiadać. To dobra reguła. Powinniście ją zapamiętać – mówię i walczę z rumieńcem.
– Dobra. A tata mówi, że pewnego dnia będę chciał się całować z dziewczyną, ale mam dopiero pięć lat i jest w porządku, że teraz nie chcę.
– Ma rację. Obaj będziecie chcieli. – Patrzą na nich po kolei i

puszczam oko.

– No, chyba że umrzemy – mówi rzeczowo Eric.

Przyciągam do siebie kolana i je obejmuję. Ta pozycja jest nieznacznym pocieszeniem wobec wewnętrznego bólu.

Przebywałam w towarzystwie wielu dzieci i słyszałam różne rzeczy, przeprowadziłam nawet kilka rozmów na temat śmierci i nieba. Ale w przeciwieństwie do bezpodstawnych pytań dziecka spowodowanych ciekawością, słowa Erica wywołują we mnie dreszcz. Ponieważ są prawdziwe. Ci dwaj mali chłopcy siedzący przede mną mogą nigdy nie pocałować dziewczyny ani nie stać się kierowcami wyścigowymi, ani nie dowiedzieć się, że wilkołaki – przyjacielskie czy nie – nie istnieją. Mogą nie skorzystać ze wszystkiego, co życie ma do zaoferowania, ponieważ z jakiegoś okrutnego powodu dzieci nie są nieśmiertelne.

– Zaciskasz mocno buzię, zupełnie jak mama – mówi Eric, łącząc klocki. – Zawsze tak robi, gdy mówimy o umieraniu.

Nie jestem zaskoczona. Boże, co ta biedna kobieta musi przeżywać, obserwując jak nie jedno, ale dwoje jej małych dzieci zostaje napompowanych chemikaliami, nie wiedząc, czy to wystarczy, zastanawiając się, co przyniosą ze sobą kolejne tygodnie czy miesiące!

Bolesna gula w moim gardle pęcznieje na tę myśl. Jednak przypominam sobie, że nie mogę się nad tym zastanawiać. Jestem tu, by nie musieli o tym myśleć.

– A może stworzymy sobie nową regułę – zaczynam powoli, przetykając ślinę. – Podczas zabawy nie będziemy mówić o umieraniu. Będziemy mówić tylko o tym, co będziecie robić, gdy leczenie się skończy i kiedy wrócicie do domu, dobrze?

Eric marszczy brwi.

– A co jeśli...?

– Nie! – kręcę głową. – Nie ma „co jeśli”, rozumiecie? Co wy na to, żebyśmy nie planowali umierania? Będziemy planować życie, zgoda?

Bracia patrzą na siebie, po czym Eric mówi:

– A mogę planować niecałowanie dziewczyn?

Ciężkie chmury wiszące w pokoju natychmiast wyparowują, zaczynam się śmiać, opanowując cisnące mi się z wielu powodów do oczu łzy.

– Możecie planować, co tylko chcecie, pod warunkiem, że te plany będą zawierały to, że kiedyś będziecie starzy i pomarszczeni. Śmiało.

Ich oczy zaczynają błyszczeć, gdy po kolei wsuwają małe rączki w moją wyciągniętą dłoń, kiedy dobijamy targu. Myślę, że potrzebuję go równie mocno, co oni.

Pomagam bliźniakom budować z klocków pancernik, lotniskowiec i salę tortur – pomysł Erica, nie mój – przy czym chłopcy ciągle gadają, kłócąc się od czasu do czasu, dokładnie tak, jak oczekiwałam, że będą zachowywać się bliźniacy. Jest tak normalnie, że niemal zapominam, iż obaj chłopcy przebywają w szpitalu z powodu raka. Prawie. Jednak niepokój w mojej klatce piersiowej nie chce zniknąć, nie chcą go stopić chichoty i śmiechy.

Jestem zaskoczona, że cztery godziny minęły jak z bata strzełił i do pokoju wchodzi pielęgniarka, informując chłopców, że czas sprzątać i wracać do sali.

– Przyjdiesz znowu? – pyta Eric.

– Jeśli nie macie nic przeciwko, myślałam, żeby wrócić do was w przyszłą sobotę.

Obdarowuje mnie obojętnym wzruszeniem ramion, ale za chwilę przyłapuję go, jak zerka na mnie z ukosa i się uśmiecha.

– W takim razie dobrze. – Wstaję i czochram go po włosach.

– Do zobaczenia za tydzień, Eric. – Odwracam się do Dereka, który nieśmiało się uśmiecha. Zauważam, że jest zmęczony.

Najwyraźniej cztery godziny zabawy go wyczerpały. – Do zobaczenia za tydzień Derek, dobrze?

– Dobrze, Livie.

Krótko macham Diane i wychodzę na korytarz, gdzie stoi kobieta z jasnymi włosami spiętymi w niechlujny kucyk.

– Witaj – mówi. – Jestem Connie, ich matka. – Jej podkrążone ze zmęczenia oczy zaczynają błyszczeć na widok chłopców, którzy kłócą się na temat tego, gdzie powinni schować

klocki. – Obserwowałam, jak sobie z nimi radzisz. Nie... – Odchrząkuje. – Od tygodni nie widziałam, żeby się tyle uśmiechali. Dziękuję.

– Jestem Livie. – Podaję rękę. Jej uścisk jest mocny. Zauważam, że jest w fartuszkach kelnerki, więc zgaduję, że przyszła prosto z pracy. Podejrzewam, że musi dużo pracować, by opłacić leczenie. To pewnie dlatego jej cera jest taka szara, a uśmiech tak smutny. Ta myśl ściska mi serce, ale odsuwam ją od siebie. – Twoje małe rozrabiaki są urocze.

Widzę niesławne zaciskanie warg, gdy patrzy na nich zamyślona.

– Dla mnie nadal są maluszkami – mówi szeptem i widzę, jak szybko mruga, by rozgonić nagle zbierające się łzy. – Przepraszam. – Obserwuję, jak wchodzi do pokoju, a jej napięty wyraz twarzy zastępuje uśmiech pełen szczęścia i nadziei.

– No i? – pyta siostra Gale, stojąc za mną. – Jak minął ci pierwszy dzień?

– Świetnie – mamroczę z roztargnieniem, obserwując, jak każdy z chłopców łapie mamę za rękę. Jest drobną kobietą, ale przyciąga ich do siebie i ściska mocno. Nawet, gdy Eric zaczyna wykręcać się z jej uścisku, nie puszcza, tuląc ich jeszcze przez chwilę, znów mając ściśnięte usta. Obejmuje ich, jakby już nigdy nie chciała puścić. I mimowolnie zastanawiam się, czy każdy uścisk odczuwa, jakby miał być ostatnim.

A co, jeśli jest? A co, jeśli pewnej soboty przyjdę, a któregoś z chłopców już nie będzie? To nie tak, że jestem ślepa i się z tym nie liczę. Jednak teraz do tej możliwości przypisane są małe twarzyczki i głosiki. Przypuszczam, że płakałabym. Musiałabym się z tym pogodzić i żyć dalej. Jednak, gdy uda mi się zostać lekarzem, ile razy będę stała przy oknie i obserwowała, jak rodzice tulą swoje dzieci? Ile jeszcze razy będę tworzyć założenia, które nie będą miały sensu? Czy kiedykolwiek przywyknę do tego uczucia ucisku w klatce piersiowej?

Stoję, rozważając te wszystkie myśli wirujące w mojej głowie, aż nagle moje oczy otwierają się z powodu szoku.

Uświadamiam sobie nagle, że to pierwszy raz od dziewięciu lat, kiedy moje rozważania na temat bycia w przyszłości lekarzem zaczynają się nie od „kiedy”, ale od „czy”.

[1] YMCA (z ang. Young Men's Christian Association) – międzynarodowa ekumeniczna organizacja propagująca program oparty na wartościach chrześcijańskich. Głównym celem organizacji jest służenie harmonijnemu rozwojowi fizycznemu, umysłowemu i duchowemu (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ SIÓDMY

JAKI TEN ŚWIAT MAŁY

– Jak w Princeton?

– Trochę przytłaczająco – przyznaję, wzdychając. – Zgubiłam się, próbując w czwartek i piątek trafić na zajęcia. Weszłam, gdy profesor się przedstawiał. Niemal dostałam przez to drgawkę. – Nigdy nie spóźniałam się na zajęcia. Wiedziałam, jak duży jest ten kampus, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak skomplikowany. By w przyszłości uniknąć podobnych wpadek, narysowałam sobie mapki.

– Rany, miałaś dzisiaj wolontariat, prawda? Jak było? – Ostatnie słowa Kacey zostają zagłuszone przez piski Mii i coś, co wydaje się być histerycznym śmiechem naszego przyjaciela Bena.

– W porządku. Byli tam dwaj chłopcy...

– Poczekaj, Livie. – Dalej słyszę stłumione słowa, jakby nakryła ręką mikrofon: – Ludzie! Rozmawiam z Livie. Moglibyście przynajmniej... Wypad mi stąd!

Sekundę później słyszę chóralne „cześć Livie”, gdy przechodzą obok mojej siostry, przez co serce mi rośnie, bo chciałabym ich wszystkich uściskać.

Odkrywając telefon, Kacey mówi:

– Przepraszam, Livie, wiesz, jakie są sobotnie wieczory.

Uśmiecham się smutno. Tak, doskonale wiem, jakie są. Ośmioosobowy stół w przestronnej kuchni nigdy nie wystarczał. Zawsze byliśmy my i Trent plus kilkoro przyjaciół z *Pałacu Penny*. Czasami przychodził też nasz stary najemca, Tanner. Pewnie w tej chwili Storm sprząta ze stołu, Dan zmywa naczynia, przynajmniej jeśli nie gania przestępców po Miami. To mieszanina wszelakich wyrzutków, a jednak... to rodzina. Dom.

Wzdycham, rozglądając się po maleńkim pokoiku, który jest schludny i przytulny, ale zastanawiam się, czy będę tu pasowała,

kiedy wrażenie nowości odejdzie.

– To jak było w szpitalu? Poznałaś dwóch chłopców? – W tle słysząc stukanie drzwiczek od szafek, co podpowiada mi, że Kacey ma dyżur przy sprzątanii. Gdy wchodzi do kuchni, jest jak tornado.

– Tak, bliźnięta. Eric i Derek.

– Poważnie? – Niemal potrafię usłyszeć jak siostra przewraca oczami.

Prycham.

– No wiem. Ale są słodcy.

– I są chorzy... – Nie kończy zdania. Nie musi. Mój żołądek i tak się ściska.

Przełykam ślinę.

– Rokowania są dobre. – Tego nie wiem, ale i tak to mówię, ponieważ poczuwamy się lepiej. Długa podróż powrotna do domu dała mi okazję na przemyślenie tej sytuacji jeszcze raz. Muszę przyznać, że pierwszy dzień w szpitalu z chorymi, być może umierającymi dziećmi, pociągnął za sobą kilka skurczy serca. Oczywiście, że później będzie lepiej. Pewnie będę też wariować, gdy już na medycynie pierwszy raz zobaczę zwłoki. Wszyscy świrują. To normalne. To wcale nie znaczy, że nie będę mogła studiować czy dać sobie z tym rady. Do czasu, gdy stanęłam na progu pokoju w akademiku, ciemna chmura wisząca nad moją głową się rozproszyła. Chociaż moje rozgoryczenie spowodowane słowami Staynera wzrosło dziesięciokrotnie.

Kacey wzdycha.

– Cóż, to chyba dobrze. – Słyszę zgrzyt otwieranych drzwiczek piekarnika i uśmiecham się, wiedząc, co za chwilę nastąpi. Jestem pewna, że zaraz usłyszę uderzenie i głośny skowyt. Śmieję się, gdy Kacey krzyczy: – Cholera, Trent! – Wiem, że zaskoczył ją pochyloną nad piekarnikiem, a w takiej chwili Trent nie potrafi się powstrzymać, by nie dać klapsa w jej wypiętą pupę. Chwilę później rozlega się dźwięk pocałunku i chichot Kacey.

– Hej Livie – odzywa się głęboki, męski głos.

– Cześć Trent – mówię i się uśmiecham, wspominając tę parę

i to, jak wciąż są sobą urzeczeni, nawet po trzech latach związku. To budujące widzieć, jak dwie osoby, które były wrakami, mogą się razem rozwijać. Chociaż słuchanie ich w środku nocy nie było już takie miłe. Dan kilka razy musiał zapukać, by dać im znać, że mają być ciszej. Zazwyczaj następnego dnia nie potrafiłam spojrzeć Trentowi w oczy, co bez końca bawiło Kacey.

– Jak w szkole? – pyta Trent.

– Dobrze. Zajęcia zaczęły się dopiero w czwartek, ale na razie jest okej.

– Tak? – Następuje krótka chwila ciszy. – A poznałaś jakichś innych chłopaków?

Tracę oddech, gdy słyszę w telefonie przepychanki, głośne klepięcie i oddalający się śmiech Trenta.

– Przepraszam – mruczy Kacey.

– Jak mogłaś mu o tym powiedzieć? – Trent stał się dla mnie starszym bratem. Dużym braciszkiem, który lubi się ze mną droczyć, przynajmniej tak bardzo jak Kacey. Tylko że jest to sto razy bardziej upokarzające, gdy on to robi. – Nigdy o tym nie zapomni! Zaraz powie o tym Danowi i będą się ze mnie nabijać!

– Spokojnie, Livie – przerywa mi Kacey. – Nikomu nic nie powie. Ale musiałam mu powiedzieć, żeby wyjaśnić, dlaczego mam w telefonie zdjęcie gołego tyłka jakiegoś faceta, żeby nie myślał, że go zdradzam.

– Och – mówię, przygryzając wargę.

– Nie martw się, dzisiaj dam mu porządny wycisk. – Ostatnie zdanie mówi dość głośno, więc wiem, że chce, by Trent usłyszał. Prawdopodobnie uśmiecha się teraz do niej szeroko.

– Super – mamroczę, przewracając oczami. Moja siostra jest przeciwieństwem seksualnej wstrzeźliwości.

– To co, wpadłaś na tego gościa ostatnio... Zapomniałam imienia.

– Ashtona, tak – przyznaję niechętnie.

– I... jak poszło?

Wzdycham.

– Niemal tak dobrze jak zapalenie zapałki w pobliżu basenu

wypełnionego benzyną.

– Wow.

Opowiadam jej o wszystkim.

Następuje głośny stukot, gdy Kacey upuszcza, cokolwiek miała w rękach do zlewu.

– Co za kretyn! Kiedy następnym razem przylecę do ciebie, mam zamiar urwać mu jaja, dokładnie tak, jak obiecałam.

– Wcale nie. Nic mi nie jest. Skończyłam z tym. Wychodzę dzisiaj z Reagan i z kilkoma koleżankami. Czekam, aż wyjdzie z łazienki i idziemy.

– Och, to dobrze. Wiedziałam, że polubię tę laskę. – Słyszę otwierające się drzwi na patio i powiew bryzy, zmieszane z niewielkim jękiem Kacey. Jestem pewna, że układa się na jednym z leżaków na tarasie. – Cóż, mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawiła. Skoro mnie tam nie ma, może zwolnisz tempo połykania galaretek, bo nie będę mogła kontrolować bestii, kiedy już zostanie uwolniona?

– Bardzo śmieszne. – Wahając się, przygryzam wargę. Powinna powiedzieć jej, co sądzi o mnie doktor Stayner? Nie wiem, jak zareaguje. Pewnie niezbyt dobrze. Nie chcę, żeby się o mnie martwiła, ponieważ nie ma o co, a doktor Stayner się myli.

Nim mam szansę podjąć decyzję, Kacey zaczyna w swoim stylu:

– Ale jeśli idziesz na kolejną dziką popijawę, dopilnuj, by facet ubrał swojego małego w płaszczyk.

– Boże, Kacey, gadasz jak facet. – Słyszę, jak Trent komentuje w tle.

– Co?! Po prostu upewniam się, że moja niedoświadczona siostrzyczka pomyśli o tych rzeczach, gdy ponownie uwolni swoją bestię.

– Jaką bestię? Livie ma bestię? – Słyszę kolejny męski głos. To Ben, dobrze wyglądający ochroniarz, który niedługo zostanie prawnikiem. – Do diabła, muszę ją poznać. Uwielbiam bestie.

Zatem to oficjalne. Nawet setki kilometrów stąd, mojej siostrze udało się sprawić, że mam ochotę umrzeć. Jęczę,

nakrywając twarz dłonią.

– Dlaczego z pić czekałam aż do studiów, Kacey?
Powinnam zacząć lata temu. Dlaczego pozwoliłaś mi czekać?

– Hej, już wcześniej próbowałam cię nakłonić, pamiętasz?
Jeśli dolewanie ci alkoholu do mrożonej herbaty nie było
siostrzaną miłością, to się poddaję.

Drzwi otwierają się i wchodzi Reagan, rzucając kosmetyczkę
na komodę. Palcami stuka w zegarek, po czym pokazuje ręką, że
będzie czekać w korytarzu.

Kiwam głową i unoszę palec, by poprosić ją o jeszcze jedną
minutkę.

– Kacey, muszę lecieć. Pozdrów wszystkich. Powiedz im, że
tęsknię.

– Oczywiście, Livie. My też bardzo za tobą tęsknimy. Bez
ciebie nie jest tu tak samo.

Znów mam to dokuczliwe uczucie sugerujące, że powinnam
jej przekazać diagnozę doktora Staynera, ale nie wiem, jak to
zrobić. Wiem, że on nie ma racji. A... co, jeśli ją ma? Wiem, że
Kacey mu uwierzy. Być może dlatego nie chcę jej powiedzieć. Co
wtedy stwierdzi? Co każe mi zrobić? Pewnie to samo, co zwykle.
Powie: Idź, żyj i pozwól sobie na błędy.

– Hej, Kacey?

Musi wyczuwać powagę w moim głosie, ponieważ jej własny
traci humor.

– Tak, Livie?

– W jaki sposób dowiedziałaś się, jak należy żyć?

Następuje długa chwila milczenia. Tak długa, że sprawdzam
wyświetlacz telefonu, zastanawiając się, czy połączenie nie zostało
zerwane.

– Metodą prób i błędów, Livie. To jedyny sposób, jaki znam.

* * *

– Dość spokojnie tu – mówię, idąc za Reagan wzdłuż
pełnego samochodów podjazdu, by wejść na ganek, który stanowi
część okazałego, piętrowego, nowoczesnego domu otoczonego

dębami.

Tydzień temu przechodziłam obok tych samych murów, mając w brzuchu te same motyle. Z tą różnicą, że teraz znam kogoś wewnątrz, Connora. Dziwne uczucie, które mi towarzyszy, i które tym razem ściska mi żołądek, to mieszanka zdenerwowania i ekscytacji.

– Jeszcze jest wcześnie – mówi Reagan, wbiegając po schodach, jakby robiła to tysiące razy. Otwiera drzwi.

– Reagan, nie powinniśmy zapukać...?

– Gidget! – słyszę męski ryk. Zerkam przez ramię Reagan i widzę faceta zmierzającego długim korytarzem w naszą stronę, jego bose stopy klapią o podłogę.

Szepczę:

– Kto to jest? – Pamiętam, iż Reagan mówiła, że zna wiele osób wybierających się na tę imprezę, ale czy zna chłopaków mieszkających tutaj? Zna Connora? Wspomniałam o Connorze, a ona powiedziała tylko: „Idziemy!”

– Jak możesz nie pamiętać Granta? – pyta całkiem głośno i obdarowuje mnie jednym ze swoich olśniewających uśmiechów. Subtelność nie wydaje się być cechą jej charakteru.

Chłopak zwalnia, zbliżając się, ma strapiony wyraz twarzy.

– Nie pamiętasz mnie? – pyta i unosi dłonie do klatki piersiowej, jakby bolało go serce.

– Eee... ja... – jąkam się, jednocześnie rumieniąc i patrząc w kierunku Reagan. Oboje wybuchają śmiechem.

Z chłopięcym uśmiechem na twarzy gość wyciąga rękę.

– Cześć, jestem Grant. Cieszę się, że przyszłyście.

Obdarowuję go nieśmiałym uśmiechem i ściskam jego dłoń.

– Livie.

– Dla mnie zawsze będziesz Irlandką – mówi, puszczając mi oko, po czym ruchem głowy wskazuje pomieszczenie na końcu dużego domu.

Nazwał mnie Irlandką.

Dlaczego tak mnie nazwał?

Nie pamiętam go.

Dlaczego go nie pamiętam?

O rany boskie. Widział mnie pijaną. Musi znać Ashtona. Wie, co z nim robiłam? A jeśli powie Connorowi, że gdy piję, jestem walnięta? Zdążył poinformować o tym Connora? A co, jeśli Connor nie będzie chciał mieć już ze mną do czynienia?

To katastrofa.

Reagan łapie mnie za rękę i ściska.

– Livie, nie mrugasz. Przerażasz mnie.

– Przepraszam – mamroczę. *To nic nie znaczy*, powtarzam sobie.

Podążamy za Grantem, po prawej mijając sporej wielkości salon.

– Reagan zdobyła moją dozgonną miłość, ale jestem gotów poczekać, bo nim się ze mną zwiąże, musi się najpierw wyszaleć – woła Grant przez ramię.

– Zatem myślę, że będziesz czekał, aż zrobisz się stary i siwy – ostrzegam, zerkając kątem oka na koleżankę.

Grant zatrzymuje się i odwraca, obdarowując Reagan szerokim uśmiechem.

– Jest tego warta. Dziewczyny, chcecie coś do picia?

Zanim mam szansę poprosić o wodę czy colę, Reagan już składa zamówienie, wyciągając w górę dwa palce.

– To, co zwykle, Grant. Dzięki. – Mam przeczucie, że to, co zwykle będzie pochodziło z butelek stojących na kuchennym blacie, który widzę przed sobą. A Grant najwidoczniej doskonale wie, co Reagan zazwyczaj pije.

– Dla ciebie wszystko, Gidget – mówi z uśmiechem i znika za rogiem.

Łapię ją za ramię, by za nim nie poszła.

– Reagan, wiedziałaś, że Grant tu mieszka?

Marszczy czoło.

– Tak, oczywiście.

Unoszę brwi i wiem, że prawdopodobnie znajdują się teraz w połowie mojego czoła.

– Zatem wiedziałaś, że jest współlokatorem Connora...?

– Aha – rzuca z roztargnieniem, wyrywając się z mojego uścisku i biegnie w stronę kuchni. Dlaczego odpowiada tak ogólnikowo?

– Hej, Livie! – słyszę i się odwracam. Widzę, jak Connor z uśmiechem na ustach schodzi na dół. Wzdycham z ulgą. Dobrze, widzę, że jednak nie żałuje zaproszenia mnie...

Sekundę później potwierdza to, obejmując mnie, porywając w ciepły uścisk, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, a nie dwojgiem ludzi, którzy się dopiero poznali.

– Cieszę się, że cię widzę – mruczy mi do ucha, wywołując tym dreszcz.

– Ja też – chichoczę, dobrze się czując.

Delikatnie opierając dłoń na moich plecach, prowadzi mnie do praktycznie urządzonej kuchni, pełnej ciemnego drewna i chromowanej stali. Nie widziałam jej na poprzedniej imprezie, ponieważ weszliśmy tylnym wejściem wprost do piwnicy. Jestem mocno zaskoczona, że kilku studentów mieszka w domu takim jak ten. Tylna ściana jest prawie całkowicie przeszklona, z widokiem na zaciszne, pełne drzew podwórko.

– Poznałaś Tavisha? – pyta Connor, wskazując na krępego chłopaka, mniej więcej mojego wzrostu, z prawie rudymi włosami, który opiera się o blat, pożerając kawałek pizzy.

– Mów mi Tav. – Wyciera rękę o jeansy i podaje mi ją.

– Stary! To Ameryka. Nie jesteście barbarzyńcami. Umyj łapę zanim podasz ją kobiecie – upomina go Grant, jednocześnie serwując mi drinka. Ma bardzo przyjemny, miły uśmiech.

– No weź, nie świruj pawiana! – ryczy Tav na Granta ze szkockim akcentem, zakładam, że fałszywym, biorąc pod uwagę, że przed chwilą go nie miał. Nie mam pojęcia, co powiedział, jednak uwaga Granta najwyraźniej działa, ponieważ Tav podchodzi do zlewu, by zmyć z rąk sos.

– Jeśli potrzebowałabyś kiedyś faceta w kilcie, Tav będzie cały twój – mówi Connor, uśmiechając się półgębkiem.

– Kilcie? – powtarzam piskliwym głosem, przypominając sobie zdjęcie z telefonu mojej siostry.

– Tav ma świra na punkcie tradycji, prawda Tav? – woła Reagan zza moich pleców, chichocząc. Też przeglądała zdjęcia, więc dokładnie wie, co sobie właśnie przypomniałam.

Tav odpowiada głośnym beknięciem i uśmiechem.

– Rany, Tav. Weź się uspokój – mówi Connor, śmiejąc się i kręcąc głową, po czym zwraca się do mnie: – Jemu niewiele trzeba, a jeszcze mniej, gdy chodzi w tej swojej spódniczce. Nie chcesz tego widzieć. To nie jest fajne, zaufaj mi.

Reagan wyje ze śmiechu, mnie płoną policzki, a Connor niczego nieświadomy gada dalej:

– Co cię tak śmieszy, Reagan?

– Och, nic takiego. – Łobuzerski uśmieszek maluje się na jej twarzy, po czym znika. – Dobrze cię widzieć, Connor.

Podchodzi, by ją uścisnąć.

– Ciebie też dobrze widzieć, Reagan. Chociaż nie wiem, czy Princeton jest na ciebie gotowe...

W odpowiedzi Reagan mruga okiem.

Krzyżując ramiona na piersiach, pytam:

– Skąd wy się w ogóle znacie? – Patrzą podejrzliwie na moją współlokatorkę.

Reagan szybko chowa się za Granta, unikając kontaktu wzrokowego.

– Ojciec Reagan jest trenerem naszej osady wioślarskiej. Nie wspominała ci o tym?

– Opuściła kilka szczegółów. – Wiem, że tata Reagan trenuje wioślarzy, ale zapomniała wspomnieć, że zna Connora, nie mówiąc już o tym, że jest w osadzie. Znów zerkam przez ramię. Reagan wychyla się zza Granta, przypatrując mi się ze zboląłą miną.

– Wszyscy jesteśmy też członkami *Tiger Inn*. Naszego klubu w Princeton. Słyszałaś o nim, prawda?

– To coś jak bractwo, tak?

Connor wzrusza ramionami.

– Coś luźniejszego niż bractwo, ale wiąże nas promesa.

Szybko przebrnęłam przez niewielką scenę społeczną

Princeton, by nie wyjść niechcący na idiotkę.

– Promesa oznacza przysięgę, prawda?

– Prawda. Nie możesz złożyć promesy aż do drugiego semestru drugiego roku, ale powinnaś zacząć zapoznawać się z poszczególnymi domami. – Łapiąc mnie za rękę, Connor ciągnie mnie do innego pokoju.

– Zatem jesteś członkiem osady wioślarskiej?

– Tak, cała nasza czwórka do niej należy. Chodź. – Connor ciągnie mnie coraz dalej. – Chodź, poznasz Asha.

Mój umysł ma wystarczającą ilość czasu, by przetworzyć jego słowa, mój żołądek zaciska się w supeł, a nogi słabną, gdy wchodzę do gawry. Jestem pewna, że na mojej twarzy maluje się mieszanina szoku, wstydu i przerażenia. Tam, wyciągnięty na wielkim fotelu, z piwem w jednej ręce i pilotem w drugiej, wysoki i szczupły, z brązowymi oczami i ciemnymi, wystylizowanymi w nieład włosami, siedzi chłopak, którego przysięgałam unikać jak ognia.

Ashton „Żałuję, że to się stało” Henley.

– To Ashton, kapitan naszej osady, chociaż nie potrafię zrozumieć dlaczego – mówi Connor, żartując, pozornie nie zwracając uwagi na to, że dokładnie wiem, kim jest Ashton, i że zaraz zemdleję.

Gdy patrzę w te oczy, których właściciel spogląda to na Connora, to na nasze splecione dłonie, po czym bierze duży, powolny łyk piwa, nie potrafię wydusić słowa.

– Irlandko – mówi w końcu suchym tonem. Zauważam, że usta ma zaciśnięte. Prawdopodobnie ta sytuacja jest dla niego równie komfortowa, co dla mnie. Nadal żałuje tamtej nocy, a teraz dziewczyna, o której chciałby zapomnieć, stoi w jego domu.

– Czekajcie... – Ręka Connora wyslizguje się z mojej. *Och... no to się zacznie...* Connor wskazuje na mnie palcem, przechylając na bok głowę. Szeroko otwartymi oczyma patrzy na współlokatora. – To jest dziewczyna, która wyzwala cię na tatuażowy pojedynek?

Zamykam oczy i biorę kilka głębokich oddechów, w duchu

żegnając szansę, jaką miałam na związek z Connorem. Gdy je ponownie otwieram, dwóch chłopaków gapi się na mnie.

– No proszę, proszę! – Connor obejmuje mnie żywiołowo i ściska. – Jesteś tu sławna!

Czuję, jak kolor odpływa mi z twarzy.

– Sławna? – piszczę. Jako kto? Tańcząca jak robot, wysysająca twarze, nawalona jak stodoła dziewica? Odwracam się i widzę Granta oraz Regan. Spojrzeniem ciskam kilka bardzo ostrych sztyletów w Reagan, za ustawienie tej zasadzki. Dziewczyna unosi szklanekę z drinkiem do ust i chowa się za Granta.

Odwracam się w kierunku faceta, któremu chcę zaimponować i faceta, którego chcę zapomnieć, w duchu zastanawiając się, czy dzisiejszy wieczór mógłby być jeszcze gorszy.

– Ashton, kochanie, powinniśmy już jechać, jeśli chcemy, bym zdążyła na samolot. – Innym wejściem do pokoju wchodzi blondynka w płaszczu i z torebką. Przechyla się przez oparcie fotela i daje Ashtonowi długiego buziaka w usta.

Connor w swej błogiej nieświadomości pochyla się ku mnie i szepcze mi do ucha:

– A to dziewczyna Ashtona, Dana.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ŻIGOLAK

Odpuszczam sobie słowa. Wiem, że cokolwiek wyjdzie teraz z moich ust, będzie idiotycznym bełkotem, ponieważ, kiedy jestem zdenerwowana, zszokowana czy zła, gadam głupoty. Stoję, przyglądając się, jak Ashton całuje swoją dziewczynę i wrze we mnie cały ocean gniewu.

Na dźwięk swojego imienia, Dana odsuwa się od Ashtona.

– Cześć, Reagan! Cześć...

– To Livie – przedstawia mnie Connor.

Dziewczyna obdarowuje mnie ciepłym uśmiechem.

– Cześć, Livie. Miło mi cię poznać.

Staram się odpowiedzieć uśmiechem, chyba nawet mi się to udaje. Chociaż nie jestem pewna. Może to wyglądać jak wyszczerzenie zębów przez wściekłe zwierzę. Jestem zbyt zajęta uciszaniem wrzasków w mojej głowie.

Ten dupek ją zdradził. Ze mną!

Spoglądam na niego i zauważam, że przygląda mi się z dziwnym wyrazem twarzy. To nie jest jego zwyczajowa arogancja. Nie jest to poczucie winy, które powinno tam być. Nie, dokładnie wiem, co to jest. Desperacja. Błaga mnie wzrokiem, bym nic nie mówiła. Nie chce, by jego dziewczyna się dowiedziała. Teraz wszystko nabiera sensu. Właśnie dlatego nie chce, żeby wypłynęło to, co się między nami stało. Jednak... dlaczego, mimo to, jestem „sławna”?

Zerkam na Connora i widzę, że się do mnie uśmiecha. To ciepły uśmiech, a nie rozbawiony uśmieszek faceta, który wie, że bardzo dobrze bawiłam się z jego współlokatorem, po czym zostałam przedstawiona jego niczego niepodważającej dziewczynie. No, chyba że myśli, iż to nie ma znaczenia – co czyniłoby z niego kretyna i wcale nie tak fajnego faceta, za jakiego

go miałam – albo rzeczywiście o niczym nie ma pojęcia.

Nie rozumiem, ale wszyscy gapią się na mnie, czekając, bym odpowiedziała Danie. Przetykam ślinę i robię, co w mojej mocy, by brzmieć przyjaźnie.

– Cześć, Dana. Również mi miło. – Musiałam zabrzmieć znośnie, bo dziewczyna się uśmiecha, po czym kiwa głową w stronę Ashtona i łapie go za rękę.

– Rany, poważnie Ash, rusz ten swój wspaniały tyłek, bo inaczej się spóźnię.

Ashton poddaje się i wstaje z fotela. Luźne loki kołyszają się na plecach Dany, gdy zadziera głowę, żeby na niego spojrzeć. Po błysku w oczach – zupełnie jak u Kacey, gdy Trent jest w pobliżu – poznaję, że jest po uszy w nim zakochana.

Bardzo chcę wyjść z tego pokoju, w którym słodka, niczego niepodejrzewająca dziewczyna stoi obok swojego wiarołomnego chłopaka.

– Connor, gdzie masz łazienkę? – pytam, starając się panować nad głosem.

Wskazuje ruchem głowy na lewo i mówi:

– Tam, pierwsze drzwi po prawej.

– Och, nie wchodziłbym tam przez godzinę – ostrzega mnie Grant. – Tav w niej był. Nie jest zdatna do użytku przez kobiety. Ani przez większość ludzi.

– To przez to cholerne chili twojej mamy! – woła Tav z kuchni.

Kręcąc głową, Connor mówi:

– Na górze, trzecie drzwi po prawej. Chcesz, żebym ci pokazał?

– Nie, dzięki, znajdę. – Klepię go w ramię i odwracam się, by wyjść.

– Miło było cię poznać, Livie – woła Dana.

– Wzajemnie – rzucam z uśmiechem, spiesząc w kierunku schodów. Mam nadzieję, że nie było to niegrzeczne, ale nic nie poradzę, że wyszło koślawo. Ona jest bardzo miła, a ja mam ochotę wrzeszczeć.

Za plecami słyszę, jak Ashton mówi:

– Za pięć minut spotkamy się przy samochodzie. Muszę zabrać z pokoju portfel. – Biegnie za mną.

Krew napływa mi do policzków. Przyspieszam, wbiegając po dwa stopnie na raz, zdeterminowana, by zamknąć się w łazience i nie stawać z nim twarzą w twarz. I udałooby mi się to, gdybym czubkiem buta nie zahaczyła o krawędź schodka, przez co rozkładam się jak długa na drewnianej podłodze.

Twarz mi płonie, gdy podnoszę się na kolana, nadal chcąc się schować. Słyszę za sobą miękki chichot, w tym samym czasie dwa silne ramiona łapią mnie w talii i bez trudu stawiają na nogach.

– Boże, Irlandko – mruczy Ashton. Mam gęsią skórę, gdy jego dłoń pozostaje na moich plecach.

– Nic mi nie jest – mamroczę z gniewem, szybko odwracając się od niego i spiesząc do łazienki.

Ashton podąża za mną, przyspieszając.

– Wątpię – mówi, ale się nie śmieje. Gdy odnajduję trzecie drzwi po prawej, Ashton łapie mnie za biodro i wpycha do przestronnego pomieszczenia. Odwracam się, by zamknąć mu drzwi przed nosem, ale jest za późno, już zdążył wejść i zamknąć je za sobą. Na zamek.

– Co ty robi... – zaczynam mówić ostrym głosem, ale Ashton dłonią zatyka mi usta.

– Zamknij się. – Trzymając dłoń na mojej twarzy popycha mnie w tył, aż kością ogonową uderzam o granitowy blat umywalki. Poważnie rozważam ugryzienie go, jednak tego nie robię. Pewnie ugryzłabym go do krwi, taka jestem zła. Kaśliwa Livie. Tylko Bóg wie, ile plotek dodałoby to do historyjek, które już o mnie krążą.

Chłopak patrzy na mnie tym swoim brązowym, intensywnym, zamyślonym spojrzeniem. Do mojego nosa dociera piżmowy zapach jego wody kolońskiej. To natychmiast wyzwała wspomnienia z poprzedniej soboty. Wspomnienia, które nie chcą odejść.

Gdy serce zaczyna bić mi jak oszalałe, odwracam spojrzenie

i czuję, jak pierwsze krople potu spływają mi po plecach. Jak najszybciej chcę się odsunąć, lecz nie mogę. Uwięził mnie. Cała ta sytuacja jest przytłaczająca, więc muszę walczyć, by nie zemdleć. A może to sam Ashton tak mnie przytłacza. Wszystko, co związane jest z jego osobą. Przełykam wielokrotnie ślinę.

– Jeśli zabiorę rękę, będziesz cicho i pozwolisz mi wyjaśnić?
– mówi, patrząc spode łba.

Ściągam razem brwi. Co on chce wyjaśniać? To, że po pijanemu zdradził dziewczynę? Jednak w tym momencie tak bardzo chcę od niego uciec, że kiwam głową.

W chwili, gdy zabiera dłoń, mój gniew na nowo się rozpała.

– Jak mogłeś... – Nie mogę dokończyć zdania, ponieważ Ashton łapie mnie w tali i odwraca twarzą do lustra. Już mam wrócić do poprzedniej pozycji, ale patrzę w górę, na nasze odbicie i widzę jego spojrzenie intensywnie utkwione w odbiciu moich oczu. Brakuje mi tchu.

– Skąd znasz Connora? – pyta spokojnym głosem. Spinam się, gdy unosi dłoń, by odsunąć mi na bok włosy, przy okazji palcami muskając szyję.

– Niedawno go poznałam – mówię mimowolnie, rozproszona przez jego dotyk. – Nie wspominał? – *Co on robi?*

– Nie. – Ciągnie za tył mojej koszulki na tyle, by odsłonić tatuaż. – Jaki ten świat mały – mamrocze, przeciągając palcem po napisie. Oddycha wolno, wydechane przez niego powietrze wywołuje na mojej skórze dreszcz.

Zaciskam zęby.

– Niestety.

Zatrzymuje palec i unosi palące spojrzenie, patrząc mi w oczy w lustrze. Gdy ponownie spogląda na mój tatuaż, zauważam delikatny uśmiezek. Palcem znów zaczyna wodzić tam i z powrotem po moim rysunku, przez co zamiera mi oddech, a twarz pąsowieje.

– Teraz widzisz, dlaczego poprzednia sobota musi zostać wyłącznie między nami?

– W ogóle nie powinna się wydarzyć – mówię, ale głos mi

się łamie, gdy Ashton wyciąga muskularne ramię, łapie buteleczkę balsamu stojącą na blacie i wyciska niewielką ilość na palce. Ze zmarszczonym czołem obserwuję, jak przysuwa do mnie dłoń i bardzo delikatnymi ruchami zaczyna wodzić po mojej świeżo naznaczonej skórze. Zamykam oczy i przełykam ślinę, ciesząc się odczuciem zimnego, śliskiego kremu. Ten diabelny napis cały tydzień doprowadzał mnie do szału. Sumiennie o niego dbałam, ale muszę przyznać, że dotyk moich rąk nie jest nawet w połowie tak przyjemny jak jego.

Nie podoba mi się ta świadomość.

– Fajne uczucie, prawda? – mruczy ochrypłym głosem, który wywołuje falę żaru przechodzącą przez moje ciało.

– Tak – odpowiadam, mrużąc. *Chwileczkę...* Otwieram oczy i widzę utkwione we mnie spojrzenie. *Szlag! Jak on to zrobił?* – Nie! – rzucam, wykręcając się od niego i się odwracając. Spieszę do drzwi, ale Ashton łapie mnie w tali. Podnosi mnie bez wysiłku i sadza na blacie, twarzą do siebie.

– Przestań się upierać i posłuchaj, Irlandko! – warczy, łapiąc mnie po bokach, kciuki wbijając mi w kości biodrowe.

Jego głos sprawia, że się wzdrygam.

– Connor jest moim najlepszym przyjacielem. Znamy się od czterech lat. Bardzo dobrze go znam. – Przerywa, spojrzeniem omiata moją twarz. – Wiem, że wydaje się niefrasobliwy, ale... Zapewniam cię, że nie spodobałoby mu się, gdyby się dowiedział, jak dobrze się razem bawiliśmy. Nawet, jeśli był to jednorazowy wyskok. Nawet, jeśli się nie pieprzyliśmy. – Jego słowa sprawiają, że brakuje mi tchu, ale on niewzruszenie ciągnie dalej, niewybrednym językiem: – Zatem, jeśli chcesz mieć z nim przyszłość, powinnaś siedzieć cicho.

Marszczę brwi.

– Nie rozumiem. Myślałam, że się dowiedział...

– Nie, nic nie wie – mówi Ashton, kręcąc głową.

– Nic a nic?

Ashton cofa się o krok, przesuwając dłonie wzdłuż moich bioder, ud, ściskając je delikatnie, by w końcu oprzeć je na moich

kolanach.

– Nic.

Jego dotyk wywołuje na mojej skórze dziwne ciepło, ale zaciskam zęby, skupiając się na odpowiedzi.

– Cóż, więc dlaczego jestem „sławną Irlandką”?

– Och. – Opuszcza głowę i chichocze. Gdy unosi głowę i na mnie patrzy, myśli o jakiejś zabawnej scenie. – Ponieważ nigdy wcześniej nikt mnie tak nie sprowokował. – Widząc moje niezrozumienie, dodaje: – Tatuaż. Na moim tyłku.

Czuję, jak moje policzki oblewa rumieniec, ale ciekawość powoduje, że szybko się skupiam.

– To dlaczego go zrobiłeś?

Ashton odzywa się ponownie, miękkim głosem:

– Miałem swoje powody. – Sposób, w jaki patrzy mi w oczy, jakby skrywał tajemnicę, sprawia, że natychmiast zasycha mi w gardle. – I proszę cię teraz, ponownie, byś nic nikomu nie mówiła. Dla dobra Dany. Nie musi cierpieć.

W sposobie, w jaki wypowiada jej imię, natychmiast odczytuję szacunek. Troszczy się o nią. Być może był równie pijany jak ja...

– Nie powinieneś jej jednak powiedzieć? Chodzi mi o to, że to... – Przerywam, szukając właściwego słowa. Podłe, złe, niewłaściwe...

– Skomplikowane – warczy. – I nie jest twoją sprawą. A jeśli nie chcesz trzymać buzi na kłódkę ze względu na Danę, zrób to ze względu na Connora. Jeśli planujesz z nim coś więcej. – Podchodzi do drzwi, otwiera je i wychodzi. Przystaje jednak. – Jeszcze jedno... – Spogląda przez ramię, a mi ściska się żołądek. – Przekaż Reagan, że ją zabiję. – Z tymi słowami schodzi po schodach.

– Nie zabijesz, bo ja zrobię to pierwsza – mamroczę do czerwonej twarzy odbijającej się w lustrze.

* * *

– Nie mogłam ci powiedzieć – jęczy Reagan, tłumacząc się z wielkimi oczami przestraszonego jelonka. – Nigdy byś nie

przyszła!

– Nieprawda! – mamroczę z uporem. Jednak ma rację. Nie poszłabym. I nie czekałabym na tarasie na słodkiego, niczego niepodejrzewającego Connora, aż przyniesie mi Jacka Daniel'sa z colą. Dzięki moim zszarganym nerwom, to mój trzeci drink dzisiaj. – A co z Daną? – syczę. – Nie sądzisz, że powinnam ją ostrzec?

Reagan chowa głowę w ramionach.

– Nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć. Wyglądałaś, jakby miała pęknąć ci głowa od samych wrażeń tamtego wieczoru. A jeśli polubiłabyś Ashtona, wtedy...

– Nie lubię go! – wyrzucam nieco zbyt szybko.

Widzę, jak uśmiech próbuje wedrzeć się na jej wargi, ale szybko przegrywa.

– To dobrze, bo nie jesteś typem dziewczyny wskakującej wszystkim do łóżka, a on nie jest materiałem na stały związek. Najwyraźniej.

Wzdycham i mamroczę:

– Rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś mi w poprzedni weekend. Moja głowa prawdopodobnie by eksplodowała. Ale dlaczego nie uważałaś za stosowne poinformować mnie, że przestępowanie progu tego domu nie jest najlepszym pomysłem?

Ma na tyle przyzwoitości, by zawstydzić się, gdy odstawia pustą szklankę na stół.

– Prawdopodobnie powinnam to zrobić. Przepraszam. Ale kiedy powiedziałaś, że poznałaś Connora i że chciałabyś tu dzisiaj przyjść, liczyłam na to, że nie będziesz się już dłużej przejmować. Mam na myśli spotkanie z Ashtonem.

Patrzę jej w oczy.

– A jak się miałam zachować, poznając jego dziewczynę?

– Nie powinno jej być, miała wrócić do Seattle – jęczy Reagan, nakrywając twarz dłońmi. – Przepraszam, jestem paskudną przyjaciółką. I okropną współlokatorką. Po prostu niezbyt dobrze radzę sobie z nieprzyjemnymi sytuacjami.

– Ja też. Zwłaszcza z takimi, w jakie właśnie mnie wrzucono.

– Gidget! – Tylne drzwi otwierają się, wchodzi przez nie

uśmiechnięty Grant i podaje Reagan drinka. Gdy dostrzega ponury wyraz jej twarzy, odwraca się szybko i bez słowa wraca do środka. Nieomal widzę, jak ciągnie się za nim ogon winy.

– To Grant też wie o wszystkim?

– Nie puści pary z ust. Poważnie. – Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem. – Proszę, nie nienawidź mnie, Livie.

Z uporem zaciskam zęby i gapię się w mrok ogródka, rozmyślając nad tą sytuacją. Nic z tego nie jest winą Reagan. To ja nawywijałam z Ashtonem. To ja poznałam Connora i chciałam tu przyjść. To ja złoszczę się na Ashtona za to, że zdradza swoją dziewczynę. To w mojej głowie nieustannie przewijają się wspomnienia pocałunków i pieszczot. Muszę przestać o tym myśleć, o Ashtonie i zacząć koncentrować się na wspaniałym blondynie irlandzkiego pochodzenia, który jest wolny. Być może uda mi się stworzyć nieco nowych wspomnień i udowodnię doktorowi, że się myli.

– Nie nienawidzę cię, Reagan – mówię, wzdychając. – Być może zabiję cię podczas snu, ale gdy będę to robić, pomyślę o tobie czule.

Reagan głośnie wzdycha.

– Mogłabyś mnie wcześniej ostrzec? Przed śmiercią chciałabym zjeść robaka z tequili. Powinnam zrobić to dzisiaj, czy mogę poczekać?

Na wpół prychem, na wpół chichoczę, jej żart rozładowuje napięcie.

– Dlaczego Grant nazywa cię Gidget?

Kręcąc głową z powodu tego głupiego przezwiska, uśmiecha się i mówi:

– To na cześć bohaterki z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. No wiesz, *Gidget Grows Up*, *Gidget Gets Married*. Jest o niej kilka książek i filmów. Nawet serial. Najwyraźniej autor opisał dziewczynę-karzełka. Cóż... – Wskazuje na siebie i uśmiecha się znacząco. – ...dobrze, że nie mam kompleksu na punkcie wzrostu.

Cichutko śmieję się z powodu jej zaufania. To orzeźwiające.

– Muszę dopytać Ashtona, dlaczego mówi na mnie „Irlandka”. Wydaje mi się, że za każdym razem, gdy go widzę, jestem zbyt zajęta połykaniem własnego języka, niż zapytaniem o to. Myślisz, że Grant wie dlaczego?

Reagan kręci głową.

– Pytałam. Nie wie. Wie to wyłącznie Ashton.

Następuje długa chwila ciszy, podczas której Reagan pije drinka. Nie rozumiem, jak to małe ciało potrafi wlać w siebie tyle alkoholu. Po czym dziewczyna mówi:

– Connor leci na ciebie.

Rumienię się, zerkam przez ramię w stronę kuchennego okna i widzę, że stoi tam, rozmawia z Grantem i jakimś kolegą.

– Naprawdę?

Reagan przytakuje.

– O tak. To widać. Nie może oderwać od ciebie wzroku.

Pewnie wyobraża sobie, co później ci zrobi.

– Reagan! – Kręcę głową i się śmieję. Jest równie wkurzająca, jak moja siostra.

Bierze kolejny duży, głośny łyk, a moje myśli wracają do Ashtona.

– Wydaje się miła.

– Kto?

– Dziewczyna Ashtona.

– Och... – Reagan milknie, po czym mówi. – Zbyt miła jak na niego. Za każdym razem, gdy ją widzę, czuję się winna. Gdyby kiedykolwiek nauczył się trzymać go w spodniach...

– Czeka! On ją często zdradza? – *Nie tylko ze mną?*

Reagan wzrusza ramionami.

– Słyszałam to i owo. Sporo tego jest. On jest nienasycony. Jego mózg i serce to dwa odrębne byty, które nie współpracują ze sobą. Nigdy. Biedna, słodka Dana, nie ma szans, by go zaspokoić.

– Jestem pewna, że nikt nie ma – mruczę pod nosem, w duchu plasując go na pierwszym miejscu listy żigolaków.

* * *

Gdy wracamy do domu, w kuchni i przyległym jej salonie natrafiamy na kilkanaścioro nowo przybyłych osób. Pomieszczenia te znajdują się po prawej stronie, naprzeciw gawry. Jeszcze więcej ludzi stoi w ścisku pod drzwiami frontowymi.

– Dobrze się bawicie? – pyta Connor, wręczając mi drinka. – Przepraszam, że do was nie dołączyłem, ale wyglądałyście, jakbyście prowadziły poważną rozmowę.

– Bo tak było, ale... – Spoglądam na Reagan, która sunie przez pomieszczenie witając się, trącając co poniektórych i rozdając uśmiechy. Grant podąża metr za nią, ze spojrzeniem przyklejonym do tyłu jej głowy i głupkowatym uśmieszkiem malującym mu się na twarzy. Uśmiecham się w duchu, zastanawiając się, czy Reagan zdaje sobie sprawę, że Grant za nią szaleje.

– Ale co?

Dźwięk irlandzkiego akcentu Connora sprowadza mnie na ziemię, do tych pięknych, zielonych oczu i niefrasobliwego uśmiechu.

– Babskie sprawy – mówię, stukając kieliszkiem o jego kieliszek.

Uśmiesze nie opuszcza twarzy Connora, nawet, gdy chłopak przez sekundę przygląda się moim ustom, po czym unosi spojrzenie i pyta:

– Jak minęły ci pierwsze zajęcia?

Otwieram usta, by odpowiedzieć, ale w tym samym momencie rozbrzmiewa muzyka. Oboje odwracamy się i widzimy, jak Tav w kilcie unosi ręce i uderza nimi o swoją umięśnioną klatkę piersiową, przyglądając się gościom.

– Gdy siada, udaje mu się niechcący olśnić ludzi klejnotami.

Unoszę brwi.

– Niechcący?

Kręcąc głową, Connor przyznaje:

– Nie. Chodź. – Ciągnie mnie za rękę z powrotem na taras, na którym wcześniej rozmawiałam z Reagan, natychmiast zaczynam drzeć z powodu chłodnego powietrza.

Connor najwyraźniej zauważył mój mimowolny dreszcz, ponieważ obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie, zatrzymuję się więc na jego klatce piersiowej.

– Lepiej? – mruczy, pocierając dłonią moje ramię. – Dobra, teraz mi powiedz jak zajęcia.

Pozwalam sobie zatonać w ciepłe ciało Connora, poczuć zapach jego wody po goleniu – lekkiej i świeżej, z nutką lawendy. W milczeniu delectuję się tą bliskością.

Opowiadam mu o zajęciach, które miałam w czwartek i piątek, i o tych, które będę miała w przyszłym tygodniu.

Opowiadam o wolontariacie w szpitalu, o bliźniakach i ich przesłuchaniu.

– Derek i Eric są bliźniętami?

Przewracam oczami.

– Właśnie.

Connor bierze łyk piwa i natychmiast ponownie mnie obejmuje, tym razem mocniej.

– Dlaczego chcesz iść na pediatrię?

– To coś, co chciałam robić odkąd byłam dzieckiem. Nie potrafię wyobrazić sobie jakiegokolwiek innego zajęcia. – Wracają słowa doktora Staynera i natychmiast skupiam się, by o nich zapomnieć.

– To szlachetne. I słodkie – mówi Connor. Odchylam nieco głowę i czuję na czole miękki pocałunek. – I seksowne.

Przetykam ślinę i ponownie pochylam głowę, wiedząc, że policzki mam czerwone jak cegła.

– A ty? Chcesz być prawnikiem?

Connor wzrusza ramionami, delikatnie mnie ściskając.

– Pochodzę z długiej prawniczej linii. Właściwie Ashton też. To rodzinna tradycja. Twoi rodzice są lekarzami?

Kręcę głową, uśmiechając się smutno.

– Tata był dyrektorem liceum i nauczycielem matematyki, mama uczyła muzyki.

Następuje długa chwila milczenia.

– Byli?

Biorę głęboki wdech, odsuwam się od Connora na tyle, by widzieć wyraz jego twarzy.

– Tak... byli. – Upijam duży łyk drinka, po czym mówię mu wszystko, opowiadam o wypadku samochodowym, o tym, że Kacey też niemal umarła, o innych ludziach, którzy w tamtą noc stracili życie. O Trencie... O wszystkim.

W miarę mojej opowieści czuję, jak Connor zacieśnia uchwyt, kciukiem gładząc mnie po policzku, aż zamykam oczy i opieram głowę na jego klatce piersiowej, słysząc przyspieszone bicie jego serca. Czuję się bezpiecznie.

Przez całą piosenkę stoimy w tej pozycji, nie rozmawiamy, kołysząc się delikatnie w takt muzyki, aż wyraźnie pijany Tav gramoli się przez drzwi.

– Teraz cię pamiętam! – rzuca, wskazując na mnie ręką. – Chodź i pokaż mi to zdjęcie. Muszę się upewnić, że jest dobre.

– O nie... – jęczę i kulę się.

Tav daje mi kuksańca w ramię, a Connor śmieje się, niczego nie podejrzewając. W tej samej chwili chwyta mnie za rękę i prowadzi do domu.

– Chodź, pokażę ci resztę rezydencji. – Trzyma mnie blisko, gdy mijamy ludzi, przedstawia mnie kilkorgu swoim znajomym. Wydaje mi się, że niektórych pamiętam. Modłę się, by oni mnie nie pamiętali. Może to właśnie im mówiłam, że ich kocham. Bardzo, bardzo nie chcę, by przypomnieli sobie mnie z Ashtonem.

Gdy poznaję parter, Connor prowadzi mnie na piętro.

– To pokój Granta – mówi, ruchem głowy wskazując na lewo. – Naprzeciw jest pokój Tava. – Gdy przechodzimy obok łazienki, mówi: – To pomieszczenie już znasz. – Przytakuję, przygryzając dolną wargę i patrząc na drzwi, jakby łazienka zrobiła mi coś złego. Na końcu korytarza naprzeciw siebie znajduje się dwoje drzwi. – Ten jest Asha. – Na odczepnego macha ręką, a ja przez uchylone drzwi widzę wielkie łóżko z ciemnoszarą pościelą. Natychmiast wyobrażam sobie właściciela wyciągniętego na nim, jak to miało miejsce, gdy się obudził w moim akademiku, a mój żołądek się ściska.

Otwierając drzwi, przy których stoimy, Connor wprowadza mnie do przestronnego pokoju, z podwójnym łóżkiem i wielkim oknem.

– Ten jest mój – mówi, włączając małą lampkę.

Jestem w sypialni Connora. Przyprował mi tu z jakiegoś powodu? Rozglądam się przez chwilę, w końcu moje spojrzenie ląduje na łóżku. Czy on uważa, że będziemy tu dzisiaj uprawiać seks? Odchrząkuję.

– Fajny dom. – Odwracam się i zauważam, że drzwi zostały uchylone.

Connor opiera się o ścianę i przygląda mi się uważnie.

– To dom moich rodziców. Kupili go dwa lata temu, bym mógł pod koniec studiów mieszkać poza kampusem. Prawie wszyscy mieszkają w akademikach, ale nie spierałem się za bardzo, gdy mogłem się przeprowadzić. Chłopaki skorzystali z okazji i przenieśli się wraz ze mną. Niewiele płacą za mieszkanie i wyżywienie, więc im się opłaca. – Podchodzi i zakłada mi za ucho kosmyk włosów, po czym mruczy: – Spokojnie, Livie. Nie przyprował cię tutaj, mając złe intencje. – Łapie za mój podbródek. – Wyłącznie z nadzieją... – Pochyla się i jego usta powoli dotykają moich, poruszają się, jakby domagając się odpowiedzi. Czuję się bezpiecznie, przyjemnie i miło.

Co wcale nie oznacza, że nie jestem przerażona, że zrobię coś nie tak i że Connor również będzie żałował spotkania ze mną. Kiedy się odsuwa, zastanawiam się, czy po pijaku w jedną noc zdążyłam opanować podstawy. Przygryzam dolną wargę, unoszę spojrzenie i widzę, że zieleń jego tęczyówek pociemniała, a jego oczy błyszczą nieco bardziej niż normalnie.

– Ja tylko... – Marszczę brwi. – Nie mam za dużego doświadczenia.

Całując mnie delikatnie w czoło, szepcze:

– Nie szkodzi. Szczerze mówiąc, bardzo podoba mi się to, że jesteś inna. – Czy inna oznacza dziewicę? Kolejny raz całuje mnie w czoło, po czym obejmuje dłońmi moją twarz, mówiąc: – Nie spieszmy się i nie komplikujmy niczego.

Nie spieszmy się i nie komplikujmy? Co to znaczy?

– Dobrze. – Używam drinka, by odwrócić uwagę Connora, biorę bardzo duży łyk i jestem wdzięczna, że trunek pana Daniel'sa pomaga mi utrzymać spokój.

– Słyszałem, że tydzień temu zrobiłaś sobie tatuaż.

Szybka zmiana tematu byłaby mile widziana. Oczywiście jęczę i przewracam oczami.

– Najwyraźniej. A ty masz jakieś?

Connor puszcza moją twarz i przeczesuje włosy.

– Nie. Nienawidzę igieł. Ash próbuje mnie namówić, ale nieustannie odmawiam.

– Idź na imprezę z moją siostrą, a skończysz z tatuażem, czy będziesz tego chciał, czy nie – mamroczę z ironią, ale w duchu przypominam sobie tatuaże Ashtona, te, które widziałam na trzeźwo i te, które jakimś cudem zapamiętałam: ptak na wewnętrznej stronie prawego przedramienia, chińskie znaki na prawym ramieniu, symbol celtycki z lewej strony klatki piersiowej, „Irlandka” na tyłku...

I znów płoną mi policzki. *Szlag!*

– O czym myślisz?

– O niczym! Chcesz go zobaczyć? – wypalam, chcąc szybko odwrócić jego uwagę od mojej zamyślonej miny.

– Jasne. To znaczy, nie jest w jakimś dziwnym miejscu...?

– Tak, nie, to znaczy mam go na plecach, więc tak, możesz zobaczyć. – Kręcę głową sfrustrowana swoją nieporadnością, po czym odwracam się, odsuwam na bok włosy i unoszę koszulkę. – Widzisz?

– Tak. – Następuje długa chwila ciszy, gdy Connor się przygląda. Nie dotyka rysunku, więc zaczynam się zastanawiać, czy chciałby tego, czy nie. To takie różne od jaskiniowego stylu bycia Ashtona. Szybko dostrzegam, że Connor jest jego przeciwieństwem na bardzo wiele sposobów. Nie potrafię pojąć, jak mogą się przyjaźnić. – Co oznacza?

– Tak nazywał mnie tata. – Uśmiecham się smutno.

– Cóż... – Connor delikatnie bierze mnie za rękę, więc

puszczam koszulkę, która opada na swoje miejsce. Drugą ręką poprawia mi włosy, delikatnie je wygładzając, nim jego dłoń spocznie na moim ramieniu. Czuję, że się pochyla, aż jego usta znajdują się tuż przy moim uchu. – Jest piękny – szepcze ochryplym głosem, kciukami przesuwa po moich łopatkach, delikatnie je ugniatając. Z tego gestu wnioskuję, że mimo braku oczekiwań, Connor z pewnością o czymś myśli.

To chyba ta chwila, w której mój umysł powinien się wyłączyć. Powinien wyparować, gdy seksowny chłopak szepcze mi do ucha. Przynajmniej zawsze zakładałam, że coś takiego powinno się stać. Kiedy jesteś z przystojnym facetem w jego sypialni, a on szepcze ci do ucha: „Jestem napalony i cały twój”, nie szukasz drogi ucieczki. Szukasz sposobu, jak szybko zamknąć drzwi na klucz, zderzyć z niego ubranie i robić wszystkie te rzeczy, których robienie nie wymaga używania umysłu.

Problemem jednak jest to, że mój umysł ma się dobrze i mówi mi, że chcę przytulić się do klatki piersiowej Connora, by poczuć ciepło i spokój. Być może zniosłabym nawet kolejny pocałunek. Może. Chociaż, jeśli mam być ze sobą szczerą, coś mi teraz nie pasuje.

Czy to dowód na stłumienie? Może znów powinnam się upić. Być może wtedy będzie pasowało.

A może potrzebuję czasu, by przywyknąć.

A może powinnam się poddać i pójść do klasztoru.

Nagle muzyka się wzmacnia, szyby w oknach zaczynają dzwonić. Ze zrezygnowanym westchnieniem Connor bierze mnie za rękę i mamrocze:

– Przepraszam. Lepiej chodźmy na dół. Jeśli nie zainterweniuję, Tav ściągnie gliny.

Czuję ulgę, moją twarz rozciąga uśmiech zadowolenia, gdy wychodzimy z pokoju, bo wiem, że mam czas, którego potrzebuję. I nagle dostrzegam zamknięte drzwi pokoju Ashtona i wiszącą na kłamce czerwoną skarpetkę. Pamiętam, jak Reagan wspominała o „kodzie”.

– Myślałam, że Dana poleciała do domu.

Connor odwraca głowę, spoglądając na mnie przez ramię i mówi:

– Poleciała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZGRYWKI

W poniedziałkowy poranek studenci wolno wypełniają chłodną salę wykładową, gdy schodzę po schodach, kierując się ku jej przodowi. Cały pierwszy rząd jest pusty, jednak nie zwracam na to uwagi, wybieram miejsce blisko profesorskiego podium, mam ściśnięty żołądek, ponieważ przewiduję, że to będzie trudny semestr. Przez chwilę rozważam rezygnację z zajęć z literatury angielskiej, na złość doktorowi Staynerowi, ponieważ był nieugięty w tym, bym robiła rzeczy, które sama chcę robić – a nie te, których oczekują ode mnie inni – to właśnie jest sytuacja, w której on czegoś ode mnie wymaga, a ja tego nie chcę.

Wszyscy zakładają, że jestem geniuszem i dobre stopnie spadają mi z nieba, ponieważ wybrałam trudne zajęcia, takie jak matematyka czy fizyka. Prawdą jest, że łatwiej przychodzą mi z nich dobre oceny. Materiał do opanowania jest logiczny, czarny lub biały, jest prawda albo fałsz. Lubię jednoznaczne sytuacje.

Mam zamiar chodzić na przedmioty takie jak filozofia, historia, literatura angielska, chociaż... nie mają dla mnie sensu. Jeśli istnieje wzór do znalezienia poprawnej odpowiedzi, dam radę. Jednak na takich zajęciach widzę tylko stopnie słuszności i błędu, i muszę bardzo ciężko pracować, by dojść do jakichś spójnych wniosków. W końcu zawsze dostaję piątkę – nigdy nie dostałam gorszego stopnia niż piątka, z wyjątkiem zajęć sportowych – ale oceny z przedmiotów nieściśle z pewnością nie spadły mi z nieba.

Drzwi z boku katedry otwierają się i na salę wchodzi siwiejący mężczyzna ubrany w czarny golf i mający na nosie okulary w drucianych oprawkach, niosąc pod pachą stos książek oraz dokumentów, które odkłada na swoje biurko. Uśmiecham się. W końcu przynajmniej jeden element jest zgodny z moim

wyobrażeniem Princeton.

– Cześć, Irlandko.

Chodzące przeciwieństwo standardów Ligi Bluszczowej[2] zajmuje miejsce tuż obok mnie. Jego dobrze zbudowana sylwetka szczerze wypełnia przeznaczoną dla niego przestrzeń i wchodzi nieco w moją.

– Co tu robisz? – syczę. Odwracając się, widzę Ashtona w ciemnych jeansach i błękitnej koszuli. Zaczynam rozpoznawać jego typowy ubiór, niedbały, lecz bez zarzutu. Dobrze mu w takim stroju, ale na nim i cętki pantery wyglądałyby seksownie.

Siedzi prosto na krześle i rozgląda się po sali.

– To zajęcia z literatury angielskiej profesora Daltona, prawda?

– Wiem, co to za zajęcia! – odszczekuję, po czym uspokajam głos, widząc, jak profesor podnosi spojrzenie na salę. – Dlaczego tu jesteś?

– Jestem studentem, przyszedłem na zajęcia – odpowiada wolno, z ponurym wyrazem twarzy. – Niektórzy poważnie podchodzą do edukacji, Irlandko. Nie tylko imprezują.

Gapię się na niego, walcząc z ochotą, by raz jeszcze walnąć go w twarz. Ma figlarny błysk w oku, do którego teraz dołącza krzywy uśmiezek i już wiem, że Ashton zaczyna flirtować. To zachowanie z pewnością działało na mnie, gdy byłam pijana, ale teraz jestem trzeźwa i zirytowana, więc tym razem nic nie działa.

– Jesteś ze starszego rocznika.

– Wydaje się, że sporo o mnie wiesz, Irlandko.

Zaciskam zęby i po prostu patrzę na niego, czekając na odpowiedź. W końcu wzrusza ramionami, otwiera zeszyt i kilka razy klika długopisem.

– Mam dodatkowe zajęcia do zaliczenia, a tu były miejsca.

– Bzdura! – wyrywa mi się mimowolnie. Profesor podnosi wzrok znad notatek i tym razem patrzy wprost na nas, a ja czuję, jak zaczynają mi płonąć policzki. Gdy odwraca spojrzenie, znów patrzę na Ashtona.

– Spokojnie, Irlandko. Teraz przynajmniej znasz kogoś na tej

sali.

Rozglądam się, widzę same nieznajome twarze i myślę, że ma rację.

– Przypuszczam, że na każdym zajęciach masz zamiar siedzieć obok mnie, zgadza się?

– Nie wiem. Wyglądasz, jakbyś była wkurzona. Nie chcę, by profesor mnie z tobą kojarzył.

Ostentacyjnie odwracam od niego spojrzenie, czym zarabiam pogardliwe prychnięcie.

– A to, że widziałeś mój plan zajęć, oczywiście nie ma nic wspólnego z twoim wyborem? – pytam.

– Co? Myślisz, że wybrałem je ze względu na ciebie? Dlaczego miałbym to robić? – Zabawnie unosi brwi.

Dobre pytanie, ale nadal mam przeczucie: jest tutaj z mojego powodu. Nie wiem tylko dlaczego.

– A w ogóle jak się dostałeś na te zajęcia? Wydawało mi się, że lista chętnych była dość długa.

Obserwuję, jak palcami wodzi po skórzanej szerokiej bransolecie, którą ma na nadgarstku.

– Znam jedną dziewczynę z sekretariatu.

– Tę, z którą spędzałeś sobotnią noc? – wyrzucam z siebie, ponieważ obraz tej głupiej, czerwonej skarpetki nadal jawi mi się w głowie, przypominając, jak bardzo Ashton jest niepoprawny.

Milczy przez chwilę, po czym odwraca się do mnie i unosząc głowę, pyta:

– Irlandko, czyżbyś była zazdrosna?

– O co? O to, że godzinę po odwiezieniu swojej dziewczyny na lotnisko miałeś w łóżku kolejną kobietę?

– Nie miałem nikogo w łóżku – mówi w swojej obronie, wolno przeciągając językiem po dolnej wardze. Walczę z pragnieniem, by przyjrzeć się lepiej.

– Nie? – Wzdycham z ulgą. Po czym uświadamiam sobie, co zrobiłam. Dlaczego odetchnęłam?

Ashton kręci głową i klika długopisem kilka razy.

– Miałem ją przy ścianie... pod prysznicem...

Zaczynam zbierać książki, by zmienić miejsce, nim profesor zacznie wykład, ale Ashton łapie mnie za rękę.

– A jakie to ma znaczenie? I tak byłeś z Connorem w jego pokoju, prawda?

– Co? Ja... – Czuję, jak rumieniec zaczyna oblewać mi policzki. – Tylko rozmawialiśmy. – Kręcę głową. Właściwie dlaczego to istotne? To, co robi za plecami swojej dziewczyny jest ohydne, ale ma rację, to nie jest moja sprawa. W końcu dostanie to, na co zasłuży. – To nie ma znaczenia, Ashton. Tylko pomyślałam, że możesz żałować kombinowania za plecami swojej dziewczyny.

– Nigdy tego nie powiedziałem – odpowiada cicho, puszcza moją dłoń i siada prosto, gdy profesor ustawia sobie mikrofon, gotów, by zacząć wykład. – Mówiłem, że żałuję zadawania się z tobą.

Zaciskam zęby, gdy kolejny kopniak dosięga mojej dumy.

– I nawzajem – mamrocze pod nosem, licząc na to, że wyszło przekonująco, ale wcale nie czuję się przez to lepiej.

– Fajna spódniczka, Irlandko – mruczy Ashton, najwyraźniej patrząc na moje uda. Natychmiast poprawiam prostą, czarną spódnicę, żałując, że nie jest dłuższa.

Przez następną godzinę walczę, by móc skoncentrować się na wykładzie, ale słowa Ashtona mi na to nie pozwalają. Łapię urywki tego, co mówi profesor Dalton, czasem nawet udaje mi się zapisać kilka zdań. A potem dotyk na kolanie czy łokciu sprawia, że się wzdrygam. Poprawiam się na miejscu, wiercę się. Kilka razy patrzę na sąsiada, ale on wydaje się tego nie zauważać albo go to nie obchodzi. I zauważam, że nie robi notatek. Zapisał kilka linijek na stronie, ale wątpię, by miały cokolwiek wspólnego z wykładem.

Gdy zajęcia się kończą, mam ochotę wbiec po schodach. Albo wbić długopis w kolano Ashtona.

Profesor zapisuje na tablicy nasze pierwsze zadanie, a ja słyszę, jak sąsiad do mnie szepcze:

– Teraz pamiętam, dlaczego nigdy nie chciałem chodzić na te zajęcia.

– Nadal masz czas, by z nich zrezygnować – odpowiadam.

Pozorne przerażenie wykrzywia w grymas przystojną twarz Ashtona.

– I miałbym się nie cieszyć twoim towarzystwem dwa razy w tygodniu przez cały semestr? Boże, nie!

Kręcę głową z rezygnacją.

– Dobra, a teraz poważnie, Ashton, odwal się!

– Albo?

– Albo... powiem Connorowi.

– Nie, nie powiesz – mówi cicho.

– Dlaczego? Uważasz, że po tym nie będzie mnie już chciał? Mam wrażenie, że się mylisz. – Właściwie nie mam takiego wrażenia. Tak naprawdę to mam wrażenie, że Ashton ma rację. Ale też chcę mieć nad nim przewagę. Chociaż raz, do diabła!

Pochyliła się na bok, aż nasze ramiona stykają się i szepcze mi do ucha:

– Nie, dlatego że... jesteś we mnie zakochana.

Ucieka mi dziwny bulgot.

Straciłam swoją przewagę.

Serce podchodzi mi do gardła. Nie wiem, jak odpowiedzieć, ale podświadomość nakazuje mi reakcję, dlatego, żeby się bronić i dlatego, iż wiem, że on lubi mnie upokarzać. Przetykam kilkakrotnie ślinę, zanim znajduję słowa:

– Jeśli zakochanie się w tobie oznacza chęć wyrwania ci klejnotów to... – Odwracam się, by porazić go, mam nadzieję, śmiertelnym spojrzeniem. Jego twarz jest centymetry od mojej, ale się nie cofam. – ...to tak. Jestem w tobie szaleńczo zakochana.

Kacey byłaby dumna.

Nie jestem pewna, jakiej odpowiedzi się spodziewać. Nigdy wcześniej nikomu tak nie groziłam. Może powinien się wzdrygnąć, może odsunąć od dziewczyny, która grozi mu uszkodzeniem genitaliów? Zdecydowanie nie powinien mieć znów tego swojego uśmiešku. Z pewnością też nie powinien pochylać się jeszcze bliżej.

– Uwielbiam cię rozwścieczać, Irlandko. – Bierze jedną z moich książek, pisze coś po wewnętrznej stronie okładki, po czym

wkłada w nią kawałek papieru. – Właśnie sobie przypomniałem, że zaliczyłem te zajęcia trzy lata temu. Ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym. Zadzwoń, gdybyś potrzebowała korepetycji. – Z tymi słowami zamyka swój zeszyt. Odwracam się, patrząc, jak wchodzi schodami, jeszcze zanim profesor ogłasza koniec zajęć, a każda dziewczyna i co drugi chłopak na sali gapią się na niego.

Otwieram książkę, w której coś napisał. Na środku okładki znajduje się napis „Irlandka kocha Ashtona”, obwiedziony serduszkami, a pod spodem widnieje numer telefonu.

– Szlag – mamroczę. Właśnie zniszczył mi podręcznik wart dwieście dolarów, wpisując w niego to głupie przezwisko, o które nadal go nie zapytałam. Przynajmniej nie siedzi już obok mnie.

Ciekawa, co jest na małej karteczce, rozkładam ją.

Jeśli czegokolwiek żałuję, to tego, że się zakończyło. I to ja jestem zazdrosny. Okropnie.

Moje tętno wzrasta do niezdalnie wysokiego poziomu.

* * *

– Fajna spódniczka – mówi, gdy rękami przeciąga po moich nagich udach, wzniesając we mnie ogień. Stoję przed nim, a on siedzi na skraju swojego łóżka. Drzę. Palce zaciska na tyłach moich ud, niebezpiecznie blisko miejsca, gdzie nigdy nie byłam dotykana. Moje ciało odpowiada na ten dotyk. Serce bije mi bardzo szybko, oddech przyspiesza i czuję, że staję się wilgotna. Przesuwa dłonie w górę i czuję, że wsuwa mi kciuk pod majteczki. Zsuwa je, aż spadają na podłogę. Wychodzę z nich.

– Chodź do mnie. – Gestem wskazuje na kolana, więc powoli siadam na nim okrakiem, rękami obejmując go za ramiona, rozkoszując się ich budową. Unosi mi spódnicę i nagle jestem zawstydzona. – Spójrz na mnie – rozkazuje, więc się poddaję, patrząc w jego ciemne tęczę. Nie odrywam spojrzenia, nawet, gdy kładzie dłoń na moich plecach, nawet, gdy drugą wędruje w górę uda. Tracę oddech, gdy zaczyna mnie dotykać. – Patrz na mnie, Irlandko – szepcze, gdy wpycha we mnie palec, najpierw

jeden, potem drugi...

Budzę się z jękiem, książka leżąca na moim brzuchu zsuwa się i z głośnym stukotem ląduje na podłodze. *O rany boskie*. Co to do diabła było? Sen. Zdrzemnęłam się i miałam świński sen o Ashtonie. *O Boże*. Siadam i się rozglądam. Jestem sama. Dzięki Bogu jestem sama! Między udami czuję dziwny dyskomfort. To... frustracja? To o tym zawsze mówiły Storm i Kacey?

Szkoda, że nie mam czasu, by się głębiej nad tym zastanowić. Ktoś puka do drzwi. Właśnie to chyba mnie obudziło. Gdyby mi pozwolono dokończyć ten sen, czy skończyłby się seksem z Ashtonem?

Nie... Mój umysł nie wie, jak to wyczarować.

Może gdybym nie była tak rozkojarzona, spojrzałabym w lustro. To byłoby mądre. Jednak Ashton i wszystko, co ma z nim związek zmieniają mnie w przedstawiciela naczelných.

Tak po prostu otwieram więc drzwi.

– Connor! – wołam ze zbytnim entuzjazmem, a moje oczy z zaskoczenia robią się wielkie jak spodki.

Widzę, jak jego spojrzenie omiata moją sylwetkę, więc podążam tym tropem i dostrzegam, że mam na sobie spodnie od dresu i stary podkoszulek z Princeton taty, który jest na mnie dużo za duży.

– Co tu robisz? – Przeciagam palcami po włosach. Nie potrzebuję lustra, by stwierdzić, że na głowie mam siano.

Connor wchodzi do środka, z delikatnym uśmiechem na twarzy wyciąga zza pleców duży garnek pełen trawy.

– Proszę.

Pochylam głowę i ze zdziwieniem przyglądam się temu.

– Koniczyna?

– Aby przypominała ci o mnie, gdy się uczysz, jak na porządną studentkę przystało.

– Wow. – Przelykam i czuję, że się rumienię. *Tak, właśnie tym jestem, porządną studentką*. – Dziękuję. – Staram się zwolnić oddech i zachowywać się normalnie.

– Jak ci idzie na zajęciach?

– Dużo tego. Już zdążyłam zaliczyć zadanie z literatury angielskiej.

– Podoba ci się?

– To... interesujące. – Mimowolnie wkładam rękę do kieszeni i przeciągam palcami po złożonej karteczce. Jest zmięta, bo wiele razy ją rozkładałam i składałam, przeciągałam palcami po papierze, starając się zrozumieć przekaz. Próbując pojąć moją reakcję na te słowa i to, dlaczego chce mi się śmiać, kiedy powinnam się złościć. To tak jakby Ashton mówił mi, że nie żałuje tego, co się stało, a to dawało mojemu umysłowi pozwolenie na przywoływanie wspomnień tamtej nocy, przez co moje tętno niepokojąco wzrasta i sprawia, że się rumienię i nie potrafię się skupić. Nawet Reagan to zauważyła.

– Więc nie będę ci przeszkadzał. – Piszczę, gdy Connor obejmuje mnie w talii i podsadza na górne łóżko. Biorąc pod uwagę fakt, że ważę pięćdziesiąt pięć kilo, to nie jest łatwe zadanie. Nie powinnam jednak być zaskoczona, zważywszy na szerokość ramion, w których się znajduję, ubranych w koszulkę w szare pasy, jaką Connor ma dzisiaj na sobie. Nie jest tak wysoki i szeroki w klatce piersiowej jak Ashton, ale ma równie dobrze zbudowane mięśnie.

Ashton... Moje myśli zawsze uciekają w jego kierunku.

Connor zabiera dłonie z mojej talii i opiera je na moich kolanach.

– Wybieramy się jutro do *Shawshanks*. To lokalny bar. Chcesz iść?

– Jasne. – Przytakuję i się uśmiecham.

– Jesteś tego pewna? To znaczy, Tav tam będzie.

– W kilcie?

– Nie, nie wpuszczą go w tym. – Connor zanosi się śmiechem i kręci głową, przypominając sobie coś. – Cóż, przynajmniej nie ponownie.

– Jakoś zniosę Tava.

– Tak? A co z Ashtonem?

Kurczy mi się żołądek. O co mu chodzi? Co wie? Co...?

– Wiem, że po ostatniej sobotniej nocy niezbyt darzysz go sympatią. Widziałem twoją minę. No wiesz, po tym jak odwiózł Danę i... – Milknie, nie chcąc dokończyć zdania.

– Masz na myśli moment, kiedy okazał się być łajdacką świnią? – Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Może wypowiedzenie na głos czegoś złego na jego temat przypomni mi, że Ashton nie jest dobrym człowiekiem i może powinnam spalić tę karteczkę, a umysł poddać lobotomii. Przygryzam wnętrze policzka. – Przepraszam, nie to miałam dokładnie na myśli.

Connor ściska moje kolano.

– Cóż, cieszę się, że nie ślinisz się na jego widok, co najwyraźniej robi każda inna kobieta na tej planecie. Ale on nie jest złym człowiekiem. Tylko przeważnie do myślenia nie używa mózgu. – Connor wspina się na najniższy szczebelek drabiny, by być ze mną twarzą w twarz, po czym przysuwa się, by mnie pocałować. Tym razem czuję, jak wodzi językiem po mojej dolnej wardze, delikatnie znajdując sposób, by spleść go razem z moim. To niestanowczy, nienatarczywy pocałunek. Jest po prostu... miły.

– Do zobaczenia jutro, Livie – mruczy, po czym zeskakuje z drabinki, obdarowuje mnie szerokim uśmiechem, puszcza do mnie oko i wychodzi z pokoju.

Opadam na łóżko, trzymając garnek z koniczyną, zamykam oczy i myślę o Connorze. *Tak, wiem, doktorze Stayner, moi rodzice by go pokochali.* Jestem tego świadoma. Wybraliby go z kolejki stu podobnych, sugerując się samym uśmiechem. To w porządku. Jest facetem, jakiego by dla mnie chcieli.

Jest facetem, jakiego pragnie każda dziewczyna.

Słyszę bipnięcie i kliknięcie, sekundę później do pokoju wchodzi Reagan, jest zdyszana, ponieważ biegała.

– Właśnie minęłam się z Connorem, wyglądał na zadowolonego. Był tu na jednej z twoich szalonych seksualnych sesji? – żartuje między oddechami, łapiąc się za bok, jakby ją tam kłuło.

– Jest naprawdę słodki, Reagan. – Przewracam się na brzuch, brodę opieram na dłoniach. – Wiedziałaś, że jest aż tak słodki?

– Wiedziałam. Słyszałam, że dziewczyny traktuje naprawdę dobrze.

Hmm... Nie wiem dlaczego, ale z jakiegoś głupiego powodu, nie wyobrażałam sobie Connora z kimś innym. Wyobrażałam sobie Ashtona z każdą i to mnie wkurzało. Ale Connor jest wspaniały i inteligentny. Z pewnością miał dziewczyny. I, bądźmy szczerzy, z pewnością uprawiał seks. Prawdopodobnie często. Zastanawiam się, jak bardzo chce się ze mną nie spieszyć.

– Jak myślisz, ile miał dziewczyn?

– Dwie czy trzy odkąd jest tutaj. – Reagan skopuje buty. – Był sam przez cały pierwszy rok. Boże, jak ja się w nim wtedy podkochiwałam! – Na jej twarzy pojawia się grymas. – Miałam wtedy aparat na zębach i gruby tyłek. Tak właśnie się dzieje, jak jesteś niska i pulchna. Gdybym nie zaczęła biegać... Patrz! – Zdejmuje podkoszulek przez głowę i rzuca go na stertę pozostałych ciuchów leżących na podłodze. Reagan nie jest najbardziej schludną osobą na świecie. Nie przeszkadza mi to jednak. To współgra z jej nieokiełznanym charakterem. – Wiesz co, powinnaś zacząć biegać razem ze mną!

– Nie mam zbyt dobrej koordynacji – ostrzegam, marszcząc nos. – Powinnaś cię o tym poinformować.

Reagan wzrusza ramionami.

– W porządku, wiem, jak unikać wywrotek.

– Może się skuszę. Któregoś dnia. – Może polubię bieganie. Nie dowiem się, póki nie spróbuję.

Na razie mogę popracować nad uspokojeniem motyli fruujących w moim brzuchu, z powodu tego, że jutro wieczorem zobaczę Ashtona.

Nie, Connor, wcale nie uważam, że twój najlepszy przyjaciel jest atrakcyjny. Wcale a wcale.

[2] Ivy League (pol. *Liga Bluszczowa*) – stowarzyszenie ośmiu elitarnych uniwersytetów amerykańskich znajdujących się w północno-wschodniej części USA. Używa się też angielskiego określenia „The Ancient Eight” (*Starożytna Ósemka*). Nazwa pochodzi od bluszczu typowego dla starych budynków. Wszystkie uniwersytety należące do Ligi mają pewne wspólne cechy: należą do najbardziej prestiżowych uczelni w USA, znajdują się w czołówce uniwersytetów na świecie pod względem otrzymywanego wsparcia finansowego, przyciągają najzdolniejszych studentów i naukowców. Należą też do najstarszych uniwersytetów w USA. [źródło: www.szkolnictwo.pl] (przyp. tłum).

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ZAZDROŚĆ

Connora znają wszyscy. Tak mi się przynajmniej wydaje, gdy idziemy przez klub za kelnerką. Po lewej macha jakiś chłopak. Po prawej kolejny unosi rękę. Mijamy stolik, przy którym siedzą cztery dziewczyny.

– Hej Connor! – woła jedna z nich. Mój towarzysz obdarowuje je uśmiechem i uprzejmym skinieniem głowy, po czym idzie dalej. Wszystkie cztery pary oczu przenoszą na mnie spojrzenia, a ja zamieniam się w żabę z lekcji biologii w dziesiątej klasie. Nieszczęśniczkę, która poległa pod moim skalpelem. Starając się uniknąć tych spojrzeń, wpadam na Connora.

– Przepraszam – mówię cicho, ale on tylko uśmiecha się, pokazując mi swoje białe zęby. Nie przeszkadza mu to, że jestem tak blisko. On się nigdy nie przejmuje.

Atrakcyjna kelnerka wskazuje nam stolik dla sześciu osób, po czym zabiera kartkę z ręcznie napisaną informacją „rezerwacja”.

– Dzięki, Cheryl – mówi Connor.

Klepie go w ramię.

– Co mogę wam podać?

– Dla mnie Corona, a dla Livie Jack z colą. Prawda, Livie? – Przytakuję ruchem głowy, zaciskając zęby, walcząc z ochotą wykrzyczenia, że mam tylko osiemnaście lat i ten lokal z pewnością nie powinien podawać mi alkoholu. Wprawdzie mam fałszywe dokumenty, które zostawiła mi siostra, ale jestem zbyt przerażona, by ich użyć. Myślę, że zemdleję, jeśli kelnerka poprosi, żebym wyciągnęła portfel.

Ale Cheryl nie chce mnie legitymować. Kiwa głową i odchodzi, gdy nas mija, jej spojrzenie ląduje na tyłku Connora.

– Dzisiaj powinno być fajnie. Mamy miejsca w pierwszym

rzędzie, tuż przed zespołem – mówi Connor, wskazując na scenę przez nami.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, iż nie można tutaj zarezerwować stolika?

Connor pochyla głowę i ponownie mogę dostrzec jego dołeczki.

– Dajemy Cheryl wysokie napiwki, więc dba o nas. Lubi nas. – *Już ja dobrze wiem, które wasze części lubi...* Zastanawiam się, jakiego rodzaju napiwki daje jej Ashton, ale gryzę się w język, nim ucieknie mi kolejny komentarz na temat łajdackiej świni. Mimo wszystko Ashton jest najlepszym przyjacielem Connora. Ale jest też łajdacką świnią.

Rozpinam kurtkę, wieszam ją na krześle, po czym rozglądam się po *Shawshanks*. To duża, otwarta przestrzeń, pełna ciemnego drewna i witraży. Jedna ściana – ceglana – posiada wmontowane lampy oświetlające chaotycznie rozwieszane obrazy. Całą tylną ścianę zajmuje bar, do którego przymocowane jest przynajmniej dwadzieścia mosiężnych pip do rozlewania piwa. Cztery półki wypełnione alkoholem dają klientom niekończące się możliwości wybrania trunku. Ściana po drugiej stronie – tam, gdzie siedzimy – to tył sceny, przed nią znajduje się parkiet do tańca.

– Grają tu dobre zespoły – mówi Connor, zauważając moje zainteresowanie instrumentami.

– To dlatego jest tu tak tłoczno? – Wszystkie stoliki są zajęte, w przeważającej większości przez ludzi w naszym wieku.

Connor lekko wzrusza ramionami.

– Kiedy zajęcia rozpoczną się na dobre, zrobi się tutaj mniej tłoczno. Ludzie wtedy skupiają się na nauce. Ale gdzieś zawsze jest impreza, ktoś zawsze musi spuścić nieco pary. Zazwyczaj dzieje się to w klubach bractw. Dzisiaj bylibyśmy w *Tiger Inn*, ale zamknęli go, by móc naprawić wyciek na barze. Proszę. – Gestem wskazuje krzesło. – Usiądź zanim...

– ...przyjdzie Tavish! – Niesforny głos Tava rozbrzmiewa mi w uchu, a dwa szczupłe i długie ramiona obejmują mnie w talii. Podnosi mnie i okręca, mija Granta i Reagan, w końcu odstawia na

podłogę twarzą do sceny. Nim potrafię odzyskać równowagę, Tava siada na moim krześle. – ...i zajmie najlepsze miejsce w klubie! – kończy.

– Hej! – woła Connor, a ja zauważam rozdrażnienie w jego głosie i rzadki grymas malujący się na przeważnie zadowolonej twarzy.

– W porządku. Poważnie. – Ściskam ramię Connora na znak, że nie mam nic przeciwko, a Grant pochyla się, jednocześnie całuje mnie w policzek i uderza płaską dłonią Tava w głowę.

– Hej, Livie! – wita się Reagan, rozpinając kurtkę.

– Hej. Musiałyśmy się minąć w akademiku. – Przetykam nerwowo ślinę, rozglądając się pospiesznie po lokalu w poszukiwaniu Ashtona. Nie mam pojęcia, jak się powinnam przy nim zachowywać. Nawet nie wiem, jak on się będzie do mnie odnosił.

– Nie mogłam się wyrobić, więc spotkaliśmy się z Grantem i wzięliśmy taksówkę. – Reagan rzuca Grantowi tajemnicze spojrzenie, siadając obok niego.

– Ach tak? – Gryzę się w wewnętrzną stronę policzka, by nie zdradził mnie uśmiech, po czym pytam: – A jak tam na zajęciach z politologii? – Reagan jest wybredna, jeśli chodzi o zajęcia. Trzy razy pytałam o główny kierunek i trzy razy dostałam inną odpowiedź: politologia, architektura, a dwa dni temu historia muzyki. Myślę, że Reagan nie ma bladego pojęcia, co chce robić, gdy ukończy Princeton. Nie wiem, jak może spokojnie spać, gdy jest tak niezdecydowana.

– Bardzo politycznie – odpowiada sucho.

– Hmm. To ciekawe. – Ciekawe, ponieważ jedna z jej koleżanek z klasy, Barb, wsunęła pod drzwiami naszego pokoju ksero notatek dla Reagan, która była nieobecna na zajęciach. Oczywiście jest to, że Reagan kłamie, tylko nie wiem dlaczego. Domyślałam się, że ma to coś wspólnego ze szczupłym facetem siedzącym obok. Gdybym chciała się na niej odegrać za... och, za wszystko... zapytałabym ją o to na głos przy wszystkich. Ale tego nie zrobię.

– Kto dzisiaj gra? – pyta Tav, uderzając menu z drinkami o stół.

– Stary, to nie sprawi, że kelnerka przyjdzie szybciej, pokaże tylko, że jesteś burakiem – poucza go Grant, wyrywając mu z ręki menu.

Jednak najwyraźniej to działa, ponieważ kilka sekund później pojawia się Cheryl i jest gotowa przyjąć zamówienie.

– Co mogę wam podać?

Tav uśmiecha się tak szeroko, że mało mu facjata nie pęknie.

– Co mówiłeś, Grant?

– Mówiłem, że masz ładny bębenek. Powinieneś zjeść kolejną paczkę chipsów.

Uśmiech Tava nie słabnie, gdy w odpowiedzi klepie się po brzuchu. Nie ma tam nic, co przypominałoby bęben. Przyglądam się z ciekawością każdemu i biorę łyk drinka. Żaden z chłopaków nie ma nigdzie tłuszczu. Chociaż ich ciała są od siebie różne – Tav jest najniższy i najokrągły, Grant jest wysoki i szczupły, Connor jest idealnym wyważeniem pomiędzy wagą i wzrostem – jednak wszyscy są w doskonałej formie. Wyobrażam sobie, że to przez mordercze treningi taty Reagan.

– Co pijecie?

Nie podoba mi się fakt, że moje serce gubi rytm na dźwięk tego głosu. Nie lubię tego, ponieważ to natychmiast sprowadza wspomnienie jego ust na moich. Ten słodki posmak, którego nie potrafię się pozbyć – nawet, gdy Connor siedzi obok. Zakładam sobie kosmyk włosów za ucho, nieznacznie odwracam się i widzę Ashtona, który powolnym spojrzeniem omiata zgromadzonych, jedną ręką drapiąc się mimowolnie powyżej pasa. Jego koszulka unosi się na tyle, bym mogła dostrzec nisko opuszczone jeansy ukazujące mięśnie brzucha schodzące w literę V. Na wspomnienie tych samych mięśni, które widziałam dwa tygodnie temu w moim pokoju, ucieka mi westchnienie. Tyle że wtedy nie zasłaniało ich ubranie.

– Irlandko, dobrze się czujesz?

Gdy tylko słyszę to przezwisko, wiem, że zostałam

przyłapaną na gapieniu się. Znowu. Zerkam ukradkiem na Connora i wzdycham z ulgą, gdy dostrzegam, że jego uwaga skierowana jest na Granta. Odchylam głowę i widzę uśmiezek zadowolonego z siebie Ashtona.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, wsuwając do ust słomkę, biorąc długi i powolny łyk. Whiskey jest mocna, co jest dobre, ponieważ oznacza, że mrowiące ciepło szybciej popłynie przez moje ciało. A jeśli Ashton planuje tu zostać, będę potrzebowała całego mrowiącego ciepła, jakie uda mi się wypić. Stanę się też alkoholiczką, jeśli często będzie się to powtarzać.

– Ej, a właściwie dlaczego mówimy na Ciebie Irlandka? – pyta Tav, gdy Ashton w całej swej chwale siada obok mnie. Układa się wygodnie, z szeroko rozłożonymi nogami, kolanem ocierając o moje.

Dobre pytanie. Takie, na które niekoniecznie teraz muszę znać odpowiedź. Mam zamiar przełknąć drinka i odpowiedzieć, że Cleary jest irlandzkim nazwiskiem, ale Ashton wcina się, nim potrafię wydobyć z siebie słowa i donośnym głosem, którego nie mogą przegapić ludzie siedzący nawet przy sąsiednich stolikach, ogłasza:

– Bo powiedziała, że chce się pieprzyć z Irlandczykiem.

Brazowa ciecz niczym fontanna tryska z moich ust, rozlewając się po stole i lądując na ubraniach Reagan i Granta, gdy zaczynam się dusić. Modlę się o to, bym się udusiła. A jeśli to nie zadziała, modlę się, by ktoś dosypał mi do drinka uzdatniacza do rur, tym samym kończąc mój horror.

Jednak moje modły nie zostają wysłuchane, wkrótce kończę z rozpalonymi policzkami, słuchając gromkiego śmiechu Tava, niosącego się po barze. Obracam się, by się rozejrzeć i widzę, że nawet Grant i Reagan nie potrafią zachować powagi, gdy nawzajem wycierają się z płynu. Nie potrafię spojrzeć Connorowi w oczy. Nie powiedział dotąd ani słowa. Wierzy w to?

Z zębami zaciśniętymi tak mocno, iż obawiam się, że mogą popękać oraz z mordem w oczach, odwracam się do Ashtona. Jednak on nawet na mnie nie patrzy. Zajęty jest czytaniem menu. I

uśmiechaniem się, bo najwyraźniej jest z siebie dumny.

Nie wiem, czego się spodziewałam po dzisiejszym wieczorze, z pewnością nie takiego komentarza. Jeśli zaraz nie wyjdę, Connor będzie świadkiem, jak przeistaczam się w kobietą wersję Tarzana, która skoczy jego kumplowi na plecy. Przez nadal zaciśnięte zęby syczę:

– Zaraz wracam. – Odsuwam głośno skrzypiące krzesło, by uciec do łazienki.

Bezpiecznie zamknięta w kabinie, opieram czoło o zimne drzwi, wcześniej uderzając o nie kilka razy. Czy tak właśnie już będzie? Jak mam sobie z nim poradzić? Przywykłam, że siostra, Trent i Dan... drocą się ze mną, cóż, właściwie robią to wszyscy. Znęcają się nade mną, bym się zarumieniła, ponieważ zawsze czuję skrępowanie, jeśli chodzi o sprawy związane z seksem. Tylko dlaczego krew mi wrze, gdy robi to Ashton?

Może chce, bym na oczach Connora straciła panowanie? Jeśli to, co napisał, jest prawdą i jest zazdrosny o przyjaciela, to przekonanie Connora, że jestem walnięta, skutecznie by go odstraszyło. Nie... To raczej zbyt pracochłonne jak na faceta, do którego dziewczyny ustawiają się w kolejce. *Cholera!* Za dużo o tym myślę. Analizuję i analizuję, zaraz dojdę do obsesji. Z tego powodu tak długo unikałam chłopaków. Sprawiają, że człowiek wariuje.

Dlatego właśnie muszę przestać myśleć o Ashtonie i skupić się na „nie spieszymy się i nie komplikujemy” z Connorem.

Pieką mnie oczy, gdy grzebię w torebce w poszukiwaniu komórki, by napisać do siostry:

ASHTON TO DUPEK.

Jej odpowiedź jest niemal natychmiastowa.

OGROMNY DUPEK.

Odpisuję, bawiąc się, jak to mamy w zwyczaju, odkąd byliśmy dziećmi – co w sumie nadal jest dziecinnym zachowaniem, tyle że wzbogaconym o barwniejsze określenia.

OGROMNY, TRĘDOWATY DUPEK.

Dostaję odpowiedź:

OGROMNY, TRĘDOWATY DUPEK, KTÓRY NA PENISIE
GRA JAK NA BANJO.

Chichoczę, wyobrażając to sobie, po czym piszę:

OGROMNY, TRĘDOWATY DUPEK, KTÓRY NA PENISIE
GRA JAK NA BANJO I ŚPIEWA PRZY TYM OLD
MCDONALD.

Odpowiedzią jest zdjęcie – jedno z tych, na którym Ashton leży na fotelu do tatuażu, a nad nim pochyla się facet z pistoletem gotowym do pracy. Twarz Ashtona jest wykrzywiona w przesadnym grymasie.

Wybucham śmiechem i czuję, jak schodzi ze mnie napięcie. Kacey zawsze umie mnie pocieszyć. Nadal się śmiejąc i pisząc odpowiedź, słyszę, jak skrzypią główne drzwi do łazienki. Zatykam usta dłonią.

– Widziałaś, kto tam siedzi? – pyta donośny, kobiecy głos.

– Jeśli chodzi ci o Ashtona to... Jak ktokolwiek mógłby go przegapić? – odzywa się drugi głos i pomieszczenie wypełnia szum ciekącej do umywalki wody.

Nadstawiam uszu, wysyłam wiadomość do Kacey, mówiącą, że ją kocham, po czym wyciszam telefon.

– Siedzi przy stole z dwoma dziewczynami – ciągnie drugi głos.

Teraz mam pewność, że rozmawiają o moim Ashtonie. To znaczy... to nie *mój* Ashton, ale... Rumieniec wstępuje mi na policzki. Prawdopodobnie nie powinnam podsłuchiwać. Ale jest za późno; nie mogę teraz wyjść. Jestem jedną z tych siedzących z nim dziewczyn.

– No i co z tego? Ostatnim razem był tu z dziewczyną, a wyszedł ze mną – mówi wyniośle pierwszy głos, a ja wyobrażam ją sobie pochylającą się nad umywalką, by poprawić makijaż ust.

Głos jęczy dalej: – Boże, co to była za noc.

Czuję się bardzo niezręcznie. Ostatnia rzecz, jaką pragnę usłyszeć, to brudy z sypialni Ashtona. Zastanawiam się, czy ją też prześladował na zajęciach i zniszczył jej podręcznik, malując w nim serduszka i swój numer telefonu.

Jednak nie zauważając, a może mając gdzieś, że ktoś jest w kabinie, głos kontynuuje:

– Zrobiliśmy to na balkonie. Na zewnątrz. Każdy mógł nas zobaczyć! – mówi scenicznym szeptem z ekscytacją. – A znasz mnie... Jestem dość porządna... – Przewracam oczami i uświadamiam sobie, że Ashton wcale nie musiał się wysilać, by poderwać tę laskę. – Ale z nim... O mój Boże, Kiera. Robiliśmy rzeczy, o jakich nawet nie marzyłam.

Jasne, dziwko.

Ręką zasłaniam sobie usta, gdy uświadamiam sobie, jak szokująca złośliwość powstała w mojej głowie. Przez sekundę zastanawiam się, czy przypadkiem nie powiedziałam tego na głos.

Najwyraźniej jednak nie, ponieważ głos dodaje:

– Nie obchodzi mnie, z kim tu przyszedł. Dzisiaj wyjdzie ze mną.

Zamykam oczy i obejmuję się ramionami, w obawie, że kichnę, kaszlę czy zbyt głośno przesunę nogę, a one zorientują się, że ktoś jest w kabinie, po czym, gdy wrócę do stolika, zobaczą, że siedzę przy Ashtonie. I będzie dla nich jasne, że podsłuchiwałam.

Na szczęście są tu tylko po to, by poprawić makijaż i poplotkować o seksualnych zdolnościach Ashtona, więc szybko wychodzą z łazienki, pozwalając mi tym samym wyjść z kabiny i umyć ręce. I zastanowić się, czy tej tajemniczej dziewczynie powiedzie się plan. Pewnie tak. Żołądek ściska mi się na tę myśl.

– Tu jesteś. – Reagan wpada przez drzwi. Z głębokim westchnieniem klepie mnie po plecach. – Jeśli będziesz reagować w ten sposób, nigdy ci nie odpuści. Musisz zacząć mu się odgryzać.

– Wiem, Reagan, wiem. Masz rację. Po prostu nie jestem w

tym dobra. – To zastanawiające, biorąc pod uwagę fakt, że dorastałam z królową ciętej riposty. Jeśli jednak nie nauczę się go znosić, „nie spieszymy się i nie komplikujemy” z Connorem zamieni się na „uciekaj od niej szybko i daleko”.

– Potraktuj to jako żart. – Ścisła pocieszająco moje ramię i ciągnie mnie do drzwi.

Przypominam sobie o zdjęciu Ashtona, które przysłała mi Kacey. Wiem, że to dziecinada, ale wyciągam telefon i z szelmowskim uśmieszkiem podaję go koleżance.

– Rzuć na to okiem, Reagan.

Kiedy docieramy do stolika, po policzkach płyną nam łzy śmiechu. Connor odsuwa mi krzesło, a w jego zielonym spojrzeniu dostrzegam mieszaninę zdziwienia i rozbawienia.

– Co was tak śmieszy?

Jeśli wcześniejszy komentarz Ashtona dotknął Connora w jakikolwiek sposób, teraz nie ma po tym śladu.

– Nie, nic – rzucam od niechcienia, dopijając drinka i sięgając po świeżego, którego ktoś dla mnie zamówił podczas mojej nieobecności. Celowo ignoruję baczne spojrzenie Ashtona.

– Livie, pokaż mu – namawia mnie Reagan z szelmowskim uśmieszkiem, po czym dodaje: – Wiesz, co mówią o zemście...

Szczerząc zęby w uśmiechu, unoszę telefon.

Nigdy nie słyszałam aż takiego wycia, jak kiedy trzech dorosłych facetów w osobach Connora, Granta i Tava naśmiewa się ze zdjęcia. Klaszcząc w ręce, Tav krzyczy:

– Musimy to wydrukować i powiesić na ścianie! – Po czym naśladuje minę Ashtona, warcząc nisko i wskazując na swojego współlokatora, który nie ma pojęcia, co się dzieje, ponieważ celowo zasłoniłam mu zdjęcie.

Umięśnione ramię chce mi odebrać telefon, ale jestem przygotowana, blokuję wyświetlacz i chowam komórkę do kieszeni. Wkładam słomkę do ust i zaczynam siorbać drinka. Chłopaki nadal się śmieją, gdy odkładam szklaneczkę na stół i opieram dłonie na kolanach. Ryzykuję spojrzenie w kierunku Ashtona i widzę, że ma psotny błysk w oku i przygryza wnętrze

policzka. Bez wątpienia rozważa, jak się odgryźć. Częściowo jestem przerażona tym, co zaraz wyjdzie z jego ust, ponieważ z pewnością pod wpływem jego słów zwinę się w małą kulkę upokorzenia.

– Cześć, Ashton. – Spoglądam przez ramię i dostrzegam piękną Latynoskę, trzepoczącą długimi, wytuszowanymi rzęsami do Ashtona. Momentalnie rozpoznaję głos z łazienki, teraz jednak używa maksymalnie słodkiego, zmysłowego tonu.

Ashton zwleka z powitaniem gościa. Niespiesznie odwraca się, kładąc rękę na oparciu krzesła. Gdy w końcu znajduje się z nią twarzą w twarz, jego spojrzenie omiata jej krągłości.

Przewracam oczami z pragnieniem klepnięcia go w tył głowy.

– Witam? – mówi w końcu i nie potrafię stwierdzić, czy przeciągnięta końcówka oznacza „czy my się znamy?” czy może „dlaczego mi przeszkadzasz?”. Dziewczyna również musi się nad tym zastanawiać, ponieważ nerwowo oblizuje dolną, czerwoną wargę.

– Poznaliśmy się w zeszłym roku. Siedzę tam, jeśli chciałbyś później wypić ze mną drinka. – Wskazuje w lewo, uwodzicielskim ruchem odgarniając swoje czarne, długie włosy. Zauważam jednak, że jej głos staje się nieco mniej pożądlivy, jakby zdradzała ją niepewność.

Ashton wolno kiwa głową i obdarowuje ją uprzejmym uśmiechem – nie tym swoim zawadiackim – po czym mówi:

– Spoko, dzięki. – Następnie obraca się twarzą do nas. Bierze łyk drinka i sprawdza telefon.

Patrzę za siebie, obserwując, jak dziewczyna szybko odchodzi. Jej ego musi być teraz dużo mniejsze, niż kiedy tu przyszła.

Powinno być mi jej żal.

Ale nie jest. Nie chcę, żeby z nią wyszedł. Czy z kimkolwiek innym. Zatem zamiast żalu, czuję ulgę. Jest tak wielka, że wyrzucam z siebie głupotę w stylu:

– Słyszałam w łazience, jak o tobie mówiła. – Kiedy słowa

opuszczają moje usta, natychmiast ich załuję.

Dlaczego, u diabła, mu o tym powiedziałam?

– Tak? – Ashton spogląda na mnie. – Co mówiła? – Po błysku w jego oczach, wnioskuję, że ją rozpoznał i że domyśla się, o czym mogła mówić.

Biorę kolejny duży łyk. Spojrzenie Ashtona ląduje na moich ustach, a ja unoszę szklankę wyżej, żeby je zakryć. Jego uśmiech się poszerza. *Facet uwielbia mnie dręczyć. Jest tak pewny siebie, że mam go dość.* Nie mam żadnego interesu w tym, by dzielić się prawdą.

– Mówiła, że sypiała z lepszymi.

Skąd mi się to wzięło? Czy to zła bliźniaczka mojej podświadomości?

Zgaduję jednak, że to właściwa odpowiedź, ponieważ kolejna fala śmiechu przetacza się przez stolik. Tym razem Grant głośno uderza dłonią o blat, grożąc rozlaniem naszych drinków. Próbuję się nie śmiać, ale nic nie mogę na to poradzić, że szeroki, głupkowaty uśmiech rozciąga mi usta, gdy obserwuję, jak policzki Ashtona lekko czerwienieją.

W końcu. Być może umrę tego wieczoru z zażenowania, ale przynajmniej idąc na dno, pociągnę kogoś za sobą.

Nie mam pojęcia, czego się dalej spodziewać. Lśniące spojrzenie Ashtona przeważnie jest trudne do odczytania, poza oczywistym stwierdzeniem, że wróży kłopoty. Zatem, kiedy jego dłoń ląduje na moim kolanie i zaczyna przesuwać się po moim udzie – nie na tyle wysoko, by było to niestosowne, jednak na tyle, by wywołać we mnie falę żaru – zgaduję, że ta boleśnie powolna tortura ma być czymś w rodzaju wyciągnięcia mnie nagiej przed tłum gapiów.

– Zawsze wiedziałem, że masz to coś, Irlandko – to wszystko, co mówi Ashton. Po czym pochyła się do stolika i woła: – To co, Connor... myślisz, że uda ci się wypić dzisiaj kilka drinków bez nalania mi do butów?

Unoszę głowę i widzę, że na twarzy Connora maluje się zaskoczenie, jego brwi unoszą się, a policzki oblewa rumieniec.

Odchrząkuje, patrzy na mnie i mamrocze:

– To był Tav.

Tav uderza obiema dłońmi w stół.

– Nigdy nikomu nie naszczałem do butów! – wykrzykuje oburzony.

– Ach tak? A co z moimi butami? – rzuca gorzkim tonem Grant.

– Te paskudztwa z czerwonym futrem? Same się o to prosiły.

– Podczas egzaminów przez tydzień nie miałem zimowych butów, matole! Prawie zamarzęłem na śmierć!

– A mówiąc o zamarzaniu na śmierć, pamiętacie, jak w dzień wielkich regat trener w jednej z łodzi znalazł goły tyłek Connora? – przypomina Ashton, wyciągając się na krześle, ręce zaplatając na karku, po czym się uśmiecha. – Prawie wyleciałeś z osady.

– Słyszałam o tym! – woła Reagan, nakrywając dłonią usta, by zamaskować rozdziawioną buzię. – Rany, ale tata był wkurzony.

Chichoczę i spoglądam na Connora, który puszcza mi oko i mówi:

– Nie tak bardzo jak wtedy, gdy Ashtona znaleziono w Meksyku skutego kajdankami, nagiego i okradzionego przez transwestytę.

Pamiętam, żeby nikogo nie opluć, ale drink po raz drugi fontanną opuszcza moje usta.

Ashton wyciąga mi szklankę z rąk, przy czym palcami ociera o moje palce, co wywołuje przyjemne iskrzenie w moim ciele. Wydaje się, że każdy jego dotyk powoduje ten efekt.

– Niech ktoś załatwi Irlandce śliniaczek.

Kolejne dwie godziny chłopaki przerzucają się swoimi najlepszymi pijackimi opowieściami – przeważnie zawierającymi wątek obudzenia się nago w miejscu publicznym – a ja pozwalałam sobie na rozluźnienie. Myślę, że może mimo wszystko przebywanie w towarzystwie Ashtona nie jest aż takie krępujące. Do czasu, aż zespół zaczyna grać, wszyscy odczuwają działanie alkoholu, pod wpływem którego zostały wyciągnięte wszystkie

brudy – zwłaszcza brudy Connora i Ashtona. Wydaje się, że przez całą noc starali się prześcignąć w opowieściach.

Trudno rozmawiać, gdy gra zespół, więc siedzimy i słuchamy. Connor trzyma ramię na oparciu mojego krzesła, do taktu muzyki wodząc kciukiem po mojej ręce. To lokalna kapela grająca muzykę alternatywną, głównie covery, ale mają też kilka swoich kawałków. I są naprawdę dobrzy. Potrafiłabym się skupić, gdyby Ashton nie ocierał się cały czas o moje nogi. Mimo że przerzuciłam je przez kolana Connora, wydaje się, że nie mogę od niego uciec.

Gdy zespół robi pierwszą przerwę, a z głośników płynie nudna muzyka satelitarnego radia, Connor pochyla się i szepcze mi do ucha:

– Nie chcę, ale niestety muszę już iść. Jutro wcześniej rano mam zajęcia.

Zerkam na zegarek i ze zdziwieniem stwierdzam, że jest prawie północ. Kiełkuje we mnie rozczarowanie, jednak sięgam po kurtkę.

Connor zatrzymując mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Nie, nie musisz wychodzić. Baw się dobrze – mówi, jednak widzę, że nie ma tego na myśli.

Rozglądam się wokoło i widzę, że wszyscy mają pełne drinki. Ashton, skręcając w palcach kawałek papieru, rozmawia z Grantem i z Reagan. Nikt się nie zbiera.

Wydaje się, że Ashton nie ma zamiaru jeszcze wychodzić.

Małeńkie ukłucie w sercu podpowiada mi, że też jeszcze nie chcę wracać.

– Jesteś pewien? – Może ja też trochę pościemniam.

– Tak, oczywiście. – Całuje mnie w policzek, po czym wstaje, by założyć kurtkę. – Na razie wszystkim. Dopilnujcie, by Livie bezpiecznie trafiła do akademika. – Przystaje, jakby czegoś zapomniał. Widzę, jak przewraca oczami, patrząc na swojego najlepszego przyjaciela, po czym odwraca się do mnie. Łapie mnie delikatnie za podbródek i wyciska mi na ustach lekkiego buziaka. Instyktownie wiem, że Ashton to widzi i czuję mrowienie na

karku. – Tylko nie pij za dużo – szepcze mi Connor do ucha. Już mam zamiar coś odpowiedzieć, ale Connor dodaje: – Nie chcesz chyba obudzić się z kolejnym tatuażem.

Przyglądam się, jak odchodzi, bardzo świadoma tego, że brązowe spojrzenie Ashtona nadal jest do mnie przyklejone.

Poczucie dyskomfortu przepływa przeze mnie, po czym decyduję się przestać pić i nie ma to nic wspólnego z obawą przed obudzeniem się z jakimiś nowymi obrazkami na skórze. To też dobry moment, by skorzystać z toalety. Po raz pięćdziesiąty.

Spokojną piosenką zespół rozpoczyna kolejne wejście, gdy wracam do stolika. Duży parkiet do tańca przed sceną wypełniony jest ludźmi, niektórzy kołyszą się w takt muzyki, inni są tam po to, by zbliżyć się do wyglądającego niechlujnie wokalisty. Tav zajęty jest posyłaniem namiętnych uśmieszków Sun, na którą wpadłam tu dzisiaj i popełniłam błąd, przedstawiając ją reszcie. Ashton wydaje się skoncentrowany na słuchaniu muzyki, siedzi z rękami zaplecionymi na karku, na twarzy ma dziwnie spokojny uśmiech.

Widzę, jak z drugiego końca sali zbliża się do nas dziewczyna.

Puszczalska Latynoska ponownie pochodzi do naszego stolika. Jeśli wcześniej jej ego zostało zmiażdżone, szybko się odbudowało, dając impuls do ataku numer dwa. Nie mogę przestać myśleć, że Ashton musi być naprawdę dobry, skoro nokaut jak ten poprzedni, który prawdopodobnie zbiłby z tropu samego papieża, nie wystarczył, by dała sobie spokój.

Mam nadzieję, że znów ją zignoruje.

A jeśli nie?

Jest zaledwie kilka kroków od nas, zbliżając się z naprzeciwka. Nie wiem dlaczego, ale przyspieszam, by być tam przed nią, przy czym, jak zwykle, potykam się o własne nogi. Szybko odzyskuję równowagę, ale zauważam, że Ashton patrzy na mnie, obserwując moje potknięcie, które wywołuje u niego szeroki uśmiech.

– Irlandko, co ci się tak spieszy? – pyta w tym samym momencie, w którym długie paznokcie zamykają się na jego

bicepsie.

– Chodź ze mną zatańczyć, Ash – lubieżny głosik powraca. Rany, jaka ona jest pewna siebie! Żałuję, że taka nie jestem.

Wstrzymuję oddech, gdy zrozumienie błyska w oczach Ashtona. Wiem, że ją słyszał i nie chcę, aby gdziekolwiek z nią szedł. Obserwuję, jak zabiera jedną rękę zza głowy i łapie mnie za nadgarstek.

– Może kiedy indziej – rzuca przez ramię i wstaje. Nim potrafię zrozumieć, co się dzieje, Ashton przysuwa się do mnie, po czym ciągnie na parkiet. Adrenalina wybucha mi w żyłach.

Znajdujemy się w bezpiecznym miejscu, pośrodku morza ciał, więc oczekuję, że mnie puści. Ale, podobnie jak tamtego dnia w łazience, powoli mnie obraca, przyciągając przodem do siebie. Unosi moje ręce i zakłada je sobie na karku, a jego palce ześlizgują się w dół moich boków, aż do bioder.

Muzyka jest na tyle głośna, że ciężko rozmawiać. Może dlatego Ashton pochyla się tak bardzo, że jego usta ocierają się o moje ucho, gdy mówi:

– Dzięki za ratunek. – To przyprawia mnie o dreszcz. – I nie musisz być przy mnie tak spięta, Irlandko.

– Nie jestem – kłamię i nie podoba mi się to, że wzdycham, ale jeśli nie przestanie szeptać mi do ucha to... właściwie nie wiem, co zrobię.

Ashton ciągnie mnie za biodra, przysuwając mnie bliżej, przez co się rumienię – bo czuję coś, czego czuć nie powinnam.

O rany boskie!

Ashton naprawdę jest pobudzony. To takie niewłaściwe. Przesuwam dłonie, by oprzeć je płasko na jego klatce piersiowej, ale nie potrafię się od niego odsunąć, bo moje ciało reaguje na niego w ten sam sposób, jak o tym śniłam.

– Wiesz, dlaczego mówię na ciebie Irlandka?

Kręcę głową. Sądziłam, iż to dlatego, że w moim pijackim widzie ujawniłam swoje pochodzenie. Teraz coś mi mówi, że w tym przezwisku kryje się jakaś głębsza historia.

– Cóż – mówi z rozpustnym uśmiechem – przyznaj, że

mnie pragniesz, to powiem ci dlaczego.

Nieustępliwie kręcę głową i mrużę:

– Nie ma mowy. – Tamtej nocy, na parkiecie, z pewnością pozbyłam się dumy, ale nie dopuszczę, by to się powtórzyło.

Perfekcyjne usta Ashtona zaciskają się nieco, gdy patrzy na mnie w zamyśleniu. Poza oczywistym, nie mam pojęcia, o czym myśli. Po części chcę go o to zapytać, natomiast inna moja część podpowiada mi, że jestem idiotką, pakując się w to jeszcze głębiej. Dosłownie. Wtedy Ashton zaczyna wodzić kciukami po moich kościach biodrowych, sprawiając, że moje serce przyspiesza. Jestem przekonana, że powinnam pozwolić puszczalskiej Latynosce dobrać się do niego, ponieważ teraz naprawdę wpakowałam się w kłopoty.

Następne słowa Ashtona zbijają mnie z tropu.

– Connor prosił mnie, bym się postarał, żebyś mnie polubiła – mówi z lekkością, zmieniając uchwyt na moich biodrach, tak abym nie była bezpośrednio przyciśnięta do jego wzvodu, przez co znów mogę oddychać. Jego usta wykrzywają się, jakby zjadł coś kwaśnego. – On chyba bardzo cię lubi. – Wzdycha, patrząc gdzieś ponad moją głowę, po czym dodaje: – A ja jestem jego najlepszym kumplem. – Jakby sam sobie o tym przypominał.

Prawda, Connor. Przetykam ślinę. Wspomnienie o Connorze i moich uczuciach do niego, podczas gdy nadal trzymam dłonie na klatce piersiowej jego najlepszego przyjaciela, jak wielokrotnie robiłam dwa tygodnie temu, sprawia, że czuję się winna.

– Zatem? – Poważne spojrzenie ciemnych oczu spoczywa na mojej twarzy. – Jak mam to zrobić, Irlandko?

Jak ma sprawić, bym go polubiła? Jego pytanie i tak ocieka insynuacjami, ale kiedy używa tego tonu – tego, który aż iskrzy z pożądania – natychmiast zasycha mi w gardle. I dokładnie przypominam sobie, dlaczego za pierwszym razem rzuciłam się na niego. I dlaczego zaraz zrobię to ponownie.

Staram się przywołać resztki silnej woli, by się odwrócić i odejść. Z głębokim westchnieniem przesuwam dłonie na jego kark i zrównuję z nim spojrzenie. Jestem porażona. Całkowicie.

Przygryzam dolną wargę. Jego spojrzenie opada do moich ust, a jego własne rozchylają się odrobinę. Wyrzucam z siebie pierwsze słowa, które mi ślina na język przynosi:

– Może przestaniesz mnie upokarzać?

Powoli przytakuje, jakby to rozważał. Po dłuższej chwili milczenia, mówi:

– A jeśli nie chciałbym tego zrobić, a zrobiłbym to mimowolnie? Łatwo cię zdenerwować.

Trafia w sedno. Rumienię się i przewracam oczami.

– Po prostu stonuj złościwości.

Ashton przesuwając ręce trochę bardziej na moje plecy, rozkłada palce i dotyka mnie tuż nad nieprzekraczalną granicą pośladków.

– Dobra, co jeszcze? No dalej, Irlandko, podpowiedz mi coś.

W zamyśleniu przygryzam dolną wargę. Co mogę jeszcze powiedzieć? Przestań patrzeć na mnie w taki sposób? Przestań mnie tak dotykać? Przestań być taki diabelnie seksowny? Nie... Jeśli mam być szczerą, nie przeszkadza mi to teraz. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że jestem pijana.

– Oczywiście moglibyśmy pójść do twojego pokoju i...

– Ashton! – Mocno uderzam go w klatkę piersiową. –

Przestań przekraczać granicę.

– Już ją przekroczyliśmy. – Otacza mnie nagle ramionami i przyciąga mocno do siebie, aż mogę poczuć każdy jego fragment. Przez chwilę moje ciało odpowiada na niego, iskry elektryczne rozchodzą się po wszystkich moich nerwach.

W końcu mojemu umysłowi udaje się przerwać to magiczne przyciąganie. Szczypię go w ramię tak mocno, aż rozluźnia uchwyt.

Jednak nie jest gotowy, by mnie wypuścić, jego dłonie znów spoczywają na moich biodrach.

– Zdziorna. Właśnie taką cię lubię, Irlandko. I żartowałem.

– Wcale nie. Czuję, że nie żartujesz. – Odchylam głowę i unoszę jedną brew, by obdarować go porozumiewawczym spojrzeniem.

To tylko sprawia, że zaczyna się śmiać.

– Nic na to nie poradzę, Irlandko. Wzbudzasz we mnie wszystko, co najlepsze.

– To cię kręci?

– Niektóre twierdzą, że...

– Właśnie dlatego jesteś z... tyloma kobietami?

Uśmiezek rozbawienia rozciąga jego wargi.

– Dlaczego nie potrafisz tego powiedzieć, mała, słodka Irlandko? Dlaczego pieprzę się z tyloma laskami?

Czekam cierpliwie na odpowiedź, ciekawa, co tym razem mi zaserwuje.

Dziwna mina maluje się na jego twarzy.

– To dla mnie ucieczka. Pomaga zapomnieć, gdy nie chcę pamiętać o... pewnych sprawach. – Z fałszywym uśmiechem dodaje: – Myślisz, że mnie rozpracowałaś.

– Jeśli to, że jesteś nadętym, łajdackim, narcystycznym dupkiem jest tym, co myślę, to... tak. – Muszę przestać pić. Bełkot oficjalnie przejmuje nade mną kontrolę. Zaraz opowiem mu o moim zboczonym śnie.

Powoli kiwa głową.

– Gdybym nie sypiał z kim popadnie, poprawiłoby ci to nastrój?

– Cóż, z pewnością poprawiłoby nastrój twojej dziewczynie – mamrocze pod nosem.

– A jeśli nie miałbym dziewczyny?

Nawet nie zauważyłam, że moje nogi przestały się poruszać, podobnie zresztą jak jego.

– Zerwałeś... z Daną?

– A jeśli powiedziałbym, że tak? Miałoby to dla ciebie znaczenie?

Nie ufając swojemu głosowi, po prostu kręci głową. Nie. Wiem, że nie miałoby znaczenia, bo dla mnie wszystko, co go dotyczy, nadal jest nie tak.

– Ani trochę? – Spogląda na moje usta, gdy pyta łagodnie i z uczuciem, i to niemal... boli.

Moje ciało mimowolnie reaguje na niego, mocniej owijam ręce na jego karku, przyciągając go bliżej, chcąc go pocieszyć. Co dokładnie do niego czuję?

Wolna piosenka kończy się, przechodząc w szybkie tempo rockowego kawałka, jednak my nadal stoimy zwróceniem do siebie twarzami.

Wiem, że nie powinnam pytać, ale i tak to robię:

– O co chodziło w tym liściku? Dlaczego go napisałeś?

Ashton przez chwilę patrzy w dal, widzę, jak zaciska zęby. Gdy ponownie patrzy mi w oczy, w jego spojrzeniu dostrzegam rezygnację.

– Ponieważ nie jesteś dziewczyną na jedną noc, Irlandko. – Pochylając się, by pocałować mnie w policzek, szepcze: – Dla mnie jesteś dziewczyną na zawsze.

Puszcza mnie i się odwraca. Z sercem walącym w gardle, stoję i obserwuję, jak powoli podchodzi do stolika i zabiera z oparcia krzesła kurtkę.

Po czym wychodzi.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

PRZYCIĄGANIE

„Dla mnie jesteś dziewczyną na zawsze”.

Nie mogę otrząsnąć się po jego słowach. Od kiedy wydobyły się z tych perfekcyjnych ust, wiszą nade mną. Całą drogę podążają za mną, gdy wracam do pokoju podchmielona, wpełzają za mną do łóżka i zostają na całą noc, by powitać mnie z rana, kiedy tylko otwieram powieki.

Ponadto, nie mogę powstrzymać tego, jak się czuję, odkąd je wypowiedział. Jak czułam się przy nim cały wieczór. Nie potrafię nazwać tego uczucia; wiem tylko, że nie było go wcześniej. I nadal jest we mnie, nawet kiedy trzeźwieję.

Ashton Henley mnie pociąga. Proszę. Przyznałam to. Nie powiedziałam tego jemu, Reagan czy komukolwiek innemu, tylko sobie, bym nauczyła się, jak temu zaradzić. Ciągnie mnie do obiektu mojego jednorazowego pijanego wyskoku, który przy okazji zdaje się być zajęтым żigolakiem i współlokatorem, a także najlepszym przyjacielem mojego tak jakby chłopaka. Chwileczkę. Czy on jest wolny? Nie odpowiedział mi na pytanie. Jednak domyślałam się, że żigolak zawsze powie, że jest wolny, więc to dyskusyjna sprawa.

Leżąc i gapiąc się w sufit, udało mi się dojść do ładu chociaż z jedną rzeczą. Moje ciało wyraża sprzeciw wobec umysłu i serca, ponieważ picie alkoholu jest dla niego jak wbijanie noży.

Jęki Reagan wyrywają mnie z zamyślenia.

– Jack... jest zły. – Jak zwykle się nie oszczędzała, pijąc równo z Grantem, który waży przynajmniej pięćdziesiąt kilo więcej niż ona. – Czuję się jak koński zad. Nigdy już nie będę piła.

– Ostatnim razem nie mówiłaś tego samego? – przypominam jej cierpko.

– Cicho tam. Bądź dobrą współlokatorką i wesprzyj moją

autoiluzję.

Prawdę mówiąc, sama nie czuję się wcale lepiej.

– Alkohol to naprawdę wynalazek szatana, co? – Fanatycznie religijna ciotka Darla mimo wszystko może nie być aż tak nawiedzona.

– Ale musisz przyznać, że wieczór nam się udał.

– Nie musimy pić, by się dobrze bawić, Reagan.

– Gadasz jak szkolny pedagog.

Jęczę:

– Wstawaj. Chyba musimy iść na zajęcia.

– Tak... A na które?

Obracam głowę i dostrzegam, że zegarek stojący na komodzie wyświetla trzynastą.

– Cholera!

* * *

– Ciągłe jesteś na mnie zła, Livie? – pyta doktor Stayner gładkim i niewzruszonym tonem.

Kopię jakiś kamyk, spiesząc na pociąg.

– Jeszcze nie wiem. Może. – To kłamstwo. Wiem, że nie jestem zła. Jednak to wcale nie znaczy, że zanim się rozłączę, ponownie nie będę.

– Ty nie umiesz strzelać focha... – Kacey miała rację. On potrafi czytać w myślach. – To co tam u ciebie?

– Wczoraj poszłam na wagary – przyznaję, po czym dodaję suchym tonem: – To nie brzmi jak część mojego automatycznego planu, prawda?

– Hm... Ciekawe.

– Cóż... – Przewracam oczami i wyznaję: – Nie do końca tak było. Zasnęłam. To nie było celowe.

Doktor się śmieje.

– I jak się po wszystkim czujesz?

Marszczę brwi.

– Dziwnie spokojnie. – Dwadzieścia cztery godziny po mini apokalipsie, gdzie spanikowana napisałam do partnera z laberek, a

on, po przynajmniej pięciu wiadomościach, odpisał mi, że profesor w ogóle nie zauważył mojej nieobecności i że mogę pożyczyć od niego notatki, jestem dziwnie nieporuszona.

– Masz na myśli fakt, że nieobecność na zajęciach nie równa się końcowi świata? – Ponownie słyszę miękki śmiech.

Sama uśmiecham się do telefonu, pokonana jego wnioskami.

– Pewnie nie.

– Dobrze, Livie. Cieszę się, że jakoś przeżyłaś ten haniebny występ. A jak ci minął pierwszy wolontariat w szpitalu? – Wyłapuję zmianę w jego głosie. On już zna odpowiedź, ale i tak pyta. – Livie? Jesteś tam?

– Było w porządku. Dzieciaki są słodkie. Dziękuję za pomoc w dostaniu się do tego szpitala.

– Nie ma sprawy, Livie. Jestem zwolennikiem zdobywania doświadczenia, gdzie się tylko da.

– Nawet jeśli tam nie pasuję? – ripostuję, a moje słowa ociekają goryczą.

– Nigdy tego nie powiedziałem i wiesz o tym.

Następuje długa chwila ciszy, po czym wyrzucam z siebie:

– Było ciężko. – Doktor czeka cierpliwie, aż rozwinę temat. – Było ciężiej, niż myślałam, że będzie.

Doktor wydaje się dokładnie wiedzieć, o co mi chodzi.

– Tak, Livie. Złośliwemu tetrykowi takiemu jak ja też ciężko przemierzać tamtejsze korytarze. Zdawałem sobie sprawę, że tobie będzie wyjątkowo ciężko, biorąc pod uwagę twoje troskliwe usposobienie.

– Ale będzie mi coraz łatwiej, prawda? To znaczy... – Omijam kobietę stojącą na środku chodnika, zamyśloną jakby czegoś szukała. – Nie będę czuła codziennie takiego smutku, kiedy tam będę, co? Przywyknę?

– Może nigdy, Livie. Miejmy nadzieję, że kiedyś tak. Jednak, jeśli nie stanie się to dla ciebie łatwiejsze i kiedykolwiek zdecydujesz wybrać inną drogę, by pomagać dzieciom, to też będzie w porządku. Nikogo nie zawiedziesz, jeśli zmienisz zdanie.

Przygryzam wewnątrz policzka i rozważam jego słowa. Moim

zamiarem nie jest zmiana, a on nie brzmi, jakby zachęcał mnie do rezygnacji. Jestem pewna. To tak, jakby dawał mi pozwolenie na wybór. Którego nie chcę.

– A teraz opowiedz mi o tych chłopcach, którzy się za tobą uganiają.

Chłopcach? Liczba mnoga? Mrużę oczy, rozglądając się wokół, zerkając na przypadkowych przechodniów.

Muszę czekać dobre dziesięć sekund, zanim doktor przestaje się śmiać i nim mogę odpowiedzieć na jego pytanie. Wiem, o co chciałam zapytać, ale teraz, rozmawiając z nim, czuję się głupio. Powinnam zagadnąć niesławnego szarlatana od zespołu stresu pourazowego o coś tak trywialnego? Tak dziewczęcego? W słuchawce słyszę, jak doktor Stayner coś popija, czekając cierpliwie na odpowiedź.

– Po czym można poznać, że chłopak naprawdę lubi dziewczynę? To znaczy tak bardzo lubi, nie tylko... – Przełykam ślinę, a moje policzki rozgrzewają się do czerwoności. Wkrótce zacznę się krztusić własnymi słowami. – Nie tylko chce czegoś fizycznego?

Następuje dłuższa chwila ciszy.

– Zwykle można to poznać po rzeczach, które robi, a nie po tym, co mówi. I, jeśli robi te rzeczy naturalnie, nie na pokaz, wtedy wpadł po uszy.

„Dla mnie jesteś dziewczyną na zawsze”.

To tylko słowa. Proszę, doktor Stayner właśnie to potwierdził. Nie powinnam rozważać pijackich słów Ashtona, ponieważ to tylko słowa. Nie oznaczają nic prócz zaćmienia hormonalnego. Gdy to sobie uświadamiam, serce nieco mi się kurczy. Mam jednak odpowiedź, a to lepsze niż niewiedza.

Powinnam zostać z Connorem. On jest dobry.

– Dziękuję, doktorze Stayner.

– Czy chodzi o tego irlandzkiego chłopca, którego poznałaś?

– Nie... – Wzdycham. – O Ashtona.

– Ach, „Galaretkowy Rabuś”.

– Ten sam. Tak się składa, że jest najlepszym przyjacielem

Connora i jego współlokatorem.

I może ma, a może nie ma dziewczyny, ale opuszczam ten wątek. To już i tak wystarczająco skomplikowane.

– To nieźle się wpakowałaś, Livie.

Jedyną moją odpowiedzią jest niskie warknięcie na znak zgody.

– A jakbyś się czuła, gdyby ten Ashton był tobą zainteresowany? Bardziej niż fizycznym kontaktem, oczywiście.

Otwieram usta, ale uświadamiam sobie, że nie mam na to gotowej odpowiedzi.

– Nie wiem. – Szczerze, nie mam pojęcia. Ponieważ to i tak bez znaczenia. Connor jest idealny i przewidywalny. Ashtonowi stanowczo daleko do ideału. Teraz wiem, co miały na myśli Storm i Kacey nazywając kogoś „sekssem na patyku”. Taki właśnie jest Ashton. On nie jest chłopakiem na zawsze. Connor jest takim chłopakiem. Cóż, tak myślę. Jest po prostu zbyt wcześnie, by to stwierdzić.

– Przyznałaś przynajmniej sama przed sobą, że ciągnie cię do Ashtona?

Cholera! Jeśli odpowiem zgodnie z prawdą, jeszcze ciężiej będzie zaprzeczyć. To sprawi, że cała sprawa stanie się bardziej realna.

– Tak – w końcu niechętnie mamrocę. *Tak, ciągnie mnie do żigolaka, który jest przyjacielem mojego tak jakby chłopaka. Nawet mam zboczony sny z nim w roli głównej.*

– Dobrze. Cieszę się, że to już za tobą. Martwiłbym się, gdybyś miesiącami upierała się przy swoim.

Przewracam oczami z powodu wszystkowiedzącego doktora.

– Wiesz, co zrobiłbym w międzyczasie?

Krzywię się, z ciekawości oczywiście.

– Co?

– Zaplótłbym warkocze.

Mija przynajmniej pięć sekund, nim otrząsam się z szoku i pytam:

– Co?

– Chłopcy, którzy są zakochani w dziewczynie, nie potrafią się kontrolować w obliczu warkoczy.

Super. Właśnie zostałam wyśmiana przez psychiatrę. Mojego psychiatrę. Widząc stację przed sobą, sprawdzam godzinę i wiem, że zaraz nadjedzie pociąg. Ten, który zabierze mnie do dziecięcego szpitala, bym mogła się skupić na naprawdę istotnych sprawach.

Kręcę głową i mówię:

– Dziękuję za wysłuchanie, doktorze Stayner.

– Dzwon, kiedy tylko chcesz, Livie. Poważnie.

Rozłączam się, nie wiedząc czy czuję się lepiej, czy gorzej.

* * *

– A teraz wiesz, kto jest kto? – Eric stoi obok nieco bledszego Dereka. Przeciąga ręką po swojej łysej głowie. Obaj się uśmiechają.

Zaciskam usta, by powstrzymać się od śmiechu i ściągam brwi. Przesuwam wzrokiem od jednego do drugiego, palcem stukając w podbródek, jakbym głęboko nad tym myślała.

– Derek? – wskazuję na Erica.

– Ha, ha! – Eric wyciąga w górę chude ramiona, odstawiając jakiś dziwny taniec. – Nie, jestem Eric. Wygraliśmy!

Odchylam głowę i uderzam się dłonią w czoło.

– Nigdy was nie rozpoznam!

– Rano ogolili mi głowę – wyjaśnia Eric, podchodząc do mnie. – Jest super gładka. Pomacaj.

Robię, o co prosi, przesuwając palcami po meszku, który nadal mogę zobaczyć.

– Rzeczywiście gładka – zgadzam się.

Mały marszczy nos.

– Dziwnie to czuć. Ale odrosną, wiesz, Derekowi zawsze odrastają.

„Derekowi zawsze odrastają”. Ścisza mi się żołądek. Ile chemioterapii zniósł już ten biedny dzieciak?

– Z pewnością tak będzie, Eric – mówię, zmuszając się do

uśmiechu. Podchodzę do stolika i siadam. – To co chcecie dzisiaj robić?

Derek cichutko wsuwa się na miejsce obok. Jego powolne ruchy zdradzają, że nie ma tyle siły, co jego braciszek, który dopiero rozpoczął terapię zgodnie z tym, co mówiła Connie.

– Malować? – sugeruje.

– Brzmi fajnie. A co chcecie malować?

Czoło dziecka marszczy się, gdy ten intensywnie myśli.

– Kiedy będę duży, chcę zostać policjantem. Oni są silni i ratują ludzi. Mogę to namalować?

Głęboko wzdycham i się uśmiecham.

– Myślę, że to świetny pomysł.

Gdy chłopcy biorą się do malowania, rozglądam się po pokoju. Jest tu dzisiaj kilkoro innych dzieci, w tym dziewczynka cała ubrana na różowo – ma różową piżamkę, puchate różowe kapcie i różową chusteczkę zawiązaną na główce, zgaduję, że nie ma włosków. Pod pachą ma różowego misia. Ktoś – prawdopodobnie inna wolontariuszka – idzie za nią, gdy mała chodzi od zabawki do zabawki, rzucając ukradkowe spojrzenia w naszym kierunku.

– Cześć, Lola! – woła Eric, po czym pochyla się ku mnie i szepcze: – Ma prawie cztery lata. Jest spoko. Jak na dziewczynę.

– To może powinniśmy ją do nas zaprosić – mówię, unosząc brew i czekając.

Oczy Erica rozszerzają się, gdy domyśla się, co sugeruję. Nieśmiały uśmiech maluje mu się na buzi, kiedy kątem oka obserwuje dziewczynkę.

Natomiast jego brat odwraca się i miękkim głosem pyta:

– Chcesz z nami usiąść, Lola?

Eric przesiada się bliżej mnie, obraca się nieco i niczym jastrząb obserwuje, jak dziewczynka pochodzi, by usiąść na krzeselku pomiędzy braćmi.

– Pomocaj moją głowę, Lola – mówi, pochylając się i podtykając jej łysą czaszkę pod nos.

Chichocząc, mała kręci głową i krzyżuje rączki na piersi,

odsuwając się delikatnie.

Derek dla odmiany w ogóle nie uważa, by to było zabawne. Patrzy bykiem na brata.

– Przestań mówić ludziom, żeby macali twoją głowę.

– Bo co?

– Bo to dziwne. – Spojrzenie Dereka przenosi się na Lolę i jego złowroga mina natychmiast znika. – Prawda, Lola?

Mała wzrusza ramionkami, przesuwa spojrzeniem pomiędzy braćmi i nic nie mówi.

Rezygnując z prób zaimponowania Loli gładką czaszką, Eric zaczyna malować i rysuje czołg. Jego brat przesuwa kartkę papieru i kredki ku dziewczynce.

– Masz. Chcesz ze mną malować?

I wtedy to do mnie dociera. Derek podkochuje się w małej Loli. Wymieniam spojrzenie z wolontariuszką w średnim wieku, która przyprowadziła tu małą. Mruga jednym okiem, potwierdzając moje domysły.

Chłopcy i Lola malują przez ponad godzinę zużywając do tego stos papieru, rysując siebie w różnych rolach, od policjantów, przez wilkołaki, pływonurków, do gwiazd rocka, a ja przez cały ten czas nie odrywam spojrzenia od Dereka, który gapi się na Lolę, pomagając jej trzymać kredki i domalowując co trudniejsze elementy rysunku, ponieważ ona ma prawie cztery lata, a on niemal sześć.

Moje serce topnieje i pęka z bólu jednocześnie.

Godzinę później wolontariuszka przypomina Loli, że mała musi odpocząć, a Eric, który zajęty jest kolorowaniem kół wywrotki woła:

– Paa, Lola!

Natomiast Derek bierze obrazek, na którym namalował siebie jako policjanta i po cichu wręcza go Loli, żeby powiesiła go sobie koło łóżka.

Muszę się odwrócić, by dzieci nie widziały napływających mi do oczu łez.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

TEŃSKNOTA ZA DOMEM

– Możesz w to uwierzyć? – Kacey opiera podbródek na moim ramieniu, stojąc z tyłu, patrzymy razem na ocean, a nasze jednakowe śliwkowe sukienki druchen unosi lekka bryza. – Pamiętam, jak szli na pierwszą randkę. Storm była przerażona. A teraz proszę, biorą ślub i spodziewają się dziecka.

Obracamy się i widzimy oszalamiająco piękną parę, pozującą fotografowi na tle zachodu słońca. Storm jest w szóstym miesiącu ciąży, ale z wyjątkiem słodkiej wypukłości na brzuchu i gigantycznych piersi – produktu hormonów wymieszanych z silikonem – wygląda normalnie. Jak lalka Barbie.

Barbie mieszkająca z uroczą córeczką, na które natknęliśmy się, gdy tego najbardziej potrzebowałyśmy. To zabawne jak niektóre przypadkowo stworzone relacje mogą być jednocześnie tak idealne i trwałe. Gdy razem z Kacey zawitałyśmy do Miami, wylądowałyśmy w podniszczonym bloku, mieszkając drzwi w drzwi z barmanką, akrobatką i samotną matką pięciolatki w jednym – Storm i jej córeczką Mią. Powitały nas w swoim życiu bez wahania i bez warunków. Z tego powodu nigdy nie myślałam o nich jak o sąsiadkach czy znajomych.

W jakiś dziwny sposób stały się naszą rodziną.

Patrząc na niewielki tłumek zgromadzony przed naszym domem, stwierdzam, że są tu wszyscy. To największa zbieranina ludzka jaką w życiu widziałam – jest nasz poprzedni najemca, Tanner, który czuje się nieswojo trzymając pod rękę partnerkę, przez co nerwowo i nieświadomie drapie się po wystającym brzuchu; jest Cain, właściciel klubu ze striptizem, w którym Kacey i Storm kiedyś pracowały, popija drinka, patrząc na Storm i Dana, a dziwny uśmiech dumy maluje mu się na ustach; jest Ben, były ochroniarz w *Pałacu Penny*, nasz bliski przyjaciel, stoi teraz ramię

w ramię z ładną blondynką, prawniczką ze swojej nowej firmy. Muszę przyznać, że dobrze ich widzieć razem, ponieważ, odkąd skończyłam osiemnaście lat, Ben rzucał pod moim adresem dość niewybredne uwagi, chcąc się umówić na randkę.

– Chciałabym, żebyś została na dłużej – mówi cicho Kacey. – Byliśmy tak zajęci, że nie miałyśmy szansy pogadać. Mam wrażenie, że już nie wiem, co się dzieje w twoim życiu.

Bo nie wiesz, Kacey. Nic jej nie powiedziałam. Podtrzymywałam tylko jej wiedzę, że na zajęciach jest świetnie, a u mnie wszystko dobrze. Że wszystko jest super. Nie mówię jej prawdy: że mam w głowie mętlik. Podróż samolotem spędziłam na przekonywaniu samej siebie, że mi przejdzie. Że muszę przywyknąć i to wszystko. A kiedy tu będę, skupię całą swoją uwagę na Storm i Danie.

– Kacey! – Trent przykłada zwinięte w trąbkę dłonie do ust i woła moją siostrę.

– Och, muszę lecieć! – Ściska mój łokieć, a diabelski uśmiezek maluje się na jej ustach. – Wróc do domu za piętnaście minut, bo przegapisz pierwszy taniec.

Obserwuję, jak boso idzie po piasku do Trenta ubranego w smoking. Kiedy go na początku widywałam, kilka razy z rzędu wychodziłam, ponieważ nie mogłam przebywać z nim w tym samym pomieszczeniu bez obfitego pocenia się. Jednak w którymś momencie stał się niczym więcej jak zwariowaną, bratnią duszą mojej siostry. Wiem, że teraz coś kombinują. Nie wiem dokładnie, co to jest, ale po szeptach, które wyłapałam, wiem, że ma to związek z butelką szampana, srebrną obręczą, jaką Storm używała podczas występów, i żenującym filmikiem, który zmontowali ze zdjęć młodej pary.

Kacey i Trent tworzą idealny związek.

Mam nadzieję, że też się kiedyś takiego doczekam.

Odwracam się twarzą w kierunku zachodzącego słońca. I oddycham. Głęboko i powoli. Oddycham i rozkoszuję się tą idealną chwilą, tym wspaniałym dniem, odsuwając od siebie wszelkie zmartwienia i troski. Uświadamiam sobie, że to wcale nie

jest trudne. Szum fal i dźwięk śmiechu Mii, kiedy Ben goni ją po plaży, zatrzymuje mnie w miejscu.

– Jak tam studia, Livie?

Głos zaskakuje mnie i wywołuje dreszcz. Odwracam się i widzę oczy koloru kawy wpatrzone w ocean, gdy ich właściciel staje obok mnie.

– Cześć, Cain. W porządku. – Rodzina czy nie, nadal nie czuję się komfortowo w obecności byłego szefa mojej siostry. Nigdy nie zrobił niczego, co by mnie zaniepokoiło. Właściwie jest jednym z najporządniejszych mężczyzn, jakich w życiu spotkałam. Ale jest swego rodzaju zagadką. Trudno określić ile ma lat, ponieważ wygląda młodo, ale jednocześnie jest dojrzały i mądrzejszy, niż wskazywałaby na to jego powierzchowność. Kiedy Kacey go poznała, sądziła, że jest lekko po trzydziestce, ale pewnego wieczora wymknęło mu się, że ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat. To oznacza, że swój pierwszy klub ze striptizem otworzył, kiedy przekroczył dwudziestkę. Nikt nie wie, skąd wzięł pieniądze. Nikt nie wie nic o jego rodzinie, o tym skąd pochodzi. Wiemy, że czerpie duże zyski z rozebranych dziewcząt. Ale biorąc pod uwagę historię Kacey i Storm, chciał jedynie pomóc swoim pracownikom stanąć na nogi. Nigdy nie przekroczył granicy.

Chociaż większości tancerek nie przeszkadzałoby, gdyby to zrobił. Nie zdziwiłoby mnie to. Cain nie tylko dobrze wygląda; emanuje też męską pewnością siebie – jego dobrze skrojony garnitur, idealnie uczesane ciemne włosy i mocna, stawiająca włoski na karku postawa, dodają mu seksapilu. A pod tą powierzchownością? Cóż, powiedzmy, że gdy przyszedł kilka razy, by spędzić z nami trochę czasu na plaży, zauważyłam, że Trent i Dan stawali trochę bliżej swoich kobiet. Kacey twierdzi, że Cain ma ciało boksera. Ja wiem tylko, że przez jego przystojną twarz, dobrze zbudowane mięśnie oraz ciekawe tatuaże, zostałam kilkakrotnie przyłapaną na gapieniu się na niego.

– Cieszę się. Wiesz, że siostra jest dumna z twoich osiągnięć?

Ściska mi się żołądek. *Dzięki za przypomnienie...*

Wyczuwam, że patrzy na mnie i rumieniec oblewa moje policzki.

Nawet nie muszę zerkać, by wiedzieć, że mi się przygląda. Cały Cain. Możesz wyczuć, że ma na ciebie oko.

– Wszyscy jesteśmy, Livie. Wyrosłaś na niezwykłą kobietę. – Bierze łyk drinka. To prawdopodobnie koniak, wnosząc po tym, co lubi. Po czym dodaje: – Gdybyś potrzebowała pomocy, wiesz, że możesz do mnie zadzwonić, prawda? Dałem ci numer.

Odwracam się do niego i dostrzegam na jego twarzy uśmiech.

– Wiem, Cain. Dziękuję – mówię uprzejmie. Miesiąc temu, na moim przyjęciu pożegnalnym mówił to samo. Byłam wtedy zajęta wypłakiwaniem oczu wraz z nakreconą hormonami Storm. Nigdy nie skorzystałam z propozycji, ale doceniam ją.

– Kiedy wracasz na uczelnię?

– Jutro po południu – mówię z westchnieniem. Niekoniecznie jest to objaw zadowolenia. Poprzednio, gdy opuszczałam Miami, byłam smutna, ale czułam też podniecenie z powodu pójścia na studia, co pomogło mi wsiąść do samolotu. Teraz nie czuję już tej ekscytacji.

Bynajmniej nie z powodu zajęć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ZAKOCHIWANIE

– Twój ojciec co roku urządza tę imprezę? – pytam Reagan, gdy kartą kredytową płaci za taksówkę, po czym wysiadamy. Wnioskuje po dwupiętrowym domu, do którego zmierzamy, że albo trenerzy wioślarstwa w Princeton zarabiają naprawdę dobrze, albo rodzina Reagan czerpie kasę z innych źródeł. To mieszanina cegły i kamienia, ze stromym dachem i pasującymi do niego wieżyczkami. Idealnie wypielęgnowany trawnik przechodzi w ogród w stylu angielskim, a podjazd tworzy dużą pętlę przed drzwiami frontowymi. Kilkanaście samochodów jest już zaparkowanych na tym rondzie, wliczając w to białe audi Connora.

– Jak w zegarku. To impreza powitalna łamane przez „wygramy i w tym roku” łamane przez „przypilnuję wasze tyłki przez zimę”.

Idę za Reagan, obchodzimy dom dookoła i trafiamy na przepiękne podwórko. Znajduje się tam około pięćdziesięciu dobrze ubranych ludzi z drinkami w rękach, częstujących się przekąskami, które roznoszą kelnerzy. Zgromadzeni to przeważnie mężczyźni, chociaż są wśród nich kobiety. Reagan twierdzi, że to głównie osoby towarzyszące.

Instynktownie wyglądam grafitową, ołówkową spódnicę. Reagan opisywała przyjęcie jako „szykowne, lecz skromne”. Nie zabrałam ze sobą zbyt wiele eleganckiej odzieży, więc mój wybór sprowadził się do obcisłej spódnicy i fioletowej, jedwabnej bluzki bez rękawków, z głębokim wycięciem z tyłu, które, niestety, ukazuje mój nowy tatuaż. Reagan zapewniała mnie, że rodzice nie będą źle o mnie myśleć, gdy go zobaczą. Na wszelki wypadek jednak rozpuściłam swoje długie, czarne włosy.

Szybko przeszukuję wzrokiem zgromadzonych, rozglądając się za Connorem. Nie wiem, czy będzie tutaj Ashton. Myślę, że

obecność kapitana jest wymagana, ale... dobrym obyczajem jest też nie zdradzać dziewczyny, a mimo to Ashton jeszcze na to nie wpadł.

– Och Reagan, wszystko dobrze u ciebie? – Słyszymy kobiecy głos. Odwracam się i dostrzegam, że kieruje się ku nam starsza wersja Reagan. Wyciąga ku niej rękę, co wywołuje u mnie uśmiech. Są identyczne, mają tę samą figurę, wzrost i uśmiech... wszystko.

– Świetnie, mamó – mówi spokojnie Reagan, gdy matka całuje ją w policzek.

– Jak ci leci? Jak radzisz sobie na zajęciach? Wychodzisz gdzieś poza lekcjami? – wyrzuca z siebie pytania cichym głosem. Wydaje się nieco rozkojarzona, jakby nie miała zbyt wiele czasu, by rozmawiać, ale musiała wyciągnąć z córki wieści.

– Tak, mamó. Z moją współlokatorką. To Livie. – Kieruje uwagę matki na mnie.

– Och, bardzo miło mi cię poznać, Livie. Mów mi Rachel – przedstawia się z ciepłym, miłym uśmiechem. – Rany, jaka jesteś ładna. A jaka wysoka!

Ciepło zakrada mi się na policzki. Otwieram usta, by jej podziękować, ale jej uwaga ponownie koncentruje się na Reagan.

– A jak tam akademik? Wysypiasz się w tym maleńkim łóżku? Szkoda, że nie robią ich większych. One nie są przeznaczone dla ludzi!

Kiedy mówi dalej, ucieka mi prychnięcie, ale szybko nakrywam usta dłonią i udaję, że kaszlę. *Jakoś w łóżku twojej córki zmieściły się dwie osoby.*

Reagan odpowiada z szerokim uśmiechem:

– Nie jest źle. Jest wygodniej, niż przypuszczałam.

– To dobrze. Bałam się, że się nie wysypiasz.

– Mamó, wiesz, że śpię dobrze. Wczoraj rozmawialiśmy o tym. I przedwczoraj. I przed przedwczoraj... – Wytyka cierpliwie Reagan, ale wyłapuję w jej głosie nutkę irytacji.

– Wiem, kochanie. – Rachel klepie ją po ramieniu. – Muszę już iść. Katering wymaga nadzoru. – I to mówiąc, matka Reagan

rozpływa się niczym smużka dymu w powietrzu, szybko, ale z wdziękiem.

Reagan pochyla się ku mnie.

– Wybacz jej. Jestem jedynaczką, a ona jest nieco nadopiekuńcza. I jest podenerwowana. Odzwyczajamy ją od leków przeciwłękowych. – Bierze wdech i pyta: – Jesteś głodna? Jeśli tak, to możemy iść i...

– Reagan! – wcina się męski głos.

Oczy dziewczyny rozjaśniają się, gdy łapie mnie za rękę.

– Chodź, poznasz mojego tatę! – Ledwo potrafię za nią nadążyć, gdy energicznie spieszy w kierunku domu. Jest bardziej podobna do matki, niż chce to przyznać.

Zwalnia tylko, gdy Grant pojawia się znikąd, podając nam drinki.

– Moje panie – mówi z ukłonem i nim się odwraca puszcza do Reagan oko, po czym znika tak szybko, jak się pojawił.

Jeden łyk drinka podpowiada mi, że cola wymieszana jest z Jackiem, przez co odczuwam ulgę. Po dzisiejszej wizycie w szpitalu moje nerwy są napięte jak postronki.

Reagan spieszy poprzez tłum chłopaków – uśmiechając się do nich, kiedy ich mijamy – aż docieramy do zadaszzonego patio przed domem, gdzie stoi wysoki mężczyzna z nienagannie przystrzyżoną brodą i okrągłym brzuchem – jej tata, jak zakładam – stoi wraz z Connorem.

– Cześć, tatusiu! – piszczy Reagan, rzucając mu się w objęcia.

Unosi ją i śmieje się, kiedy córka całuje go w policzek.

– Cześć, córeczko.

Podchodzę do Connora, który wyciąga do mnie rękę, by mnie przytulić. Obserwując Reagan z ojcem, czuję w piersi ukłucie zazdrości.

– Wyglądasz pięknie – mruczy Connor, cmokając mnie w usta.

– Dziękuję. Ty też dobrze wyglądasz. – I tak jest rzeczywiście. Zawsze dobrze się ubiera, lecz teraz ma na sobie

eleganckie spodnie i śnieżnobiałą koszulę. Gdy uśmiecha się do mnie, powietrze powoli opuszcza moje płuca z powodu ulgi. Uświadamiam sobie, że gdy Connor jest w pobliżu, jestem mniej spięta. To chyba atmosfera, jaką tworzy. Biję od niego spokój, opanowanie, troska.

I to jest dobre.

– Jak było dziś w szpitalu?

Niezdecydowana pochylam głowę to na jedną, to na drugą stronę.

– Dobrze. Ciężko, ale dobrze.

Lekko ściska moje ramię.

– Nie przejmuj się, będzie dobrze. Świetnie sobie poradzisz.

Obdarowuję go wymuszonym uśmiechem i odwracam się w kierunku Reagan i jej ojca, zadowolona, że ktoś we mnie wierzy.

– Jak tam pierwszy miesiąc na studiach? Mam nadzieję, że nie za bardzo dziki – pyta tata Reagan.

– Nie. Współlokatorka mnie pilnuje. – Reagan odwraca się, by wskazać na mnie. – To Livie Cleary, tatusiu.

Mężczyzna odwraca się, by przyjrzeć mi się niebieskimi oczyma.

– Witam, Livie. Jestem Robert.

– Dzień dobry panu... to znaczy Robert. Jestem Livie Cleary – mamrocę bez składu. Ucieka mi nerwowy chichot, po czym kręcę głową. – Przepraszam, Reagan właśnie to powiedziała.

Robert też się śmieje. Widzę, jak jego spojrzenie skupia się na czymś za mną.

– O, dziękuję – mówi, sięgając po drinka.

Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna staje przy Robercie. Mężczyzna, który ma niesamowicie długie rzęsy i przenikliwe, brązowe spojrzenie, sprawiające, że moje serce gubi rytm.

– Proszę bardzo – mówi z grzecznością.

Ashton zawsze jest boski, nawet w najzwyczajniejszym ubraniu. Jednak dzisiaj najwyraźniej postanowił dostosować się do wymogów trenera, co do stroju. Włosy uczesał w grzeczną fryzurę, ale nadal wyglądają seksownie. Zamiast jeansów i tramppek ma na

sobie spodnie od garnituru i eleganckie buty. Zamiast podkoszulka ma ciemnoniebieską koszulę, która jest doskonale dopasowana. Jednak, kiedy upija drinka, widzę wyglądającą spod mankietu koszuli skórzaną bransoletę na nadgarstku. To jedyna rzecz, która przypomina Ashtona, jakiego znam. Wygląda jak z okładki żurnala.

I nie wiem, czy dlatego, że jego wizerunek uległ transformacji, czy dlatego, że w końcu zaakceptowałam to jego przyciąganie, ale dyskomfort, jaki zawsze przy nim czułam, zaczyna zanikać albo przekształca się w coś zupełnie innego i nie tak nieprzyjemnego. Choć to nadal całkowicie rozpraszające.

Przyjemny głos Roberta przerywa moje myśli.

– Czuję to, chłopcy. Wygramy w tym roku. – Wielką dłonią klepie kapitana po plecach.

Ashton odpowiada szczerym uśmiechem, pełnym szacunku. Takim, jakiego u niego jeszcze nie widziałam.

Odwracając się do mnie, Robert mówi:

– Cóż, Livie, razem z moją córką jesteście świeżynkami w Princeton.

Krzyżuję spojrzenie z Ashtonem, nim przenoszę uwagę na Roberta, a moje serce nieco przyspiesza.

– Tak, proszę pana – mówię, odchrząkując.

– I jak ci się do tej pory podoba? – Jego spojrzenie spoczywa na mojej talii. Właśnie wtedy przypominam sobie, że Connor stoi za mną i obejmuje mnie w pasie. – Mam nadzieję, że żaden z tych nicponi nie zawraca ci w głowie.

Nieśmiało uśmiecham się do Connora, który odwzajemnia mój uśmiech.

– Żadnych nicponi – odpowiadam, wypijając ostatni łyk ze szklanki. Jakim cudem tak szybko skończyłam drinka?

Mimowolnie zerkam na Ashtona i stwierdzam, że spogląda na moją klatkę piersiową. Natychmiast krzyżuję ręce na piersiach, co wywołuje jego uśmiech, po czym unosi szklaneczkę do ust.

Dobra, być może jest jeden nicpoń.

– To dobrze. To są świetni młodzi mężczyźni – mówi Robert,

potwierdzając to skinieniem głowy, po czym słyszymy wrzawę, gdy Tav wkracza na przyjęcie w kilcie, a Robert dodaje: – Może czasami są nieokrzesani, ale to przecież studenci. Prawda, Grant?

Przysięgam, że Grant albo ma radar wykrywający puste drinki, albo obserwował nas uważnie jak jastrząb, ponieważ nagle pojawia się za nami i wręcza mi i Reagan Jacka z colą.

– Prawda, trenerze.

– Nie ma alkoholu w tym napoju, prawda Cleaver? – Szerokie brwi trenera unoszą się do połowy czoła przy tym pytaniu.

– Ani kropelki – odpowiada Grant, jego głupkowaty uśmiezek zastępuje maska szczerości.

– Oczywiście, że nie ma, tatusiu – potwierdza słodkim głosem Reagan.

Robert patrzy na swoją córeczkę, która w roli niewinnej uczennicy jest bardziej wiarygodna niż niejedna dziewczyna, która naprawdę nią jest. Bardziej niż... no cóż, ja. Nie wiem, czy ojciec jej wierzy. Wszystko, co musiałby zrobić, to pochylić się i powąchać jej szklanekę, w której więcej jest whiskey niż coli. Ale tego nie robi.

– Jaki wybrałaś główny kierunek, Livie?

– Biologię molekularną.

Po sposobie, w jaki unosi brwi, można powiedzieć, że jest pod wrażeniem.

– Livie wybiera się na pediatrię – z dumą ogłasza Connor.

– To dobry wybór. A co skłoniło cię, by uczęszczać do Princeton?

– Mój tata uczył się tutaj – odpowiadam z łatwością.

Odpowiedź dobra, jak każda inna. Właściwie bez trudu dostałabym się do Yale czy na Harvard. Biorąc pod uwagę moją średnią z liceum, nie miałabym problemu z zakwalifikowaniem się tam. Ale nigdy nie miałam wątpliwości, gdzie chcę iść.

Robert kiwa głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi. Podejrzewam, że często to słyszy. Nie jest niczym niezwykłym, że kilka pokoleń uczęszcza na tę samą uczelnię.

Jego czoło marszczy się, zastanawiając się nad tym.

– A w którym roku zaczął?

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim.

– Hm... zaczynałem rok wcześniej. – W głębokim zamyśleniu pociera brodę. – Mówiłaś, że jak się nazywałeś?

– Cleary.

– Cleary... Cleary... – Robert powtarza to w koło, jednocześnie pocierając brodę, i jestem pewna, że przeszukuje zakamarki umysłu. Biorę duży łyk i przyglądam mu się. Nie ma szans, by znał mojego ojca, ale fajnie, że się stara.

– Miles Cleary?

Krztuszę się napojem, a oczy rozszerzają mi się z niedowierzania.

Robert wydaje się być z siebie dumny.

– No i co powiecie?

– Poważnie? Znaliście się? To znaczy... – Próbuję opanować swoją ekscytację.

– Tak. – Powoli przytakuje, jakby wspomnienia właśnie przelatywały przez jego umysł. – Tak, znałem go. Obaj byliśmy członkami *Tiger Inn*. Spotykaliśmy się często na tych samych imprezach. Irlandczyk, prawda?

Kiwam głową.

– Przyjazny, wyluzowany. – Robert śmieje się lekko i na jego twarzy widzę, jak sobie o czymś przypomina. – Przez krótki czas uganiał się za tą samą dziewczyną. – Ucieka mu kolejny chichot, tym razem jego policzki różowieją z powodu kolejnego wspomnienia. Takiego, o którym jestem pewna, że nie chcę słyszeć. – Poznał wtedy tę piękną, czarnowłosą dziewczynę i już się tak często nie widywaliśmy. – Jego spojrzenie zwęża się odrobinę, gdy wpatruje się w moją twarz, studiując moje rysy. – Wyglądała jak ty, stąd wnioskuję, że się z nią ożenił. Jesteś do niej bardzo podobna.

Uśmiecham się i przytakuję, przez chwilę patrząc pod nogi.

– To super, Livie – piszczy Reagan, a jej oczy rozszerzają się z podniecenia. – Powinniśmy ich zaprosić, gdy następnym razem

przyjadą.

Robert już kiwa głową, zgadzając się z córką.

– Tak, z chęcią ponownie spotkam się z Milesem.

– Yyy... – Tak po prostu moja bańka ekscytacji zostaje przebita szpilą rzeczywistości. Tak, też bym się cieszyła, gdybym mogła zobaczyć tatę i Roberta razem. Gdyby rodzice mogli mnie odwiedzić. Gdybym mogła patrzeć, jak mój tata się cieszy. Ale to się nie stanie. Nigdy. Czuję, jak Connor mnie ściska, przyciągając nieco do siebie. Tylko on wie. Za moment inni też się dowiedzą. – Właściwie to moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy miałam jedenaście lat.

Wszyscy mają „standardową minę”, jaką mają ludzie, gdy dowiadują się o czymś takim. Szok wywołujący bladość i lekkie zmarszczenie czoła. Zazwyczaj po tym następuje pojedyncze proste skinienie głowy. Widywałam to już tysiące razy. Dodatkowo na twarzy Roberta maluje się pytanie „dlaczego nie wiedziałaś czegoś takiego o swojej współlokatorce”, gdy patrzy na córkę. Ale to nie jej wina. Nie zatajałam tego przed nią. Tylko nie nadarzyła się sposobność w rozmowie, żeby jej o tym powiedzieć.

– Przykro mi... przykro mi to słyszeć, Livie – mówi smutnym tonem.

Staram się go pocieszyć łagodnym uśmiechem i delikatnymi słowami:

– Jest w porządku. To było dawno temu. Teraz jest... dobrze.

– Cóż... – Następuje długa chwila ciszy, która jest powodem, dla którego unikam dzielenia się osobistymi przeżyciami z grupą ludzi. Po czym Grant, który nadal tu jest, ratuje sytuację i podrzuca temat nadchodzących regat, uwalniając mnie tym samym od bycia w centrum uwagi.

Kiedy już mogę, spoglądam na Ashtona, pierwszy raz odkąd wypłynęła sprawa moich zmarłych rodziców. Spodziewam się standardowej miny. Ale jej nie dostrzegam. Nasze spojrzenia krzyżują się i w jego oczach widzę osobliwy wyraz lekkości. Delikatny uśmiech wykrzywia kąciki jego ust.

Nie ma lepszego słowa mogącego opisać jego wyraz twarzy

niż...

Spokój.

* * *

– I o to, to całe zamieszanie?

Uśmiechając się z dumą, Connor ściska moją dłoń, gdy idziemy Prospect Avenue – zwaną przez wszystkich w Princeton „Ulicą” – i wchodzimy do rozległego budynku w stylu tudorowskim, z brązowymi belkami zdobiącymi front. Jest czwartkowy wieczór. Kolejka wije się przed wejściem, ale Connor wyciąga kartę członkowską i wchodzimy bez problemu.

Otwiera dla mnie ciężkie drzwi, bym mogła przejść i teatralnym gestem zaprasza do środka.

– Witaj w najlepszym klubie bractwa!

Natychmiast uderzają we mnie dźwięki muzyki i śmiechu.

– Mówicie tak pewnie o każdym ze swoich klubów – drażnię się z nim, przyglądając się antycznym meblom i ścianom od podłogi do sufitu wyłożonym ciemnym drewnem. W ostatnią sobotę, po tym jak Robert potwierdził, że mój ojciec był członkiem tego klubu, Connor zobowiązał się mnie oprowadzić. Od tamtej chwili byłam zdenerwowana. – Fajnie tu. – Oddycham głęboko, jakby fakt, że kiedyś Miles Cleary przechadzał się w tych murach, dziwnie mi pomagał.

– Jeszcze nic nie widziałaś. – Connor uśmiecha się i wyciąga rękę. – Przewodnik do usług.

Connor oprowadza mnie po piętrach rozbudowanego i odrestaurowanego klubu, zatrzymując się na dłużej w jadalni, bibliotece i w salonie na piętrze. Na końcu zabiera mnie do piwnicy – dużej, słabo oświetlonej przestrzeni zwanej „Knajpą”.

– Teraz nie jest tu jeszcze tak źle – mówi Connor, ściskając moją dłoń, gdy schodzimy schodami. – Koło północy nie będzie miejsca, by się ruszyć. To najlepsza i największa knajpa w Princeton. – Uśmiecha się i dodaje: – I nie mówię tego tylko dlatego, że jestem członkiem.

– Nie wątpię – mruczę, wchodząc do środka. Mnóstwo

śmiejących się studentów obu płci stoi z piwami w rękach. Niektórzy z nich mają na sobie karnawałowe maski i miecze. Connor mówi, że prawdopodobnie wcześniej byli na jakiejś imprezie tematycznej. Jedyne meble, które dostrzegam, to zielono-białe stoły z logo klubu. Jakoś nie jestem zaskoczona, kiedy przy jednym z nich dostrzegam Tava, krzyczącego do kogoś, kto nalewa piwo do plastikowych kubków, ustawionych w dwie piramidy, na przeciwległych krańcach stołu.

– Cześć, stary. – Tav wolną ręką klepie Connora po plecach. Pochylając głowę w moją stronę, zaczyna z fałszywym szkockim akcentem: – Irlandka! – Zaczynam się śmiać. Jest coś w Tawie, co sprawia, że czuję się dobrze w jego obecności. Jest nieokrzesany, głośny, a czasami wręcz perwersyjny, ale nic nie mogę na to poradzić, że go lubię. Z pewnością dobrze dogadywałby się z Kacey. Może właśnie dlatego czuję się przy nim komfortowo. W jakiś dziwny sposób psotami przypomina mi o domu.

Connor ściska rękę Tava.

– Przeważnie przychodzimy tu zjeść, ale Tav praktycznie tu mieszka. Jest członkiem straży pilnującej porządku. Prawdopodobnie dlatego to miejsce jest takie dzikie. Nie wiem, jak on zalicza poszczególne zajęcia.

Wskazując brodą podręcznik leżący nieopodal na stole, Tav przybiera zakłopotaną minę.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Tutaj uczy mi się najlepiej. – Odstawiając pusty dzbanek na podłogę, Tav wyciąga dwie piłeczki do ping-ponga. – Gotowi?

Connor wzrusza ramionami, patrząc na mnie.

– Grasz?

Przyglądając się ponownie stołowi i piłeczkom, pytam:

– Co to za gra... piw-pong?

Tav unosi swój kubek z uśmiechem pełnym zgorszenia.

– Bejrutowa dziewczyna! Uwielbiam takie. – Wskazuje na mnie palcem. – Nigdy nie nazywaj tego piw--pongiem i nie wymiguj się przed grą w bejrut, inaczej wykopię ten twój śliczny tyłeczek przez drzwi!

– Dlaczego mam przeczucie, że mam przerąbane? – mamrocę, zerkając na te wszystkie kubki wypełnione piwem. Wiem też, że groźby Tava nie są prawdziwe, chociaż próba dezercji skończy się upokorzeniem na oczach całego klubu.

– Szalony Szkot – przeklina Connor pod nosem, ale jego oczy błyszczą. Obejmując mnie w talii, zaczyna chichotać:

– Nie martw się. Dobry jestem w te klocki. Ze mną jesteś bezpieczna.

Ściskam lekko jego rękę, zanim mnie puszcza i odczuwam ulgę. Wiem, że jestem z Connorem bezpieczna. Gdybym była z Ashtonem, byłaby to zupełnie inna sytuacja. Pewnie zrobiłby wszystko, żeby mnie upić. Tak czy inaczej, zamierzam robić najmniejsze łycki świata.

– To jak gramy, dwójkami? Tav, kogo wybierasz na partnera? – pyta Connor.

– A jak myślisz? – Słyszę dźwięczną odpowiedź, tuż przed tym, jak zauważam miodowy kucyk i uśmiech.

– Reagan! Dzięki Bogu. Uratuj mnie.

– Nie mogę, współlokatorko. – Klepie mnie pocieszająco po plecach, drugą ręką odbiera kubek od Granta i puszcza mu oko. Jestem podekscytowana, widząc tu dziś Reagan. Od ostatniej rozmowy na imprezie jej taty, nie miałyśmy okazji za wiele porozmawiać. Być może jest zła, że nie powiedziałam jej o rodzicach. Nie potrafię stwierdzić, czy się dąsa czy nie. Chociaż dzisiaj wydaje się normalnie zachowywać, więc się cieszę.

Są tu wszyscy z wyjątkiem... Zakładając kosmyk za ucho, rozglądam się po pomieszczeniu, dyskretnie szukając w tłumie wysokiej, ciemnowłosej postaci.

– Ma jutro duży test – mówi cicho Reagan, uśmiechając się. – Nie przyjdzie.

– Och. – Zostawiam to tak, chociaż nie udaje mi się zignorować wewnętrznego rozczarowania. A potem karcę się w duchu. Przyszłam tu z Connorem. *Connor. Connor.* Ile razy będę musiała powtórzyć to imię, zanim zapamiętam?

– Dobra, Gidget! – woła Tav. – Chodź tutaj. Connor i

dziewica dzisiaj polegna!

Głowy wszystkich odwracają się w moją stronę, a moje policzki natychmiast robią się czerwone.

– Nigdy wcześniej w to nie grałam! – wyjaśniam głośno, chociaż Tav nie mylił się w swojej uwadze.

– Ludzie, zaczynamy – ogłasza Tav i wyrzuca w górę monetę.

Wygrywają pierwszeństwo, a wokół stołu szybko zbierają się gapie. Najwyraźniej bejrut jest sportem widowiskowym. Wkrótce orientuję się, iż to dlatego, że aby oglądać, trzeba się upić. I to szybko.

Connor wyjaśnia mi podstawowe reguły – jeśli przeciwnik trafi piłeczką do kubka lub nie trafisz w ich kubki, pijesz. Cóż, mam z tymi regułami dwa problemy: po pierwsze, nasi przeciwnicy są naprawdę dobrzy, a po drugie, ja jestem wybitnie kiepska.

Nawet przy talencie Connora do trafiania, nie trzeba wiele czasu, by Tav i Reagan wysunęli się na prowadzenie. A kiedy alkohol rozłazi mi się po kończynach, mam jeszcze gorszego celu, nie trafiam, aż ludzie zaczynają odsuwać się od stołu, by uniknąć uderzenia piłeczką, gdy przychodzi moja kolej.

– Praktyka wcale nie czyni mistrza, co? – drażni się ze mną Connor, obejmując mnie w talii.

W odpowiedzi pokazuję mu język i zerkam na muskularne ramię Connora i doskonale ukształtowany tyłek odziany w rzadko spotykane u niego jeansy, gdy przygląda się stołowi, a na jego twarzy maluje się skupienie. Wygląda, jakby intensywnie myślał. To seksowne. Na tyle że jestem rozdrażniona, gdy ładna blondynka opiera rękę na jego ramieniu.

– Hej, Connor. – Uśmiecha się, niewątpliwie flirtując.

– Hej, Julia. – Pokazuje jej dołeczki, ale prawie natychmiast wraca do gry, myśląc nad rzutem, w którym mu przerwała. Jest to dość oczywisty gest, chociaż bardziej dla mnie niż dla Julii, która wydaje się być zbita z tropu.

Do czasu, aż trafiamy do ostatniego kubka – oczywiście Tav i

Reagan wygrywają – mam dość tej gry. Piję, gdy Grant – samozwańczy sędzia – krzyczy, by podali mi więcej piwa. Wtedy Connor pochyla się i szepcze mi do ucha:

– Jesteś wstawiona. Myślę, że musisz zaczerpnąć świeżego powietrza. Chodź. – Obejmując mnie ramieniem w talii, częściowo z troski, a częściowo z chęci przytulenia się, Connor prowadzi mnie po schodach do wyjścia.

– O, jak dobrze. – Wdycham chłodne powietrze w cichym zaułku.

– Tak, na dole robiło się gorąco – mruczy Connor, odsuwając mi włosy z twarzy. – Dobrze się bawisz?

Jestem pewna, że mój uśmiech mówi sam za siebie, ale i tak odpowiadam:

– To naprawdę fajne miejsce. Dzięki, że mnie tu zabrałeś.

Całując mnie najpierw w czoło, Connor obraca się i opiera o ścianę obok mnie.

– Nie ma sprawy. Bardzo chciałem cię tu przyprowadzić. Zwłaszcza teraz, gdy dowiedzieliśmy się, że twój tata też był członkiem tego klubu.

Uśmiecham się tęsknie, odchylam głowę i opieram ją o ścianę.

– Twój tata też był członkiem?

– Nie, należał do *Cap*. To kolejny duży klub.

– Chciał, żebyś należał do tamtego?

Splatając ze mną palce, Connor mówi:

– Był zadowolony, że udało mi się dostać do Princeton.

– Tak. – *Pewnie mój tata też by był...*

Connor wydaje się pogrążony w myślach.

– Wiesz, nie doceniałem tego, że kiedy dorastałem, miałem tatę. – Następuje długa chwila ciszy, po czym dodaje: – Aż poznałem Ashtona.

Byłam tak zajęta grą w bejrut i dziewczyną podrywającą Connora, że udało mi się przez chwilę nie myśleć o Asthonie. Teraz wraca do mojej głowy i czuję się nieswojo.

– Co masz na myśli?

Connor wzdycha, z grymasem na twarzy, jakby nie mógł zdecydować, jak odpowiedzieć.

– Byłem z Ashem, gdy jego ojciec przyszedł zobaczyć regaty. Ashton stał się innym człowiekiem. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Ich stosunki są... napięte. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

Moja ciekawość bierze górę.

– A nie pytałeś go o to?

Prychnięcie uprzedza słowa:

– Jesteśmy facetami, Livie. Nie rozmawiamy o uczuciach. Ashton to... Ashton. Wiem, że masz go za palanta, ale to dobry chłopak i kiedy chce, to potrafi nim być. Zawdzięczam mu więcej, niż chciałbym przyznać. Pamiętasz tę opowieść o mnie w łodzi? No wiesz...

– Z gołym tyłkiem? Tak, pamiętam. – Chichoczę.

Opuszczając głowę z zawstydzonym uśmiechem, Connor mówi:

– Myślę, że trener wykopałby mnie z osady, gdyby nie Ashton. Nie wiem, co powiedział czy zrobił, ale jakoś wybłagał dla mnie wybaczenie. Fakt, żartuję o tym, że Ashton jest kiepskim kapitanem, ale tak naprawdę jest świetny. Jest najlepszym kapitanem od trzech lat. Wszyscy go szanują. Nie tylko dlatego, że zaliczył więcej pańienek niż reszta razem wzięta.

Słyszając to, przewracam oczami. Nie cierpię myśli o Ashtonie z kimś – dziewczyną czy jednorazowym wyskokiem – a ten komentarz sprawia, że ściska mi się żołądek.

– Tak czy siak, przepraszam, że gadam o Ashtonie. Kocham tego gościa, ale nie chcę o nim rozmawiać. Pogadajmy o... – Staje przede mną i obejmuje w talii. Pochyla się i wkłada mi język do ust, całując przeciągle, jak jeszcze nigdy mnie nie całował. Nie protestuję jednak. Właściwie to rozkoszuję się tą chwilą, opierając dłonie na jego piersi. Boże, Connor naprawdę ma dobrze zbudowane ciało i, najwyraźniej, inne dziewczyny to dostrzegają. Dlaczego moje hormony zaczynają doceniać to akurat dzisiaj?

To pewnie przez to piwo.

A może w końcu zaczynam akceptować to, że Connor

mógłby być dla mnie odpowiedni.

* * *

– Ostrzegałam cię – przypominam Reagan, gdy rozciągam łydki.

– Nie możesz być aż tak kiepska.

Upewniam się, że w odpowiedzi widzi mój grymas. – Poza wymaganymi zajęciami wychowania fizycznego i tego, gdy doktor Stayner zalecił, żebym goniła kurczaki na farmie, unikam biegania jak ognia. Nie uważam, by było to przyjemne i przynajmniej raz podczas każdej podjętej próby wywracam się.

– No dalej! – woła mnie Reagan, podskakując w miejscu ze zniecierpliwienia.

– Dobra, już dobra. – Ściągam włosy w kucyk i wstaję, rozciągając ramiona nad głową, po czym zaczynam biec za nią ulicą. Jest chłodny dzień z wiszącą w powietrzu mżawką, kolejny argument przeciw bieganiu. Reagan zarzeka się, że lokalne wiadomości obiecały za godzinę słońce. Myślę, że ściemnia, ale nie spieram się. Od imprezy u jej ojca nadal jest między nami dziwnie. To właśnie dlatego zgodziłam się natychmiast, gdy tylko zapytała, czy z nią pobiegam, mimo śliskiego chodnika i w ogóle.

– Gdy dobiegniemy do końca ulicy i zawrócimy, przebiegniemy trzy kilometry. Dasz radę tyle? – pyta Reagan po czym dodaje: – Jeśli wymiękniesz, możemy iść.

– Wymiękanie i chodzenie jest dobre – mówię z uśmiechem. Marszczy nos z niezadowolenia.

– Jasne, no cóż, ty zapewne chudniesz od kichania.

Zajmuje to chwilę, ale w końcu ustalamy tempo odpowiadające nam obu, gdzie moje długie, wolniejsze kroki pasują do jej krótszych i szybszych.

Wtedy Reagan wypala:

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o rodzicach? – Nie umiem stwierdzić, czy jest zła. Nigdy jej w tym stanie nie widziałam. Jednak po tym jak przygryza dolną wargę i marszczy brwi, mogę stwierdzić, że ją skrzywdziłam.

Nie wiem, co powiedzieć poza:

– Po prostu nie było okazji. Przyrzekam. To jedyny powód.

Przepraszam.

Przez chwilę panuje między nami cisza.

– Nie lubisz o tym mówić, prawda?

Wzruszam ramionami.

– To nie tak. To znaczy, nie to, żebym unikała tego tematu. –

Nie jak siostra, która pochowała wszystko w grobowcu razem z podpaloną laską dynamitu. Od tamtego ranka, kiedy obudziłam się i znalazłam siedzącą na moim łóżku ciotkę Darlę, z podkrążonymi oczami i Biblią w dłoni, po prostu się z tym pogodziłam. Moja siostra była ledwo żywa i musiałam skupić się na niej oraz na naszym dalszym życiu. Zatem mając jedenaście lat i będąc ledwo przytomną z powodu grypy, która uratowała mnie przed wypadkiem, wstałam z łóżka i poszłam pod prysznic. Złapałam za telefon, by powiadomić moją szkołę i liceum, w którym pracowali rodzice. Chodziłam po ulicy od domu do domu i informowałam sąsiadów. Pakowałam z ciotką Darlą rzeczy, byśmy się mogły przeprowadzić. Pomogłam wypełnić dokumenty z ubezpieczalni. Dopilnowałam, by od razu zapisać się do nowej szkoły. Przejęłam się tym, by wszyscy, którzy musieli dowiedzieć się o śmierci naszych rodziców, zostali o tym poinformowani.

Przez kilka chwil biegniemy w milczeniu, po czym Reagan mówi:

– Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć, prawda?

Uśmiecham się do mojej przyjaciółki.

– Wiem. – Następuje krótka pauza. – A ty wiesz, że też możesz mi wszystko powiedzieć, prawda?

Jej szeroki, wesoły uśmiech – z tymi uroczymi dołeczkami w policzkach – odpowiada za nią.

Postanawiam, że to czas, by do końca wykorzystać okazję.

– Jak to, że możesz przestać udawać, że nie jesteście z Grantem parą. – Łapię Reagan za ramię, by uchronić ją przed zanurkowaniem twarzą w chodnik. Kiedy odzyskuje równowagę, gapi się na mnie wielkimi oczyma, a jej policzki płoną czerwienią.

– Myślałam, że ty się nie rumienisz, Reagan.

– Nie możesz nikomu nic powiedzieć! – syczy, jej kucyk kołysze się, gdy kręci głowę, spojrzeniem przeczesując krzaki, jakby ktoś mógł się w nich czaić. – Nikt o tym nie wie, Livie.

– Poważnie? Myślisz, że nikt nie wie? – Z ogromną satysfakcją obserwuję, jak jej rumieniec się pogłębia. – Myślę, że wszyscy wiedzą albo przynajmniej podejrzewają. – Ostatnio Connor wspomniał coś o Grancie uganiającym się za Reagan. Zauważyłam kilka razy, że nawet Tav kręcił głowę, widząc ich razem, a jeśli on coś zauważył, reszta świata na pewno też to zrobiła.

Reagan w zamyśleniu przygryza wargę.

– Chodź, nie możemy tu tak stać. – Wznawiamy niespieszny bieg. – Myślę, że od jakiegoś czasu się to kroilo. Zawsze mi się podobał i flirtował ze mną od roku. Po czym pewnego razu wpadłam na niego w bibliotece. Był tam odludny zaułek. Nikogo nie było w pobliżu... – Wzrusza ramionami. – To tak jakby samo się stało.

– W bibliotece?! – piszczę.

– Cicho! – Macha palcem przed ustami, gdy biegnąc, chichocze.

– Ale... – W zamyśleniu patrzę w górę. – Gdzie dokładnie? – Byłam w tej bibliotece setki razy. Nie potrafię przypomnieć sobie dostatecznie ciemnego i odosobnionego zakątka, by można w nim było robić co innego, niż czytanie.

Reagan uśmiecha się szelmowsko.

– Dlaczego pytasz? Chcesz tam zaciągnąć Connora?

– Nie! – Sama myśl o zaciągnięciu gdziekolwiek Connora sprawia, że się krzywię.

Chociaż to jej nie zniechęca. Unosząc na krótko brwi, pyta:

– To może Ashtona?

Czuję, że teraz ja zaczynam się rumienić.

– Nic się między nami nie dzieje.

– Livie, widziałam was razem w *Shawshanks*. Widziałam, jak na niego patrzysz. Kiedy zamierzasz to przyznać?

– Co przyznać? Że moja współlokatorka ma nadmiernie rozwiniętą wyobraźnię?

Reagan przewraca oczami.

– Wiesz, że w miarę upływu czasu, będzie coraz trudniej, prawda?

– Nie, nie będzie, ponieważ niczego między nami nie ma! – Przypominając sobie o istotnej kwestii, pytam. – Hej, a on zerwał z Daną?

Reagan wzrusza ramionami.

– Nic na ten temat nie słyszałam, ale z nim wszystko jest możliwe. Ashton jest zamknięty.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że może mieć kilkanaścioro rodzeństwa i nigdy się tego nie dowiesz – dyszy Reagan, po czym bierze łyk wody z butelki. Wycierając usta rękawem, kontynuuje: – Tata chciał poznać chłopaków z drużyny. No wiesz, dowiedzieć się czegoś o ich rodzinach, ocenach, kierunkach, jakie wybrali, planach na przyszłość... Uważa ich wszystkich za swoich synów. – Wracam pamięcią do wysokiego, przysadzistego mężczyzny, który zadawał mnóstwo pytań i teraz rozumiem jaki miał w tym cel. – Ale o kapitanie wie najmniej. Prawie nic.

– Hm... Zastanawiam się dlaczego. – Alarm zaczyna dzwonić mi w głowie.

– Grant uważa, że to ma związek z jego matką i jej śmiercią.

Zatrzymuję się. Po prostu staję. Reagan zwalnia do truchtu w miejscu.

– Jak to? – pytam, biorąc głęboki wdech. Poznawanie innych ludzi, którzy stracili rodziców, zawsze jest dla mnie uderzające. Przez tego rodzaju podobne przeżycia nawet kompletnie obcy mi ludzie mogą stać się przyjaciółmi.

– Nie mam pojęcia, Livie. Wiem tylko tyle, bo podsłuchiwałam kiedyś, jak rozmawiał z moim ojcem. Ale tylko tyle udało się ojcu z niego wyciągnąć. Ashton zręcznie potrafi zmieniać temat. To znaczy... No przecież znasz go. Wiesz, jaki jest.

– Tak, wiem. – Z coraz bardziej ściskającym się żołądkiem zdaję sobie sprawę, że gdy ktoś nie chce mówić o normalnych rzeczach, istnieje ku temu powód. Najczęściej zły powód.

– Chodź. – Daje mi klapsa w tyłek i zaczyna biec.

Zmuszam się, by do niej dołączyć, ale nie mam ochoty już biegać. Chciałabym móc usiąść i pomyśleć. Mgliście przypominam sobie, co powiedział Connor w *Tiger Inn*, gdy zapytałam, czy poznał ojca Ashtona.

– Tak, poznałem go na regatach, na które zazwyczaj przychodzi z kobietą.

– Żoną?

– Przez lata widywałem z nim kilka różnych kobiet. Może są żonami. Kto wie? Ale przecież *Ashton spadł niedaleko od tej jabłoni, więc... – Odwrócił się, by popatrzeć na mnie porozumiewawczo.*

– I jaki jest?

– Wydawał się normalny. – Nastąpiła chwila ciszy. – *Chociaż, kiedy Ashton jest z nim, panuje dziwna atmosfera. Jakby syn bardzo uważał na słowa i gesty przy ojcu.*

Zatem Connor nie jest jedynym, który coś podejrzewa...

– A jeśli tak?

– Jeśli co? – powtarzam wolno, niezbyt rozumiejąc.

– Jeśli zerwał z Daną?

– Och. – Reagan unika odpowiadania na niewygodne pytania, ale sama nie boi się ich zadawać. W sumie lubię to w niej. Teraz jednak nie podoba mi się to przesłuchanie. – Nic. Jestem z Connorem. Tak myślę.

– A tak przy okazji, to, co się między wami dzieje? Czy wy...? – Unosi sugestywnie brwi.

Kręcę głową i mamrocę pod nosem:

– Jesteś jak moja siostra. Nie. Umówiliśmy się, że zwolnimy tempo i nie będziemy komplikować spraw.

– Na mój gust brzmi nudno – mówi oschle. – Założę się, że wolałabyś szybko i ostro z Ashtonem.

– Reagan! – Szturcham ją, a ona zanosi się śmiechem. Ale na

tę myśl, mój żołądek wywija koziołki. Co, gdybym była z Ashtonem zamiast z Connorem? *Nie, to niemożliwe.*

– Wydajesz się inna w obecności Ashtona. Cokolwiek z nim robisz.

– Jest we mnie złość?

Reagan uśmiecha się.

– Pasja.

Zdesperowana, by zmienić temat, pytam:

– To co, jesteś z Grantem?

Zwinnie przeskakując kałużę, Reagan mówi:

– Jeszcze nie jestem pewna. Spotykamy się przypadkowo.

Nie jesteśmy gotowi, by się określać. Jeszcze nie. – Pochyla głowę, a zawstydzony uśmiech maluje się na jej ustach. – Chociaż szaleję za nim, Livie. Gdybym zobaczyła go z jakąś inną dziewczuchą, prawdopodobnie wpadłbym w szal i zabiłabym oboje.

Marszczę brwi, próbując wyobrazić sobie Granta z kimś innym. Nie potrafię, ale może to za sprawą Reagan, która wygląda jak zakochany kundel. A potem zastanawiam się nad tym, czy Connor widuje się z kimś innym, ponieważ się nie określiliśmy, co do oficjalnego związku. Co, jeśli tak? Co, jeśli „nie spieszymy się i nie komplikujemy” znaczy „spotykajmy się też z innymi”? Czy gdybym zobaczyła go z inną dziewczyną, również wpadłabym w szal? Dziewczyny przebywające w *Tiger Inn* uświadomiły mi, że Connor może liczyć na wianuszek wiernych fanek, ale tak naprawdę mnie to nie martwi. Jednak obraz Ashtona całującego Danę sprawia, że mój żołądek natychmiast się ściska. Wiem, że to nie w porządku, ale dopiero teraz to rozpoznaję. Zazdrość. To mnie męczy. Jak wtedy, gdy ta dziewczyna w łazience mówiła o nim. A potem dotknęła jego ramienia.

Westchnienie Reagan wyrywa mnie z zamyślenia i sprowadza na ziemię.

– Cokolwiek to jest, musimy to ukrywać, przynajmniej póki Grant nie skończy szkoły.

Moja skrzywiona mina podpowiada jej, że nie mam pojęcia, o czym mówi.

– To przez tatę. Słuchałaś w ogóle? Och, Livie. – Patrzy na mnie rozdrażniona. – Czasami zastanawiam się, w jakich obłokach buja twoja głowa... Mój tata za nim nie przepada.

– Dlaczego?

– Uważa, że Grant nie traktuje życia poważnie. Grant myśli, że tata wywali go z drużyny, gdy się o nas dowie.

– Ale... Przecież uczęszcza do Princeton. Jak można brać życie jeszcze poważniej? – mówię, prychając z niedowierzania.

– Wystarczająco poważnie, by nie robić tego w bibliotece z córką trenera – mamrocze, przyspieszając.

Ma rację.

Zaczyna ponownie padać. To drobny, chłodny deszczyk, ale niewiele trzeba, by przesiąkł mój granatowy podkoszulek. Nie przeszkadza mi to jednak. Trasa, którą wybrała Reagan, wiedzie przez spokojną ulicę Pleasantvillesque. Jest to okolica ładnych domków, zadbanych trawników, wielkich drzew, które właśnie zaczynają zmieniać kolory. Fajnie jest być z dala od kampusu. Czuję, jakbym pozbyła się części ciężaru z ramion. Być może spędzam tam zbyt wiele czasu, zamykając się jak w bańce. Kontynuuję moją ucieczkę, rozkoszując się otaczającą mnie ciszą i koncentrując się na oddychaniu, dziwię się, że w ogóle nadażam za Reagan.

I myślę o Ashtonie. Zastanawiam się nad jego życiem, nad jego rodzicami, nad jego matką. Zastanawiam się, jak ją stracił. Czy to była niespodziewana śmierć, na przykład wypadek samochodowy? A może była chora, na przykład na raka? Rozważając jego reakcję w pierwszym tygodniu, kiedy mu powiedziałam, że wybieram się na pediatrię na kierunek onkologii, myślę, że jego matka mogła umrzeć na raka.

Nie jesteśmy jeszcze na końcu ulicy, gdy Reagan krzyczy:

– Zawróćmy. Jest mi zimno, a mamy do domu ponad kilometr. – Przebiega na drugą stronę ulicy. – Mogłabyś biec szybciej? Ten deszcz jest do bani.

– Może nie powinnaś więcej ufać lokalnej stacji pogodowej?
– wołam za nią z przekąsem, oblizując mokre od deszczu wargi.

Mam tak wyschnięte gardło, że to niemal boli, ale nie chcę pić wody w obawie przed kolką.

– Jakiej lokalnej stacji? – Spogląda przez ramię, puszczając mi oko, gdy przyspieszam, by ją dogonić. To tylko sprawia, że zaczyna mi uciekać. Decyduję, że jest dla mnie za szybka i pozostając kilka kroków za nią, biegnę, rozglądając się po spokojnej ulicy. Droga jest dość wyboista, więc muszę uważać, skupić się na tym, gdzie powinnam stawiać stopy.

Po drugiej stronie ulicy – tej, którą niedawno biegłyśmy – dostrzegam wysoką, biegnącą z naprzeciwka postać. Kolejny szalenciec, który wypuścił się na jogging w taką pogodę. Gdy zmierzam dalej, moje spojrzenie przeskakuje między biegaczem a dziurawym chodnikiem, który mam pod stopami. Wkrótce jesteśmy na tyle blisko, że mogę stwierdzić, iż to chłopak.

Gdy jesteśmy jeszcze bliżej dostrzegam ciemne, potargane włosy.

To Ashton.

Biegnie równomiernym tempem, ma eleganckie ruchy, kamienny wyraz twarzy, porusza się jak dobrze wytrenowany atleta. Obcisły, mokry podkoszulek ukazuje każdy grzbiet mięśnia na jego idealnej piersi. Nie mogę oderwać od niego spojrzenia. Serce bije mi szybko z powodu wysiłku fizycznego, ale teraz czuję, jak w żyłach zaczyna mi płynąć adrenalina, dając mi dodatkowy zastrzyk energii. Czuję, jakbym mogła przebiec jeszcze z dziesięć kilometrów, jakbym mogła przeskakiwać po dachach samochodów, jakbym mogła...

Wyciągam ręce na milimetry przed rozbiciem sobie nosa o chodnik. Myślę, że upadając narobiłam wystarczająco hałasu, by zaalarmować Reagan, ponieważ dziewczyna zaczyna krzyczeć i biec w moją stronę.

– Coś ci się stało?

Mrugam kilkakrotnie i podnoszę się, ostry ból rozdziera mi kostkę i pali w dłoni.

– Nie, nic... – Moje słowa przeradzają się w syk, gdy przechodzi przeze mnie kolejna fala bólu. – Musiałam się potknąć

na dziurze w chodniku.

Podchodzi, by sprawdzić płytki na ziemi, po czym marszczy brwi.

– Masz na myśli to ledwie zauważalne pęknięcie?

Przeklinając pod nosem, mamrocze:

– Ostrzegałam cię.

– Ostrzegałaś. To, co teraz zrobimy? – Przygryzając dolną wargę, wyciąga z kieszeni bluzy telefon. – Sprawdzę, czy Grant nie jest gdzieś w pobliżu. Może podrzuci nas samochodem.

– Irlandko, to było imponujące! – woła Ashton między oddechami, gdy spieszy do nas, przebiegając na drugą stronę ulicy. Reagan z zaskoczeniem patrzy na niego, jakby nie widziała, że też tędy biegł. Obserwuję, jak jej spojrzenie rozszerza się nieco.

Dokładnie, jak, na miłość boską, mogłaś nie zauważyć, że biegnie po drugiej stronie ulicy, Reagan?! Obdarowuje mnie porozumiewawczym spojrzeniem, mówiąc mi, że jej mały, sprośny rozumek połączył kropki, które doprowadziły do mojego upadku.

– Hej, Ashton – wita go z lekkim uśmiechem, nadal patrząc na mnie.

Obdarowuje ją szybkim skinieniem, po czym przyklęka przy mnie na jednym kolanie. Słucham jego narzekania, gdy bada moją kostkę i przełykam potok śliny. Skąd mam potok śliny w ustach? Chwilę temu była tam pustynia! Dotyk jego palców na mojej kostce sprowadza mnie do rzeczywistości.

– Możesz wstać? – pyta, patrząc pięknymi, brązowymi oczami pełnymi troski.

– Nie wiem – mamrocze i szamocze się, by wstać. Ashton łapie mnie w talii i pomaga. Natychmiast staje się jasne, że nie pobiegnę, ani może nawet nie pójde do domu.

– Myślę, że jest skrzyta. – Tyle razy ją skręciłam, że znam to uczucie.

– Dzwonię do Granta – mówi Reagan, wyciągając telefon.

Nagle zostaję poderwana w powietrze i znajduję się w silnych ramionach. Ashton niesie mnie ulicą, dotyk jego dłoni parzy mi skórę nawet przez ubranie.

– Nie będę stał na deszczu, czekając aż Cleaver ruszy tyłek – rzuca Ashton.

– Dokąd mnie niesiesz? – pytam, wiedząc, że nasz akademik jest ponad kilometr stąd w przeciwnym kierunku.

Skupiając wzrok na drodze, mówi:

– Zabieram cię do siebie, Irlandko. – Krzywy uśmieszek upewnia mnie, że insynuacja była zamierzona. Uśmiech jednak szybko znika, a jego właściciel delikatnym tonem prosi: – Złap mnie za kark. Tak będzie mi łatwiej.

Posłusznie unoszę ręce i oplatom je wokół głowy Ashtona, opierając dłonie na jego plecach, kciukiem bawiąc się jego kołnierzykiem. Czuję, jak jego mięśnie pracują z powodu mojej wagi. Zastanawiam się, jak długo da radę mnie nieść.

Reagan też musi o tym myśleć, ponieważ idąc obok nas, marudzi:

– To daleko!

– Lekko ponad pół kilometra. Biegnij. – Wskazuje ruchem głowy i mruga do niej jednym okiem. – Nie chcesz chyba, żeby Grant widział, jak ponownie spasię ci się tyłek, co?

Wspomnienie legendarnego spasionego tyłka jest dostateczną motywacją. Pokazuje mu język, a mnie posyła znaczące spojrzenie, po czym przebiega na drugą stronę ulicy i porusza się nawet szybciej niż poprzednio. Zostawiając mnie sam na sam z Ashtonem.

– Sorry za pot, Irlandko. Złapałaś mnie w połowie naprawdę długiego biegu – mówi cicho, patrząc na mnie nim ponownie skupia się na drodze.

– W porządku. Nie przeszkadza mi to – mówię łamiącym się głosem. I naprawdę tak jest, choć jest mokry od stóp do głów. Nie jestem pewna czy to pot, czy deszcz. Włosy ma przyklejone do głowy i twarzy, ale mimo to nadal jest seksowny. Widzę, jak kropla płynie mu po policzku, czuję potrzebę otarcia jej, ale nie jestem pewna, czy nie byłby to zbyt intymny gest, więc tego nie robię. Jednak moje serce nadal bije tak szybko, jak podczas biegu.

– Przestań się na mnie gapić, Irlandko.

– Nie gapiłam się. – Odwracam głowę, by patrzeć w dół, na drogę, a policzki płoną mi ze wstydu. Znowu zostałam przyłapana. Ściska mnie lekko ramionami, poprawiając w ten sposób uchwyt.

– Chcesz mnie postawić?

Uśmiecha się łobuzersko.

– Osiem lat wiosłowania sprawiło, że jesteś lekka jak piórko, Irlandko.

– Najwyraźniej. – Osiem lat. To z pewnością wyjaśnia doskonałą budowę górnej partii jego ciała. – Naprawdę musisz to lubić.

Wzdycha i mruczy:

– Tak, to relaksujące, sunąć po wodzie, skupiać się na celu. Łatwo wtedy odciąć się od wszystkiego innego.

Ashton gwałtownie szarpie głową na bok. Dostrzegam kolejną kroplę spływającą mu po policzku i uświadamiam sobie, że próbuje ją strząsnąć, ponieważ nie może jej zetrzeć.

– Czekaj – mówię cicho, wyciągając dłoń, by mu pomóc. Poraża mnie mroczne spojrzenie, więc natychmiast cofam rękę. Musiałam źle to zrozumieć. Powinnam była... Szybko uświadamiam sobie, że nie na mnie patrzy wilkiem. Gapi się na brudną ranę na mojej dłoni, która powstała, gdy zdarłam naskórek, upadając. Rozproszona przez ból w kostce i Ashtona, kompletnie o tym zapomniałam.

– Naprawdę powinnaś zrezygnować z biegania, Irlandko – poucza mnie.

– A ty powinieneś bardziej się ubierać, gdy biegasz – rzucam, a mój gniew wzbiera bez ostrzeżenia i czuję, jak na policzki zakrada mi się rumieniec.

– A czemuż to?

Przesuwając językiem po zębach, by zyskać na czasie, decyduję zignorować jego pytanie.

– Mogłam poczekać na Granta.

– I umrzeć na zapalenie płuc – odpowiada ze złością, znów mnie sobie układając w objęciach. Ten ruch sprawia, że poruszam

nogą, co wywołuje ból w kostce. Nie krzywię się jednak, żeby nie poczuł się winny.

Ashton idzie równym, spokojnym tempem, patrząc przed siebie, zatem zakładam, że nasza rozmowa dobiegła końca.

– Przykro mi z powodu twoich rodziców – mówi tak cicho, że ledwo go słyszę. Zerkam na niego kątem oka i stwierdzam, że nadal patrzy na drogę, a jego twarz jest bez wyrazu.

Przykro mi z powodu twojej mamy.

Już mam to na końcu języka, w który się gryzę. Mimo wszystko Reagan to podsłuchiwała. Nie powinna wiedzieć. I ja też nie. To on powinien nam o tym powiedzieć.

Zatem nic nie mówię. Po prostu kiwam głową i milczę, pozwalając mu wykonać następny ruch. Nie robi go jednak. Następuje bardzo długa chwila ciszy, w której żadne z nas się nie odzywa. Ashton niosąc mnie, patrzy przed siebie, a moje spojrzenie przeskakuje pomiędzy jego twarzą a drzewami zmieniającymi kolory. Doskonale zdaję sobie sprawę, że chłonąc jego ciepło, przesiąkam też jego potem, czuję bicie jego serca i staram się zsynchronizować z nim swoje własne. Wtedy zdaję sobie sprawę, że to niedorzeczne.

Nie potrafię znieść tej ciszy.

– Nie mogę uwierzyć, że tata Reagan ich znał – mówię od niechcienia, dodając: – i że rozpoznał we mnie matkę. Nie wiedziałam, że była do mnie podobna.

Ashton marszczy czoło.

– Pamiętasz przecież jak wyglądała, prawda?

– Tak. Ale zdjęcia z młodości moich rodziców przepadły w powodzi, więc nigdy nie widziałam, jak wyglądała, gdy była w moim wieku.

Czuję pod palcami ciepłą skórę i uświadamiam sobie, że w którymś momencie zadumy, moja dłoń zbuntowała się przeciw rozsądkowi, z własnej woli wślizgnęła się pod jego kołnierzyk i zaczęła kreślić palcami małe kółka na jego karku. Widząc, jaka jestem dzisiaj odważna, zastanawiam się nad pytaniem, które niewiedząca nic o jego rodzicach osoba mogłaby zadać. Decyduję

się zapytać lekkim głosem:

– A co z twoimi rodzicami?

Następuje chwila ciszy.

– Co z nimi? – Stara się brzmieć zwyczajnie, ale uścisk wokół mnie tężeje, a mięśnie na karku napinają się, więc natychmiast orientuję się, że trafiłam w czuły punkt.

– Nie wiem... – Odwracam głowę, by patrzeć na drogę, po czym mruczę niedbale: – Opowiedz mi o nich.

– Nie ma o czym. – W jego tonie słychać rozdrażnienie. – Dlaczego pytasz? Reagan coś podsłuchiwała?

Nadal patrząc przed siebie, biorę głęboki oddech i postanawiam nie kłamać.

– Słyszała, że twoja matka... odeszła?

Czuję jak Ashton wzdycha.

– To prawda. Odeszła. – To stwierdzenie faktu, co wyklucza kolejne pytania.

Nie wiem, dlaczego ponownie nadużywam szczęścia.

– A co z ojcem?

– On nie... niestety. – Nie da się przegapić pogardy w jego głosie. – Zostaw to, Irlandko.

– Dobrze.

* * *

Do czasu aż dotarliśmy do ich domu, przynajmniej pięć razy pytałam Ashtona, czy nie chce mnie postawić na ziemi, by odpoczęły mu ręce, a on przynajmniej pięć razy odpowiadał, żebym się zamknęła i nie pytała go, czy chce mnie postawić na ziemi, żeby odpoczęły mu ręce.

I nie padły między nami żadne inne słowa.

Ashton niesie mnie obok Reagan – świeżo po kąpieli, ubranej w spodnie od dresu Granta – i zaciekawionego Granta, po czym wchodzi na górę, mijają wspólną łazienkę i zmierza do swojej własnej. Delikatnie sadza mnie na blacie umywalki.

Uciekający mu jęk zdradza mi, że dawno temu powinien postawić mnie na ziemi.

- Przepraszam – mruczę z poczuciem winy.
- Reagan i Grant pojawiają się w drzwiach, podczas gdy Ashton rozciąga ramiona przed sobą i, z kolejnym jękiem, nad głową.
- Spójrzcie państwo na te wielkie, silne mięśnie – mówi Grant z przesadną emfazą, ściskając biceps Ashtona.
- Odpieprz się Cleaver – rzuca Ashton, strącając jego dłoń. Bierze ręcznik z wieszaka i zaczyna wycierać mi twarz i włosy.
- Sam się odpieprz! Miałem po was przyjechać, ale Reagan powiedziała, że chcecie... – Mocno wbity łokieć Reagan w żebra Granta urywa mu w pół zdania.
- Proszę. Herbata. – Reagan wręcza mi parujący kubek. Pierwszy łyżeczek podpowiada mi, że to nie tylko herbata.
- Poisz ranną alkoholem? – pytam dobitnie, gdy procenty szczypią mnie mocno w gardle. – Kto tak robi?
- To i tak lepsze niż to, co dostaje kulawy koń – odpowiada Reagan, rozwiązując mi but i ściągając skarpetkę. Syczę przez zaciśnięte zęby. – Bardzo cię boli? Mamy zawieźć cię do szpitala? Dostrzegam fioletowego siniaka na mojej spuchniętej i poodcieranej kostce.
- Nie, myślę, że to tylko zwichnięcie.
- Irlandko, jeszcze nie jesteś lekarzem – mamrocze Ashton, pochylając się, by przyjrzeć się moim obrażeniom, a ja zauważam, że koszulka na plecach przykleiła mu się do ciała, widać przez nią każdy grzbiet, każdą dolinę jego mięśni. Jest idealny. Całym sobą chronił mnie od deszczu. Jeśli jest mu zimno, nie okazuje tego. – Przyłóżmy lód, ale jeśli się nie poprawi, zabiorę cię do szpitala.
- Przytakuję, zauważając, w jaki sposób Ashton panuje nad sytuacją, jakbym nie miała nic do powiedzenia w tej sprawie.
- To powinno ci pomóc. – Grant podaje mi kule do chodzenia. Widząc moje skrzywienie, wyjaśnia: – Są Tava. Co najmniej dwa razy do roku na jakiejś imprezie skręca sobie którąś kostkę. Dobrze, że nie jest za wysoki, kule powinny pasować.
- Nie będzie miał nic przeciwko?
- Nie. Nie będzie potrzebował ich aż do listopada, jak w

zegarku – mówi Grant, po czym spogląda na moją stopę. Uśmiecha się.

Nagle nie wiem, o co chodzi.

– Co?

Wzrusza ramionami.

– Masz seksowne stópki, Irlandko. – Po jego słowach Reagan warczy i daje mu sójkę w bok.

– Przestań się ślinić na widok stóp mojej współlokatorki.

– Dobra, daj mi tylko poślinić się na twoje.

– Fuj! – piszczy Reagan, nurkując pod jego ramieniem, by wydostać się z łazienki, a Grant biegnie za nią.

– Przynieście trochę lodu! – woła za nimi Ashton, a następnie odwraca się do mnie i mówi: – Ten idiota wyleci z osady. – Patrząc, jak przeszukuje szafki łazienkowe i zaraz wraca z apteczką w dłoni.

– Nie, jeśli trener się nie dowie. Są razem szczęśliwi.

Ashton zamiera. Potrzeba dobrych pięciu sekund, by ponownie zaczął się ruszać, wyciągając bandaż.

– Chcesz zadzwonić do Connora, by dać mu znać, że tu jesteś?

Connor.

– Nie. – Nawet nie pomyślałam, by do niego zadzwonić. Tak jakbym o nim zapomniała... Nie tak jakby. Całkowicie. – Siedzi w bibliotece, prawda? Nie chciałam mu przeszkadzać.

Bierze moją zranioną dłoń, patrzy w górę i pyta:

– Jesteś pewna?

I mam wrażenie, że pyta mnie o coś zupełnie innego. Nie mam pewności, czy na pewno o samego Connora.

Nagle atmosfera w pomieszczeniu staje się cięższa, moje płuca mocno pracują, by nabrać powietrza, kiedy to ciemne spojrzenie krzyżuje się z moim w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Chyba tak – udaje mi się jedynie wydusić. Ashton drży, a ja przypominam sobie, że jest cały mokry. – Musisz się przebrać, rozchorujesz się – mówię cicho, patrząc na jego klatkę piersiową.

Puszcza moją dłoń, łapie za skraj koszulki, unosi ją, i ściąga

przez głowę. Rzuca ją w kąt, po czym powraca do mnie i znów bierze za rękę. I oto znajduję się w obliczu klatki piersiowej, jaka od tygodni nie chce opuścić mojego umysłu. Tej, na której widok zamiera mi oddech. Tej, której nigdy nie podziwiałam na trzeźwo. A teraz się gapię. Jak jelonek przed światłami ciężarówki, nie jestem w stanie odwrócić spojrzenia od wzgórz i dolin jego ciała.

– Co to oznacza? – pytam, brodą wskazując symbol, jaki ma wytatuowany na sercu.

Ashton nie odpowiada. Unika odpowiedzi, przeciągając kciukiem po mojej dolnej wardze.

– Masz tu trochę śliny – mówi, nim ponownie koncentruje się na zranionej dłoni, pozwalając, by moja twarz spłonęła rumieńcem.

– Nie jest tak źle, jak wygląda – mamroczę pod nosem, gdy Ashton zabiera moją dłoń nad umywalkę. Skórzana bransoleta, którą ma wokół nadgarstka przykuwa moją uwagę, ponieważ wydaje się jej nie ściągać. Nigdy. Dotykam jej drugą ręką i pytam:

– Po co ci to?

– Zadajesz dzisiaj wyjątkowo dużo pytań, Irlandko. – Po zaciśniętych zębach wnioskuję, że to kolejne pytanie, które odbije się od ściany.

Reagan miała rację. Jest bardzo skryty.

Wzdychając, przyglądam się, jak odkręca buteleczkę wody utlenionej i bierze mnie za rękę.

– To nawet nie... – Słowo „boli” miało wyjść z moich ust. Zamiast tego ucieka mi ciąg przekleństw, jakiego nie udało mi się wyprodukować przez całe życie, z którego nie jeden marynarz byłby dumny. – Co ty kurwa robisz? Cholera. Nie wylewaj tego bezpośrednio na ranę, pieprzony matole! Kurwa! – Umieram z bólu, tak to piecze.

Ashton nie zwraca na to uwagi, tylko przekręca moją dłoń i przyciąga do siebie, by móc jej się lepiej przyjrzeć.

– Wygląda na czystą.

– Tak, bo wylałeś na nią żrący kwas!

– Uspokój się. Zaraz przestanie szczypać. Zanim ręka ci

wyschnie, zajmij się gapieniem na mnie. Dlatego właśnie się wywróciłaś. – Rozbawione spojrzenie na chwilę krzyżuje się z moim. – A tak przy okazji, niezła wiązanka. „Pieprzony matole”? Serio?

– Staralam się wyrazić, co czuję w najprzyjemniejszy sposób – przyznaję cicho, ale zaraz muszę walczyć z uśmiechem cisnącym mi się na usta. To zabawne. Przynajmniej będzie, gdy ponownie będę mogła chodzić... Zdeterminowana, by nie ulec pokusie, wodzę spojrzeniem po niewielkiej łazience, skupiając się na stalowo-szklanej kabinie prysznicowej, na przyjemnych, jasnych płytkach na ścianach, na puchatych ręcznikach...

Po czym wracam do ciała Ashtona, ponieważ, powiedzmy sobie szczerze, jest znacznie bardziej interesujące niż płytki czy ręczniki, czy cokolwiek innego. Przyglądam się czarnemu namalowanemu w indiańskim stylu ptakowi, jaki znajduje się na wewnętrznej stronie jego przedramienia. Jest duży, ma dobre piętnaście centymetrów i jest odwzorowany z najmniejszymi szczegółami. Jest tak misternie wykonany, że niemal nie widać blizny, która się pod nim znajduje.

Otwieram już buzię, by zapytać, ale szybko ją zamykam. Wpatrując się w chiński znak, który Ashton ma na ramieniu, dostrzegam pod nim kolejne zbliznowacenie. Kolejny ukryty znak.

Przełykam żółć podchodzącą mi do gardła, ponieważ przypominam sobie dzień, w którym siostra wróciła do domu z ogromnym tatuażem pięciu kruków na udzie. By zakryć najokropniejszą bliznę powstałą tamtej nocy. Pięć kruków – dla pięciu osób, które zginęły wtedy w wypadku. Wliczając nią samą. Wtedy nie wiedziałam, co oznaczają. Powiedziała mi dopiero dwa lata temu.

Z ciężkim westchnieniem ponownie przenoszę spojrzenie na symbol na klatce piersiowej, by przyrzeć mu się dokładniej.

I dostrzegam pod nim kolejną, skrzętnie ukrytą bliznę.

– O co chodzi? – pyta Ashton, odpakowując bandaż. – Zbladłaś.

– Co... – Powstrzymuję się od zapytania, co się stało,

ponieważ i tak nie otrzymam odpowiedzi. Odwracam spojrzenie ku zranionej dłoni, by pomyśleć. Może to nic. Zapewne nic wielkiego. Ludzie ciągle robią tatuaże, by zakryć blizny...

Ale przeczucie podpowiada mi, że to nie jest nic takiego.

Przyglądam się jak bandażuje mi dłoń. Już nie szczypie, ale nie jestem pewna, czy dlatego, że rana wyschła, czy też dlatego, że mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, dopasowując do siebie puzzle. Jednak tyle mi ich jeszcze brakuje. Prosty kawałek układanki jak skórzana bransoleta.

Skórzana bransoleta na jego nadgarstku.

Skórzany pasek.

Uważnie się przyglądając, zdaję sobie sprawę, że to nie jest bransoleta. Porywam rękę Ashtona, by przyjrzeć się temu ciemnobrązowemu paskowi, który ma szwy na końcach i nit przy klamrze, by sprawdzić, czy mógłby być paskiem do spodni.

To z pewnością pasek.

Ucieka mi niewielki jęk, gdy moje spojrzenie ponownie wędruje do jego ramienia, by spocząć na klatce piersiowej, na długiej bliźnie ukrytej pod tuszem tatuażu.

Nagle rozumiem.

Doktor Stayner powiedział, że z powodu tego, co przeszłam przy Kacey, dostrzegam i odczuwam ból innych osób bardziej dotkliwie niż przeciętna osoba, że reaguję bardziej intensywnie. Może miał rację. Może właśnie dlatego pęka mi serce, ścisza mi się żołądek, a łzy zaczynają płynąć po policzku.

Niski szept Ashtona ściąga moją uwagę do jego twarzy, po czym widzę jego smutny uśmiech.

– Wiesz co Irlandko? Jesteś zbyt bystra. – Widzę, jak podskakuje mu jabłko Adama. Nadal trzymam w dłoniach jego nadgarstek, a on nie cofa ręki. Nie odwraca spojrzenia. A kiedy unoszę wolną dłoń, by położyć mu na piersi, na symbolu, który ma na sercu, nie wzdryga się.

Pragnę mu zadać tyle pytań. Ile miał wtedy lat? Jak często się to powtarzało? Dlaczego nadal nosi ten pasek na nadgarstku? Jednak tego nie robię. Nie potrafię, ponieważ obraz małego

chłopca kulącego się przed cięgami pasa powoduje, że łzy płyną mi jeszcze szybciej.

– Ashton, wiesz, że możesz ze mną o tym porozmawiać, prawda? Nikomu nic nie powiem – szepczę drżącym głosem.

Pochyliła się, by scałować łzę z mojego policzka, a potem drugą i trzecią, zmierzając w stronę moich warg. Nie wiem, czy to przez intensywność tej chwili – gdy boli mnie serce, umysł jest kompletnie gdzie indziej, a ciało mimowolnie odpowiada – ale kiedy jego usta są tuż przy moich i szepczą: „Znów się na mnie gapisz, Irlandko”. Natychmiast przysuwam się, by wyjść im naprzeciw.

Nie tracąc czasu, jego wargi odpowiadają, opadając na moje i zmuszając je, by się otworzyły. Smakuję sól moich łez na jego języku, który zaczyna tańczyć z moim. Jedną ręką obejmuje mój kark, przyciągając mnie bliżej, pogłębiając pocałunek. I pozwalam mu, ponieważ chcę być jeszcze bliżej, by pomóc mu zapomnieć. Nie martwię się tym jak to robię, póki robię to dobrze. A musi być dobrze, ponieważ tak właśnie to odczuwam.

Moja dłoń nie opuszcza jego piersi, jego serca, które pędzi pod moimi palcami, gdy ten prosty pocałunek wydaje się trwać wieki, aż wysychają mi łzy, bolą wargi i znam na pamięć niebiański smak ust Ashtona.

I wtedy nagle się odsuwa, zostawiając mnie z ciężkim oddechem.

– Drżysz.

– Nie zauważyłam – szepczę. I rzeczywiście tak jest. Nadal tego nie odczuwam.

Wszystko na czym się skupiałam to mocno bijące serce pod moimi palcami, piękna twarz przede mną i to, że zachłannie łapię oddech.

Porywając mnie w ramiona, Ashton niesie mnie do swojego pokoju i sadza na łóżku. Przechodząc obok drzwi, zamyka je kopniakiem i podchodzi do komody. Nic nie mówię. Nawet nie rozglądam się po pokoju. Mam w głowie pustkę i po prostu gapię się na jego plecy.

Podchodzi, rzucając mi zwykły, szary podkoszulek i parę spodni dresowych.

– Może będą pasowały.

– Dziękuję – mamroczę z roztargnieniem, dłonią przeciągając po miękkim materiale i nie mogąc skupić myśli.

Nie potrafię wyjaśnić kilku następnych chwil. Być może to przez to, co stało się miesiąc temu oraz przez to, co działo się przed momentem w łazience, ale kiedy Ashton rozkazuje: „Ręce do góry”, jestem posłuszna jak pokonany żołnierz, wykonujący powoli komendę. Tracę oddech, gdy czuję jego palce na brzegach mojej koszulki, które unoszą materiał i... ściągają mi go przez głowę, pozostawiając w różowym, sportowym biustonoszu. Nie gapi się na mnie, ani nie rzuca krępujących uwag. Szybko rozwija szarą koszulkę, po czym wkłada mi ją przez głowę i zręcznie opuszcza w dół. Nie zdążyłam wsadzić ramion w rękawy, gdy Ashton klęknął przede mną. Przetykając ślinę, obserwuję, jak jego dłonie wślizgują się pod koszulkę i odnajdując zapięcie stanika, otwierają je zręcznie, a jego spojrzenie cały czas skrzyżowane jest z moim. Wyciąga moją bieliznę i rzuca ją na podłogę, po czym czeka, aż włożę ręce w rękawy podkoszulka.

– Wstań – mówi cicho, a moje ciało znów się poddaje, opieram dłoń na jego ramieniu, ponieważ potrzebuję podparcia, aby nie obciążać zranionej kostki. Koszulka jest przynajmniej pięć rozmiarów za duża i opada, przysłaniając mi uda. Zatem kiedy Ashton sięga do moich spodni i ściąga je w dół, nie czuję się przed nim obnażona. Jednak on nadal klęczy patrząc mi w oczy. Nie odwraca spojrzenia. Nawet, kiedy spodnie lądują na podłodze. Nawet, kiedy wkłada dłonie pod koszulkę, by dostać się do mojej bielizny. Znów brakuje mi tchu, gdy czuję, jak jego palce wciskają się pod gumkę moich majteczek. Zsuwa je, aż i one lądują na podłodze. Szybko wciąga powietrze, zaciskając powieki, po czym ponownie otwiera oczy.

– Siadaj – szepcze, więc to robię.

Odwraca spojrzenie tylko po to, by wyciągnąć moją zwichniętą kostkę z mokrych ubrań. Następnie rozkłada swoje

spodnie, wkłada mi stopy do nogawek, po czym podciąga tak wysoko, jak tylko się da.

– Wstań, Irlandko. – Robię, o co prosi, znów wspierając się na nim, kiedy podciąga mi spodnie do talii i wiąże sznureczek, by nie opadły. Ani razu nie dotykając mnie w niewłaściwy sposób.

Ale gdyby próbował, nie wiem, czy bym go powstrzymywała.

Kiedy kończy, jestem ubrana, pozbawiona tchu i zdezorientowana. Nadal stoję przed nim, gdy bierze mnie za rękę. Podnosi ją i płasko opiera na swojej piersi, jak robiłam to wcześniej. Jego duża dłoń nakrywa moją, malutką, drżąc z zimna czy z innego powodu, a jego serce wali jak młotem. Patrzą w górę, w smutne, zrezygnowane spojrzenie.

– Dziękuję.

Przełykam gulę w gardle i szepczę:

– Za co?

– Za pomoc w zapomnieniu. Nawet, jeśli na tak krótko. – Całując mnie w knykie, dodaje: – To się nie może udać, Irlandko. Trzymaj się Connora.

Żołądek mi się kurczy, gdy puszcza moją dłoń. Odwraca się i idzie do łazienki, ma zeszywniałe mięśnie, lekko pochyloną głowę, jakby odczuwał porażkę.

Zaczynam się obawiać, że gdy teraz nie spytam, nigdy już się nie odważę.

– Co oznacza „dziewczyna na zawsze”?

Zatrzymuje się w drzwiach, jedną rękę opiera na klamce, drugą na futrynie, przez co napina się mięsień jego bicepsa. Kołysze się w przód i w tył, więc zakładam, że nie otrzymam odpowiedzi.

– Wolność – rzuca i zatrząskuje za sobą drzwi.

Moja dziewczyna na zawsze. Moja wolność.

Potrafię tylko chwycić kule oparte o łóżko i wykuśtykać z jego pokoju. Potrzebuję czasu, by to przemyśleć, a myślenie przy Ashtonie nie jest możliwe.

„To się nie może udać, Irlandko. Trzymaj się Connora”.

Szlag. Connor.
Zapomniałam o nim. Ponownie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

WYRZUĆ Z SIEBIE MYŚLI

– Biegałam. No wie pan, próbowałam czegoś nowego. Chciałam się dobrze bawić.

– Ach tak? I dobrze się bawiłaś?

– Chodzę o kulach, doktorze Stayner. Zwichnęłam kostkę.

– Hm. Cóż, to nie brzmi jak dobra zabawa. Podobnie jak bieganie.

– Nie. Właściwie to przeciwieństwo dobrej zabawy. –
Pomiędzy okładami z lodu, kuśtykaniem na zajęcia i kilkoma niezręcznymi sytuacjami pod prysznicem z Reagan, ostatnie półtora tygodnia było koszmarem. Nie poszłam w ubiegłą sobotę na wolontariat do szpitala, bo za bardzo bolała mnie noga. Na zajęcia też bym nie chodziła, gdyby nie odwoził mnie na nie Connor.

– A jak inne sprawy?

– Skomplikowane.

– Który z chłopców tak komplikuje ci życie?

– A jak pan myśli? – mruczę, czekając na białe audi Connora.

Powiedziałam mu, że poczekam na ławce w parku, więc będzie mógł zaparkować przy chodniku, co ułatwi mi wskoczenie do auta. Jestem bardzo wdzięczna, że dla mnie postanowił zrobić sobie wolny dzień od uczelnianych obowiązków. Wiem, że w przyszłym tygodniu ma oddać pracę.

I nie zasługuję na niego, nie po tym, do czego dopuściłam się z Ashtonem. Jego najlepszym przyjacielem.

Zwałam to na karb tymczasowego szaleństwa. Na chwilową pomyłkę w ocenie sytuacji, spowodowaną atakiem Ashtona jednocześnie na moje serce i libido.

Kiedy uciekłam z jego pokoju, Grant odwiózł mnie i Reagan do akademika, gdzie moja noga została obłożona lodem, a ja

próbowałam się uczyć, wijąc się pod wpływem przenikliwego spojrzenia Reagan, w głowie odtwarzając wspomnienia popołudnia.

I w zasadzie nic więcej nie robiłam – nie poszłam na kilka zajęć – przez ostatnie osiem dni. Musiałam unikać Ashtona. Nie szukał mnie, co było dobre, ponieważ nie umiałabym spojrzeć mu w oczy, czując jednocześnie przytłaczające wyrzuty sumienia wobec Connora, który codziennie wpadał sprawdzać, co u mnie, przynosząc mi kwiaty, babeczki i piwo, dzięki któremu miałam szybciej wyzdrowieć. Tak jakby odhaczał kolejne punkty na liście pod tytułem „Jak sprawić, by Livie wybuchła z powodu poczucia winy, ponieważ w tajemnicy kręci z moim najlepszym kumplem”. Gdy pomiędzy mną i Connorem dochodzi do pocałunków – tak wielu, że moje usta zaczynają od nich puchnąć – czuję się tak bardzo winna, że zaciskam zęby, by nie wybuchnąć. Problemem jest to, że ilość pocałunków z Connorem nie może się równać intensywności tego pojedynczego, który dzieliłam z Ashtonem. To sprawia, że niemal nie pękłam.

Ale nie mogę tego zrobić. Jestem zbyt przerażona. Zbyt słaba. Obawiam się, że mogę zniszczyć coś wielkiego, coś, co przez jeden intensywny pocałunek może już się nie powtórzyć. Connor przecież powiedział „nie spieszymy się i nie komplikujmy”. To z łatwością można interpretować jako „otwarty” związek. Być może, gdy wystarczająco wiele razy powtórzę to w duchu, w końcu w to uwierzę.

Mogę też udawać, że ten incydent nigdy nie miał miejsca. Wyprzeć go całkowicie z umysłu.

– Chcesz mi powiedzieć, co się stało? – pyta mimochodem doktor Stayner. – Nie będę cię oceniał. Oczywiście.

Wzdycham i mamrocę pod nosem:

– Nie mogę. – Obawiam się, że gdy zacznę mówić, zdradzę tajemnicę Ashtona. Obiecałam, że nikomu nie powiem.

– Dobrze... W takim razie, jak mogę pomóc?

– Nie może pan. Po prostu muszę trzymać się od niego z daleka. Myślę, że ma problem. Podobny problem jaki miała Kacey.

– Rozumiem. A ty będąc sobą, zaangażowałaś się emocjonalnie, zanim to odkryłaś.

– Myślę, że... właśnie tak. – Czy boli mnie serce, gdy o nim myślę, kiedy rozważam sposoby, w jakich mógł ukształtować się taki, jaki jest, kiedy chciałabym dorwać jego ojca i nawrzeszczyć na niego za to, co mu zrobił? Tak, jestem prawie pewna, że właśnie o to chodzi.

– To, połączone z przyciąganiem, które do niego odczuwasz, szybko doprowadzi do utraty kontroli, zwłaszcza jeśli kontynuujesz związek z jego najlepszym przyjacielem.

Opuszczam głowę zażenowana, ponieważ kolejny raz mój czytający w myślach psychiatra potrafi w dwóch zdaniach podsumować dwa tygodnie mojego wewnętrznego chaosu.

– Nie mogę skupiać się na przystojniaku i jego problemach. To zbyt rozpraszające. Muszę go tylko unikać przez następny... rok.

– To będzie trudne, biorąc pod uwagę to, że mieszka z Connorem.

– To lepsze niż alternatywa – mówię sama do siebie, pocierając czoło.

– Hm...? – Następuje długa chwila ciszy, po czym słyszę, jak doktor Stayner klaszcze. Musi mieć włączony zestaw głośnomówiący. – Mam! Mam dla ciebie zadanie na ten miesiąc.

– Co? Żadnych zadań, doktorze. Mówił pan, że więcej nie będzie. Mówił pan...

– Kłamałem. Znajdziesz pięć zalet Ashtona.

– Pan mnie nie słuchał?

W swoim stylu doktor Stayner ignoruje moje pytanie.

– W ramach zadania będziesz musiała mówić, co myślisz. Całą prawdę. Bez nadmiernego analizowania. Bez uważania na słowa. Po prostu wyrzucając z siebie myśli. A jeśli on cię o coś zapyta, będziesz musiała odpowiedzieć szczerze.

– Co? Nie. Dlaczego?

– Nazwijmy to eksperymentem.

– Ale... Nie! – podnoszę głos.

– Dlaczego nie?
Ponieważ przy Ashtonie najczęściej myślę o częściach jego ciała!

– Bo nie!
– Za miesiąc spodziewam się pełnego raportu.
– Nie. Ledwie kilka razy widziałam go w tym miesiącu.
Mam zaliczenia. Jestem zajęta.
– Jestem pewien, że podołasz.
– Nie.
– Współpracuj ze mną.
Zaciskam zęby z uporem.
– Zawsze z panem współpracuję, doktorze Stayner, ale tym razem odmawiam. To kiepski pomysł.
– Dobry. Masz miesiąc.
– Nie może mnie pan zmusić.
– Nie?
Wzdycham głęboko.
– Mogę pana okłamać.
– A ja mógłbym pojawić się w twoim akademiku z kaftanem bezpieczeństwa, który miałby wypisane twoje imię.
Tracę oddech, a oczy rozszerzają mi się z szoku.
– Nie zrobiłby pan... – Zdecydowanie mógłby to zrobić.
– Możemy tego nie sprawdzać? Miesiąc, Livie. Poznaj go.
– A co z Connorem?
– Nie powiedziałem, żebyś wskoczyła mu do łóżka na bzykanko.
Kulę się.
– O rany boskie.
– Przepraszam, ale tak mówią moi synowie. To nie jest *cool*?
– Nic w tej rozmowie nie jest *cool*, doktorze – jęczę. – Muszę kończyć. Connor zaraz tu będzie.
– Po prostu zaufaj mi, Livie. Jeszcze raz. To dobry pomysł.
– Mhm. – Żegnamy się i kończymy rozmowę.
Nakrywam twarz dłońmi, zastanawiając się, jakim cudem się w to wpakowałam. Nie zrobię tego. Odmawiam. Przecież nie może

tu przyjechać z kaftanem bezpieczeństwa. Chociaż idealnie by do mnie pasował. Ironią w tym wszystkim jest to, że gdy jestem z Ashtonem, przez większość czasu plotę, co mi ślina na język przyniesie, jednak to nigdy nie jest zamierzone. Gdybym powiedziała wszystko, o czym myślę...

Rozbrzmiewa klakson.

Podrywam głowę, spodziewając się zobaczyć białe audi, ale zamiast niego widzę elegancki, czterodrzwiowy, czarny samochód z błyszczącymi srebrnymi felgami. Drzwi kierowcy otwierają się i wysoka, ciemnowłosa postać w modnej skórzanej kurtce i przeciwsłonecznych okularach wysiada i obchodzi auto, by otworzyć drzwi pasażera.

– Irlandko! Wskakuj!

Stwierdzam, że doktor Stayner jest złym czarnoksiężnikiem z kryształową kulą, który do palców ma przyczepione sznureczki marionetki. W jakiś sposób zaplanował całą tę sytuację. Z pewnością w tym momencie rechocze w swoim gabinecie.

Samochody trąbią za Ashtonem.

– No chodź. – W jego głosie słychać nutkę irytacji.

– Szlag by to trafił – przeklinam pod nosem i kuśtykam do stojącego samochodu, przyglądając się jego skórzanej tapicerce. Palce Ashtona ocierają się o moje, gdy odbiera ode mnie kule, wysyłając prąd wzdłuż mojego ramienia. W międzyczasie, gdy siadam i zapinam pas, chłopak wskakuje za kierownicę, a moje serce zaczyna się rozpędzać.

– Jak twoja kostka? – pyta, patrząc na moją nogę i włączając się do ruchu. Zdecydowałam włożyć krótką, plisowaną spódniczkę, ponieważ rajstopy łatwiej założyć niż skarpetki czy spodnie. Kiedy poraża mnie wizja tej spódniczki podciągniętej do pasa, gdy siedzę okrakiem na Ashtonie, zaczynam żałować, że nie wybrałam jednoczęściowego kombinezonu narciarskiego.

– Lepiej. Mogę już trochę na niej stawać. – W samochodzie jest gorąco jak w saunie w porównaniu do temperatury na zewnątrz, więc walczę, by wyzwolić się z kurtki. – Lekkie zwichnięcie. Tak jak myślałam.

– Connor mówił, że byłeś z tym w szpitalu.

A tak, Connor.

– Co tu robisz? – wypalam, po czym biorę głęboki wdech. – To znaczy, dlaczego Connor nie mógł przyjechać?

Ashton wzrusza ramionami.

– Ma na wtorek oddać pracę, więc powiedziałem mu, że cię zawiozę. Nie przeszkadza ci to?

– Och. Oczywiście, że nie. Dzięki. – Jestem kretynką. Gdyby nie Ashton, przypadłby mi kolejny tydzień z bliźniakami. On jest miły. Już to udowodnił, kiedy niósł mnie prawie kilometr w deszczu. A teraz ma zamiar odwiedzić mnie na Manhattan.

– Nie ma sprawy, Irlandko – mówi cicho, patrząc na znaki prowadzące na autostradę.

Bawię się zamkiem od kurtki, zastanawiając się, co o tym wszystkim pomyślałaby Dana. Przejęłaby się tym? Czy oni w ogóle nadal są razem?

Nigdy nie zaprzeczył ani nie potwierdził rozstania. Powinam go o to zapytać?

Spoglądam na Ashtona i widzę, że gapi się na moje piersi.

– Patrz na drogę! – rzucam, krzyżuję ramiona, utrudniając mu widok, a na moje policzki zaczyna wypływać rumieniec.

Z rozbawieniem mówi:

– Zatem ty masz prawo gapić się na mnie, a ja nawet nie mogę rzucić okiem?

– To co innego. Nie jestem naga.

– Też nie byłem nagi, gdy wyryłaś nosem o chodnik.

Obracam się nieznacznie, by patrzeć przez boczną szybę, jednocześnie kręcąc głową. *Nawet tutaj słyszę, jak się pan śmieje, doktorze Stayner.*

– Hej. – Ashton opiera dłoń na moim ramieniu. – Przepraszam. Ja tylko... Nie widziałem cię trochę.

Uświadamiam sobie, jak dobry jest ten prosty gest i jak bardzo za nim tęskniłam. Przytakuję, odwracając się i dostrzegam skupione na mnie brązowe spojrzenie.

– Patrz na drogę – ostrzegam ponownie, tym razem bardziej

miękkim i mniej zirytowanym tonem.

Na twarzy Ashtona pojawia się jego firmowy, zawadiacki uśmiezek, który teraz uważam za mniej arogancki, a bardziej za zabawny. Ściska lekko moje ramię, nim zabiera dłoń.

– Dziękuję, że zrezygnowałeś dla mnie ze swoich sobotnich planów.

– To nic takiego – mówi cicho, spoglądając w boczne lusterko, gdy zmienia pas. – Wiem, że to dla ciebie ważne. – Po czym dodaje z nutą wahania: – Mam później spotkanie, więc i tak miałem się pojawić na Manhattanie.

– Spotkanie?

Ashton marszczy czoło.

– Wyglądałaś na zdenerwowaną, czekając na ławce.

Dlaczego?

Unika odpowiedzi na moje pytanie. Wzdycham.

– Och, to nic. Po prostu przeprowadziłam dziwaczną rozmowę telefoniczną. – Zajmuję dłonie, miętosząc kurtkę, którą trzymam na kolanach.

– Kim jest doktor Stayner?

Moje dłonie zastygają w bezruchu.

– Co?

– Mamrotałaś pod nosem: „Nawet tutaj słyszę, jak się pan śmieje, doktorze Stayner”, więc pytam, kim jest doktor Stayner.

– Ja... eee... On jest... – *Powiedziałam to głośno?*

Nieświadomie gadam sama do siebie?! Sznurki marionetki. Wrr! O rany boskie. To też powiedziałam na głos? Kątem oka zerkam na minę Ashtona. Przenosi spojrzenie to na mnie, to na drogę, a brwi ma uniesione do połowy czoła. Nie mogę mu powiedzieć. Muszę przestać myśleć. Całe myślenie stop!

– Spokojnie, Irlandko. Masz szalone spojrzenie. Trochę mnie to przeraża.

Nie mogę mu powiedzieć. Chyba nie powinnam. Na siłę biorę kilka głębszych oddechów i zamykam oczy.

– Po twojej reakcji wnioskuję, że jest psychiatrą.

Kacey miała rację – nie jesteś tylko przystojniakiem.

– Myślisz, że jestem przystojny, Irlandko?
Zatykam sobie dłonią usta. Znów to zrobiłam!
Kiedy przestaje się śmiać, wzdycha.

– To co... Chodzisz na terapię?

Czy chcę, aby Ashton wiedział o doktorze Staynerze? Jak mam w ogóle odpowiedzieć na to pytanie? Technicznie nie chodzę na terapię, ale tak, doktor Stayner jest psychiatrą. Takim, którego numer mam zapisany w opcji szybkiego wybierania. W każdym razie, wyjaśnianie kim jest doktor Stayner i co ze mną robił przez ostatnie cztery miesiące, zabrzmiałoby, jakbym była świruską.

– Do Nowego Jorku naprawdę długa droga – ostrzega mnie, stukając palcami o kierownicę.

Nie powinnam nic Ashtonowi wyjaśniać. To nie jego sprawa. On ma swoje tajemnice, a ja mam swoje. Może właśnie o to chodzi. Może rozmowa o moich problemach pomoże mu opowiedzieć o jego. A biorąc pod uwagę cały ten czas, w którym próbowałam go rozgryźć, potrzebuję...

– Tak, jest moim psychiatrą – przyznaję cicho, patrząc na drogę przed nami. Nie mogę mu teraz spojrzeć w oczy. Nie chcę w nich zobaczyć osądu.

– A dlaczego potrzebny ci psychiatra?

– Bo moje libido cierpi z powodu nadmiernej chciwości?

– Irlandko... – Sposób, w jaki wypowiada to przezwisko sprawia, że rzucam na niego okiem i przyłapuję, jak unosi się na siedzeniu i poprawia spodnie. – Powiedz mi.

A może wprowadzę do gry jakieś negocjacje i coś utarguję.

– Jeśli powiesz mi, dlaczego mówisz na mnie Irlandka.

– Mówiłem ci, że ci wyjaśnię, ale najpierw musisz przyznać, że mnie pragniesz.

Zaciskam zęby. Nie, nie można negocjować z Ashtonem.

– Poważnie, opowiedz mi o swoim doktorku. – Następuje chwila ciszy. – No, chyba że wolisz zdradzić mi szczegóły twojej nadmiernej chciwości i opowiedzieć o tym, jak planujesz, żebym ci z tym pomógł – mówi tak poważnie, że natychmiast zasycha mi w ustach, a między udami zaczynam czuć żar, ponieważ

przypominam sobie pierwszy tydzień naszej znajomości i to, co się stało między nami dwa tygodnie temu, a obrazy zaczynają mieszać mi się w głowie, tworząc żenująco-seksowny film. Szlag by go trafił! Doskonale wie, jak na mnie działa. I ma z tego ubaw, śmieje się miękko, gdy dostrzega u mnie rumieniec. Nagle rozmawianie o doktorze Staynerze w ogóle nie wydaje się być upokarzające.

– Nie powiesz nikomu?

– Twoje tajemnice są ze mną bezpieczne. – Po sposobie, w jaki zaciska usta, wiem, że mówi prawdę.

– Dobra. Musimy wrócić do czerwca, kiedy moja siostra wpadła na genialny pomysł... – Z początku moje zdania są wymuszone, ale gdy zagłębiam się w historię i coraz częściej słyszę uroczy śmiech Ashtona, z powodu opowieści o tym jak spędzałam wakacje z Kacey na skakaniu z mostów na linie i na zakupach w przebraniu parówek z hot dogów, jest mi łatwiej mówić, łatwiej ujawniać fakty i łatwiej się z nich śmiać.

Ashton mi nie przerywa. Nie sprawia, że czuję się głupio. Po prostu słucha, uśmiecha się, śmieje cicho i prowadzi. Właściwie jest świetnym słuchaczem. To jedna z jego zalet. Jedna za mną, jeszcze cztery.

Kręcąc głową, Ashton mówi:

– Ten facet wygląda mi na wariata...

– No wiem. Czasami zastanawiam się, czy w ogóle ma dyplom.

– To dlaczego ciągle z nim rozmawiasz?

– Bo jest tani? – żartuję słabo. Prawdę mówiąc, tysiące razy zadawałam sobie to pytanie. Istnieje tylko jedna, satysfakcjonująca odpowiedź.

– Ponieważ on uważa, że to ważne, a ja jestem mu to winna za życie siostry. Nie zrozumiesz, co... – Łamie mi się głos, gdy przełykam gulę łez. – Moja siostra uczestniczyła w wypadku samochodowym, w którym zginęli moi rodzice. Był bardzo poważny, Ashton. Zginęło czworo innych ludzi, a jej się ledwo udało ująć z tego z życiem. – Przerywam, gapiąc się na swoje dłonie oparte na kolanach. Nadal trudno jest mi o tym mówić. – W

jakiejś części umarła tamtej nocy. Następny rok spędziła w szpitalu, nim była na tyle silna, by chcieli ją wypuścić... – Ucieka mi szydercze parsknięcie na myśl o lekarzu, który ją wypisał. *Była na tyle silna...* Na co była na tyle silna? By unieść do ust butelkę wódki i skręta? By zaspokoić więcej koleśki, niż chciałabym o tym wiedzieć? By nieprzerwanie walić w worek z piaskiem? – Straciłam siostrę na bardzo długo. Na całe lata. I wtedy doktor Stayner... – Przetykam, starając się utrzymać łzy w oczach, jednak kilka mi się wymyka. Próbuję je otrzeć, ale dłoń Ashtona jest szybsza, jego kciuk delikatnie ociera mój policzek, nim powraca na kierownicę. – Doktor Stayner oddał mi ją.

Następuje bardzo długa, ale bardzo potrzebna chwila ciszy, w której przyglądam się błękitnemu niebu nad nami i mostowi, który zaprowadzi nas na Manhattan.

– Wow, jesteśmy prawie na miejscu – mówię z roztargnieniem.

– Tak, nie chciałaś się zamknąć – mówi oschle Ashton, ale puszcza do mnie oko. – To właśnie z nim rozmawiałaś, zanim po ciebie przyjechałem?

– Tak.

– To co w rozmowie z nim było takiego dziwnego? O czym rozmawialiście?

Wzdycham.

– O tobie. – Zauważam, że dłoń, którą trzyma kierownicę, zaciska bardziej, więc pospiesznie wyjaśniam: – Nie powiedziałam mu nic o... tym. – Spojrzenie kieruję na skórzany pasek na nadgarstku. – Przecież obiecałam ci, że nikomu nie powiem.

Jabłko Adama podskakuje mu, kiedy przetyka ślinę.

– Więc dlaczego rozmawialiście o mnie?

Patrzę ponownie w okno i jęczę:

– To takie upokarzające.

– Bardziej upokarzające niż to, co mi do tej pory powiedziałaś? – Ashton mocno zaintrygowany z tajemniczym uśmiechem na twarzy pochyla się w kierunku kierownicy.

– Może. – Powiedzieć mu? Siedzę i drapię się po szyi,

zakładając za ucho włosy, po czym pocieram czoło, aż Ashton łapie mnie za rękę i opiera ją na środkowym podłokietniku.

Odchrząkuję i zauważam, że nadal trzyma mnie za rękę. Kiedy dostrzega, że przyglądam się naszym dłoniom, ściska delikatnie.

– Puszczę cię, kiedy mi powiesz.

– A jeśli nie powiem?

– Wtedy będę życzył ci szczęścia przy wyjaśnianiu Connorowi, dlaczego trzymamy się za ręce.

– Trzymanie się za ręce jest najmniejszym z moich zmartwień – mamroczę pod nosem, po czym, patrząc mu prosto w oczy, przyznaję: – Mam znaleźć w tobie pięć zalet.

Na jego twarzy maluje się pytanie „to wszystko?”.

– Dlaczego to jest takie upokarzające?

Patrząc w podsufitkę, mówię:

– Ponieważ mam ci również mówić wszystko, co myślę.

Następuje długa chwila ciszy, w której Ashton poprawia się na siedzeniu, po czym szeroki, łobuzerski uśmiezek pojawia się mu ustach.

– Ale będzie ubaw.

Kręcę głową w odpowiedzi.

– Nie, ponieważ nie planuję tego robić.

– Co? – Siada prosto, patrząc na mnie wielkimi oczyma. –

Musisz!

– Nie muszę... – Zabieram dłoń od niego i zaplatam ręce na piersiach. – I nie zrobię tego.

– To jak masz zamiar poznać pięć moich zalet?

– Jestem pewna, że mi o nich opowiesz – odpowiadam ironicznie.

Wzrusza ramionami, jakby nadal się nad tym zastanawiał.

– Masz rację, mógłbym to zrobić. Zobaczmy... – Przeciąga językiem po zębach, a ściśnięty żołądek ostrzega mnie, że będę tego żałować. – Sposób, w jaki potrafię doprowadzić kobiety do krzyku, gdy wsuwam...

– Zamknij się!

Mruczy, gdy trafiam go pięścią w ramię, i to mocno.

– Poważnie, Irlandko, daj spokój. Będzie fajnie! – Oczy Ashtona błyszczą, a jego twarz promienieje z prawdziwej ekscytacji. Nigdy nie widziałam go tak szczęśliwego i jestem skłonna zgodzić się na wszystko, włącznie z nienormalnym pomysłem doktora Staynera.

Przynajmniej dopóki Ashton nie pyta:

– Miewasz o mnie sny?

Natychmiast. Mocno.

* * *

– Możesz mnie wysadzić przed szpitalem – mówię, gdy uświadamiam sobie, że Ashton ma zamiar zaparkować.

Marszczy brwi.

– Och, nie. Idę z tobą.

– A to tu jesteś umówiony? – Jest chory? Potrzebuje lekarza?

– Nie, ale mam kilka godzin wolnego czasu. – Następuje krótka chwila ciszy. – Pomyślałem, że mógłbym poznać te dzieciaki, dla których przemierzasz co tydzień całą tę drogę.

– Nie możesz. – Czuję, jakby zderzały się właśnie dwa światy, które muszą od siebie odseparować.

– Wstydzisz się ze mną pokazać, Irlandko?

– Nie, to znaczy... – Odwracam się, by zobaczyć, czy w jego spojrzeniu nie ma urazy. Jednak jej nie zauważam. – Nie wpuszczają tam wszystkich.

Parkuje samochód.

– Nie zaprzataj sobie tym swojej ślicznej, małej główki. Mnie wpuszczają.

* * *

– Ja... ee... przyprowadziłam kogoś. Mam nadzieję... – Patrzę na siostrę Gale bez wyrazu. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

Spogląda to na mnie, to na Ashtona i kręci głową. Zalewa mnie fala ulgi. Nie wiem, czy moja psychika zniosłaby

jednocześnie pokój chorych maluchów i Ashtona. Ale wtedy on obdarowuje ją tym swoim seksownym, ujawniającym dołeczki, uśmiechem.

– Witam, jestem Ashton. Jestem tu w imieniu ojca, Davida Henleya z „Henley i spółka”.

Cokolwiek siostra Gale chciała wcześniej powiedzieć, nigdy nie opuściło jej ust.

– To cudownie! Bardzo jesteśmy wdzięczni za datki, które przekazuje nam pański ojciec. Miło mi pana poznać. – Rozglądając się na boki, dodaje: – Normalnie nie wpuszczamy tutaj gości, ale tym razem mogę zrobić wyjątek.

– Świetnie.

Bardzo nieświeżo.

– Bliźniacy bardzo chcą cię zobaczyć, Livie.

– Też się za nimi stęskniłam. – Wskazując na stopę, dodaje: – Przepraszam za zeszłotygodniową nieobecność.

– Och, bez obaw. Poinformowano mnie. Bawcie się dobrze! – Machając przede mną dokumentami, mówi: – Muszę wracać do pracy. – I idzie w przeciwną stronę. Odwraca się na krótko, sprawdzając, czy Ashton rzeczywiście ma zamiar wejść ze mną, a kiedy widzi go, jak podchodzi do windy, puszcza do mnie oko i bezgłośnie, poruszając ustami, mówi: – Wow.

Blednę. Teraz wszyscy będą myśleć, że jesteśmy parą.

Doganiem go, gdy wciska przycisk przywołujący windę.

– Wiedziałaś, że rzucisz nazwiskiem ojca i cię wpuszczą?

Urok poprzedniej chwili znika, zostaje zastąpiony pogardą.

– Przynajmniej raz się do czegoś przydało.

– To... miło z jego strony, że daje datki na szpital. –

Wnioskując z faktu, że siostra Gale natychmiast rozpoznała nazwisko, te datki muszą być spore.

– Robi to, by zmniejszyć płacone przez siebie podatki. I by zbudować swój wizerunek. – Patrzę w dół i widzę, jak pociera pasek na nadgarstku. Odruchowo biorę go za rękę i ściskam.

Drzwi windy się otwierają. Ashton wchodzi do niej za mną i wciska guzik z numerem piętra, który mu podaję, po czym

mamrocze:

– Mogłem tu wejść w taki sposób albo wziąć tę pielęgniarkę na kilka chwil na zaplecze i...

– Ashton! – Mocno uderzam go w ramię i jęczę z bólu.

Najwyraźniej wioślarstwo za solidnie wyrzeźbiło jego sylwetkę. – To definitywnie nie jest jedna z twoich zalet.

– Och, no daj spokój. Chyba nie wierzysz, że mówię serio, prawda? – mówi, śmiejąc się.

– Tak samo jak czerwona skarpetka nie wisiała na twojej klamce...

Przez chwilę na jego twarzy maluje się ból.

– Tamtej nocy chciałem o tobie zapomnieć. O tym, że Connor zabrał cię do swojego pokoju – mówi miękko – I od tamtej pory nie zrobiłem niczego takiego.

Czy mogę mu wierzyć?

– Dlaczego nie?

Odwracając się do mnie z żarem w oczach, Ashton obejmuje moją twarz, kciukiem wodząc po mojej dolnej wardze.

– Myślę, że dokładnie wiesz dlaczego nie, Irlandko.

– Nadal jesteś z Daną?

Chrapliwy głos, od którego czuję na skórze mrowienie, powraca.

– A jeśli powiem, że nie?

– Nie... nie wiem. – Waham się przed zapytaniem: – Dlaczego powiedziałeś, że to nie może się udać?

Otwiera usta i już się cieszę, że uzyskam odpowiedź:

– Twoje cycki wyglądają fantastycznie w tej koszulce.

Nie taką odpowiedź.

Wysiada z windy i trzyma drzwi, podczas gdy ja gramolę się ze środka z twarzą czerwoną jak cegła. Typowa zagrywka Ashtona. Gryzę się w język i ignoruję go, aż docieramy do wejścia do pokoju zabaw.

Nowa fala niepokoju uderza we mnie, znowu ściska mnie w piersi, kiedy jestem wśród tych dzieciaków, tylko że teraz czuję to mocniej.

– Dobra, musisz znać kilka zasad, nim dopuszczę cię do tych małych, słodkich chłopców.

– Dawaj.

– Po pierwsze... – Wyliczam na palcach. – ...nie wolno mówić o śmierci. Nie daj się wciągnąć w rozmowę o niej ani takiej rozmowy nie inicjuj.

Z zaciśniętymi ustami przytakuje.

– Bez obaw.

– Po drugie, nie ucz ich brzydkich słów.

– Oprócz tych, które już znają od ciebie?

Przewracając oczami, mówię:

– Po trzecie, bądź dla nich miły. I nie kłam. To tylko mali chłopcy.

Jakiś mrok maluje się na twarzy Ashtona, ale nic nie mówi.

Otwieram drzwi i widzę na dywanie bliźniaków bawiących się klockami LEGO. Eric pierwszy patrzy w górę. Szturcha brata, po czym obaj wstają i podchodzą do mnie. Minęły dwa tygodnie odkąd ich ostatni raz widziałam i zauważam, że obaj ruszają się nieco wolniej, a ich głosiki są odrobinę słabsze.

– Cześć, chłopaki! – mówię, zmuszając się do zachowania spokoju, wmawiając sobie, że ich zły stan jest wynikiem chemioterapii.

– Co ci się stało? – pyta Derek, łapiąc za kulę z mojej prawej strony.

– Potknęłam się i zwichnęłam kostkę.

– To twój chłopak? – pyta Eric, wskazując na Ashtona.

– Yyy, nie. To przyjaciel. Przyszedł tu...

– Przyjaźnisz się z chłopakami? – przerywa mi Eric.

Spoglądam na Ashtona, myśląc o wszystkim, co wydarzyło się między nami.

– Tak. Najwyraźniej.

Ashton kuca i wyciąga rękę.

– Mówcie mi Asie. Tak nazywają mnie kumple.

Chłopcy patrzą na mnie pytająco, a ja zaczynam się śmiać, przypominając sobie, jak niewiele mają lat, po czym kiwam głową

w kierunku Ashtona.

Eric pierwszy podaje rękę Ashtonowi, gestem nakazując mu, by się zbliżył, jakby miał jakąś tajemnicę do przekazania mu na ucho. Oczywiście to, co szepcze pięciolatek, równie dobrze mogłoby być powiedziane przez mikrofon. – Co jest z tobą? Livie to naprawdę ładna dziewczyna.

Próbuję się nie śmiać. Spojrzenie Ashtona łąduje na mnie i dostrzegam w nim figlarny błysk. Zaczynam panikować. Ze wszystkich możliwych odpowiedzi na to pytanie... – Próbowałem, mały. Ale widać Livie nie za bardzo mnie lubi.

– Jest twoją przyjaciółką, ale cię nie lubi? Dlaczego? – pyta Derek, a głęboka zmarszczka maluje się na jego czole.

Ashton wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Staralem się, jak umialem, ale... – Garbi się lekko, jego uśmiech blednie, gdy gra rolę zranionego chłopaka, za którą powinien dostać Oscara.

Chłopcy przekrzywiają na bok główki i wpatrują się we mnie.

– Dlaczego go nie lubisz, Livie? – pyta Derek.

Właśnie zostałam czarnym charakterem.

– Dobre pytanie. Spróbujmy się nad tym wspólnie zastanowić. – Ashton prowadzi malców do stolika, a ja dostrzegam, jak Diane macha, by zwrócić moją uwagę.

– Siostra Gale powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu – wypalam, wskazując na Ashtona.

Puszcza do mnie oko i ponownie skupia uwagę na swoim podopiecznym, ale dostrzegam częste i ciekawe spojrzenia rzucane w kierunku Ashtona. To ten sam rodzaj spojrzenia, którym obdarowała go siostra Gale, tak jak pielęgniarki, gdy przechodziliśmy korytarzem, kobieta pilnująca parkingu, dwoje lekarzy... w tym jeden mężczyzna.

Opieram kule o ścianę i ostrożnie kuśtykam w kierunku stolika, gdzie rozgościł się już Ashton, kładąc kurtkę na dywanie i wyciągając przed siebie nogi. Klepie krzeselko obok siebie. Siadam na nim, nie dlatego, że chcę być blisko niego, ale po to,

bym w razie czego mogła mu wbić łokieć w żebra. Mocno.

Chłopcy ustawiają dwa krzeselka naprzeciw Ashtona i po ich poważnym wyrazie twarzyczek wnioskuje, że przygotowują się na przesłuchanie.

– Chłopaki? – Ashton pochyla się i opiera łokcie na kolanach.

– Jakież pytania?

– Lubisz szczeniaki? – pyta cicho Derek.

– Tak.

– Jesteś silny? Jak Superman?

– Nic nie wiem o sile Supermana, ale... – Ashton pręży mięśnie, zginając ramię, i nawet przez cienką, czarną koszulkę potrafię dostrzec ich rzeźbę. – Co myślicie?

Chłopcy wyciągają się, by go dotknąć, po czym mówią jednocześnie:

– Wow. Pomacaj jego mięsień, Livie.

– Nie trzeba. – Lekceważąco macham ręką, za którą natychmiast łapie mnie Ashton i kładzie ją na swoim bicepsie. Moje palce ledwie wystarczają, by objąć połowę.

– Wow, wielki – zgadzam się, przewracając oczami, ale mimowolny uśmiech rozciąga mi usta. Rumieniec delikatnie barwi moje policzki.

– Jesteś bogaty? – pyta Eric.

Ashton wzrusza ramionami.

– Moja rodzina jest, więc chyba i ja jestem.

– Co będziesz robił, jak dorośniesz? – pyta Derek.

– On już jest dorosły! – Eric szturcha brata.

– Nie, jeszcze nie jestem – mówi Ashton. – Nadal chodzę do szkoły. Ale chciałbym zostać pilotem.

Marszczę brwi. *A co się stało z zawodem prawnika?*

– Śmierdzi ci z buzi? – pyta Eric.

Ashton chucha w dłoń i wacha.

– Chyba nie. Irlandko?

– Nie, nie śmierdzi. – Uśmiecham się i zakładam włosy za ucho, by ukryć rumieniec. Jego usta smakują miętą i niebem.

Miętowym niebem.

- Dlaczego mówisz do niej „Irlandko”?
- Bo kiedy się upije, jest złośliwa jak Irlandka.
- Ashton!

Chłopcy zaczynają się śmiać. Po prychnięciu Diane wnioskuje, że też to słyszała.

– Serio? – Przez chwilę nakrywam twarz dłońmi, przez co chłopcy śmieją się jeszcze bardziej, Ashton również się uśmiecha, więc wkrótce i ja chichoczę.

W końcu pytania stają się bardziej poważne.

– Masz mamę i tatę? – pyta Eric.

Ashton najwyraźniej nie spodziewał się takiego pytania. Poznaje to po jego blednącym uśmiechu i podskakującym jabłku Adama, gdy przetyka ślinę.

– Każdy ma mamę i tatę.

– A gdzie oni są?

– Yyy... tata jest w domu, a mama, gdzieś indziej.

– Umarła? – pyta niewinnie Eric.

Dostrzegam ból malujący się przez moment na twarzy Ashtona.

– Pamiętajcie o regułach, chłopcy? – ostrzegam, unosząc brwi.

– Myślałem, że nie możemy mówić tylko o tym, że my umrzemy – mówi Derek.

– Nie, to ogólna zasada. Odnosi się do wszystkich.

– No dobrze, przepraszam Asie – mówi Eric, opuszczając głowę.

Ashton pochyla się i ściska ramię małego.

– Nie przejmuj się. Ona jest surowa, jeśli chodzi o zasady, co nie?

Eric przesadnie przewraca oczami.

– Nawet nie wiesz jak.

Chłopcy nadal zasypują Ashtona niewinnymi, dziecinnymi pytaniami, a on im odpowiada. Dowiaduję się, że mama Ashtona pochodziła z Hiszpanii i że to po niej ma ciemne włosy i opaloną karnację. Dowiaduję się, że jest jedynakiem i że urodził się i

wychował w Nowym Jorku. W tym krótkim przesłuchaniu prowadzonym przez bliźniaki dowiaduję się znacznie więcej, niż mogłabym przypuszczać. Myślę, że wiem o Ashtonie Henleyu więcej niż większość ludzi.

W końcu Ashton wstaje i mówi:

– Przepraszam, ale muszę uciekać. Fajnie mi było was poznać. – Wyciąga dłoń zwiniętą w żółwika.

– Tak, fajnie było – mówi Eric, po czym obaj bracia naśladują gest, ich piąstki są w porównaniu do pięści Ashtona takie maleńkie. Gdy głowy całej trójki odwracają się ku mnie, uświadamiam sobie, że musiałam pociągnąć nosem.

Ściskając lekko mój łokieć, Ashton mówi:

– Przyjadę za trzy godziny, czekaj przed wejściem, okej? – Po czym wychodzi.

Reszta czasu szybko mija. Na chwilę przychodzi Lola, wygląda na słabszą i bledszą, niż kiedy ją ostatnio widziałam. Derek szepcze mi do ucha, że coraz rzadziej tu przychodzi. Po kolejnej godzinie chłopcy mówią, że są zmęczeni, co wywołuje u mnie ścisk żołądka. Resztę czasu spędzam z innymi dziećmi – chłopczyk dochodzi do zdrowia po wypadku samochodowym, dziewczynka ma rzadką wadę serca.

I przyłapuję się na spoglądaniu na zegarek z więcej niż jednego powodu.

* * *

Po trzech godzinach spod wejścia odbiera mnie zupełnie inny facet. Nie ten wesoły, dokuczający, który zabawiał chore dzieci. Nie ten, który uważnie słuchał ciągu żenujących opowieści o przygodach zainicjowanych przez psychiatrę.

Nie... chłopak, który siedzi obok mnie z trudem się odzywa i ledwo na mnie patrzy, gdy wyjeżdżamy z miasta. Nie wiem, co się stało, ale z pewnością coś się zmieniło. Coś, co sprawia, że ma zaciśnięte usta i błyszczące oczy. Coś, co sprawia, że nie jest w humorze, aż zaczynam odczuwać ból w piersi, mocniejszy, niż gdy opuszczałam szpital pełen chorych maluchów.

Po godzinie podróży, gapieniu się w ciemniejące niebo i rozpalające się latarnie uliczne, zakładaniu włosów za ucho setki razy i poprawianiu się na siedzeniu, decyduję się zamknąć oczy i udawać, że śpię, kiedy zbliżamy się do zjazdu na Princeton.

– Dostałaś się do szpitalnych zapasów leków, nim cię odebrałem, Irlandko, że tak zasypiasz? – To bardziej jego głos niż samo pytanie sprawia, że zaskoczona otwieram oczy. Odwracam głowę i dostrzegam niewielki uśmiech przedzierający się zza chmury, więc wzdycham z ulgą.

– Przykro mi – mruczę. Ale nie jest mi przykro. Jestem szczęśliwa, widząc Ashtona bardziej zrelaksowanego.

– Jak ci minął pozostały czas w szpitalu?

– Ciężko. Czasami zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie łatwiej. Uwielbiam przebywać z dziećmiakami i im pomagać, ale...

– Pojedyncza łza spływa mi po policzku. – Nie wiem, czy dam radę na co dzień zastanawiać się, które z nich przeżyje.

Ashton milczy, a ja ocieram policzek i pociągam nosem.

– Zastanawiałem się nad tym wtedy, kiedy powiedziałaś mi, kim chcesz zostać – mówi cicho. – Potrzeba specjalnych predyspozycji, by móc siedzieć i patrzeć na czyjąś śmierć, zwłaszcza jeśli nie można jej powstrzymać.

To właśnie cię spotkało, Ashton? Musiałeś patrzeć na śmierć matki? Nie wypowiadam myśli na głos. Zamiast tego mówię:

– Nie jestem pewna, czy mam takie predyspozycje. – Po chwili dodaję: – Wow. Nigdy wcześniej tego nie przyznałam. Nikomu.

– Nawet swojemu doktorkowi?

– Nie! Zwłaszcza nie jemu. Myśli, że już mnie rozpracował – mówię cicho.

– Co masz na myśli?

Kręcę głową.

– Nie ma mowy, Ashton. I tak wyciągnęłaś ode mnie sporo jak na jeden dzień.

Stukając palcami o kierownicę, wzdycha.

– Dobra. Jak bliźniaki po moim wyjściu?

Uśmiecham się.

– Pytali, czy wrócisz.

Ashton szczyrzy się od ucha do ucha.

– Naprawdę? Aż tak mnie polubili?

Przewracam oczami.

– Myślę, że lubią cię bardziej niż mnie. Eric powiedział, że muszę być naprawdę złą, kiedy jestem „Irlandką”, bo nie chcesz, żebym była twoją dziewczyną.

Ashtonowi ucieka głośny, gardłowy śmiech, który rozgrzewa moje wnętrze.

– Co odpowiedziałaś?

– Och, zapewniłam go, że jestem też złą, gdy nie jestem „Irlandką”, wystarczy, że jesteś blisko.

Tym wywołuję jeszcze więcej śmiechu.

– Uwielbiam, gdy jesteś szczerą. Kiedy mówisz, co myślisz i nie przejmujesz się tym.

– Widzę, że dogadałbyś się ze Staynerem. – Mijamy znak kampusu, mówiący, że jesteśmy w domu i że nasz wspólny czas dobiega końca. Nie wiem, kiedy znów zobaczę Ashtona. Ta myśl boli.

– Właśnie o to chodzi. Powinnaś mi się zwierzać, prawda?

Opieram głowę o zagłówek i mamrocze pod nosem bardziej do siebie:

– Ty pierwszy.

Bardziej zażartowałam. Ashton jest pełen tajemnic i wiem, że nie zacznie mi ich ot tak zdradzać. Mimo to czuję, że temperatura w samochodzie rośnie.

– A co chciałabyś wiedzieć? – pyta cicho. W jego głosie słyszę wahanie.

– Chciałabym... – Brakuje mi słów. Postanawiam wybrać niewinne pytanie, zadając je niezobowiązującym głosem: – Powiedziałaś chłopcom, że chciałbyś być pilotem. Dlaczego?

Wzdychając, mówi:

– Mówiłaś, żebym ich nie okłamywał.

W porządku.

– A co z chęcią bycia prawnikiem?
– Będę prawnikiem do czasu, aż będę mógł zostać pilotem – mówi cichym i spokojnym głosem, co sprawia, że się odprężam. Zmieniając temat, pytam:
– Jakie jest twoje ulubione wspomnienie mamy?
Następuje krótka chwila ciszy.
– Pasuję z tym pytaniem, Irlandko – mówi nadal cicho i spokojnie, ale słyszę też ostrą nutę w jego głosie.
Dostrzegam, jak bezwiednie dotyka paska na nadgarstku.
– Ile miałaś lat, kiedy...?
– Osiem. – Warczy w odpowiedzi. Odwracam głowę do okna, oglądam mijane budynki, licząc, że to odwróci moją uwagę od obrazu przerażonego, małego chłopca, który właśnie wypala mi się w głowie.
Ashton bierze mnie za rękę.
– Tylko raz stracił panowanie. To znaczy tak, że powstały bliźny. W innych przypadkach pilnował, żeby nie było śladów. – *W innych przypadkach.* – Bardzo lubił szafę. Zamykał mnie w niej na wiele godzin. Zazwyczaj z zaklejonymi ustami, bym nie mógł krzyczeć. – Wolną ręką zakrywam usta, starając się uspokoić, ale nie potrafię i zaczynam płakać.
Siedzimy w ciszy, muszę jednak dowiedzieć się czegoś więcej o Ashtonie. Muszę wiedzieć wszystko. Przetykając gulę łez, pytam:
– Dlaczego go nosisz?
– Bo jestem więźniem swojego pieprzonego życia, Irlandko!
– Ashton zaciska usta, ten wybuch był ostrzejszy, niż zamierzał.
Puszcza moją dłoń.
Rzucam mu ukradkowe spojrzenia i wygładzam plisowaną spódniczkę, ale nie odzywam się, aż Ashton zatrzymuje samochód w cichym zaułku parkingu. Kiedy już znajdujemy się w najciemniejszym kącie na końcu, oczekuję, że wyskoczy z auta i otworzy mi drzwi, chcąc się mnie jak najszybciej pozbyć. Ale tego nie robi. Nie gasi jednak silnika i radia, gdy palcami uciska nasadę nosa.

– Pewnie myślisz, że przesadzam, prawda? – Jego głos znów jest opanowany. Siedzę w bezruchu, słuchając. – Żyję lekko, co? Uczelnia, kasa, dziewczyny... nawet ten cholerny samochód. – Ze złością uderza dłońmi o deskę rozdzielczą. – Biedny popieprzony chłopak ze mnie, co? – Zaplata dłonie na karku, ściąga łokcie przed twarz i zamyka oczy. – On mnie kontroluje, Irlandko. Moje życie. Wszystko, co się w nim dzieje. Jestem uwięziony. – Nie ma wątpliwości, że cierpi, opowiadając o tym. To zimne i bolesne, i rozrywa mi serce. Nie muszę pytać, o kim mówi. Jestem pewna, że to ta sama osoba, która zafundowała Ashtonowi blizny. Bardzo chcę zapytać, w jaki sposób jest uwięziony i dlaczego, ale nie chcę za bardzo na niego naciskać. Mógłby się przede mną zamknąć. Zamiast tego szepczę:

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Spraw, żebym zapomniał. – Patrzy na mnie. Smutek, który widziałam dwa tygodnie temu, powraca.

– Ja... – Nie wiem, co powiedzieć. O co on prosi?

Wykorzystuje seks, by zapomnieć, już to sugerował. Ale ja nie chcę... nie mogę... W moim wnętrzu narasta panika i musi być widoczna na mojej twarzy.

– Nie tak, Irlandko – szepcze. – Nie chcę tego od ciebie. Nigdy nie śmiałybym prosić. – Odpina pas, po czym sięga, by to samo zrobić z moim. Bierze mnie za rękę i opiera ją sobie na piersi. Bez wahania i z ogromną ulgą przysuwam się, by moja dłoń cała spoczęła na nim wygodnie. Jego serce natychmiast odpowiada szybszym i mocniejszym rytmem, a dłoń przyciśnięta do mojej się rozgrzewa. – Twoja dłoń tutaj? Nawet nie potrafię opisać, jakie to niesamowite uczucie – szepcze z tęsknym uśmiechem. Wiedza, że mu przy mnie dobrze, że coś nas łączy, sprawia, że drzę wewnątrz, przygryzam więc wargę. Opierając głowę o zagłówek, cicho pyta: – Myślisz o mnie czasem, Irlandko?

– Tak. – Odpowiedź wymyka mi się szybciej, niż zamierzałam i pod palcami czuję przyspieszone bicie serca.

– Często?

Waham się nad odpowiedzią, walcząc ze wstydem.

Otwierając jedno oko, by na mnie zerknąć, Ashton mruczy:

– Miałaś mówić.

– Prawda. – Uśmiecham się do siebie. – Tak.

Następuje dłuższa chwila ciszy, po czym on mówi:

– Nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała, Irlandko. Ten syf wydarzył się dawno temu. Już nie może mnie tak krzywdzić. Ma na to inne sposoby, ale...

Biorąc drżący wdech, obdarowuję go uśmiechem.

– Przepraszam. Dużo ryczę. Siostra śmieje się ze mnie z tego powodu. I chyba to był bardzo emocjonujący dzień. Czasami trudno mi się powstrzymać przed reakcją na złe rzeczy.

Ashton otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamyka. Zastanawiam się, nad czym rozmyśla, ale nie pytam o to. Patrzę, jak spokój maluje się na jego twarzy, chociaż jego serce nadal wali jak młotem.

– Chcesz, żebym pomógł ci zapomnieć?

– Ja... – Moje spojrzenie pada na jego wargi.

Nagle przesuwa się, napierając delikatnie, bym się odsunęła i prosi, bym się zrelaksowała, nawet jeśli jeszcze nie zorientowałam się, że wszystkie mięśnie mam spięte.

Ashton się nie waha. Jego wargi natychmiast opadają na moje, jego język wślizguje mi się do ust. W piersi czuję jednocześnie lekkość i ciężar, wewnątrz żar, mimo iż moją skórę pokrywa zimny pot. Szybko jednak przestaję się skupiać na czymkolwiek innym poza Ashtonem i byciu z nim.

Rozkoszuję się jego delikatnym, a zarazem silnym językiem, który umiejętnie tańczy z moim. Jego usta są tak miętowe i niebiańskie, jak zapamiętałam. Są tak boskie, że ledwie zauważam poruszenie się oparcia fotela. Ashton ustawia je w wygodniejszej pozycji, nadal siedzę, ale jestem lekko odchylona w tył. Kierując usta na moje ucho, którego płatek zaczyna ssać, mówi ochrypłym głosem, który wibruje w moim wnętrzu:

– Mam zamiar coś zrobić i w każdej chwili możesz powiedzieć mi „stop”. – Wciągam ostro powietrze, gdy jego ręka spoczywa na moim udzie i kieruje się w górę. – Ale mam nadzieję,

że tego nie zrobisz.

Chyba wiem, do czego zmierza i nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Pozwolę mu na to? Naturalny odruch nakazuje mi ścisnąć na chwilę uda, jednak wtedy Ashton zaczyna mnie całować z nową pasją. Natychmiast się rozluźniam, pragnąc jego dotyku, ciesząc się, gdy jego dłoń zaczyna przesuwać się tam i z powrotem po moich rajstopach.

Chciałabym jakoś odpowiedzieć, ale nie wiem, jak zareaguje na to Ashton. Decyduję się umieścić dłoń na jego karku, gdzie ciemne włosy tworzą seksowne kosmyki, w sam raz, by za nie złapać i pociągnąć delikatnie. Pocałunek pogłębia się, dłonie Ashtona zaczynają przesuwać się szybciej, a kiedy ucieka mi słaby jęk, wydaje się, że to wysła chłopaka na krawędź.

Przesuwając drugą rękę w dół, palcami chwyta za rajstopy, szarpie, a dźwięk rozdzierania wypełnia samochód. Pewnie powinnam być zdenerwowana, ale nie mam możliwości, ponieważ Ashton nie traci czasu i wsuwa dłoń w moje majtki.

Oddycham szybko, odsuwam się nieco i patrzę mu w oczy, nagle cała spięta i drżąca.

– Ja nigdy... – Przerywa mi w pół słowa pocałunkiem.

– Wiem, Irlandko. Pamiętasz? Galaretkowe shoty są twoim kryptonitem, jeśli chodzi o tajemnice.

Zamykam oczy i ucieka mi jęk, opieram czoło o jego, a moje policzki zaczynają płonąć.

– Naprawdę powiedziałam ci, że nikt nigdy...? – Nie potrafię się zmusić do wypowiedzenia tych słów.

Jakby w odpowiedzi Ashton delikatnie wkłada we mnie jeden palec.

– Nikt nigdy co? – szepcze, dokładając drugi.

Moją odpowiedzią jest jęk, który on tłamsi pocałunkiem. Gdzieś w podświadomości wiem, że siedzę w samochodzie na parkingu. Powinnam być przerażona. Jednak szybko uświadamiam sobie, że szyby auta są przyciemniane i nikogo nie ma w pobliżu. Wkrótce, pod wpływem wprawnych ruchów palców Ashtona, który dokładnie wie, jakie tempo i jaki nacisk są najlepsze,

odprężam się i rozsuwam nieco uda, po czym uświadamiam sobie, że na nasz samochód mogłaby napaść horda zombie i miałabym to gdzieś.

Ashton nie reaguje, gdy ciągnę trochę mocniej za włosy lub gdy zdarzy mi się przygryźć jego wargę. Po sposobie, w jaki jego oddech przyspiesza, a jego pocałunek staje się bardziej natarczywy, wnioskuję, że mu się podoba. I, kiedy czuję, że dziwne uczucie gromadzi mi się w podbrzuszu, on w jakiś sposób wie, że powinien szybciej poruszać palcami, sprawiając, że zaczynam się więc, skręcać i ocierać o niego.

– Pozwól mi to usłyszeć, Irlandko – prosi szeptem, gdy moje ciało zaczyna drżeć. Kiedy jego usta przenoszą się na moją szyję, jęczę w odpowiedzi. Wbijam mu paznokcie w ramiona, gdy uderza we mnie fala. – To było cholernie seksowne, Irlandko – mruczy mi do ucha, opierając czoło o mój zagłówek.

Ściągam uda razem i mocno się rumienię. Ashton nie zabiera jednak ręki, a ja nie chcę jej odsuwać.

– Pomogłem ci zapomnieć?

Jedyną odpowiedzią, jaką jestem w stanie z siebie wydobyć, jest nerwowy chichot. Zapomnieć? Mój umysł stał się próżnią. Zapomniałam o swoich problemach, o jego problemach i potencjalnej apokalipsie zombie. Jeśli takie właśnie są orgazmy, dziwię się, że ludzie w ogóle wychodzą z domów. Czy samochodów.

– To chyba twój kolejny pierwszy raz, w którym biorę udział – szepcze.

Taki, którego nie zapomnę.

Wkrótce całuje mnie delikatnie w nos, wyjmuję rękę, obciąga mi spódniczkę, by wyglądała przyzwoicie, po czym spoglądając znacząco na siebie, mówi z rozbawieniem:

– Dla mnie to też nowość. – Kiedy dostrzega moje zdezorientowane spojrzenie, zaczyna delikatnie chichotać. – To się nigdy nie zdarza.

Moje oczy rosą ze zdumienia, gdy spojrzenie ląduje na plamie na jego kroczu. To tylko sprawia, że chichot Ashтона

zmienia się w głośny śmiech.

* * *

Zajmuje mi to dokładnie trzy godziny.

Trzy godziny – leżenia w łóżku, gapienia się w sufit, zamiast w książkę – abym przestała czuć się rozkosznie z powodu orgazmu i bym poczuła mdłości z powodu tego, na co pozwoliłam. Czego chciałam i czego nie żałuję.

Gdy odbieram telefon od Connora, w którym żarliwie przeprosza, że nie dał rady zabrać mnie do Nowego Jorku i obiecuje, że mi to jakoś wynagrodzi, uśmiecham się tylko i pocieszam go, że nic się nie stało. Życzę mu powodzenia przy oddawaniu pracy. Myślę o tym, jaki jest dobry i słodki, i o tym jak bardzo uwielbialiby go moi rodzice. Myślę o tym, w jaki sposób mam z nim zerwać, po tym, co właśnie mu zrobiłam.

Rozłączam się.

I płaczę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

OGIER

– Co ty sobie myślałaś?

– No właśnie nie myślałam.

W głosie Kacey słyszę irytację.

– Nie wiem, jak mogłaś, Livie... Czasami jesteś tak zwinna jak jednonogi flaming na ruchomych piaskach.

Przewracam oczami. Jak ona coś palnie...

– To lekkie zwichnięcie. Niemal wyleczone. Już nawet nie potrzebuję kul.

– Kiedy to się stało?

– Chyba trzy tygodnie temu. Albo cztery. Nie jestem pewna.

– Ostatnio czas wydaje się ciągnąć i pędzić jednocześnie. Nie wiem, czy to dlatego, że przez dwa tygodnie nie widziałam Ashtona, odkąd tamtego wieczoru odprowadził mnie pod drzwi akademika, pocałował w policzek na dobranoc i zniknął w ciemnościach. Nie miałam też od niego żadnych wiadomości oprócz SMS-a, który przyszedł następnego ranka:

TO JEDNORAZOWA SPRAWA. NICZEGO NIE ZMIENIA. ZOSTAŃ Z CONNOREM.

– Trzy albo cztery tygodnie i mówisz mi o tym dopiero teraz?

– Głos Kacey jest mieszaniną irytacji i bólu, przetykam więc gulę poczucia winy. Ma rację. Nie mogę uwierzyć, że nie rozmawiałam z nią przez prawie miesiąc. Nie powiedziałam jej o zwichnięciu. Nie powiedziałam o Connorze. I na pewno nie powiedziałam o Ashtonie.

– Przepraszam, zaskoczyły mnie egzaminy śródsemestralne i takie tam.

– Jak ci poszły?

– Chyba dobrze. – Nigdy się ich nie bałam i nie szłam na nie

nieprzygotowana. Ale w zeszłym tygodniu wyszłam z każdego ze ściśniętym żołądkiem. Nie wiem, czy to stres z powodu studiów. Wiem jednak, że stanowczo zbyt dużo czasu spędzałam nie na nauce, a na rozważaniu spraw takich jak moje uczucia do Ashtona i na zastanawianiu się, co robi Connor, gdy się dowie. Zerwie ze mną? Pewnie tak. Waham się przed przyznaniem się, bo jestem zbyt słaba, by z nim zerwać. Nie chcę też być przyczyną kłótni między Connorem a Ashtonem. Mieszkają przecież w jednym domu, a ja stoję pomiędzy nimi.

Poza tym skupiałam się również na irytacji z racji tego, że Ashton położył na mnie swoje wyszkolone łapska. Pozwoliłam, by ta irytacja przerodziła się w gniew. Po czym skórzany pasek, blizny zamaskowane tatuażami i wszystko, co chłopak ukrywa, zmieszało się w istny bałagan zajmujący mi głowę i serce, przez co gniew zmienił się w ból. Ostatecznie pozostawiając mnie spragnioną jego widoku.

Następnie wkurzyłam się sama na siebie za to, że za nim tęsknię, że tęsknię za tym, co mi zrobił i za to, że jestem zbyt samolubna, by zakończyć związek z Connorem. Za to, że zgubiłam się w odcieniach dobra i zła, zamiast trzymać się czarno-białego świata, który zawsze miał dla mnie sens.

Po długiej chwili ciszy, Kacey mówi:

– Chyba?

– Tak. Dlaczego pytasz?

– Nie wiem. Ty nigdy... nie mówiłaś „chyba”. – Następuje kolejna długa pauza. – Co się dzieje, Livie?

– Nic. Jestem zmęczona. Nie sypiam ostatnio za dobrze. – Gdy leżę w łóżku przeważnie myślę o Ashtonie. Martwię się o niego. Pragnę go. Ostatnio dużo czasu spędzam w łóżku.

– Rozmawiałaś ostatnio z doktorem Staynerem?

Ciężko wzdychając, przyznaję:

– Nie. – Ponieważ musiałabym skłamać, a nie chcę tego robić. Unikanie jest dobre. Reagan też tak twierdzi. Spoglądając na zegarek, mamroczę: – Za dwadzieścia minut mam zajęcia. – Literaturę angielską. Nie mam ochoty na nie iść. Przerobiłam tylko

jedną czwartą zadanej lektury, więc i tak nie będę wiedzieć, o czym mowa. Rzucam okiem na łóżko. Drzemka byłaby teraz cudowna...

– No cóż, tęsknimy za tobą, Livie.

Uśmiecham się smutno na myśl o rosnącym brzuszku Storm, o eksperymentach naukowych Mii, o nocach spędzonych z siostrą na tarasie, o szumiącym oceanie i ból ściska mnie w klatce piersiowej. W Princeton jest pięknie, ale z Miami nie może się równać.

– Też za wami tęsknię.

– Kocham cię, siostrzyczko.

Gramolę się na górne łóżko, by się zdrzemnąć, gdy telefon pika wiadomością:

JESTEŚ W POKOJU? ASH.

Czuję dreszcz, gdy odpisuję:

TAK.

Odpowiedź przychodzi błyskawicznie.

ODPROWADZĘ CIĘ NA ZAJĘCIA. WIDZIMY SIĘ ZA CHWILĘ.

Co? On tu będzie? Zaraz? Przerażonym spojrzeniem omiatam pokój, widząc sterty ciuchów Reagan, a w lustrze własną postać w dresie, z bladą cerą i kołtunem czarnych włosów na głowie. Miotając się, wkładam jeansy i koszulkę, jaką kupiła mi Storm, a której nigdy nie nosiłam. Pasuje do moich tęczówek, jest jasnoniebieska, dopasowana i ma dekolt w dość mocno wycięte karo. Nagle czuję potrzebę kuszenia Ashtona.

Chwytam szczotkę i poprawiam też włosy, ponieważ chyba naprawdę walnął we mnie piorun.

Głośne pukanie do drzwi sprawia, że serce o mało nie wyskakuje mi z piersi. Ostatni raz spoglądam na swoje odbicie i nakładam nieco błyszczyka Reagan na usta, by dodać swojej twarzy odrobinę koloru. Biorę głęboki oddech i otwieram drzwi.

Ashton stoi zwrócony do mnie plecami, gapiąc się na korytarz. Gdy się do mnie odwraca, moje serce fika koziółka, jak za pierwszym razem, gdy zobaczyłam tę przystojną twarz. Jednak uczucie, które temu towarzyszy, jest teraz bardziej intensywne, ponieważ łączy przyciąganie zarówno ciała, jak i serca.

– Pomyślałem, że cię odprowadzę, bo pewnie nadal boli cię noga – mówi z tym swoim uśmieszkiem, jego spojrzenie bezwstydnie taksuje całą moją sylwetkę.

– Dzięki – odpowiadam lekko speszona, odwracam się, by zabrać książki i płaszczyk. Prawdę mówiąc, moja kostka ma się już dobrze, ale nie chcę tego wyjawiać, żeby nie psuć dziesięciminutowego spaceru z Ashtonem.

Nasza rozmowa jest normalna, bezpieczna. Pyta o moje egzaminy; opowiada o kilku swoich. Pyta o bliźniaki.

Gdy dostrzegam wejście do sali wykładowej, ogarnia mnie smutek. Nie wystarcza mi dziesięć minut z Ashtonem. Chcę dziesięciu godzin. Dziesięciu dni. Nawet dłużej. Jednak Ashton nie odstępuje mnie na krok. Wchodzi ze mną na wykład, idzie schodami do pierwszego rzędu i siada obok. Nie pytam go o to, nic nie mówię. Obserwuję tylko, jak wyciąga przed siebie nogi, znów zajmując nieco mojej przestrzeni. Tym razem jednak nie odsuwam się, rozkoszując się tym. Pragnę tego.

– A jak tam ci idzie odnajdywanie moich zalet, co? – pyta szeptem, gdy profesor wchodzi na podwyższenie i rozkłada notatki.

Myślę chwilę nad odpowiedzią, po czym mówię:

– Powiem ci, jak znajdę choćby jedną.

Profesor trzy razy stuka w blat, informując, że zaczyna wykład. Oczywiście Ashtona to nie obchodzi. Jego wargi ocierają się o moje ucho, gdy się pochyla i szepcze:

– Mam ci je wymienić?

Odpycham jego twarz, udając irytację, ale żar, jaki rozpala mi się między udami, sprawia, że jest mi niewygodnie, poprawiam się więc na krześle. Lekki uśmieszek Ashtona zdradza, że zauważył, co się dzieje, i że dobrze wie, co mi robi.

Cały dzisiejszy wykład jest poświęcony Thomasowi Hardy'emu, a ja nie potrafię się skupić, bo woda kolońska Ashtona wierci mnie w nosie, jego udo ociera się o moje kolano, a jego palce stukają o blat biurka. Widzę, że zaczyna coś pisać w zeszyt. Co może pisać? Przecież skończył te zajęcia, więc po co mu notatki?

W pewnym momencie profesor odwraca się od klasy, by napić się wody. Ashton wyrywa stronę z zeszytu i podsuwa mi ją.

Powinam była wiedzieć, żeby zaczekać z czytaniem do końca zajęć.

1. Jestem genialny.

2. Jestem czarujący.

3. Jestem rasowym ogierem.

4. Przestałem się łajdaczyć.

5. Mam umiejętności, które ostatnio poznałaś.

PS. Nie patrz tak na moje palce. Wiem, czego od nich chcesz.

* * *

Profesor kontynuuje omawianie lektury jakieś dwa metry przede mną, a mi krew napływa do policzków, brzucha i ud. Co on robi? Dlaczego to napisał i podał mi tę kartkę w połowie wykładu? Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba to myślenie o Ashtonie i jego dłoniach w tamtą noc, podczas gdy profesor opowiada o twórczości Thomasa Hardy'ego.

Nagle jego ręka ściska moje kolano, więc się wzdrygam i podskakuję. Natychmiast szturcham łokciem Ashtona w żebra. Tyle wystarczy, by zwrócić uwagę profesora.

– Jest coś, czym chcieliby się państwo podzielić z klasą? – pyta spokojnie, zsuwając okulary i spoglądając na nas.

Prawie niezauważalnie kręcę głową, gdy ponad siedemdziesiąt osób pochyla się, wiercąc mi spojrzeniami dziurę w czaszce.

I na tym by się skończyło. Profesor odpuściłby, ale przypominam sobie o notatce, o tym, by nakryć ją książką i zagłuszyć sprosności, które wręcz z niej krzyczą.

Widzę, jak wzrok profesora skupia się na niej.

Żołądek przykleja mi się do kręgosłupa.

– Karteczki przesyłane na moim wykładzie w pierwszym rzędzie...? Mogę? – Błada dłoń wyciąga się w moją stronę po dowód mojego skandalicznego zachowania zainicjowanego przez faceta siedzącego obok.

Szeroko otwartymi oczyma patrzę na tę dłoń i rozważam możliwości. Nie ma ich za wiele. Nie mogę wybiec z klasy, bo jeszcze nie mogę biegać, pozostaje mi więc zjedzenie karteczki lub, dla odwrócenia uwagi, dziabnięcie Ashtona w rękę piórem. Obie opcje zagwarantowałyby mi wydalenie z zajęć, z jedną nawet wiązałoby się ubranie w kaftanik z przydługimi rękawkami i spędzenie nocy w pensjonacie doktora Staynera.

Zatem z morderczym wzrokiem wbitym w Ashtona, podaję profesorowi notkę i modłę się do Boga Wszchemogącego, by wykładowca nie przeczytał jej na głos, ponieważ jeśli zacznę, moja strategia odwracania uwagi może nadal być aktualna.

– Zobaczmy, co tu mamy... – Odgłosy ludzi z sali rozmywają się, w uszach słyszę wyłącznie szum własnej krwi. Nie wątpię, że studenci plotkują o nas szeptem, czekają na wyrok nade mną, mimo to ich nie słyszę. I nie mam odwagi spojrzeć na Ashtona, bo jeśli ma na twarzy uśmiezek, walnę go pięścią prosto w szczerzące się zęby.

– Panie Henley, sugerowałbym przeniesienie prób podboju poza drzwi mojej klasy – mówi w końcu profesor, porażając Ashtona wiele mówiącym spojrzeniem, po czym gniecie karteczkę i wrzuca ją do kosza. Powietrze w pośpiechu opuszcza moje płuca. Oczywiście, że wykładowca zna Ashtona. Wszyscy go znają...

Ashton odchrząkuje, gdy szepty za nami stają się coraz

głośniejsze.

– Oczywiście, panie profesorze. – Nie potrafię stwierdzić, czy jest zawstydzony.

Kiedy profesor wraca na podwyższenie, chór rozczarowanych głosów wypełnia pomieszczenie, ponieważ studenci uświadamiają sobie, że nie będą świadkami egzekucji. Jednak nim kontynuuje wykład, dodaje:

– A jeśli byłbym na miejscu tej młodej damy, poważnie rozważyłbym prawdziwość punktu pierwszego.

* * *

– Zdajesz sobie sprawę, że o mały włos, a miałbyś pióro wbite w rękę? – Unoszę je dla podkreślenia swoich słów, gdy wychodzimy z budynku.

– Nudziło mi się. Hardy za pierwszym razem też był nudny.

– Cóż, ale wtedy nikt cię nie upokorzył przed całą klasą w połowie wykładu, prawda?

– Wolałabyś, żebym nie przychodził? Powiedz prawdę... zalecenie doktorka.

Zaciskam zęby. Mimo wszystko mamrocę pod nosem z uśmiechem:

– Nie.

– Nie, co?

– Nie, cieszę się, że doszedłeś...

– Jeszcze... nie.

Rumieniąc się mocno, uderzam go w ramię książką.

– Jesteś niemożliwy.

– A ty jesteś niesamowita. – Po sposobie w jaki traci na chwilę oddech, jak mu błyszczą ciemne oczy, sędzę, że nie chciał powiedzieć tego na głos.

Zwalczam chęć przytulenia się do niego. Jednak nie walczę ze słowami.

– Tęskniłam za tobą.

– Też za tobą tęskniłem. – Następuje dłuższa chwila ciszy. – Irlandko... – Zwalnia, aż się zatrzymuje, patrzy na mnie jednym z

tych swoich mrocznych spojrzeń. Żołądek zaciska mi się zarówno z przerażenia, jak i z ekscytacji, z powodu słów, które mogą wyjść z jego ust. – Masz zamiar odebrać?

– Co?

– Telefon. – Dotyka kieszeni moich spodni, w których mam komórkę. – Dzwoni.

W chwili gdy zwraca mi uwagę, rozpoznaję przypisany do kontaktu Connora dzwonek.

– Ach, tak. – Wyjmuję telefon, natychmiast na wyświetlaczu pokazuje się uśmiechnięta buzia Connora z intensywnie zielonym spojrzeniem. Odbieram. – Cześć, Connor.

– Hej, mała. Biegnę na zajęcia, ale chciałem się upewnić, czy przyjdiesz na wyścig w przyszłą sobotę.

– Tak, będę tam od rana. Dopiero po południu mam wolontariat w szpitalu.

W jego głosie słyszę ulgę.

– Super. Rodzice nie mogą się doczekać, aż cię poznają.

Mój żołądek wywija fikołka.

– Co? Powiedziałaś im o mnie? – „*Nie spieszmy się i nie komplikujmy*” znaczy „*poznaj moich rodziców*”?

– Oczywiście. Muszę lecieć. Złapię cię później. – Dźwięk kończący połączenie pozostawia mnie gapiącą się na Ashtona, który skępowany kopie liście na brzegu ścieżki.

Kiedy patrzy na mnie, marszczy brwi.

– Co się stało?

Patrzę na komórkę, to znów na niego. We własnym głosie słyszę wahanie, gdy mówię:

– Connor chce, żebym poznała jego rodziców. – Wiem, dlaczego mówię o tym Ashtonowi. Chcę się dowiedzieć, co on o tym sądzi.

Wzrusza ramionami, oglądając się za mijającą nas blondynką.

– Hej! – warczę, krzywiąc się. – Jestem tutaj!

Pochylając głowę, Ashton wzdycha.

– Co ci mam powiedzieć, Irlandko? – Patrząc na mnie ze

zrezygnowanym uśmiechem i nieumiejętnie zamaskowanym bólem w oczach, mówi: – Poznaj jego rodziców. To pewnie ma sens. – Przerzywa, na chwilę zaciskając usta. – Jesteście z Connorem parą. – Słyszę niewypowiedziane słowa, jakby krzyczały: my nie jesteśmy!

– A jeśli nie chciałabym z nim być? Miałoby to dla ciebie znaczenie? – To ta sama strategia, jakiej kilka razy używał w stosunku do mnie. Teraz moja kolej.

Ashton pociera kark. Zamyka oczy i unosi twarz ku delikatnym promieniom jesiennego słońca. Czekam w milczeniu, obserwując, zapamiętując kształt jego szyi, walcząc z pragnieniem dotknięcia jego klatki piersiowej, by znów dzielić z nim tę intymną chwilę.

Opuszcza na mnie wzrok z wyraźnie zaciśniętymi ustami.

– Nie mogę dać ci tego, czego chcesz, Irlandko. – Z kolejnym głębokim westchnieniem mówi: – Myślisz, że dasz radę sama wrócić do akademika?

Przygryzam dolną wargę, gdy kolczasta gula tworzy mi się w gardle, a moje spojrzenie opada na książki.

– Oczywiście. Dzięki, Ashton.

Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamyka. Widzę, jak minimalnie kręci głową, jakby upominał sam siebie.

– Do zobaczenia – mówi, odwraca się i odchodzi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

MIERNOTA

Minus trzy.

Mrugam kilka razy, przysuwając kartkę prawie przed nos, by się upewnić, że nie mam halucynacji.

Ale nie mam. Ocena widnieje u góry kartki z testem śródsemestralnego egzaminu z chemii, w całej swojej czerwonej, wstrętnej chwale.

Mój pierwszy egzamin na studiach i niemal nie zdałam. Nigdy nie dostałam oceny niższej niż bardzo dobry.

Nigdy.

Trzy razy przełykam ślinę, ponieważ nudności podchodzą mi do gardła, w uszach słyszę szum własnej krwi, a serce bije mi nieregularnie, jakbym miała arytmie. Może nie nadaję się do Princeton. Wiem, że nie przyłożyłam się do nauki tak solidnie, jak powinnam. Tata miał rację, chłopcy wysysają z dziewczyn mózgi. Albo alkoholem zabiłam wszystkie swoje mądre szare komórki. Zostały mi tylko te głupie, odpowiedzialne za chichotanie i macanki w samochodach.

Wychodzę przez drzwi i w pośpiechu mijam innych studentów, poruszam nogami tak szybko, jak tylko mogę, ale nie biegnę. Wypadam na chłodną mżawkę i zmuszam się do zwolnienia, gdy w mojej kostce odzywa się ból.

Jeśli nie będę ostrożna, ponownie ją skręcę.

Dzwoni telefon. Connor zawsze dzwoni o tej porze, ponieważ też kończy zajęcia. Nie chcę odbierać, ale i tak to robię.

– Hej mała, co się stało?

– Zawałam egzamin z chemii! – Walczę ze łzami. Nie chcę wybuchnąć płaczem na oczach wszystkich.

– Poważnie? Oblałaś? – Bez wątpienia słyszę szok w jego głosie.

– Cóż... prawie! – mówię ochryple, łapiąc oddech.
– Livie, zwolnij – prosi Connor, łagodnym głosem. –
Opowiedz, co się stało.

Biorę kilka głębokich oddechów, by się uspokoić i mówię:

– Dostałam minus trzy.

Connor wzdycha głęboko.

– Wystraszyłaś mnie, Livie. Ale nie martw się, ja też dostałem kilka złych stopni z egzaminów na pierwszym roku. To nic takiego.

To nie jest nic takiego! Chce mi się krzyczeć. To mój pierwszy zły stopień. Kiedykolwiek. I to z jednego z moich ulubionych przedmiotów. Z ucisku w klatce piersiowej wnioskuję, że w wieku osiemnastu lat mogę mieć stan przedzawałowy.

– Następnym razem pójdzie ci lepiej. Jesteś bystra, Livie.

Przygryzam wargę i kiwam głową.

– Jasne, dobra.

– Lepiej ci?

Nie.

– Pewnie. Dzięki, Connor.

– To dobrze. – W słuchawce słyszę jakieś wrzaski i szumy, po czym Connor mówi: – Podwieźć cię? Wskakuj... – Do mnie mówi: – Muszę jechać. Mamy dzisiaj dodatkowy trening. Trener zagroził, że kto się na niego spóźni, będzie biegał piętnaście kilometrów w deszczu.

– Dobra, leć.

– Później pogadamy, Liv. – Po czym się rozłącza.

Nie czuję się lepiej. Wcale. Właściwie czuję się jeszcze gorzej.

Ze spuszczoną głową wracam do pokoju, walcząc z gulą łez, jaka tworzy mi się w gardle. Connor wierzy we mnie automatycznie – podobnie jak wszyscy inni. Dlaczego nie rozumie, że prawie dwójka jest dla mnie katastrofą? Co, jeśli nie stać mnie będzie na więcej? Co, jeśli to początek końca?

Kiedy docieram do akademika, nie dbam już o to, kto zobaczy moją zapłakaną twarz. Wiem, że powinnam zadzwonić do

doktora Staynera, ale zacznie gadać o moich rodzicach, a nie chcę dzisiaj słyszeć tych rutynowych porad. Powinnam zadzwonić do Kacey, ale... nie mogę. Po tym wszystkim, co zrobiła, bym mogła się tu dostać, nie chcę jej rozczarować. Zawierzam zatem jedynej rzeczy, którą znam – Reaganowej terapii lodowej, do której jest niezbędnych kilka pudełek czekoladowych słodkości, spoczywających w naszej lodówce. Ceremonii uzalania się nad sobą dopełniam, gdy przebieram się w piżamę, ściągam włosy w kucyk, wczołguję się na górne łóżko pod kołdrę, by stamtąd pogapić się na zasmucającą mnie kartkę leżącą na podłodze. Zastanawiam się, czy jej nie spalić, ale słyszałam, że czujniki dymu są dość czułe.

Czekają na mnie jeszcze dwa pudełka lodów w lodówce. Decyduję, że zajem się nimi na śmierć. Po pięciu minutach jestem w połowie pierwszego pudełka – Reagan mnie zabije – gdy ktoś puka do drzwi.

Ignoruję tego kogoś. Każdy, z kim chciałabym teraz rozmawiać, spędza czas na treningu wioślarskim. Niemal krzyczę: „idź stąd”, ale wtedy ta osoba wiedziałaby, że tu jestem, zatem w ciszy zlizuję lody z łyżeczki. Jednak pukanie rozlega się ponownie, tym razem się nie kończy, ktoś wali w moje drzwi, aż jestem pewna, że to doktor Stayner chcący wcześniej spełnić swoją kaftanową obietnicę.

Z jękiem zlążę z łóżka, człapię do drzwi i wkładając sobie łyżeczkę do buzi, otwieram je.

To Ashton.

Opada mi szczęka, a z ust wypada łyżeczka. Ashton ma doskonały refleks, więc łapie ją, nim upada na podłogę.

– Co tu robisz? – Widzę, że jest w stroju do ćwiczeń. Powinien być na treningu.

Wchodzi do pokoju, rzucając okiem na pudełko lodów, które trzymam w rękach i mamrocze:

– Powstrzymuję cię przed zajadaniem smutków.

Zamykam za nim drzwi.

– Nie masz treningu?

– Mam. Co robisz?

Człapię z powrotem w kierunku łóżka, mamrocząc pod nosem:

– Najwyraźniej zażeram się lodami, w piżamie, w łóżku, w ciemności.

Ashton włącza małą lampkę stojącą na biurku, pokój zalewa delikatne światło.

– Connor mówił, że świrujesz z powodu egzaminów.

Te słowa sprowadzają mnie do rzeczywistości i moja dolna warga zaczyna drżeć. Nawet nie umiem tego powiedzieć na głos. Zatem wskazuję na tę przeklętą kartkę leżącą na podłodze, niech wstrętny papier sam przemówi.

Ashton podnosi ją, by się przejrzeć, a mnie brakuje tchu, gdy beczelnie wpatruję się w jego wypięty tyłek. Mam gdzieś, czy przyłapie mnie na gapieniu się. Równie dobrze mogłabym dopisać „zbok” do „miernota” na liście definiującej moją osobę.

– Cholera, myślałem, że jesteś jakimś supergeniuszem, Irlandko.

I tyle wystarczy. Łzy niekontrolowanie zaczynają płynąć mi po policzkach i nie potrafię nad nimi zapanować.

– O Boże, Livie, żartuję! Rany. – Ashton wkłada kartkę pod pachę, po czym dwoma rękami obejmuje moją twarz, unosząc mi podbródek, palcami delikatnie ocierając łzy. – Naprawdę często płaczesz.

– Powinieneś już iść – łkam, w pełni świadoma swojego wyglądu, chociaż wolałabym być pogrzebana żywcem, niż pozwolić, by Ashton widział mnie w takim stanie.

– Hej. – Dwie silne dłonie łapią mnie za ramiona. – Przestań. Nie olałem treningu, byś mogła mnie stąd wykopać. Chodź do mnie. – Pudełko lodów zostaje wyjęte z mojej dłoni i odłożone na komodę. Ashton łapie mnie w tali i unosi na górne łóżko. – Ułóż się wygodnie. – Zabiera pudełko lodów i wspina się po drabince.

– Nie wiem, czy to łóżko wytrzyma nasz ciężar – mamroczę między pociągnięciami nosem, gdy Ashton mości się obok, przyciskając mnie do ściany.

– Zdziwiłabyś się, ile te łóżka potrafią wytrzymać. – Uśmiech zawarty w tym zdaniu podpowiada mi, że nie chcę znać szczegółów. Zatem nie odzywam się, gdy Ashton naciąga na nas kołdrę, poprawia sobie poduszki, po czym przyciąga mnie, abym położyła głowę na jego klatce piersiowej.

Nie mówi ani słowa. Po prostu leży, palcami leniwie zataczając kółeczka na moich plecach, dając mi czas na uspokojenie. Zamykam oczy i słucham bicia jego serca – powolnego, równego i kojącego rytmu.

– Nigdy wcześniej nie dostałam minus trzy. Zawsze dostawałam piątki.

– Nigdy?

– Nigdy. Nawet raz.

– Twoja siostra miała rację. Jesteś nazbyt idealna. – Spinam się z powodu tych słów. – Żartuję, Irlandko. – Wzdycha. – Wiem, że mi nie uwierzysz, ale wcale nie musisz być idealna. Nikt taki nie jest.

– Nie jestem. Staram się tylko być... doskonała – mamroczę.

– Co?

Wzdycham.

– Nic. Tylko... A jeśli na tym nie poprzestanę? Jeśli będę dostawała same złe oceny? Co, jeśli nie dostanę się na medycynę? Co wtedy zrobię? Kim będę? – Znów wpadam w paranoję.

– Nadal będziesz sobą. I, zaufaj mi, zawsze będziesz doskonała. Uspokój się.

– Nie mogę! – Mocno wtulam twarz w jego pierś. – Zawaliłeś kiedyś coś?

– Nie, ale to dlatego, że jestem genialny, pamiętasz? – Obejmuje mnie ramieniem i ściska, co podpowiada mi, że nadal żartuje. – Mam na swoim koncie kilka trój, jedną dwóję. Funkcje liniowe naprawdę potrafią dać w kość. – Wbija łyżeczkę w roztopiające się lody i pełną wkłada sobie do ust. – Dostałeś wyniki innych egzaminów?

W odpowiedzi kręcę głową, ocierając policzek o jego klatkę piersiową.

– A co o nich sądzisz?

– Do dzisiaj byłam lekko zaniepokojona. Ale teraz? – Oplątam go ramionami, chcąc być jeszcze bliżej, by w pełni zasmakować tego poczucia bezpieczeństwa, które mi zapewnia, nawet jeśli tylko tymczasowo. – Jestem przerażona. Okropnie. Jeśli z ulubionego przedmiotu dostałam tak złą ocenę, na pewno obleję literaturę angielską.

– Cóż... – Kolejna łyżka lodów wędruje do jego ust. – Robiłaś coś innego niż wcześniej? Uczyłaś się?

– Oczywiście, że się uczyłam – natychmiast prychnam.

– Spokojnie. – Czuję, jak przęłyka. – Byłaś przez coś... rozproszona?

Zamykam oczy i szepczę:

– Tak.

Następuje chwila ciszy, nim pyta:

– Przez co?

Przez ciebie. Nie potrafię tego powiedzieć. To nie wina Ashtona, że moje hormony i serce wzięły górę nad rozumem.

– Przez wiele rzeczy. – Opieram dłoń na jego klatce piersiowej, w miejscu, gdzie ma tatuaż. Gdzie ma bliznę.

Mięśnie Ashtona natychmiast napinają się pod moim policzkiem.

– Mówiłem ci, żebyś o tym zapomniała. – Przez bardzo długą chwilę słyszę tylko bicie jego serca, gdy palcami wodzę po tym miejscu na jego piersi, dotykiem ucząc się kształtu blizny. Tyle wystarcza, by ukołysać mnie do snu.

– Ojciec Dany jest strategicznym klientem mojego ojca i uszczęśliwianie jej, uszczęśliwia jej tatuśka. – Na dźwięk jej imienia moja dłoń zamiera na chwilę w miejscu, a poczucie winy sprawia, że kurczy mi się żołądek i natychmiast budzę się z półsnu. Jednak uspokajam oddech i zmuszam palce do ponownego ruchu. – Jeśli jej ojciec jest szczęśliwy, mój też jest. A jeśli mój ojciec... – mówi i wszystko nagle nabiera sensu. Wszelkie znaki na niebie i ziemi podpowiadają mi, że ten mężczyzna – jego własny ojciec – bił go, gdy Ashton był dzieckiem i nadal go wykorzystuje,

kontrolując jego życie, nawet teraz, gdy chłopak jest dorosły.

Wodząc wolno palcami po jego klatce piersiowej, szepczę:

– Zatem nadal z nią jesteś, tylko nie... z własnego wyboru.

– Z mojego punktu widzenia jest idealna. Jest słodka i ładna.

I mieszka bardzo daleko stąd. – Ashton niechętnie to mówi. Słyszę to w jego głosie.

– Ona wie o tej zależności między firmami waszych ojców?

Ucieka mu niewielkie parsknięcie.

– Sądzi, że się pobierzemy. A jeśli... – Natychmiast milknie, ale chyba wiem, w jakim kierunku biegną jego myśli. Jeśli ojciec będzie chciał, żeby ją poślubił... Przez moje ciało przechodzi dreszcz, zostawiając po sobie gęsią skórkę. Boże, czym on go szantażuje?

Instyktownie zwijam się w kulkę, przytulając się mocno do niego. Unoszę głowę, by delikatnie pocałować go w pierś. A może to coś więcej niż chęć pocieszenia. Może to ulga z powodu tego, że nie niszczy ich szczęścia, bo to wszystko i tak jest iluzją.

– Nie możesz od niego uciec?

– W końcu to zrobię. Ale może to zająć miesiące lub lata. Nie przewidzę tego. Jakoś się z tym pogodziłem. – Przerywa na chwilę. – Po czym najpiękniejsza dziewczyna na ziemi walnęła mnie w pysk.

Ucieka mi niewielki chichot.

– Sam sobie zasłużyłeś, „Galaretkowy Rabusiu”.

Dźwięk jego śmiechu wibruje w moim wnętrzu.

– Żadna dziewczyna wcześniej, kompletnie ubrana, nie drżała przeze mnie tak bardzo, Irlandko.

– Zamknij się i daj trochę lodów. – Unoszę się, by sięgnąć po łyżeczkę, ale wyciąga długą rękę tak, że nie mogę jej dostać.

– Myślę, że wystarczy szkód jak na jedną noc.

– Sama to osądzę. Dlaczego uciekłeś z treningu i przyszedłeś do mnie?

– Bo wiedziałem, że znajdę tu seksowną laseczkę w okropnej piżamie i z buzią całą usmarowaną lodami czekoladowymi.

Zamieram. Moje spojrzenie ląduje na koszulce, jest to góra

od pizamy, która właściwie niczego nie ukrywa, do tego nie założyłam biustonosza. A moja twarz? Bazując na plamach powstałych na koszulce Ashtona, wnoszę, że chłopak mówi prawdę.

– Jest źle, prawda?

– Wiesz, jak klauni malują usta...?

O rany boskie! Wbijam mu dłoń w mostek, próbując wstać. Ashton łapie mnie za ramię i zatrzymuje.

– Dokąd się wybierasz?

– Umyć się.

W ułamku sekundy znajduję się pod Ashtonem, nie mogę poruszyć rękami, gdyż uwięził mi je nad głową.

– Pozwól, że ci w tym pomogę. – Pochyliła się i końcówką języka wodzi po skórze wokół moich ust. Zaczyna od góry, po czym przenosi się z lewej do prawej, następnie robi to samo z dolną wargą, delikatnie zlizując rozmazane lody.

Jeśli jest coś takiego jak zdzirowata dziewczica, definitywnie kwalifikuję się jako jedna z nich.

Jakim cudem znów się w to wpakowałam? Zamykam oczy, jednocześnie chcąc chichotać i wrzeszczeć z obezwładniającej niemocy. Dzisiejszego ranka, jak codziennie ostatnio odkąd poznałam Ashtona, obudziłam się z myślą, żeby go sobie odpuścić, by przestać o nim myśleć, przypomnieć sobie o celu jaki obrałam. „Nie spieszmy się i nie komplikujmy” z Connorem.

Jak w takim razie mogę wylądować w łóżku, starając się nie jęczeć z przyjemności, podczas gdy Ashton zlizuje lody czekoladowe z mojej twarzy i kiedy moje ciało próbuje wykorzystać moc Jedi, by powtórzyć wieczór na parkingu w samochodzie? Nie powstrzymałam go, chociaż mogłam. Teraz też mogłabym to zrobić. Mogłabym nazwać go żigolakiem. Mogłabym wyjawiać mu, że przez niego czuję się jak dziwka.

Ale nic nie robię, bo nie chcę, żeby przestał. Gdy się odsuwa, ucieka mi cichutki jęk.

– Już prawie dobrze – mruczy, oddychając płytko. Znów się pochyla i tym razem pracuje nad moimi wargami, najpierw górną,

później dolną. Mimowolnie uchylam je dla niego. Nie potrafię upilnować języka, który mi się wymyka, szukając towarzystwa.

Wtedy Ashton odsuwa się, patrzy mi w oczy, a w jego spojrzeniu widzę smutek. Myślę, że znam odpowiedź, ale chcę ją usłyszeć od niego, więc pytam:

– Dlaczego do mnie dzisiaj przyszedłeś? Powiedz prawdę.

Przełyka ślinę.

– Dlatego że nie mogłem znieść tego, że jesteś smutna. Ale...

– Obserwuję, jak zamyka oczy i pochyla głowę. – Nie mogę grać z tobą w tę grę, Irlandko. Skrzywdzę cię.

Uwalniam jedną rękę, by unieść mu brodę, bym mogła spojrzeć mu w oczy.

I ignoruję jego słowa.

Mam je gdzieś, ignoruję też poczucie winy, które wiąże mi żołądek w supeł, oraz krzyki w głowie. Ignoruję również wewnętrzną walkę, jaką w nim dostrzegam. Chcę zapomnieć o wszystkich lękach, których doświadczyłam w życiu i sprawić, by i on zapomniał o ciemnych szafach, taśmie klejącej na ustach, paskach tworzących blizny i niewoli.

Ignoruję to wszystko, obejmując go za kark i przyciągając do siebie, by pocałować, po czym językiem przeciągnąć po jego dolnej wardze.

Ashton z trudem łapie oddech, czuję pod palcami jego napięte mięśnie, gdy się waha, dłoń ma zaciśniętą na poduszce tuż obok mojej twarzy, jakby naprawdę ze sobą walczył. Nie chcę, by walczył. Chcę, żeby znów pokazał mi tę swoją wrażliwą stronę. Chcę znów tworzyć z nim jedność. Chcę, by poczuł się dobrze. I żebym ja też tak się czuła. Chcę zapomnieć o... o wszystkim.

Właśnie takich rzeczy doznaję, gdy jestem z Ashtonem.

Jakbym odpuszczała sobie świat.

Właśnie dlatego patrzę mu głęboko w oczy i proszę:

– Pomóż mi przez chwilę zapomnieć.

Ashton przestaje się wahać.

Zaczyna mnie całować z pasją i zapalczywością. Dopasowuję się, całując go tak zapamiętale, jakbym potrzebowała wyssać

powietrze z jego płuc, by móc przeżyć. Gdzieś w głębi czuję strach. Nie wiem, do czego doprowadzi ten pocałunek i nie wiem, czy jestem na to gotowa.

Jednak nie sądzę, żebym się powstrzymywała.

Jakby potrafił mi czytać w myślach, odsuwa się, patrzy na mnie i szepcze:

– My nie... Nie zabiorę ci dzisiaj niczego, Irlandko. Nigdy bym tego nie zrobił, kiedy nie jestem... wolny. – Nie umyka mi to, że nie używa słów takich jak „pieprzyć” czy „bzykać”, które są w jego stylu. Ale przecież nie mam tu typowego Ashtona. Mam tego, który ukrywa się przed resztą świata.

Zamykam oczy, gdy jego usta spoczywają na mojej szyi, rozkoszuję się tym, jak delikatne i stanowcze są jednocześnie. Do czasu aż trafiają na mój obojczyk, moja klatka piersiowa szybko unosi się i opada. Ashton z łatwością ściąga mi koszulkę przez głowę. Rzuca ją na podłogę i unosi się nade mną na tyle, by spojrzeć na moje nagie piersi, przyprawiając mnie o gęsią skórkę.

– Tamtego ranka, gdy się tu obudziłem... – Zerka mi w twarz, a widząc, że mu się bacznie przyglądam, ponownie opuszcza wzrok. – ...byłem gotów paść na kolana przed tobą i błagać, byś je zasłoniła. – Ucieka mi syk, gdy zaczyna pieścić jedną pierś, po czym przechodzi do drugiej, jakby chciał zapamiętać ich wielkość, kształt i strukturę. Kciukiem bawi się napiętym sutkiem i przechodzi przeze mnie dreszcz. Jęczę cicho, gdy Ashton bierze go do ust, po czym umiejętnie pracuje nad nim językiem. Mimowolnie łapię go za głowę i przyciągam bliżej, jęcząc głośniej, gdy uszczypnięcie zębów wysyła prąd do mojego sedna.

Zauważam, że kiedy wydaję z siebie dźwięki, Ashton reaguje. Tym razem odsuwa się na tyle, by zdjąć swoją koszulkę. Zaraz jednak jego dłonie udają się niżej, by zająć się moimi spodenkami od pizamy. Ściąga mi je pospiesznie razem z majteczkami. W chwili gdy jestem całkowicie naga, jego usta wracają do mojego sutka. Ponownie obejmuję jego głowę, plecy opieram na poduszce, rozkoszuję się jego palącym dotykiem i

wzwodem, wciskającym mi się między uda. Mam ochotę złapać go tam, ale nie chcę się ruszać, bo jest mi tak dobrze. Zatem leżę, rozkoszując się i wyobrażając sobie, jakby to było czuć go w sobie. Na samą tę myśl spinam się i rozluźniam jednocześnie, po czym czuję, że robię się wilgotna.

Ashton demaskuje mnie jednak, gdy przesuwa rękę niżej.

– Jasna cholera, Irlandko... – mruczy, więc łapię go mocniej i przyciągam, odchylam głowę w tył i jęczę, w duchu dziękując profesorowi za moją głównianą ocenę.

– To się nie uda... – Ashton nagle zeskakuje z łóżka. Narasta we mnie panika. Chyba zrobiłam coś źle. Zostawi mnie teraz i wyjdzie? – Siadaj. – Pozwalam, by mną pokierował, a jemu ucieka jęk, gdy przyciąga mnie i rozszerza mi nogi, mierząc mnie powolnym spojrzeniem. – Odchył się w tył i oprzyj na łokciach. – Wzdycham, ale robię, co mi każe. Chyba wiem, do czego zmierza. Ashton zbliża się, patrzy mi w oczy, opierając dłonie na moich udach. – Ciasnota tych cholernych łóżek... – Napinają mi się mięśnie, gdy Ashton rozkłada mi nogi na boki. Nagle skamieniała tracę oddech. Wiem, co on chce zrobić i zaczynam wariować. Jednak nadal patrzy mi w oczy, więc się nie wzbraniam. – ... nie pozwala na... – Szybkim ruchem przyciąga moje biodra na skraj łóżka. Palcami wodzi po moich nogach, gdy zakłada je sobie na ramiona. Pierwszy raz przerywa kontakt wzrokowy, bo się pochyła i zaczyna całować wewnętrzną część mojego uda, centymetr po centymetrze, kierując się w górę, a jego oddech sprawia, że drżę. – ...takie rzeczy.

Ucieka mi jęk, gdy językiem trafia w mój czuły punkt. Na początku jestem zdenerwowana z powodu takiego otwarcia. To znaczy, twarz Ashtona między moimi nogami sprawia, że się denerwuję. Ale czuję się... niesamowicie. A przez jego wyszkolony język i sprytne palce działające razem zaczynam czuć to wzbierające uczucie, to, w którym odcinam się całkowicie od świata. Odrzucam głowę w tył, zamykam oczy, a ciche jęki opuszczają moje usta, gdy staram się zapamiętać, jakie to niewiarygodne. Dla Ashtona musi to być sygnał, ponieważ mocniej

i szybciej zaczyna pracować ustami, a dłonie zaciska na moich udach, przyciągając mnie jeszcze bliżej do siebie.

Kiedy czuję, że fala zaraz uderzy, unoszę głowę i patrzę na niego. Ashton patrzy mi w oczy spojrzeniem, w którym dostrzegam ten dziwny spokój. To sprawia, że wykrzykuję jego imię.

Jestem jak bezwładna laleczka, gdy Ashton wciąga mnie z powrotem na łóżko. Nakrywa mnie kołdrą i opiera ramiona na skraju łóżka.

– Nie chcesz, żebym...? – Przygryzam wargę, gdy rumieniec wypełza mi na policzki.

Z tajemniczym uśmiechem, odsuwa mi kosmyki przyklejone do czoła.

– Przez ostatnie kilka nocy byłem zajęty i muszę nadrobić naukę. Muszę lecieć i się pouczyć. – Zamykam oczy i rozkoszuję się głęboką, intymną chwilą, gdy Ashton gładzi mnie po policzku.

Następnie odpływam.

* * *

Reagan wraca do pokoju około jedenastej w nocy. Czuję się już lepiej, ale nadal leżę w łóżku wtulona nosem w poduszkę, która pachnie Ashtonem, odtwarzając w duchu wydarzenia popołudnia. Obiema rękami trzymam się tej euforycznej poświaty, zdesperowana, by nie dopuścić do siebie poczucia winy i wątpliwości mieszających mi się w płucach niczym czarny dym.

– Hej, Reagan. Jak leci?

Współlokatorka wskakuje na swoje łóżko.

– Wykopali mnie z biblioteki, bo byłem za głośno.

Parskam.

– Co dokładnie robiłaś zbyt głośno? – pytam, bo nauka nie jest tym, co Reagan robi dla rozrywki w bibliotece.

– Uczyłam się. Rozumiesz, prawda? – Chichoczę, wiedząc, o co chodzi. Reagan ma skłonność do mówienia na głos, gdy jest głęboko pogrążona w myślach i nauce. Uważam, że to zabawne, chociaż większość ludzi to denerwuje. – Gdyby tylko wiedzieli...

– Przerywa na chwilę, po czym mówi od niechcenia: – Widziałam się tam z Connorem.

– Tak? – Staram się brzmieć niewinnie, jak tylko zdzirowata dziewczica winna zbrodni może brzmieć.

Łóżko skrzypi, gdy Reagan układa się pode mną.

– Pytał, jak się miewasz. No wiesz, bo dostałaś złą ocenę na egzaminie.

Wzdycham.

– Już mi lepiej.

– To dobrze.

Biorę głęboki wdech, po czym po prostu wyrzucam z siebie:

– Mam zamiar zerwać z Connorem.

– Tak? Może powinnaś poczekać do następnego tygodnia.

Słyszę ponowne skrzypnięcie łóżka i dźwięk przesuwanej kołdry, jakby Reagan nie potrafiła znaleźć wygodnej pozycji.

Orientuję się, że nie pyta czemu i nie jest zszokowana moją decyzją. Dlaczego tak się dzieje? Ja jestem. Gdybym spisała na kartce wszystkie cechy idealnego według mnie faceta, po czym miałabym narysować jego postać, miałabym przed sobą obraz Connora.

– Chce, żebym poznała jego rodziców. – Jak mogę to zrobić? Jego matka będzie wiedziała. Matki mają radar na takie rzeczy. Publicznie to rozgłosi. To będzie pierwsze ukamienowanie w historii wioślarstwa w Princeton.

– To poznaj jego rodziców i wtedy z nim zerwij. Nie przysięgałaś wychodzić za niego za mąż. W przeciwnym razie w dzień regat bardzo utrudnisz życie Connorowi i sobie. I tak już będzie wystarczająco dziwnie.

– Dlaczego?

– Będzie Dana.

To imię... jest jak cios w okolice mostka.

– No i co z tego, że będzie? Nic się nie dzieje między mną a Ashtonem. – *Kłamczucha! Kłamczucha! Kłamczucha!*

Następuje krótka chwila ciszy.

– Cóż, to dobrze, ale i tak Ashton do jutra będzie martwy.

– Co? – Zagnieżdża się we mnie panika.

– Olał dzisiejszy trening. Tata zamierzał go dopaść. Pewnie dalej biega kółka, a na zewnątrz jest naprawdę zimno.

Nie jestem pewna, jak powinnam się czuć z tego powodu. Z pewnością winna, ponieważ został ukarany za spędzenie ze mną czasu. Ale... przyciskam dłonie płasko do brzucha, gdy moje serce walczy ze skumulowanymi emocjami. Ashton wiedział, jakie będą konsekwencje, ale i tak to zrobił.

Reagan ciągnie:

– I nie zapominaj, że wieczorem w sobotę jest impreza halloweenowa. Chyba nie chcesz, żeby było jeszcze bardziej niezręcznie. W końcu nie zaczęliście sypiać ze sobą z Connorem... prawda?

– Prawda... Dana też będzie na tej imprezie?

– Nie. Podśledzałam, jak Ashton mówił, że jedzie do rodziny mieszkającej w Queens.

Ucieka mi westchnienie ulgi.

– Cóż, przynajmniej ja bym tak zrobiła. Poczekałabym do przyszłego tygodnia, by zerwać z twoim lubym.

Wzdycham głęboko.

– Tak, chyba masz rację. – Zniosę jeszcze kilka dni pęczniącego poczucia winy? Właściwie to dobry pomysł. Ukarzę tym sama siebie. Zasługuję na to. Obracam się na bok, mam umysł przegrzany od myślenia. – Branoc, Reagan.

– Branoc, Livie. – Następuje chwila ciszy, po której słyszę: – Hej, Livie? – Następuje kilka chrząknięć, które podpowiadają mi, że Reagan walczy, by nie wybuchnąć śmiechem. – Czy mogłabyś następnym razem powiesić na drzwiach skarpetkę, by mnie ostrzec?

* * *

– Są piękne – szepczę. Zwijam się w kulkę na łóżku z bukietem fioletowych irysów, rozmawiając z Connorem przez telefon. *I nie zasługuję na nie. Ani na ciebie.*

– Pamiętam, że mówiłaś, iż uwielbiasz irysy. Nie są łatwe do

zdobycia jesienią, wiedziałaś o tym?

Uśmiecham się, gdy po policzku spływa mi łza. Tata na wiosnę zaskakiwał mamę bukietem irysów. Tylko że to nie była niespodzianka, bo robił tak każdego piątkowego wieczoru, przynajmniej przez pięć tygodni z rzędu – póki był sezon. Jednak na twarzy mamy za każdym razem malował się ogromny uśmiech i podniecenie, jakby tata jej się oświadczał. Kacey i ja miałyśmy w zwyczaju przewracać oczami i przedrzeźniać przesadzoną reakcję mamy.

Teraz moje wspomnienie irysów będzie naznaczone piętnem zdrady.

– Tak, wiedziałam. – To oznacza, że Connor wydał astronomiczną sumę na kwiaty z importu lub ze specjalnej hodowli. – Za co są?

– Och... – Connor na chwilę milknie, a ja wyobrażam go sobie, jak pochyla się nad wyspą w kuchni. – By ci powiedzieć, że myślałem o tobie i prosić, abyś nie martwiła się złą oceną.

Przełykam ślinę.

– Dzięki. – *Ach, tą oceną.* Następnego dnia dostałam wyniki pozostałych egzaminów śródsemestralnych. Ze wszystkich dostałam tróje. Ze wszystkich z wyjątkiem literatury angielskiej, bo z tego egzaminu dostałam czwórkę. Profesor napisał mi nawet uwagę, że podobało mu się to, jak podeszłam do złożonego tematu, co zabrzmiało tak, jakby czwórka była dobrą oceną. Zadanie polegało na przedstawieniu dylematów moralnych, przed którymi stają bohaterowie *Wichrowych Wzgórz*, a ich wybory najwyraźniej były dla niego fascynujące. Być może stało się tak, dlatego że nie potrafię dokonywać własnych wyborów moralnych, za to potrafię robić ciekawe spostrzeżenia na temat ciężkiej sytuacji kogoś innego. Czuję, jakbym weszła w jakąś przedziwną strefę mroku, gdzie cała moja wiedza została przewrócona do góry nogami. Rozważałam napisanie do Ashtona, że potrzebuję jeszcze trochę zapomnienia, ale oparłam się pokusie.

– Rodzice nie mogą się doczekać, kiedy cię jutro poznają.

Zaciskam mocno powieki i kłamię:

– Ja również.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

31 PAŹDZIERNIKA

Doktor Stayner sugerował kiedyś, że każdy w życiu ma taki dzień, który go definiuje, który kształtuje to, kim się stanie, który ustawia na nowym kursie. Twierdził, że ten dzień będzie prześladował lub prowadził daną osobę aż do ostatniego tchu. Powiedziałam mu wtedy, że przesadza. Powiedziałam, że nie wierzę. Powiedziałam, że to brzmi, jakby do tego dnia człowiek był elastycznym kawałkiem gliny – czekającym na możliwość wypalenia, by na zawsze ugruntować w nim kształty i niedociągnięcia, by zachować jego tożsamość i stabilność.

Lub jej brak.

Wysoce nieprawdopodobna teoria. Do tego pochodząca od zawodowca.

Chociaż może doktor miał rację.

Patrząc wstecz, mogę się zgodzić, że mój dzień wypalenia był dniem, w którym zginęli moi rodzice.

Za to 31 października jest dniem, który roztrzaskał formę.

* * *

– Mam zamiar się dzisiaj upić! – mówi Reagan z wysoko uniesionymi ponad głowę rękoma, pławiąc się w porannym słońcu. Nie obchodzi ją to, że stoimy w zatłoczonym miejscu na mecie regat, czekając na chłopaków, by wysypali się ze zwycięskiej łodzi. Reagan ostrzegła mnie, że ten wyścig był bardzo ważny, mimo to zdziwiłam się, widząc, że będzie w nim startowało ponad czterysta łodzi.

– A czym to się różni od każdego innego weekendu? – pytam drwiąco, przyciągając jasną kurteczkę do ciała. Trzy lata w Miami rozpieściły mnie i odwykłam od północnej atmosfery, w jakiej się wychowałam. Jest rano i stoimy przy rzece, więc jest chłodno.

– O co ci chodzi? Teraz jest inaczej. Mamy tydzień przerwy między zajęciami, a dzisiejsza impreza będzie wyrąbista. –
Podeksycytowana podskakuje, na policzkach ukazują jej się urocze dołeczki, a miodowo-złoty kucyk kołysze się na wszystkie strony.
– I mam słodki, niegrzeczny kostium pielęgniareczki. – Tylko kręcę głową. Już go widziałam. Jest uroczy i z pewnością nieprzyzwoity. I bardzo nierealistyczny. Grant nawet się nie zorientuje, co go poraziło. – A ty przebierasz się za niegrzeczną uczennicę, prawda?

Podobno motywem przewodnim kobiecych strojów musi być słowo „niegrzeczna” z przodu – pomysł Granta i Tava. Niestety, z pewnością będę dziwadłem, jeśli się nie dostosuję. Uczennicę jeszcze mogę znieść, ale niezbyt podoba mi się ta część z „niegrzeczna”. Reagan zobaczyła moją plisowaną spódniczkę – tę, którą miałam na sobie, gdy Ashton podwiózł mnie do szpitala – i postanowiła skompletować dla mnie kostium. Wróciła do domu z podwiązkami, zakolanówkami i czerwonymi szpilkami. Wzdycham. Prawdę mówiąc, nie chcę iść na tę imprezę. Im szybciej ten weekend się skończy, tym szybciej będę mogła pozbyć się duszącego poczucia winy. Jednak Reagan nie chce o tym słyszeć. Odwraca się do mnie, by spojrzeć na mnie wzrokiem głodnego szczeniaka, zwykle zarezerwowanym dla Granta.

– Nawet się nie waż ze mną targować, Livie. Jest Halloween!

– No... no nie wiem. Najpierw te regaty, potem muszę jechać do szpitala na wolontariat... – Nie wspominając o tym, że przez ostatnich kilka nocy ledwie zmrużyłam oko, mój umysł nie chciał się wyłączyć, a mój żołądek nie chciał przestać się ścisnąć. Strach dosłownie rozrywa mnie na strzępy. Boję się spotkania z rodzicami Connora, podobnie jak lękam się zobaczyć Ashtona z jego słodką, niczego niepodejrzewającą dziewczyną.

Jednak najbardziej obawiam się poznać ojca Ashtona.

Nawet nie wiem, czy tu będzie; nie zapytałam. Ale już na samą myśl robi mi się niedobrze. Jest tylko kilka rzeczy, które rozpalają we mnie chęć przemocy. Jedną z nich jest krzywda tych, na których mi zależy. Krzywda dziecka jest kolejną. Ten człowiek

przyczynił się do obydwu tych rzeczy. Może, jeśli zaatakuję ojca Ashtona, uniknę poznania rodziców Connora?

– Uspokój się! – mówi Reagan, szturchając mnie. – Powiedz „dzień dobry”, „miło mi poznać” i „do widzenia”. Koniec tematu.

– I co potem, Reagan? Jak mam z nim zerwać? Nie zrobił niczego, co mogłabym wykorzystać. – Nie tak, jak ja jemu.

Czuję w ustach kwas. Będę musiała spojrzeć mu w oczy i go zranić. Da się uniknąć tej części? To przecież tylko dwa miesiące. Jak się to poprawnie robi? Może da się przez e-mail...? Powinnam zapytać Kacey, ale... do tej pory nic siostrze nie powiedziałam, więc zafundowałabym sobie popołudnie pełne pytań, na które nie jestem gotowa, i rozmów o rzeczach, które zrobiłam, a o jakich nie jestem w stanie rozmawiać.

– Livie! – Odwracam się i widzę Connora w obcisłym biało-pomarańczowym podkoszulku bez rękawów i w czarnych spodenkach, co stanowi strój ich osady, przedzierającego się przez tłum z szerokim uśmiechem na twarzy. Całe ciało połyskuje mu od potu.

Biorę głęboki, uspokajający oddech. *Potrafisz. Tylko bądź miła.* Jeszcze tylko kilka dni, nim wyrwę mu serce i je podepczę.

– Chcesz się przytulić?

Obdarowuję go uśmiechem, przy czym marszczę nos, następnie odsuwam się. Właściwie nie żartuję. Spocony Connor jest daleki od bycia seksownym.

Chichocze i całuje mnie delikatnie w czoło.

– Dobra, to może później. Podobał ci się wyścig?

– Był niesamowity. – Trzymając kciuki, obserwowałam chłopaków, jak dopłynęli na pierwsze miejsce, poruszali się jak jeden organizm, a ich ruchy były mocne, równe, pełne wdzięku.

– Był. – Przeszukując morze głów, mówi: – Zaraz wracam. Zostań tutaj, dobrze? Ostatnio mizernie wyglądasz.

Natychmiast wymuszam uśmiech.

– Wszystko dobrze. Jestem tylko... zdenerwowana. – Staję na palcach, by szybko cmoknąć go w usta.

Zielone oczy błyszczą rozbawione.

– Niepotrzebnie. Pokochają cię. Zostań w tym miejscu. –
Bardzo obawiam się tego, że jego matka na oczach tysiąca ludzi wyciągnie w moją stronę oskarżycielski palec i krzyknie „kurwa”.

Patrzę, jak przedziera się przez tłum, po czym odwracam się w poszukiwaniu mojego wysokiego, przystojnego mężczyzny. Niemal natychmiast go zauważam. Nie sposób go przegapić. Ma wilgotne i rozczochrane włosy, opadające mu z każdej strony na twarz. Jest spięty z powodu ogromnego wysiłku. Cieniutka warstewka potu pokrywa jego ciało, podobnie jak Connora. Uświadamiam sobie jednak, że nie wahałabym się sekundy, by wpaść w objęcia Ashtona.

Wychodzi na brzeg z ręcznikiem przewieszonym na szyi, którym ociera pot z twarzy. Kiedy unosi głowę, natrafia na moje spojrzenie, a mnie natychmiast więźnie oddech. Nie widziałam go kilka dni i instynktownie mnie do niego ciągnie.

Obdarowuję go szerokim uśmiechem i bezdźwięcznie mówię:

– Gratulacje.

Kiwa mi głową, po czym odwraca się i podchodzi do blondynki, która czeka nieopodal w grupie osób. Obserwuję, jak Dana z ciepłym uśmiechem przytula się do niego. Bez wahania Ashton ją obejmuje i uśmiecha się do niej, jakby dla niego nie było nikogo innego na świecie.

Jakbym tu nie stała, dziesięć metrów od niego, przyglądając się całej scenie.

Prawdziwy związek czy nie, to przypomina mi, że Ashton nie jest mój. Nigdy nie był. Prawdopodobnie nigdy nie będzie.

Przez chwilę brak mi tchu.

Walcząc z bólem w sercu i z napływającymi łzami, do których nie mam prawa – przelatykam ślinę i zwracam uwagę na dwie starsze pary stojące z nimi. Szybko dedukuję, że jedną parę stanowią rodzice Dany – córka jest do obojga bardzo podobna. Przenoszę spojrzenie na tę drugą parę, na kobietę być może około trzydziestki z elegancką fryzurą. Ze znudzonym wyrazem twarzy gapi się w telefon, co sugeruje, że została tu na siłę ściągnięta i nie

może się doczekać, by stąd wyjść. Obok niej stoi dobrze ubrany i atrakcyjny mężczyzna ze szpakowatymi włosami.

– To ojciec Ashtona – szepcze do mnie Reagan, gdy obserwujemy, jak wyciąga nieco sztywną rękę w kierunku syna. Ashton natychmiast ją łapie i pochyla głowę. Na znak szacunku lub poddaństwa, nie jestem pewna.

Przyglądam się temu mężczyźnie, szukając w nim diabła i kajdan, które zacisnął wokół szyi syna. Ale niczego nie dostrzegam. Wiem jednak, że to nic nie znaczy, bo widziałam dowody jego okrucieństwa. Widziałam blizny, pasek, słyszałam ból i rezygnację w głosie Ashtona, kiedy kilka razy wpuścił mnie do swojego świata. I uśmiech tego mężczyzny nie jest prawdziwy. Potrafię to zauważyć. Spoglądam to na niego, to na ojca Dany i zastanawiam się, o czym rozmawiają. Czy jej ojciec wie, że córka wykorzystywana jest jako wabik?

Reagan pociera moje plecy.

– Jest palantem, Livie. Oszalamiająco seksownym palantem, któremu nawet ja nie potrafiłabym odmówić, gdyby doprowadził mnie do takiego krzyku... – Odwracam spojrzenie od Ashtona, a policzki zaczynają mi płonąć z powodu tego wspomnienia. Z przytyków Reagan wnioskuje, że dotarła do pokoju w dość pikantnej chwili.

Wzdycha.

– Nie jest wart wysiłku. Taki właśnie jest. Lubi tę grę.

Ma rację? *Nie mogę grać z tobą w tę grę, Irlandko.*

Zakochałam się w grze Ashtona? Serce podpowiada mi, że nie. Natomiast głowa... Jest w niej bałagan, jakiego być nie powinno. Mam wspaniałego faceta, który zaraz przyprowadzi rodziców, by mnie poznali, a ja w tym czasie walczę ze łzami z powodu chłopaka, który sprawia, że tracę kontrolę i całą swoją wrażliwość. Który mnie krzywdzi.

– Gidget! – krzyczy Grant do Reagan, co przykuwa moją uwagę i wyrywa z chwilowego wewnętrznego tornada, gdy widzę, jak podchodzi do niej od tyłu i obejmuje ramionami, przytulając do siebie.

Reagan piszczy i obraca się, by złapać go za szyję.
– Przestań! Ojciec gdzieś tu jest. – Całuje go szybko w policzek.

Jak na zawołanie, tata Reagan grzmi za nami.

– Grant!

Reagan pospiesznie się odsuwa, jej spojrzenie na sekundę się rozszerza.

– Cholera – mamrocze, odchodząc od Granta, zanim Robert staje tuż za nim.

Klepiąc Granta w ramię, mówi:

– Dobry wyścig, synu.

– Dzięki, trenerze. – Na twarzy Granta maluje się jego zwyczajowy głupkowaty uśmiezek, ale zauważam, że nie może wytrzymać, patrząc w oczy Robertowi. Jego spojrzenie szybko przeskakuje na tłum ludzi.

Jeśli Robert zauważył zdenerwowanie Granta, nie daje tego po sobie poznać.

– Tav cię szuka. – Wskazując na wodę, dodaje: – Tam jest. – Jak najdalej od Reagan.

Salutując, Grant odwraca się i znika w tłumie.

– Młoda damo... – zaczyna Robert, ma ściągnięte brwi i zmarszczone czoło, gdy patrzy na swoją malutką córeczkę.

Reagan obejmuje duży brzuch ojca.

– Świetny wyścig, tato! Lecę do mamy! – Jak dziecko w tłumie, zręcznie wymija ludzi i znika, nim ojciec może powiedzieć choć słowo, pozostawiając go patrzącego za nią i kręcącego głową.

– Zastanawiam się, ile minie czasu, nim przyzna się, że są razem.

Szczęka mi opada, a oczy robią się wielkie jak spodki z powodu szoku. Czy on mnie sprawdza? A może chce zobaczyć, czy potwierdzą jego podejrzenia?

– Och, nie mów jej, że wiem. – Robert kręci głową. – Zostanie z nim tak długo, jak długo będzie się jej wydawać, że go nie aprobuję.

Muszę zacisnąć usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Już

wiem, skąd Reagan nauczyła się kombinowania.

– To jak ci się podobał wyścig, Livie?

– Był ekscytujący, proszę pana.

Robert się uśmiecha.

– Prawda? Muszę wycisnąć z tych chłopców siódme poty przez zimę, by byli gotowi na rozpoczęcie wiosennego sezonu.

Słyszę krzyki dochodzące z tłumu:

– Trenerze! – Robert unosi rękę, by dać znać, że słyszy, i wzdycha.

– W dniu regat nie może być nudno... – Odwracając się do mnie, przybiera poważną minę. – Zanim zapomnę... – Sięga do kieszeni marynarki i wyjmuje z niej małą, białą kopertę. – Miałem nadzieję, że cię tu znajdę.

Marszcząc brwi, ostrożnie biorę ją od niego i wyjmuję z niej zdjęcie. Po jakości wnosząc, musi to być stare zdjęcie. Na nim para młodych ludzi opiera się o drzewo, chłopak ramieniem obejmuje dziewczynę. Ona kładzie kruczoczną głowę na jego piersi, kiedy oboje uśmiechają się w stronę aparatu.

Brak mi tchu.

To moi rodzice.

Przez chwilę nie potrafię znaleźć słów, wolną ręką nakrywam usta, patrząc na dwie twarze, które pamiętam, a które jednak są dla mnie nowe.

– Skąd pan to ma...? – Łamię mi się głos.

– Na strychu mam mnóstwo pudeł ze starymi zdjęciami. Od lat zamierzałem je przegrzebać.

Nie potrafię wydusić słowa.

– Pamiętałem, że powinno być tam stare zdjęcie twoich rodziców, ale nie byłem pewien. Szukanie trwało ponad tydzień.

– Zrobił to pan dla mnie? – Patrząc na tatę Reagan. – To znaczy... – Łzy płyną mi po policzkach. – Dziękuję panu bardzo. Nie miałam ani jednego ich zdjęcia ze studiów.

Otwiera usta, wygląda, jakby się wahał, po czym mówi:

– Wiem, Livie.

Zdziwienie maluje mi się jedynie przez sekundę na twarzy,

nim zaskakuję.

Tylko jedna osoba o tym wiedziała.

Ashton musiał mu powiedzieć.

– I to nie ja grzebałem w tych pudłach. – Unosi brew w znaczącym spojrzeniu, jakie mi posyła.

Biorę drżący oddech.

– Ashton?

Po chwili Robert przytakuje.

– Od razu wiedział, że to oni. Nie sposób nie zauważyć podobieństwa między tobą a matką. – Ponownie patrzę na zdjęcie. To ja mogłabym być pod tym drzewem. *Ashton je znalazł? Ashton spędził tydzień na grzebaniu w zakurzonych pudłach, szukając jednego zdjęcia, nie mając pewności, czy istnieje? Dla mnie?* – Nawet po trzech latach nie wiem nic o tym chłopcu. Nie jest gadułą. Ale coś mi podpowiada, że z nim nic nie jest takie, jakie wydaje się być. – Trener zaciska usta w wąską linię. – Wiem tyle, co widzę. Widzę, że dba o swoich kolegów, popycha ich do przodu i zrobiłby dla nich wszystko. Oni to wiedzą i szanują go za to. Jest urodzonym przywódcą, gdy jest na wodzie. Właśnie dlatego jest kapitanem. Myślę, że pewnego dnia mógłby zostać doskonałym trenerem. Jeśli to jest to, co chce w życiu robić. – Zaduma maluje się w jego spojrzeniu. – Tylko on tak jakby... odpuszczał wszystko, gdy staje na lądzie. Tak czy inaczej... – mówi Robert, znów na mnie patrząc – ...prosił, żebym ci o tym nie mówił. Chciał, żebym na poczekaniu wymyślił historyjkę, że niechcący je znalazłem. – Obdarowuje mnie tęsknym uśmiechem. – Ale pomyślałem, że dla ciebie to będzie ważne i że powinnaś wiedzieć.

Drżącymi dłońmi ocieram łzy z policzków, by nie skapnęły na zdjęcie. Szepczę:

– Dziękuję.

Robert puszcza mi oko.

– A teraz proszę o wybaczenie. Muszę znaleźć krnąbrny owoc moich lędźwi i zrobić sobie z nim kilka fotek. – Odchodzi, a tłum rozstępuje się przed nim.

Rzeka, ludzie, wszystko to rozmywa się, gdy stoję i patrzę na

kartonik, który trzymam w dłoniach, przeciągam palcami po jego krawędziach, dotykając ludzi uchwyconych na nim. Jestem tak zatracona w myślach, że ledwo zauważam Connora obejmującego mnie ramieniem w talii.

– Dobrze się czujesz? – Muszę oderwać wzrok od zdjęcia, by móc spojrzeć w górę i dostrzec olśniewający, ale niepewny uśmiech Connora. – Wyglądasz blado.

– Tak, jestem tylko... – Biorę głęboki oddech, starając się uporządkować intensywność emocji, które zalewają mi serce. *Jaka jestem?*

– To twoi rodzice? – Pochyliła się, by spojrzeć na zdjęcie w mojej dłoni. – Wow, twoja mama jest taka do ciebie podobna. Skąd je masz?

Odchrząkuję.

– Od taty Reagan.

– Wow, miło z jego strony.

– Tak. Miło – papuguję. *Nie miło, Connor. To cudowne, niesamowite, niezwykle. To wstrząsające światem. Moim światem. Rozsadzające go. Powalające.*

Czy Connor spędziłby tydzień na przekopywaniu pudeł? Opuściłby zajęcia, zaryzykowałby dla mnie oceny? Ten komentarz, który rzucił Ashton, że musi iść się uczyć... o tym, że był wieczorami zajęty... To właśnie tym się zajmował.

Najbardziej na świecie chciałabym pobiec teraz do Ashtona, przytulić się do niego, by mu podziękować. By dać mu znać, ile dla mnie znaczy.

– Chodź. – Connor bierze mnie za rękę, szybko zmieniając temat. Jakby to było coś trywialnego. – Chodź, poznasz moich rodziców.

I już nie tylko boję się tego spotkania. Teraz to bezwzględnie ostatnia rzecz, jaką chcę zrobić na tym świecie. Jednak jestem w pułapce. Przelykając nagłe nudności, pozwalam się przeprowadzić przez tłum, przy czym przywdziewam najlepszy sztuczny uśmiech, jaki potrafię wyprodukować, modląc się, żeby z nerwów nie nasunęły mi się na myśl jakieś niestosowne żarty.

Zatrzymujemy się przed parą.

– Mamo, tato to jest... – Connor delikatnie opiera dłoń na dole moich pleców. – ...Livie.

– Witaj, Livie. Jestem Jocelyn – mówi mama Connora z szerokim uśmiechem. Zauważam, że on ma jej oczy i kolor włosów. Gdy mówi, nie słyszę akcentu, ale przypominam sobie, iż Connor mówił, że jest Amerykanką. Pospiesznie taksuje mnie spojrzeniem, wyciągając do mnie rękę. To nieszkodliwe i nie nieprzyjemne spojrzenie, mimo to walczę z ochotą, by odwdzińczyć się tym samym.

Obok stoi ojciec Connora.

– Cześć, Livie. – Brzmi jak Connor i mój tata, z tym, że jego akcent jest jeszcze wyraźniejszy. Gdybym nie chciała stąd uciec, jakby się paliło, prawdopodobnie chciałabym mu się przypodobać. – Też mam na imię Connor. Oboje z żoną jesteśmy szczęśliwi, mogąc poznać młodą kobietę, która zawładnęła sercem naszego syna.

Zawładnęła sercem naszego syna? Co się stało z „nie spieszymy się i nie komplikujemy”? Patrzę na czerwieniejącą twarz Connora.

– Przepraszam, że cię zawstydzamy, synu – mówi ojciec, klepiąc go w ramię. – Ale to prawda.

Connor figlarnie przesuwa kciukiem po moich plecach, a w moim żołądku zagnieżdża się strach, który skrada się ku mojej piersi, porażając zdolność oddychania.

To złe, złe, bardzo złe. Czuję się bardzo nie w porządku.

Wymuszam swój najlepszy uśmiech.

– Wasz syn jest wspaniałym człowiekiem. Musicie być państwo dumni.

– Och, nawet nie jesteśmy w stanie opisać, jak bardzo jesteśmy z niego dumni. – Promienieje Jocelyn, gdy patrzy w jego stronę. – Ma przed sobą świetlaną przyszłość. Z tobą jeszcze wspanialszą.

Pogięło ich? Znamy się przecież dwa miesiące! Przesuwam spojrzeniem po gustownym kardiganie i naszyjniku z pereł, jakie

pod płaszczykiem ma Jocelyn i wyobrażam sobie siebie pośrodku idealnie przystrzyżonego trawnika, z małym pieskiem na kolanach, a wszystkie te elementy składają się na idealne życie, które mogłabym dzielić z jaśniejącą gwiazdą stojącą obok. Gwiazdą, w którą wierzyłam, aż do teraz. Która nie ukrywa blizn pod tatuażami, która nie nosi symbolu mroku dzieciństwa na nadgarstku, która nie ma tajemnic, w tym tego, kiedy i w jaki sposób zmarła jego matka. Gwiazdą, która też, prawdopodobnie, nie spędziłaby tygodnia na poszukiwaniu kawałka papieru, jaki równie dobrze mógłby nie istnieć, tylko dlatego, że chciałaby, bym go miała, przy okazji nie chcąc, bym dowiedziała się, że właśnie na jego poszukiwaniu spędziła całe siedem dni.

Właśnie tu, stoi przede mną życie, jakiego pragnęliby dla mnie rodzice. Jedyne życie, w jakim się do tej pory widziałam. I znalazłam je.

A teraz muszę przed nim spieprzać jak najszybciej.

– Przepraszam, ale muszę jechać do szpitala na wolontariat. Muszę iść, jeśli nie chcę się spóźnić na pociąg.

– Och, oczywiście, skarbie. Connor mówił nam, że masz zamiar iść na medycynę, prawda? – Jocelyn kiwa głową z aprobatą. – Wzorowa uczennica. – *Jasne, same tróje z góry na dół!*

– Dobra – mówi Connor. – Wystarczająco mnie zawstydziliście. – Pochylając się, by pocałować mnie w policzek, szepcze: – Dzięki, że przyszedłeś obejrzeć mój wyścig, Livie. Jesteś najlepsza.

Z napiętym uśmiechem i skinieniem głowy odwracam się i odchodzę bardzo szybko, ale tak, żeby nie biec. Spojrzeniem przeczesuję tłum w poszukiwaniu mojej uszkodzonej gwiazdki.

Ale nigdzie go nie ma.

* * *

– Myślałam, że będziecie się cieszyć z Halloween. No wiecie... przebieranki i w ogóle. – Ciągnę lekko za kowbojską kamizelkę Dereka. W odpowiedzi mały wzrusza ramionami i ze spuszczoną główką, niespiesznymi ruchami przesuwając resoraka po

dywanie. Boję się zapytać, jak się czuje.

– Nie pozwolą nam zjeść dużo cukierków – marudzi Eric, siedząc po turecku i bawiąc się piracką przepaską, którą ma na oku. – A siostra Gale powiedziała, że zabierze mi szablę, jak będę z nią ganiał.

– Hm. To zapewne dobra zasada.

– A ty, za co się przebierzesz, Livie?

– Za czarownicę. – Nie ma mowy, bym wyjaśniła pięciolatkom, że strój uczennicy może być odpowiednim przebraniem na Halloween. Mogę sobie tylko wyobrazić pytania, jakie mogliby zadać. – Idę dzisiaj na imprezę – przyznaję z niechęcią.

– Aha. – Eric w końcu ściąga z głowy przepaskę i przygląda się jej. – My też mieliśmy mieć dzisiaj imprezę, ale jej nie będzie.

– Dlaczego? Odwołali ją?

– Przez Lolę.

Lola. Strach swoimi lodowymi mackami pełźnie mi po plecach. Istnieje tylko jeden powód, jaki jestem w stanie wymyślić, dla którego ktoś mógłby odwołać imprezę dla dzieciaków, które potrzebują jej najbardziej. Nie chcę pytać. Mimo to drżącym głosem zadaję pytanie:

– A co z Lolą?

Widzę, jak główki maluchów przesuwają się nieco, gdy wymieniają się porozumiewawczymi spojrzeniami. Gdy Eric ponownie unosi spojrzenie, ma w oczach smutek.

– Nie mogę ci powiedzieć, bo mamy umowę.

– Czy Lola... – Odchrząkuję, jednak gula łez wraca do mojego gardła, a moje serce obmywa dziwne odrętwienie.

– Livie, dlaczego nie możemy o tym mówić? Dlatego że jesteś przez to smutna?

„Dlatego że jesteś przez to smutna?” – pytanie zadane cieniutkim i niewinnym głosikiem z powodu ciekawości. Tak pouczające i dające do myślenia. *Dobre pytanie, Eric.* Czy tę zasadę stworzyłam dla ich dobra czy dla własnego? Zamykam oczy, by rozgonić zbierające mi się w nich łzy. *Nie mogę się przy*

nich załamać. Po prostu nie mogę.

Po czym małe rączki dotykają moich ramion.

Przez załzawione oczy widzę, że obaj stoją przy mnie, Derek przygląda mi się ze zmarszczonym czołem.

– W porządku, Livie – mówi cicho. – Będzie dobrze. –
Pięcioletnie bliźniaki cierpiące na raka, które właśnie straciły koleżankę, pocieszają mnie.

– Tak, nie przejmuj się. Przyzwyczaisz się – dodaje Eric.

„Przyzwyczaisz się” – słowa, które wyrywają mi powietrze z płuc, mrożą krew, jakby dosłownie zamarzła mi w żyłach. Wiem jednak, że tak się nie stało, bo nadal żyję. Moje serce nadal bije.

W tym właśnie momencie, w dwóch słowach, w ułamku sekundy, coś głęboko w moim wnętrzu umiera.

Przełykam ślinę, ściskam małe rączki chłopców i daję im po buziaku. Obdarowuję ich swoim najlepszym uśmiechem i mówię:

– Wybaczcie mi, chłopcy.

Dostrzegam swoje odbicie w szybie, gdy wstaję i podchodzę do drzwi pokoju zabaw. Moje ruchy są powolne i zamierzone, niemal mechaniczne, jak u robota. Skręcam w lewo i korytarzem kieruję się do toalety.

Jednak idę dalej. Wsiadam do windy, po chwili z niej wysiadam, przechodzę obok dyżurki i kieruję się do wyjścia.

Wychodzę ze szpitala.

Uciekam od mojej zaprogramowanej przyszłości.

Ponieważ nigdy nie chcę przyzwyczaić się do czegoś takiego jak śmierć dziecka.

* * *

Dlaczego, u diabła, zgodziłam się pójść?

Zadaję sobie to pytanie, gdy głupie, czerwone szpilki stukają na schodach ich domu. Zadaję je sobie, gdy mijam grupę podchmielonych już imprezowiczów, a jeden z nich stara się zapuścić mi pod spódniczkę żurawia, kiedy przechodzę. Zadaję je sobie, gdy wchodzę do kuchni, w której widzę Reagan siedzącą na brzegu blatu, z kawałkiem limonki w jednej ręce i z solą w drugiej,

oraz Granta gapiącego się w jej dość okazały dekolt.

Tequila. To właśnie dla niej tu przyszłam.

By utopić się w tequili, by nie myśleć, by nie mieć wątpliwości i poczucia winy, które gości w mojej klatce piersiowej od tamtej nocy.

I żebym mogła podziękować Ashtonowi za zdjęcie, i żebym mogła znaleźć odwagę, by wyznać mu, że chyba jestem w nim zakochana. Ponieważ gdzieś, głęboko na dnie serca, tli się we mnie nadzieja, że to coś zmieni.

Wrywam z ręki Granta kieliszek, nim przytknie go sobie do ust i wypijam jego zawartość. Uczucie palenia jest niemal nie do wytrzymania. Kradnę Reagan limonkę, by zabić ohydny smak, zanim zwymiotuję. Ze wszystkich rzeczy jakie chciałabym pić...

– Blee!

– Livie! – krzyczy Reagan, wymachując dziko rękami, rozsypując sól po blacie. – Patrzcie! Livie przyszła! – Głośne powitania wypełniają kuchnię, więc w odpowiedzi natychmiast się rumienię. Nie mam pojęcia, kim są ci ludzie i jakoś wątpię, by obchodziło ich to, kim ja jestem.

– Wiedziałam, że to przebranie będzie ci pasować. – Unosi sugestywnie brwi, dźgając mnie palcem w lewą pierś. Prawdopodobnie nieumyślnie. A może nie.

– Ile wypila? – pytam Granta. *Najwyraźniej wystarczająco, by nie zauważać moich nadal przekrwionych i podpuchniętych od godzinnego płaczu oczu.*

– Wystarczająco, by stwierdzić, że gdyby kiedykolwiek przyszło jej na myśl zmienić orientację seksualną, byłabyś dobra, by poeksperymentować – mówi Grant, podając mi kolejny kieliszek. Natychmiast wychylam jego zawartość, jednocześnie mając świadomość, że nienawidzę tequili. Chociaż poczucia winy, jakie mam w sercu, nienawidzę bardziej.

– Prawda! Powiedziałam to! Wiem, że wolisz... – Puszczam do mnie oko.

– Reagan! – Opada mi szczeka, gdy przeskakuję spojrzeniem między Grantem a nią.

On tylko przewraca oczami i unosi ręce w górę w geście poddania. Zauważam, że Grant ubrany jest w fartuch z plaketką „Doktor Grant Zadowolacz Cleaver”.

– Nie wyjaśniała. Ja nie pytałem – mamrocze pod nosem, po czym dodaje: – Nawet nie chcę wiedzieć, co się dzieje pod tym dachem.

– Masz! Spróbuj tych. Są pyszne! – Jak zwykle, Reagan szybko zmienia temat, tym razem podając mi miskę gumisiów. Czasami wyobrażam sobie, że jej myśli są jak wiewiórki ganiające za orzechami. Mam nadzieję, że futrzane rudzielce będą trzymać swoje żółędzie z dala od Ashtona, bo obawiam się, że w tym stanie może komuś coś wypaplać.

Z westchnieniem zanurzam dłoń w misce, gdy spojrzeniem ogarniam kuchnię i pozostałe pomieszczenia, do których mam wgląd z tego miejsca, wstrzymuję oddech, szukając wysokiej, ciemnowłosej postaci.

– Dobrze? – pyta Reagan, kiedy wkładam zimne, soczyste żelki do ust. Dziwnie smakują. – Są nasączone rumem! Są jak galaretkowe shoty!

Nowy kryptonit. Fantastycznie. Ale jeśli zjem ich wystarczającą ilość, bez wahania będę potrafiła powiedzieć Ashtonowi wszystko, co chodzi mi po głowie.

– Gidget! Skup się! – warczy Grant, gdy przelyka zawartość kolejnego kieliszka. To ostrzeżenie pozwala jej wsadzić sobie do ust limonkę, podczas gdy on przyciska do niej wargi, by wyssać owoc, a dłonie wkłada pod jej króciutki fartuszek i opiera na jej nagich udach.

Odwracam spojrzenie od ich gry wstępnej. Reagan się nie przejmuje...

– Wow, Livie. – Wzdrygam się, gdy zielone oczy pojawiają się dziesięć centymetrów ode mnie.

Rozczarowanie zalewa mi serce. Miałam nadzieję uniknąć tego spotkania.

– Cześć, Connor.

– Dziś jestem Batmanem, mała – stwierdza, rozpościerając

pelerynę, którą ma na plecach i przypadkowo strącając przy tym czyjegoś drinka na podłogę. Nieświadomy tego, co zrobił, jest zbyt zajęty mierzeniem mnie spojrzeniem z góry na dół. – Wyglądasz świetnie. – Obejmuje mnie w tali i przyciąga do siebie. Jego oddech pachnie mieszaniną piwa i mocniejszych alkoholi. Zaraz bełkocze: – To znaczy... – Kładzie mi dłonie na pośladkach, ściska je i potrząsa. – Naprawdę świetnie.

Nie mogę go winić. Jest pijany, a ja jestem ubrana, jak mokra fantazja większości facetów, więc raczej mogłam się tego spodziewać. Mimo to wykręcam się z jego objęć, bez wątpienia z grymasem na twarzy. W jakiś sposób udaje mi się wyrwać i odsunąć od niego na bezpieczną odległość.

– Fajna impreza, co? – Wskazuje ręką w nieokreślonym kierunku. Korzystając z okazji, cofam się o kolejny krok.

– Tak. Wygląda na fajną.

– Chociaż spóźniłaś się na najlepsze. – I wraca w moją przestrzeń osobistą, jego usta są tuż przy moim uchu. Cokolwiek ukoili dwa kieliszki tequili i garść pełna gumisiów nasączonych rumem, teraz powraca.

Wzdrygam się, gdy Connor ciągnie mnie za warkocze. To daje mi szansę, by popchnąć go dla żartu i odejść od niego.

– Miałam dzisiaj ciężki dzień w szpitalu. – *W zasadzie przyszłość rozbiła się na moich oczach.*

– Jestem pewien, że jutro będzie lepiej. – Pije łyk piwa i przekrzywia głowę na bok, by mieć lepszy widok na moje nogi. Kręcę głową. Wiem, że nie powinnam traktować poważnie tego, co robi czy mówi teraz Connor, bo jest pijany, ale to była jego typowa odpowiedź, po alkoholu czy też nie. *Nic ci nie będzie. Jesteś bystra. Jesteś silna. Jesteś bla, bla, bla...* To ogólnikowe i lekceważące odpowiedzi.

Nie wiem, czy to dlatego, że zobaczyłam swoje przyszłe życie, gdy poznałam jego rodziców, czy to przez Ashtona, a może przez to, że całą drogę ze szpitala do domu przepłakałam, bo moje marzenia rozsypały się w drobny mak, ale czuję się, jakby mgła zasnuwająca mój umysł opadła i po raz pierwszy mogę jasno

myśleć. Connor z minuty na minutę wydaje się coraz gorszy. Z zewnątrz sprawia wrażenie idealnego – jest mądry, słodki, przystojny, uroczy. Stara się, przysyła mi kwiaty i codziennie rano dzwoni, by powiedzieć „dzień dobry”. Nigdy nie naciskał na seks ani nic więcej oprócz pocałunków, co, jak teraz uważam, jest dziwne jak na studenta. Może jest gejem, a ja jestem idealną przykrywką dla rodziców? Tak czy inaczej, było mi dobrze, bo nie miałam ochoty popchnąć tego związku na kolejny etap. To samo w sobie powinno być dla mnie ostrzeżeniem.

Tak... facet, którego obraz, dorastając, tworzyłam sobie w głowie, z pewnością jest Connorem. Tylko wiem, że ja nie pasuję do tego obrazka, nie pasuję do tego faceta.

Do kuchni wpada Tav w kilcie, wywołując zamieszanie, które mnie cieszy, ponieważ zmusza Connora do odwrócenia spojrzenia od moich ud.

– Sun! – woła czerwony na twarzy. – Gdzie jesteś, moja Sun?! – Gdy dostrzega szczupłą Azjatkę, przebraną za, jak mi się wydaje, bibliotekarkę – jej strój dopełniony jest biczem, który trzyma w dłoni – pada przed nią na kolana i zaczyna śpiewać *You are my sunshine*, z przesadnym szkockim akcentem.

Cała kuchnia wybuchła wrzawą, a Sun się rumieni. Pomimo mojego nastroju, mimowolnie chichoczę, bo to, w jakiś upokarzający sposób, słodkie.

Po czym Connor przysuwa się, łapie mnie za rękę i zaczyna szeptać do ucha, a mój dobry humor natychmiast się ulatnia.

– Możesz uwierzyć, że się bzykają? Co to są za spotkania. – Odsuwam się, ale on tego nie zauważa. – Mówił, że ona doskonale wie, co go kręci.

Co? Kim jest ten facet? Zdecydowanie nie podoba mi się pijany Connor. Zaczynam żałować, że w ogóle przyszłam. Mój plan utopienia smutków w alkoholu szybko zamienia się w plan ucieczki od Connora. Ale najpierw chcę zobaczyć się z Ashtonem. Chociaż na chwilę.

– Gdzie Ashton? – zadaję niewinne pytanie.

– Nie wiem... Gdzieś tutaj – odpowiada i bierze łyk piwa,

który wylewa mu się na kostium. – Pewnie pieprzy się z kimś na górze.

Staram się nie wzdrygnąć, gdy słyszę jego słowa, ale i tak mimowolnie to robię. Myśl o tym, że Ashton może robić jakieś dziewczynie to, co robił mnie, sprawia, że krew mi zamarza. Mam tylko nadzieję, że Connor tego nie zauważył.

– Och, pewnie tak – odpowiadam niewyraźnie. To podejrzone. *Szlag!*

Odwracając się, widzę, że nie muszę się przejmować, że Connor cokolwiek zauważy poza częściami mojego ciała, ponieważ jego spojrzenie w tej chwili przyklejone jest do moich piersi. Żałuję, że nie założyłam bluzki z mniejszym dekoltem, ale rankiem Reagan ukradkiem odcięła mi górne guziki.

– Jesteś tak cholernie seksowna, Livie. Jak mi się udało znaleźć kogoś tak niesamowitego? – Czuję na sobie jego wagę, gdy w połowie się na mnie opiera, a w połowie na mnie opada, przypierając do ściany. – Jesteś słodka, czysta i idealna. – Zaczyna całować mnie w szyję. – Czasami mam ochotę... – Przygniata mnie jeszcze bardziej, dociskając pachwinę do mojego uda, a moja teoria o byciu przykrywką dla geja pęka jak bańka mydlana. Dłoń, którą gładził mnie po włosach, przesuwa na moje piersi i zaczyna je ścisnąć, jakby były antystresowymi piłeczkami, mocno i mało przyjemnie...

Nie sądzę, żeby istniała odpowiednia ilość tequili, która mogłaby sprawić, bym poczuła się dobrze.

– Muszę iść do toalety – mamroczę, wykręcając się pomiędzy niego a ściany, po czym przeciskam się przez tłum w kuchni. Nie mogę tu dłużej być. Nie potrafię być blisko Connora. Chcę pobiec do akademika i wziąć prysznic, aby zapomnieć o tym, co się stało.

Potrzebuję Ashtona.

Wyciągam komórkę i wysyłam mu krótką wiadomość. Nie czekając na odpowiedź, przeszukuję pomieszczenie za pomieszczeniem, dwukrotnie, sprytnie unikając wpadnięcia na Connora. Jednak nigdzie nie mogę znaleźć Ashtona i nikt go nie

widział. Wpadam do garażu, gdzie natrafiam na jego czarny samochód.

Jest w domu.

To znaczy, że musi być u siebie w pokoju.

I nie odpisuje na SMS-y.

To tyle, jeśli chodzi o brak uczuć dzisiejszego wieczoru. Strach wraca i jest dziesięciokrotnie silniejszy, wiruje mi w żołądku, mieszając się z zazdrością, bólem i desperacją.

Mam tylko dwie opcje – odejść, zakładając, że jest z kimś na górze lub iść tam i sprawdzić.

Obejmując się ciasno ramionami, wspinam się po schodach, każdy krok przybliża mnie do katastrofy lub ukojenia. Myślę, że jeśli znajdę go z jakąś dziewczyną, umrę.

Dlaczego to sobie robię? *Bo jesteś masochistką.*

Przed sobą widzę drzwi jego pokoju. Są zamknięte. Ale nie ma na klamce żadnej czerwonej skarpetki ani innej rzeczy mówiącej „nie przeszkadzać”.

Mimo to...

Decydując się przytknąć ucho do drzwi, nie muszę wstrzymywać oddechu, bo już dawno przestałam oddychać. Za nimi słychać powolną muzykę, wnioskuje więc, że Ashton jest tam, ale... nie słyszę nic innego. Żadnych jęków, łkań czy kobiecych krzyków.

Nim stchórzę i ucieknę, pukam.

Brak odpowiedzi.

Przełykam ślinę i pukam raz jeszcze.

Brak odpowiedzi.

Sprawdzając, czy drzwi są zamknięte, delikatnie naciskam klamkę, a one ustępują. To najdziwniejsze uczucie, jakie kiedykolwiek miałam – krew szumi mi w uszach, serce wali jak młotem, mimo to moje płuca nadal się nie ruszają. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę na zawsze przestać oddychać. Wiem, że zaraz zacznę kręcić mi się w głowie i zemdleję, jeśli nie dokonam wyboru.

Muszę coś wybrać. Mogę się teraz odwrócić i odejść –

opuścić ten dom, ponieważ nie potrafię poradzić sobie z Connorem – i nie zobaczyć się z Ashtonem. Mogę odejść, nie dotykając go, nie prosząc, by pomógł mi zapomnieć o tym okropnym dniu w sposób, w jaki tylko on potrafi to sprawić.

Albo mogę zaryzykować otwarcie tych drzwi, by zobaczyć go z kimś.

Otwieram drzwi.

Świeżo wykąpany Ashton siedzi na krawędzi łóżka w ręczniku i gapi się w podłogę, obracając dłonią skórzany pasek na swoim nadgarstku. Trzyma w tej ręce szklankę z bursztynowym płynem.

Gdybym mogła poczuć jeszcze większą ulgę, pewnie rozpuściłabym się na podłodze.

– Hej – mówię tak miękko, jak tylko mogę, gdy jego pole grawitacyjne zaczyna mnie wciągać.

– Zamknij drzwi. I przekręć zamek. Proszę. Nie chcę dzisiaj nikogo widzieć. – Jego głos jest cichy i pusty. Nawet nie spojrzął na mnie. Nie wiem, w jakim jest nastroju. Nigdy go wcześniej takim nie widziałam.

Wykonuję jego polecenie, odgradzając nas od domu pełnego ludzi, imprezy i Connora. Od wszystkiego. Pozostawiając nas samych sobie.

Następnie podchodzę do niego, powoli, ostrożnie. Dopiero gdy jestem pół metra od niego, unosi to ciemne spojrzenie, przyglądając mi się, począwszy od czerwonych szpilek. Zatrzymuje się na moim zbyt dużym dekolcie.

– Nie powinno cię tu być – mamrocze, biorąc łyk ze szklanki.

– Dlaczego nie jesteś na dole?

Miesza resztkę cieczy w szklance.

– Miałem główniany dzień.

– Ja też.

Dopija resztę trunku i odstawia szklankę na szafkę nocną.

– Chcesz, żebym pomógł ci zapomnieć? – Spięcie mięśni w moich udach natychmiast potwierdza, że moje ciało z pewnością by to doceniło. Brązowe oczy w końcu znajdują drogę do mojej

twarży, ale nie ma w nich cienia rozbawienia. Szkli się w nich jedynie rezygnacja i smutek. – Jestem w tym dobry, prawda? – Jest w jego słowach jakiś podtekst, którego nie rozumiem.

– Wiem, że zdjęcie jest od ciebie.

Pochyla głowę.

Teraz, kiedy stoję przed Ashtonem, chaos, który czuję w głowie i w sercu, topnieje. Po raz pierwszy, odkąd mogę sobie przypomnieć, dokładnie wiem, czego chcę. I nie mam wątpliwości, że to właściwe.

– Ja też chcę ci dziś coś dać. – Odsuwam na bok trzepoczące mi w brzuchu motyle i przygotowując się w pełni do tego, co zamierzam zrobić, do tego, co zamierzam mu ofiarować, jeśli zechce to wziąć, zdejmuję szpilki. Nie wiem, czy jest mi łatwiej czy wręcz przeciwnie, gdy na mnie nie patrzy, ale rozpinam cztery guziki, które Reagan pozostawiła mi w bluzce i upuszczam ją na podłogę. Palcami szybko odpinam guziczek w spódniczce i jej również pozwalam opaść.

Jakby walcząc z sobą i przegrywając, Ashton unosi spojrzenie, patrzy na mnie, po czym odwraca je, kierując w róg pokoju.

– Jezu, Irlandko – syczy przez zaciśnięte zęby, dłonie zaciskając na krawędziach materaca, próbując nad sobą zapanować. – Nie będę umiał się powstrzymać.

W odpowiedzi zakładam ręce do tyłu i odpinam biustonosz, pozwalając mu opaść. Głupie podwiązki idą w jego ślady. Szybko pozbywam się każdej części kostiumu, mimo to Ashton nadal na mnie nie patrzy. Właściwie ma zamknięte oczy.

Przełykam ślinę, wyciągam dłoń i palcami przeciągam po rysunku ptaka, który ma na ręce, celowo unikając krawędzi blizny. Pochylam się, by złożyć w tym miejscu delikatny pocałunek.

– Powiedz, co on oznacza. – To nie jest pytanie. Nie pozostawiam mu wyboru.

Następuje długa chwila ciszy, po czym mówi:

– Wolność.

Unoszę rękę i wodzę palcami po tatuażu na jego ramieniu.

Ponownie mówię stanowczym głosem:

– A ten? Powiedz, co oznacza.

Jego głos jest nieco silniejszy.

– Wolność.

W odpowiedzi umieszczam na nim pocałunek.

Sięgam niżej, rozwiązuję jego ręcznik i odrzucam na boki jego końce. Powoli podchodzę i siadam na nim okrakiem. Ashton jeszcze mnie nie dotknął, ale otworzył oczy i z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie potrafię odczytać, wpatruje się we mnie. To prawie jak szok lub podziw, jakby nie mógł uwierzyć, że to naprawdę się dzieje.

Opieram dłoń na symbolu na jego klatce piersiowej i czuję pod nim mocno bijące serce.

– Wolność?

Natychmiast spogląda mi w oczy, mówi mocniejszym, pewniejszym głosem:

– Tak.

Następnie wodzę ręką w okolicach, gdzie wiem, że znajduje się tatuaż z moim przezwiskiem. Nie muszę pytać, co oznacza, ponieważ nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Na tak wiele sposobów już mi o tym powiedział.

Mimo to Ashton przyznaje:

– Wolność.

Nie posiadam wszystkich kawałków układanki, by poskładać tego pięknego, uwięzionego, załamanego mężczyznę, mam jednak jeden puzzel, który pragnę mu ofiarować. Na jedną noc, na wszystkie noce. Na tak długo, jak będzie chciał.

Mnie. Całą.

Wiem, co muszę dalej zrobić. Nie wiem tylko, jak on zareaguje.

Bez względu na to, czy to dobry pomysł czy nie, muszę to zrobić. Patrząc mu w oczy, starając się przekazać mu spojrzeniem, że wszystko będzie dobrze, sięgam do jego nadgarstka, do paska, do klamry, która go trzyma. Uczucie paniki maluje się na jego twarzy, gdy cały się spina. W tej chwili myślę, że to jednak zły

pomysł. Ale zaciskam zęby i wykorzystuję cały gniew, jaki jest we mnie z powodu jego ojca i tego, co mu zrobił, co nadal mu robi i, przypadkowo, mnie również. Rozpinam szarpnięciem ten przekłety pasek i odrzucam go gdzieś za siebie.

– Dzisiaj daję ci twoją wolność, Ashton, więc lepiej ją weź.

Nie żałuję ani chwili.

Nie, kiedy kładzie mnie na łóżku.

Nie, kiedy bez wahania wchodzi we mnie.

Nie, kiedy jęczę przez chwilę z bólu.

Z pewnością nie, kiedy Ashton wspina się i osiąga swoją wolność.

I ofiarowuje mi cząstkę mojej.

* * *

W ciemności, z muzyką kończącej się imprezy w tle, Ashton otwiera się na tyle, by spontanicznie opowiedzieć o wspomnieniach.

– Śpiewała mi po hiszpańsku piosenkę. – Palcami wodzi mi po plecach, gdy opieram głowę na jego piersi, słuchając rytmu jego serca, nadal będąc pod wrażeniem tego, co razem robiliśmy. To było... niesamowite. Czuję teraz, że nic wcześniej nie było właściwe. Nic, aż do teraz. – Nie pamiętam słów i do dziś nie wiem, co oznaczały. Pamiętam tylko melodię. – Policzek zaczyna mi wibrować, kiedy z piersi Ashtona wydobywa się ciche mruczenie, gdy zaczyna nucić.

– Jest piękna – szepczę, obracając twarz, by pocałować tę idealną pierś.

– Tak – zgadza się szeptem. Jego dłoń na moich plecach przystaje. – Kiedy zaklejał mi usta taśmą, mogłem jedynie nucić. Więc nuciłem ją godzinami. Pomagało.

Godzinami.

– To moje ulubione wspomnienie matki.

Unosząc się na łokciach, by spojrzeć mu w oczy, dostrzegam w ich kącikach spływające, błyszczące łzy. Tak bardzo chcę zapytać, co się z nią stało, ale nie umiem się teraz do tego zmusić.

Chcę tylko scałować te łzy.
I pomóc mu zapomnieć.

* * *

Odkryliśmy, że jeśli zignorujemy pukanie, osoba dobijająca się do drzwi kilka minut później odchodzi. Trzy razy już zadziało. Teraz, gdy w południe leżę spleciona między kończynami Ashtona i jego białą pościelą, obolała w sposób, w jaki nigdy nie byłam, mam nadzieję, że to zadziała po raz czwarty. Ponieważ nie chcę opuszczać tych czterech ścian. Bo w tych czterech ścianach odrzuciliśmy nasze lęki, nasze zobowiązania, nasze kłamstwa. W tych czterech ścianach znaleźliśmy naszą wolność.

– Jak się czujesz? – szepcze mi Ashton do ucha. – Bardzo boli?

– Troszkę – kłamię.

– Nie kłam, Irlandko. To ci się nie przysłuży. – Na dowód tego, że ma rację, dociska mi wzwiedzioną męskość do pleców. Chichoczę.

– Dobra, może trochę za bardzo, jak na to.

Siada i zrywa ze mnie kołdrę. Wyprostowuje mi nogi i niespiesznie przygląda się mojemu ciału, żar w jego oczach rozpala się z każdą sekundą.

– Chcę zapamiętać każdy centymetr kwadratowy ciebie i chcę mieć ten obraz wypalony w mózgu dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

– Czy to nie będzie nadto rozprasające? – drażnię się z nim, ale nie wstydzę się jego spojrzenia. Myślę, że moje ciało pragnie go. Teraz już nie jestem przy nim taka nieśmiała, nie, po dwunastu godzinach gapienia się na nagiego Ashtona.

Przeciągając dłońmi tam i z powrotem po moich udach, mruczy:

– Właśnie o to chodzi, Irlandko.

– Chcesz pamiętać nawet stopy? – Chichoczę, gdy unoszę nogę i duży palec opieram na jego podbródku.

Chwyta mnie za kostkę. Z szatańskim uśmieszkiem przyciąga ją do siebie i końcówką języka liże mnie po palcach. Zaciskam dłonie na ustach, by nie wybuchnąć śmiechem, kopiąc i próbując się uwolnić, ale nie daję rady. Ashton jest za silny.

Na szczęście zaprzestaje tej tortury, kładzie się na łóżku, na boku, tuż przy mnie, odsuwając mi z twarzy włosy. Wodzę palcami po miejscu na jego ciele, w którym widnieje moja ksywka.

– Powiedz, dlaczego mówisz na mnie „Irlandka”.

– Jasne, ale coś miałaś najpierw zrobić. – Unosi sugestywnie brwi.

– Boże, ale jesteś uparty! – Wzdycham. Biorąc pod uwagę fakt, iż leżę tu z nim naga, rozumiem, że przyznanie prawdy ma tylko powiększyć jego uśmiech. Zaciskając usta, by samej się nie roześmiać, mrużę: – Dobra. Być może cię pragnę.

– Być może? – Szczerzy się do mnie. – Podeszłaś do mnie, praktycznie zdarłaś ze mnie togę, przyciągnęłaś mnie do siebie i wrzasnęłaś: „Pocałuj mnie, jestem Irlandką”.

Tracę oddech, nakrywam dłońmi usta, gdy to zdanie przywołuje wspomnienie – zszokowany wyraz twarzy Ashtona w tamtej chwili i pocałunek, jakim mnie obdarował chwilę później. Mój pierwszy prawdziwy pocałunek.

– O rany boskie, ty nie kłamiesz. – Zaczynają płonąć mi policzki, co wywołuje u Ashtona napad śmiechu.

– A potem po prostu się odwróciłaś i pobiegłaś na parkiet tańczyć. – Psota błyszczy w jego oczach. – Miałem cię tam zostawić, ale po tym, co zrobiłaś... – Z czułością kciukiem przeciąga po mojej dolnej wardze. – Nie było mowy, by te usteczka całowały kogoś innego.

Gładzę palcami jego obojczyk w zamyśleniu, akceptując, że sama to wszystko zaczęłam. Moja bestia w jakiś sposób od samego początku wiedziała, czego chce, na długo przed tym, nim mogłam się z nią zgodzić.

Splatając nasze palce, całuje każdy z moich, intensywnie mi się przyglądając.

– Wiesz, dlaczego przekopywałem cholernie zakurzony

strych trenera przez tydzień, prawda?

Serce mi rośnie na tę wzmiankę. Na wspomnienie tego, co zrobił dla mnie ten słodziak. Właściwie nie wiem, dlaczego to zrobił, podejrzewam, że po to, by mnie uszczęśliwić. Ale to wiele dla mnie znaczy. Pomogło mi dostrzec jedyną rzecz, której pragnę, a która była pogrzebana pod górą niepewności.

– Ponieważ jesteś we mnie szaleńczo zakochany? –
powtarzam jego słowa, puszczając mu oko. Jednak Ashton nie odpowiada parsknięciem czy chichotem ani niczym zbliżonym do śmiechu. Wyraz jego twarzy jest maską szczerości, gdy pochyla się, by mnie pocałować.

– Jeśli tak twierdzisz. – Po czym całuje mnie mocniej.
Natychniast popadam w zapomnienie.

– Być może nie jestem aż tak bardzo obolała. – Udaje mi się oswobodzić od jego wygłodniałych, acz delikatnych warg. Z jękiem Ashton przesuwa nimi po mojej szyi, klatce piersiowej, brzuchu, wzniecając we mnie pragnienie po raz dziesiąty, setny, tysięczny odkąd wylądowaliśmy w tym łóżku.

Wtedy właśnie rozlega się ponowne pukanie.

– Asie, otwieraj! Wiem, że tam jesteś. – Chwila ciszy. – Nie mogę znaleźć Livie. Nie odbiera telefonu.

Cholera.

Connor.

Ani razu o nim nie pomyślałam. Ani razu odkąd weszłam wieczorem do pokoju Ashtona.

– Jeśli w ciągu dwóch minut nie otworzysz drzwi, użyję klucza.

Patrzymy z Ashtonem na siebie, ogień między nami zostaje ugaszony wiadrem zimnej wody.

– Kurwa – mamrocze Ashton pod nosem, rozglądając się.

Moje ubrania są porzrzucone po pokoju. Wyskakujemy z łóżka i zaczynamy je zbierać. Connor może być pijany, ale z pewnością rozpozna moje przebranie.

– Masz. – Ashton wręcza mi płaszcz. Dziękuję niebiosom, że wczoraj założyłam długi, czarny płaszczyk. W drodze do

akademika zakryje wszystko oprócz zakolanówek i czerwonych szpilek. – Schowaj się w łazience. Pozbędę się go – szepcze i całuje mnie delikatnie.

Pędzę, gdy słyszymy, jak Connor walczy z zamkiem.

– Już idę! – krzyczy Ashton.

Zamykając drzwi łazienki na zamek, wstrzymuję oddech i szybko zaczynam się ubierać. Doskonale słyszę ich głosy.

– Jezu, Ashton, zakryj jaja. Już i tak chce mi się rzygać. – Słyszę narzekanie Connora i przewracam oczami. Czy chodzi o nagiego Ashtona, czy faceci ogólnie tak mają? – Co się stało z tobą wieczorem, stary?

Słyszę trzask szuflady w komodzie, więc zakładam, że Ashton sięgnął po majtki. Nawet w tym stresie potrafię sobie wyobrazić, że gdy Connor już wyjdzie, będę mogła ściągnąć je Ashtonowi.

– Nie byłem w nastroju na imprezę – słyszę, jak mamrocze.

– Sam... tutaj byłeś?

– Niestety.

– Cóż, z tego co kojarzę, ominęła cię niezła imprezka.

Chociaż nie kojarzę za wiele. – Następuje chwila ciszy. – Chyba spieprzyłem sprawę z Livie.

Zamykam oczy i biorę głęboki wdech, ponieważ lęk przejmuje mnie do szpiku kości. Nie chcę tego słuchać.

– Tak? To do dupy. – Ashton jest fenomenalny w udawaniu obojętności.

– Chyba trochę przesadziłem. Wcześniej wyszła, a teraz nie odbiera telefonu i nie odpisuje na SMS-y.

– Daj jej trochę czasu, niech ochłonie.

– Chyba masz rację. Pójdę się z nią dziś zobaczyć. Muszę wiedzieć, jak się sprawy mają.

Nie mają się, Connor. Tak naprawdę nigdy się nie miały. Wzdycham, akceptując fakt, że nie mogę do końca życia ukrywać się w łazience Ashtona, mimo iż ta myśl nawiedziła mój umysł więcej niż raz. Muszę się ubrać i wracać do akademika, bym w końcu mogła zerwać z Connorem.

A on właśnie dał mi idealną wymówkę.

Mogę zwalić winę na Connora. Za bardzo na mnie naciskał. Wiedział, że nie chcę się spieszyć, a obmacywał mnie jak trzynastolatek w zabawie w ciuciubabkę. To doskonały pretekst. Wtedy nie będzie to moja wina. Pomyśli, że to przez niego. Pomyśli...

Biorąc głęboki wdech, odwracam się, by przejrzeć się w lustrze. Patrzę na kobietę w czarnych zakolanówkach, z fryzurą pod tytułem „właśnie straciłam dziewictwo”, która ukrywa się w łazience, podczas gdy jej chłopak w pomieszczeniu obok żali się najlepszemu przyjacielowi, tajemniczemu i skrzywdzonemu mężczyźnie, w którym się szaleńczo zakochała. A wszystko, o czym może myśleć ta dziewczyna to to, w jaki sposób będzie mogła uniknąć odpowiedzialności za swoje złe zachowanie.

W ogóle nie rozpoznaję osoby w lustrze.

Słyszę ciężkie westchnienie Connora i wiem, że pociera kark. Taki właśnie jest Connor. Przewidywalny.

– Ja tylko... Myślę, że się w niej zakochałem.

Kulę się, jakby ktoś właśnie walnął mnie w brzuch. O Boże, on właśnie to powiedział. Powiedział na głos. Gdzieś głęboko w podświadomości obawiałam się tego. Teraz stało się faktem. Chyba zaraz zwymiotuję. Naprawdę jestem dwie sekundy przed rzuceniem się ku toalecie.

To go zniszczy!

A Connor nie zasługuje na takie zniszczenie. Być może wiele mi w nim nie odpowiada, ale z pewnością nie zasługuje na takie traktowanie. Bez względu na powód, który mu podam, bez względu na to, czy obwinę jego czy siebie, bez względu na to, czy powiem prawdę czy też nie, skrzywdzę go. Muszę to jednak zaakceptować, ponieważ niezależnie od wszystkiego, nas już nie ma.

Zaskakuje mnie zirytowany ton Ashtona:

– Nie kochasz jej, Connor. Tylko ci się tak wydaje. Ledwo ją znasz.

Moje lustrzane odbicie kiwa do mnie głową. Zgadza się z

Ashtonem. *Właśnie, Connor prawie mnie nie zna. Nie tak, jak zna mnie Ashton.*

– O czym ty mówisz? Przecież to Livie. To znaczy, jak można jej nie kochać? Jest cholernie idealna.

Zaciskam oczy. *Cholernie idealna, Connor.* Cichutko zakładam płaszcz, wiążąc go mocno, łaknąc ciepła Ashtona.

Następuje długa chwila ciszy, po czym słyszę, jak łóżko skrzypi i Ashton ciężko wzdycha.

– Tak. Jestem pewien, że nic jej nie jest. Powinieneś iść sprawdzić w kampusie. Może jest w bibliotece.

– Tak. Masz rację. Dziękuję, bracie.

Wzdycham cicho i opieram się plecami o zimną ścianę.

– Zadzwoń do niej jeszcze, może odbierze.

Mój telefon.

Szlag by to trafił!

Patrzę na lustrzane odbicie dziewczyny – nieznamomej kobiety – gdy blada jak śmierć na chorągwi słucha rozbrzmiewającego dzwonka kontaktu Connora dochodzącego z jej torebki. Mojej torebki stojącej na nocnej szafce przy łóżku Ashtona.

Dzwoni i dzwoni, i dzwoni... Po czym przestaje.

Nastaje śmiertelna cisza.

Martwa do szpiku kości. Tak obumarła, że mogłabym być ostatnią żywą osobą na tej planecie.

I wtedy słyszę, jak Connor cicho pyta:

– Co tu robi torebka Livie? – mówi tonem, którego u niego jeszcze nie słyszałam. Nie wiem, jak go opisać, ale pod jego wpływem moje ciało natychmiast robi się zimne i martwe.

– Wpadła się przywitać i chyba jej zapomniała. – Ashton fantastycznie potrafi kłamać, ale nawet jego przerasta ta sytuacja.

Odgłos zbliżających się kroków sprawia, że cofam się od drzwi.

– Livie?

Zaciskam usta, nakrywam je obiema dłońmi, zamykam oczy i wstrzymuję oddech. Liczę do dziesięciu.

– Livie. Wyjdź stamtąd natychmiast.
Kręcę głową i ucieka mi zduszony jęk.
– Słyszę cię, Livie. – Po kolejnej chwili wali do drzwi, sprawiając, że cała ściana wibruje. – Otwieraj te pieprzone drzwi!
– Zostaw ją, Connor. – Ashton staje za nim.
Ustaje walenie do drzwi, ale nie krzyki. Wręcz przeciwnie, te się wzmagają.

– Dlaczego tam się chowa?! Coś ty jej, kurwa, zrobił?! Czy ty ją...?! – Słyszę dochodzącą z pokoju przepychankę. – Jak bardzo była pijana, kiedy tu przyszła, Ash? Jak bardzo?

– Bardzo.

Gapię się tępo na drzwi. *Co? Nie, nie byłam pijana. Dlaczego on tak twierdzi?*

Następuje kolejna długa chwila ciszy.

– Zmusiłeś ją do czegoś?

Słyszę, jak Ashton mówi z głębokim westchnieniem:

– Tak.

Gdy słyszę słowa, które zmieniają moją piękną, niezwykłą i niezapomnianą noc z Ashtonem w historię o gwałcie po pijanemu czuję się tak, jakby ktoś odpalił zapalniczkę i wsadził mi ją do ucha. Natychmiast orientuję się, co robi Ashton. Usprawiedliwia mnie. Sprawia, że w tej opowieści to on jest zły. Bierze na siebie winę za coś, co sama zainicjowałam. Za coś, czego chciałam.

Szarpnięciem otwieram drzwi i wpadam do pokoju.

– Nie byłam pijana i do niczego mnie nie zmusił! – Rzucam ze złością. – Nigdy mnie do niczego nie zmuszał.

Obaj odwracają się do mnie, ten po lewej ubrany jedynie w spodenki kręci głową, ze spojrzeniem mówiącym „dlaczego wyszłaś?”, ten po prawej zszokowany, próbuje zapanować nad gniewem.

– Nawet raz. – Ton głosu Connora znów jest normalny, ale wątpię, by była to oznaka spokoju. Sądzę, że to oznaka gotującej się w nim wściekłości. – A ile razy to się stało, Livie? Jak długo to trwa?

Teraz, gdy mogę jasno myśleć, gdy potrafię stwierdzić, że to,

co dzieliłam z Ashtonem, to nie zbrodnia, mój gniew wyparowuje, pozostawiając mnie drżącą i niemogącą znaleźć słów.

– Jak długo?! – wrzeszczy.

– Od zawsze! – wypalam, krzywiąc się, gdy prawda wychodzi na jaw. – Od pierwszej sekundy, w której go poznałam. Jeszcze zanim poznałam ciebie.

Connor odwraca się, by spojrzeć na współlokatora, na najlepszego przyjaciela, który z nieodgadnionym wyrazem twarzy nadal patrzy mi w oczy.

– Niewiary-kurwa-godne! Tamta noc z tatuażami... Od wtedy ją pieprzysz?

– Nie! – Pojedyncze słowo jednocześnie ucieka nam z ust. Connor kręci głową w niedowierzaniu.

– Nie wierzę, że mogłeś mi to zrobić. Wszystkie te dziwki, które tu sprowadzałeś... a teraz i ją zmieniłeś w jedną z nich.

– Uważaj na słowa! – Mięśnie Ashtona napinają się, widzę, że zaciska dłonie w pięści, ale nie rusza z miejsca.

Ale wydaje się, że Connor nie zwraca na to uwagi. Zaciska zęby, przez chwilę gapi się w ścianę i kręci głową. Gdy w końcu ponownie na mnie patrzy, na jego twarzy widzę pustkę. Zazwyczaj błyszczące, zielone oczy są zgaszone, jakby wszystkie tłące się w nich emocje zostały zduszone.

I ja tego dokonałam.

– Co stało się z powolnym tempem, Livie? Co? Wymyśliłaś sobie, że możesz mnie wodzić za nos, a w tym samym czasie zabawiać się z moim najlepszym kumplem? – Odwraca się do Ashtona i wrzeszczy z emfazą: – Moim najlepszym kumplem!

Gorączkowo zaprzeczam ruchem głowy.

– To nie tak. Ja tylko... Wszystko się zmieniło.

– Naprawdę? – Podchodzi do mnie. – A co dokładnie się zmieniło?

– Wszystko! – krzyczę przez łzy, które gwałtownie ocieram. – Moja przyszłość. Szpital. Być może Princeton. – Do teraz nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale to miejsce... Wszystkie te foldery, strony internetowe, wymagania i obietnice nie są czymś,

czego pragnę. To nie dom. I nigdy nie będzie. Chcę wrócić do Miami i być z rodziną. Nie jestem gotowa, by ich opuścić. Jedyne powód, dla którego chcę zostać w Princeton stoi nieruchomo, ze skrzyżowanymi na nagiej piersi ramionami, podczas gdy wyrzucam z siebie: – Ty i ja... nie pasujemy do siebie. – Connor wzdyga się, jakbym go uderzyła, ale ciągnę dalej: – Jestem zakochana w Ashtonie. On mnie rozumie. A ja jego. – Spoglądam na Ashtona i widzę jego mocno zaciśnięte powieki i ból malujący mu się na twarzy.

Za to na twarzy Connora widzę coś na kształt litości.

– Myślisz, że go rozumiesz, Livie? Naprawdę? Myślisz, że go znasz?

Przełykam ślinę, by powiedzieć mocnym głosem:

– Nie myślę. Wiem to.

– Wiesz, ile lasek miał w tym pokoju? W tym łóżku? – Dla lepszego efektu wskazuje na mebel. Zmuszam się do uniesienia głowy, by pokazać, że jestem silna. Ale nie chcę wiedzieć. To nie ma znaczenia. Teraz jest ze mną. – Mam nadzieję, że przynajmniej używaliście gumek.

Prezerwatywy.

Na śmierć zapomniałam. To było zbyt intensywne, by się tym przejmować.

Kolor całkowicie odpływa mi z twarzy, wiele mówiąc za mnie.

Connor pochyla głowę, kręcąc nią z rozczarowaniem.

– Jezu, Livie. Myślałam, że jesteś mądrzejsza.

Ashton nie mówi nic. Nie broni siebie, czy nas. Stoi nieruchomo, ze smutnym, zrezygnowanym spojrzeniem obserwując całą tę katastrofę.

Stoimy we trójkę, gapiąc się na siebie. Toksyczna atmosfera zaczyna nas dusić, wypływają kłamstwa, podczas gdy prawda tego, co dzieliliśmy z Ashtonem, rozplywa się w nicłość.

Tak zastaje nas Dana.

– Co tu się dzieje?

Przez bardzo krótką chwilę szczery strach maluje się na

twarży Ashtona, po czym znika, zostawiając go jeszcze bledszego.

– Co tu robisz?

– Chciałam ci zrobić niespodziankę – mówi, wchodząc do pokoju ostrożnie, jakby podłoga była wysadzana minami.

Connor krzyżuje ręce na piersi.

– Może jej powiesz, Livie? No śmiało... powiedz jej to, co przed chwilą powiedziałaś mnie. – Connor wymownie na mnie patrzy.

Wtedy słodka, śliczna Dana zaczyna rozumieć, jej oczy rozszerza zmieszanie i strach. Teraz i ona mi się przygląda, gdy sięga, by złapać Ashtona za rękę.

Moją uwagę przykuwa błysk.

To brylant w pierścionku na lewej ręce Dany. Na serdecznym palcu.

Oddech więźnie mi w gardle.

Kiedy się oświadczył?

Ashton wie, że go zobaczyłam, ponieważ zamyka oczy i mimowolnie zaczyna pocierać pasek na nadgarstku.

Pasek wrócił na rękę.

Znów zapiął go na przegubie, co oznacza, że odrzucił wolność, jaką mu w nocy ofiarowałam.

Po konsternacji malującej się na twarzy Connora, wnioskuje, że on również zauważył pierścionek i że dopiero teraz zdał sobie sprawę z ogromu tej zdrady.

– Powiedz jej, Livie. Wy tłumacz, co dzieje się między tobą a jej przysłym mężem, skoro sądzisz, że tak dobrze go znasz.

Nie muszę nic mówić. Dana blednie. Widzę, jak mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów, po czym odwraca się w stronę łóżka, a następnie ponownie skupia na mnie spojrzenie.

Odsuwając się od Ashtona, stawia trzy chwiejne kroki w tył.

– Ash? – Głos jej drży, gdy obraca się, by na niego spojrzeć.

Ashton pochyla głowę i mamrocze pod nosem niemal niezrozumiale:

– Popęlniłem błąd. Pozwól mi wyjaśnić.

Wybuchając płaczem, Dana odwraca się i wybiega z pokoju.

Ashton nie waha się ani sekundy. Biegnie za nią, a jej krzyki niosą się po domu.

Odwrócił się ode mnie. Od nas. Od czegokolwiek, co do cholery między nami było. *Popelnił błąd.*

Słowa Connora są ciche, jednak bolesne, miękkie, lecz porażające, szczere, ale dalekie od prawdy:

– Sprawiałaś, że pękły dzisiaj dwa serca. Musisz być z siebie dumna. Żegnaj, Livie. – Drzwi pokoju zamykają się za nim.

I wiem, że nie ma już powodu, bym tu była. W tym domu i w tej szkole. W tym życiu, które nie jest moje. Muszę to zostawić.

Zatem odchodzę.

Zostawiam głosy, krzyki, rozczarowania.

Zostawiam złudzenia, błędy i żale.

Zostawiam wszystko, czym powinnam być i to, czym być nie mogę.

Wszystko to jest kłamstwem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ODPUSZCZANIE

Zastaję ich zgromadzonych przy kuchennym stole. Kacey siedzi Trentowi na kolanach i ciągnie go za włosy, śmiejąc się z Dana, który wielokrotnie puka w wielki brzuch Storm, starając się wywołać reakcję dziecka. Storm ma jeszcze przed sobą dwa miesiące ciąży i jest piękniejsza niż zwykle.

– Livie? – Siostra patrzy na mnie swoimi błękitnymi oczyma, w których maluje się mieszanina zdziwienia i zmartwienia. – Zdawało mi się, że nie wybierałaś się do domu podczas przerwy w zajęciach.

Przełykam ślinę.

– Mi też, ale... wszystko się zmieniło.

– Właśnie widzę. – Patrzy znacząco na mój strój. Nie wróciłam do akademika, by się przebrać. Po prostu wskoczyłam do taksówki, kazałam się zawieźć do Newark i kupiłam bilet na pierwszy lecący do Miami samolot. Wszystko to zajęło mi dziesięć godzin, ale oto jestem.

W domu.

Którego nigdy nie powinnam opuszczać.

Nikt nic nie mówi, ale gdy idę do spiżarni, na plecach odczuwam ciężar ich spojrzeń. Zabieram z górnej półki butelkę tequili, którą na czarną godzinę trzyma tam Storm, i mówię:

– Miałaś rację, Kacey. – Zabieram też dwa kieliszki. – Miałaś całkowitą rację.

* * *

– Tęskniłam za piskami mew – mówię cicho.

– Wow, naprawdę jesteś popieprzona.

Prychając, macham ręką w kierunku Kacey i moja dłoń ląduje na jej policzku. Wczorajszego wieczora, z tequilą i dwoma

kieliszkami w dłoni, wyszłam na taras.

Kacey podążyła za mną, przyciągnęła sobie leżak i bez słowa przyjęła ofiarowany kieliszek.

Wtedy zaczęłam się żalić.

Opowiedziałam siostrze o wszystkim.

Przyznałam się do każdego szczegółu, jaki wydarzył się w moim życiu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, wliczając w to te intymne i upokarzające rzeczy. Kiedy prawda zaczęła ze mnie wypływać, powstał wodospad niemożliwy do zatamowania. Jestem pewna, że pomógł mi alkohol, chociaż obecność siostry pomogła znacznie bardziej. Kacey po prostu słuchała. Trzymała mnie za rękę i mocno ścisnęła. Nie osądzała mnie, nie krzyczała, nie wzdychała z rozczarowaniem, nie przewracała oczami i nie sprawiała, że czułam się zażenowana. Fuknęła na mnie za brak prezerwatywy, ale szybko przyznała, że nie powinna rzucać w tym temacie kamieniami.

Płakała razem ze mną.

W pewnym momencie przyszedł Trent i okrył nas kołdrą. Nic nie mówiąc, zostawił nas w naszym pijackim, zapłakanym świecie. A kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły wyglądać zza horyzontu, kompletnie wypompowana z emocji, sekretów i kłamstw, odpłynęłam.

– Mogę jeszcze raz zobaczyć to zdjęcie, Livie? – cicho pyta Kacey.

Podaję jej kartonik, wdzięczna, że miałam go w torebce, gdy wyszłam z akademika.

– Nie mogę uwierzyć, że byli tacy młodzi – mruczy, przeciągając palcami po zdjęciu, jak ja robiłam to przedtem. Trzy lata temu Kacey nie była w stanie choćby patrzeć w kierunku zdjęć naszych rodziców.

Zanim mi je podaje, macha nim do mnie i mówi cicho:

– To dowód, że mu bardzo na tobie zależało, Livie. Nawet, jeśli sam jest wykolejeńcem.

Zamykam oczy i wzdycham.

– Nie wiem, co mam zrobić, Kacey. Nie mogę tam wrócić.

To znaczy... on jest zaręczony. Albo był. – Nadal jest? Wcześniej dostałam SMS-a z pytaniem od Reagan „gdzie ty do cholery jesteś?”, a po wyjaśnieniu jej, że wróciłam do Miami, wymieniliśmy kilka wiadomości, ale nie miała dla mnie żadnych informacji. Albo nie chciała mi powiedzieć, wspomniała tylko, że musiała ukrywać się w pokoju Granta cały dzień, bo w domu chłopaków było wiele wrzasków i krzyków.

Z tego powodu zaczęłam się bardziej martwić o Ashtona. A jeśli już nie jest z Daną? Jeśli ojciec coś mu zrobił? Wykorzystał przeciwko niemu to, czymkolwiek go szantażuje?

– A z pewnością jest wykołajeńcem – powtarza Kacey. – Będzie musiał naprawić swoje tory, nim ruszy z kimkolwiek, nawet z tobą.

Sama myśl o tym wywołuje ból w mojej piersi. Kacey ma rację. Cokolwiek było między mną a Ashtonem, muszę to odpuścić. Pomimo iż bardzo chciałabym być przy nim, kiedy będzie walczył ze swoimi demonami, nie mogę tego zrobić. Nie w taki sposób.

Nie z Connorem i z Daną i... ugh! Pierścieniem. Skręca mi się żołądek. Nasza relacja – miłość czy nie – zmieniła mnie w egoistyczną, manipulującą idiotkę, która szła po trupach do celu, nie bacząc na krzywdę innych. Która nieustannie przekonywała siebie, że wszystko, co robi, jest w porządku, ponieważ wiedziała, że facetowi, którego pragnęła, na niej zależało. Która z chęcią wróciłaby, by wpakować się w tę pułapkę raz jeszcze, bo czuła się w niej dobrze, mimo iż było to złe.

– Nie musisz tam wracać.

Otwieram oczy i patrzę na nią, mrużąc je na powrót z powodu ostrego, porannego słońca.

– Tak po prostu... mam wszystko odpuścić?

Kacey wzrusza ramionami.

– Nie nazwałabym tego odpuszczaniem. Bardziej przeżywaniem prób i błędów. Albo braniem oddechu. Być może czas z dala od Ashtona i uczelni sprawi, że nabierzesz do tego dystansu. A może go masz, tylko potrzeba czasu, by na tych

sprawach osiadł kurz.

– Tak. Być może. – Zamykam oczy, z wdzięcznością rozkoszując się komfortem bycia w domu.

* * *

– *Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym został z tobą w domu?* – pyta tata, głaszcząc mnie po głowie.

Odpowiadam kichnięciem i jękiem:

– *Nie, tatusiu. – Kręcę głową, chociaż bardzo bym chciała, żeby mnie przytulił i pocieszył. – Powinieneś jechać. Tylko się ode mnie zarazisz, jeśli zostaniesz, a dzisiaj Kacey ma ważny mecz. Będzie jej przykro, jeśli nie pójdziesz. – Mało powiedziane, siostra będzie załamana, jeśli tata nie pójdzie. – Nic mi nie... – Nie mogę dokończyć, bo znów zbiera mi się na kichnięcie.*

Tata podaje mi chusteczkę i mówi:

– *Cóż, nie będę cię okłamywał, dzieciaku. Trochę mnie teraz obrzydzasz. – Sposób, w jaki mówi „dzieciaku” z tym swoim irlandzkim akcentem, sprawia, że chce mi się śmiać.*

– *Spoko, sama siebie teraz obrzydzam – mówię, pociągając nosem.*

Odpowiada, śmiejąc się i klepiąc mnie w kolano:

– *Tylko cię podpuszczam. Zawsze jesteś moim małym, uroczym aniołkiem, z zielonymi smarkami czy bez. – Przygląda się moim lekarstwom stojącym na szafce nocnej, a ja poprawiam się na łóżku. – Pani Duggan jest w salonie...*

– *Tato! Nie potrzebuję niańki.*

Zanim się odzywa, widzę zmianę w wyrazie jego twarzy:

– *Potrzebujesz, Livie. Być może czasami zachowujesz się jak trzydziestolatka, ale fizycznie masz tylko jedenaście lat, a opieka społeczna odbiera rodzicom jedenastoletnie dzieci, gdy ci pozostawiają je same w domu. Nie kłóć się ze mną – mówi szybko, pochylając się, by pocałować mnie w czoło.*

Krzywię się i szukam pilota, żeby wyłączyć telewizor. Trzy odcinki pod rząd serialu dokumentalnego, gdzie lwy pożerają gazy, to zbyt wiele. Wzdychając i mamrocząc coś pod nosem o

upartej córce, tata wstaje i podchodzi do drzwi. Ale w nich przystaje i odwraca się, a jego jasnoniebieskie tęczęwki błyszczą, gdy się uśmiecha. Mój grymas trwa całe dwie sekundy, nim uśmiecham się do niego. Niemożliwością jest nie odpowiedzieć na ten uśmiech. On po prostu wie, jak go używać.

Tata śmieje się cicho.

– Oto moja Oliveczka. Spraw, bym zawsze był z ciebie dumny.

Co noc mówi te same słowa.

I dziś, tak jak każdej nocy, obdarowuję go olśniewającym uśmiechem i odpowiadam:

– Zawsze będę sprawiać, że będziesz ze mnie dumny, tatusiu.

– Patrzę, jak wychodzi, zamykając za sobą cichutko drzwi.

Budzę się późnym popołudniem, a ostatnie słowa, jakie powiedziałam do ojca, dźwięczą mi w głowie. To takie proste słowa. Rutynowo rzucona fraza. Jednak, prawdę mówiąc, to murowane kłamstwo. No, bo czy ktokolwiek mógłby się zobowiązać do czegoś takiego? Nie każda decyzja, którą się w życiu podejmie, będzie dobra. Niektóre będą wręcz katastrofalne.

Obracam głowę i widzę, że osoba siedząca na leżaku obok nie jest rudowłosą dziewczyną, która tam siedziała, gdy zasypiałam.

– Witaj, Livie – mówi doktor Stayner, poprawiając paskudną, kolorową, hawajską koszulę. Powinni zakazać sprzedaży takich koszul mężczyznom w jego wieku. – Jak ci się podoba mój strój plażowy?

– Dzień dobry, doktorze. Dlaczego zawsze ma pan rację?

– Staram się, nieprawdaż?

* * *

– Dzięki Bogu. Myślałam, że podpale ten leżak, żebyś w końcu wzięła prysznic. – Szturcham siostrę, gdy idziemy korytarzem w stronę kuchni.

– To ty ściągnęłaś doktora Staynera?

Kacey wzrusza ramionami.

– Napisałam do niego wczoraj, dając mu znać, że w końcu pękłaś. Jednak nie przypuszczałam, że zjawi się tu z walizką.

Najwyraźniej doktor Stayner postanowił zatrzymać się na parę dni w słonecznym Miami na Florydzie w rezydencji Dana Rydera. Cóż, to Storm nalegała, by się u nas zatrzymał, nawet, jeśli miało to oznaczać, że zajmie pokój Kacey, a ona będzie musiała spać ze mną albo z Trentem. Przypomniałam jej tylko, że to wysoce nieprofesjonalne i dziwne, by rodzinny psychiatra z nami mieszkał. Po czym ona przypomniała mi, że wszystko, co dotyczy doktora Staynera jest nieprofesjonalne i dziwne, więc właściwie to ma sens.

W tym momencie skończyły mi się argumenty.

A teraz doktor Stayner stoi w naszej kuchni przy zlewie, ubrany w jeden z fartuchów w kropki Storm, obierając z Mią marchewkę.

– Myśli pan, że naprawdę, gdy się je marchewkę, to się lepiej widzi, czy to tylko mamy tak mówią dzieciom, by jadły warzywa?

– Mia jest w tym uroczym wieku, gdzie nadal jest łatwowierna, ale pomału uczy się kwestionować świat.

Ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma opieram się o futrynę i obserwuję.

– A jak myślisz, Mia? – odpowiada pytaniem doktor Stayner. Mała mruży oczy.

– Zapytałam pierwsza.

Kręcę głową i śmieję się.

– Niech pan sobie daruje. Ona jest dla pana za sprytna.

Piszcząc, Mia rzuca marchewkę do zlewu i podbiega, by się do mnie przytulić.

– Livie! Mama mówiła, że przyjechałaś. Widziałaś, jak się rusza X?

Chichoczę. Najwyraźniej Mia przeszła od nazywania ciąży Storm „Małym Kosmitą X” do samego X. To jak zdrobnienie.

– Nie, ale wczoraj wieczorem widziałam, jak Dan pukał do brzucha twojej mamy – mówię, puszczając do niej oko.

Mia krzywi się.

– Mam nadzieję, że nie zwariuje, gdy X się urodzi. – Szybko jednak zmienia temat: – Zostaniesz z nami trochę? – Na jej buzi maluje się nadzieja.

– Nie wiem, Mia. – I taka jest prawda. Już niczego nie jestem pewna.

* * *

– Jaką by pan postawił diagnozę?

Doktor Stayner pociąga spory łyk latte z gigantycznego kubka, gdy o poranku siedzimy obok siebie na leżakach, na tarasie, obserwując biegających po plaży ludzi. Cała ta kawa nie może wyjść mu na dobre.

– Nie będę zgadywać, Livie. Ma wyraźne problemy, z którymi musi się zmierzyć. Wydaje się, że jako mechanizmu radzenia sobie z nimi używa kobiet. Prawdopodobnie nie potrafi rozmawiać o śmierci matki. Chociaż wygląda na to, że bardzo mu na tobie zależało. – Doktor Stayner opiera się wygodnie. – A jeśli dorastał przy stosującym przemoc ojcu, być może nadal czuje, że rodzic ma nad jego życiem kontrolę. I może ma. Mogę jedynie powiedzieć, że nigdy nie dostaniesz sensownej odpowiedzi na pytanie, dlaczego to wszystko go spotkało. A póki on sam nie będzie chciał rozmawiać, bardzo ciężko będzie mu pomóc. I właśnie dlatego, moja Oliveczko... – Przewracam oczami, ale natychmiast się uśmiecham. Z jakiegoś powodu doktor upodobał sobie tak mnie nazywać. – Musisz zostawić jego problemy, przynajmniej do czasu, aż uporasz się z własnymi. Nie zapominaj, że twoja siostra i Trent potrzebowali tego samego. Trzeba było pięciu miesięcy, by ponownie się zeszli. Takie sprawy zazwyczaj wymagają czasu.

Przytakuję skinieniem głowy. *Pięć miesięcy.* Gdzie będzie Ashton za prawie pół roku? Do tego czasu z iloma kobietami będzie się starał „zapomnieć”? I czy będę potrafiła uczyć się w Princeton, kiedy on będzie układał sobie życie? Czy w ogóle spróbuje to zrobić? Znowu zaczyna mi się ścisnąć żołądek.

– Livie...

- Przepraszam.
- Wiem, że to trudne, ale przez chwilę musisz skupić się na sobie. Przestań myśleć o tym rozstaniu i zacznij rozważać to, że...
- Unosi palce, by zaznaczyć cudzysłów. – „okłamałaś” ojca.
- Ale... – Odwracam spojrzenie od świeżo zrobionego przez Storm pedikiuru.
- Wiem, czego dla mnie chciał i będę robić na przekór. Jak, do diabła, miałyby to sprawić, że byłby ze mnie dumny?
- Doktor Stayner klepie mnie w ramię.
- Niczego nie gwarantuję, Livie. Nigdy. Jednak teraz mogę cię zapewnić, że rodzice byliby dumni z ciebie i z twojej siostry. Byliby bardziej niż dumni. Ponieważ obie jesteście po prostu... niezwykle.
- Niezwykłe.*
- Nawet, jeśli w końcu pękłam? – powtarzam słowa Kacey, mając na twarzy smutny uśmiech.
- Doktor zaczyna się śmiać.
- Nie pękłaś, Livie. Wolałbym powiedzieć, że w końcu dotarłaś do skrzyżowania i potrzebujesz nieco wskazówek. Jesteś bystrzakiem, który wkrótce wszystko sobie poukłada. Tylko czasami trzeba ci... wytycznych. Nie jak twojej siostrze. Ona to dopiero pękła. – Układa usta w nieme „wow” i nic nie mogę na to poradzić, ale pryham śmiechem. – Myślę, że po czasie dojdiesz do siebie. A teraz będzie najlepsze.
- Unoszę pytająco brwi.
- Musisz wymyślić, kim chcesz być.

* * *

Jestem przyzwyczajona do doktora Staynera w małych dawkach – maksymalnie jedna godzina tygodniowo w rozmowie telefonicznej. Zatem gdy wyjeżdża po spędzeniu z nami kilku dni, mój umysł tymczasowo wyłącza się, jak maszyna, która się przegrzała. Większość czasu spędziliśmy na tarasie, dyskutując na temat możliwości mojej edukacji, moich przyszłych zawodowych aspiracji i mojego życia społecznego. Doktor nigdy nie wyraził

własnego zdania. Powiedział, że nie chce zaburzać procesu mojej selekcji. Nalegał tylko na to, bym pomyślała przez chwilę nad szerokim spektrum możliwości, zamiast skupiać się na wyłącznie jednej opcji. Zasugerował, że uczęszczanie na zajęcia bez wybrania wiodącego kierunku, podobnie jak Reagan, nie jest wcale takim złym pomysłem. Oczywiście musiał przyznać, że im dłużej będę się wahać, tym mniejsze szanse będę mieć na pozostanie w Princeton, bo najprawdopodobniej obleję egzaminy semestralne.

Myślę, że moim największym zmartwieniem, jeśli chodzi o powrót do Princeton, nie jest samo Princeton – zaakceptowałam już, że ta uczelnia nie jest dla mnie. Zdążyłam też zadzwonić do szpitala i poinformować, że rezygnuję z wolontariatu.

Moją największą obawą jest spotkanie z Ashtonem i moja słabość do niego. Zwykle spojrzenie czy prosty dotyk mogą sprawić, że przyciągnie mnie do niego, a to nie byłoby dobre dla nas obojga. Już raz odeszłam. Drugi raz byłby łatwiejszy czy trudniejszy? Może to niemożliwe...

Moje życie stało się pełne trudnych wyborów i jednego, który jest łatwy – to Ashton.

Tylko że on jest jedynym wyborem, którego nie mogę dokonać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

WYBORY

Przysięgam, że Reagan czekała jak wierny pies pod drzwiami, nasłuchując dźwięku zamka, ponieważ, gdy w piątkowy wieczór weszłam do naszego pokoju, rzuciła się na mnie ze słowami:

– Tak bardzo za tobą tęskniłam!

– Nie było mnie tylko dwa tygodnie, Reagan – mówię, chichocząc i odkładając torebkę na biurko. Zdecydowałam się jednak wrócić do Princeton. Nie dlatego, iż czułam, że to miejsce dla mnie, ale dlatego, że wymyśliłam, co chcę studiować i, póki mnie nie wyleją albo nie przeniosę się do Miami – co załatwiałam, będąc w domu – równie dobrze mogę kontynuować naukę tutaj.

Zakładając włosy za ucho, mimochodem pytam:

– To, co słyhać?

Reagan marszczy nos.

– Po staremu. Bo ja wiem. Ashton mieszka w domu moich rodziców i niczego nie mogę od taty wyciągnąć. Za to Grant często zostaje tutaj, u mnie, bo w domu u chłopaków nie jest już tak fajnie. Connor cierpi. Ale nic mu nie będzie, Livie. Poważnie. Po prostu musi znaleźć sobie jakąś laskę do bzykania. – Opada na swoje łóżko i w typowy dla siebie przesadny sposób mówi: – Och, i Tav skręcił kostkę. Głupek.

Chichoczę, ale nie sposób, bym zignorowała swój wewnętrzny niepokój.

– Jakie masz plany na weekend? – pyta z wahaniem. – Pójdiesz się z nim zobaczyć?

Wiem, kim jest „on” i nie jest to Connor. Kręcę głową. Nie... Potrzebujemy więcej niż dwóch tygodni, by poradzić sobie z tym bałaganem. To zbyt świeże. Zbyt nowe. Zbyt bolesne.

– Będę starała się nadrobić naukę, jeśli jest jeszcze na to

nadzieja. – Opuściłam cały tydzień zajęć, w którym były też testy. Powoli wspinam się na łóżko, odganiając wspomnienia. – I mam zamiar odwiedzić bliźniaków w szpitalu. – Muszę się z nimi prawidłowo pożegnać, dla ich, ale i dla mojego dobra.

* * *

Gdy jadę pociągiem do szpitala, dostaję od doktora Staynera sms-a. W wiadomości widnieje adres oraz słowa:

OSTATNIE ZADANIE. JESTEŚ MI JE WINNA ZA NIEUKOŃCZENIE POPRZEDNIEGO. BĄDŹ TAM O CZTERNASTEJ.

Już nie kwestionuję jego metod. Ten facet jest genialny. Odpisuję po prostu:
OKEJ.

* * *

– Cześć, Livie. – Promienny uśmiech siostry Gale wita mnie w rejestracji. Gdy Kacey napisała do doktora Staynera, że wróciłam do Miami, on skontaktował się ze szpitalem, by dać im znać, chociaż niezbyt precyzyjnie, co się stało. Kiedy podjęłam ostateczną decyzję, że nie będę kontynuować wolontariatu i gdy telefonowałam, by ich o tym poinformować, siedział przy mnie. Przyjęli to niespodziewanie dobrze.

– Chłopcy ucieszą się, że jesteś.

– Jak się miewają?

Siostra Gale puszcza do mnie oko.

– Sama zobacz.

Zauważam, że spacer tym korytarzem nie przyprawia mnie już o taki ucisk w klatce piersiowej, jak wcześniej. Nie dlatego, że jakimś cudem się przyzwyczaiłam. Nie, to dlatego, że zrezygnowałam z pomysłu na taką przyszłość. Bliźniacy podbiegają do mnie z energią, jakiej od dawna u nich nie widziałam, łapią mnie za nogi, przyprawiając o uśmiech.

– Chodź! – Każdy ściska moją dłoń, ciągnąc w kierunku stołu. Jeśli są urażeni z powodu mojego nagłego wyjścia dwa tygodnie temu, nie okazują tego.

– Siostra Gale mówiła, że cię nie będzie, bo robisz... W sumie nie wiem, co powiedziała... coś o duszy. Zgubiłaś ją? Musisz ją znaleźć? – pyta Eric z dziwnym grymasem.

Poszukiwanie duszy. Chichoczę.

– Tak, muszę.

– To masz. – Derek przesuwając w moją stronę rysunki. – Powiedziała, że moglibyśmy ci pomóc wymyślić, kim chcesz być, kiedy dorosniesz.

– Powiedziałem jej, że chcesz być lekarzem – wtrąca Eric, przewracając oczami. – Ale stwierdziła, że dobrze będzie dać ci jakieś zapasowe pomysły.

Patrząc to na jednego to na drugiego, na ich chętnie do pomocy twarzyczki, zaczynam przerzucać kartki, oceniając wszelakie możliwości.

I śmieję się bardziej niż kiedykolwiek.

* * *

Punktualnie o czternastej wysiadam w Newark z taksówki przed wielkim, białym domem w stylu wiktoriańskim. Z szyldu na frontowej ścianie dowiaduję się, że to dom opieki. Gdy wchodzę, zauważam, że jest ładny, po czym kieruję się do skromnego, lecz urokliwego foyer, z ciemną, mahoniową podłogą, pastelową tapetą w pasy i kwiatami ustawionymi na stole w wazonie. Naprzeciw znajduje się recepcja z rejestrem odwiedzin. Wzdycham, rozglądając się i szukając wskazówki, co powinnam dalej zrobić. Doktor Stayner, poza adresem, nie podał mi dalszych instrukcji. Zazwyczaj jest jednoznaczny w swych wymaganiach.

Wyciągam telefon z kieszeni z zamiarem wysłania do niego prośby o wskazówki, ale w tym momencie młoda kobieta z blond włosami i w jasnoniebieskim fartuszkach wychodzi zza rogu.

Wita mnie uśmiechem i słowami:

– Ty musisz być Livie.

Kiwam głową.

– Czeka na ciebie w pokoju trzysta pięć. Schodami i na lewo. Trzecie piętro, idź za znakami.

– Dzięki. – Zatem doktor Stayner jest tutaj. Dlaczego mnie to nie dziwi? Otwieram usta, by wypytać pielęgniarkę, co wie na temat pokoju trzysta pięć, ale znika, zanim potrafię wydobyć z siebie słowa.

Podążam za jej wytycznymi, wchodząc po schodach na trzecie piętro, przez całą drogę czując zapach przemysłowego środka do dezynfekcji. Podświadomie zauważam też nienaturalną ciszę panującą w tym miejscu. Słysząc tylko trzeszczenie schodów w miarę, jak się nimi wspinam. Od czasu do czasu słyszę jedynie czyjeś pokasywanie, ale nic więcej. Tak jakby budynek był pusty. Ale przeczucie podpowiada mi, że taki nie jest.

Spoglądając na numery przyklejone do drzwi, idę, aż odnajduję właściwe. Są uchylone. *Dobra, doktorze Stayner. Co pan tu dla mnie ma?* Głęboko wzdychając, stawiam chwiejny krok w przód, spodziewając się zobaczyć mojego siwiejącego psychiatrę.

Krótki, wąski korytarzyk prowadzi do pokoju, którego przez uchylone drzwi nie widzę w całości. Wszystko, co mogę dostrzec, to róg naprzeciwko i wysoki, ciemnowłosy, opalony, przystojny mężczyzna, pochylony w fotelu – ma łokcie oparte na kolanach, dłonie złożone i przyciśnięte do ust, jakby z niepokojem na coś czekał.

Więżnie mi oddech.

Ashton natychmiast wstaje. Przyglądając mi się, otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, od czego zacząć.

– Livie. – W końcu udaje mu się wydusić, po czym odchrząkuje. Nigdy wcześniej nie nazwał mnie po imieniu. Nigdy. Nie wiem, jak mam się czuć z tego powodu. Jestem zbyt zszokowana, by odpowiedzieć. Nie spodziewałam się zobaczyć go dzisiaj. Nie przygotowałam się na to.

Szeroko otwartymi oczyma obserwuję, jak Ashton w pięciu szybkich krokach podchodzi do mnie i łapie mnie za rękę, patrzy

mi w oczy, a w jego brązowych tęczęwkach dostrzegam zmartwienie i czuję, jak lekko drży mu ręka.

– Proszę, nie uciekaj – szepcze, dodając jeszcze ciszej: – I proszę, nie nienawidź mnie.

To wyrywa mnie z obecnego szoku, ale umiejscawia w kolejnym. Naprawdę myślał, że ucieknę w chwili, w której go zobaczę? I jak, u diabła, Ashton mógł pomyśleć, że mogłabym go nienawidzić?

Cokolwiek się dzieje, on najwyraźniej nie rozumie głębokości uczucia, jakim go darzę. Tak, dwa tygodnie temu uciekłam. To było coś, co musiałam zrobić. Dla siebie. Ale teraz tu jestem i nie mam zamiaru uciekać, czy odchodzić od Ashtona.

Modlę się tylko do Boga, bym nie musiała.

Co ten mój cholerny psychiatra znów wymyślił?

Idąc tyłem, Ashton powoli wprowadza mnie do pokoju. Jest dość prosty, z żółtą tapetą na ścianach, sztukaterią na suficie i z kilkoma roślinami stojącymi w słońcu na wykuszowym oknie. Wszystkie te szczegóły jednak rozmywają się, gdy skupiam spojrzenie na kobiecie leżącej w łóżku.

Kobiecie z przyprószonymi siwizną włosami i lekko pomarszczoną twarzą, która kiedyś musiała być piękna, szczególnie biorąc pod uwagę te pełne usta. Tak podobne do ust Ashtona.

I, po prostu... zaczynam rozumieć.

– To twoja mama – szepczę. To nie jest pytanie, ponieważ jestem pewna odpowiedzi. Mam tylko mnóstwo pytań zaczynających się od „dlaczego”.

Ashton nie puszcza mojej dłoni, choć jego uchwyt słabnie.

– Tak.

– Ona żyje.

– Tak. – Następuje chwila ciszy. – Ale odeszła.

Przez chwilę spoglądam na poważny wyraz twarzy Ashtona, po czym wracam uwagą do kobiety. Nie chcę się gapić, ale i tak to robię.

Jej spojrzenie natychmiast przeskakuje między mną a

Ashtonem.

– Kto...? – zaczyna, a ja nie potrafię stwierdzić, co chce powiedzieć, ponieważ układa usta, jakby się starała, ale nie wydaje żadnego dźwięku. W jej oczach... dostrzegam tylko zmieszanie.

– To ja, Ashton, mam. A to Livie. Opowiadałem ci o niej. Nazywamy ją Irlandką.

Spojrzenie kobiety przez chwilę pozostaje skupione na twarzy Ashtona, po czym opada, jakby usilnie przeszukiwała pamięć.

– Kto...? – ponownie próbuje. Podchodzę o dwa kroki, na tyle, na ile pozwala mi mocny uścisk Ashtona. Jestem na tyle blisko, by wyczuć charakterystyczny zapach moczu, jaki unosi się w domach starszych osób, które utraciły zdolność kontroli pęcherza.

I, jakby rezygnując z dalszych prób rozpoznania któregoś z nas, kobieta obraca głowę i po prostu patrzy w okno.

– Wyjdźmy stąd – szepcze Ashton i ciągnie mnie za sobą, podchodząc do radia stojącego na stole. Puszcza płytę Etty James i odrobinę pogłośnia. Nie odzywam się, gdy wyprowadza mnie z pokoju, zamykając za sobą drzwi. W ciszy idziemy korytarzem i schodzimy innymi schodami, które prowadzą do ogrodu na tyłach domu. Jest to spory teren, gdzie rosną wielkie dęby, a między nimi wiją się wąskie ścieżki, przy których widnieją niezliczone klomby i rabatki z kwiatami właśnie przygotowywanymi do zimy. Podejrzewam, że mieszkańcy mogą tu odetchnąć w upalne dni. Chociaż teraz, w słabych promieniach listopadowego słońca i pod wpływem chłodnego powietrza, drzę.

Siadając na ławce, Ashton nie waha się wciągnąć mnie na kolana i objąć ramionami, jakby chciał ochronić mnie przed zimnem. Ja również się nie waham i pozwalam mu na to, ponieważ łaknę jego ciepła nie tylko z powodu chłodu. Nawet, jeśli nie powinnam.

Dokładnie tego się obawiałam.

Już nie wiem, co jest dobre. Wiem jedynie, że matka Ashtona żyje, a doktor Stayner bez wątpienia przysłał mnie tu, bym poznała

prawdę.

Skąd doktor Stayner wiedział? Później się tym zajmę.

Zamykam oczy i oddycham głęboko, rozkoszując się niebiańskim zapachem Ashtona. Bycie z nim tak blisko, po naszej spędzonej na uniesieniach nocy, jest cięższe, niż myślałam, że będzie. Czuję się tak, jakbym stała na krawędzi klifu, a burza uczuć popychała mnie do przodu – ból, dezorientowanie, miłość i pożądanie. Czuję też ogromne przyciąganie, chcę przytulić się do niego, oprzeć dłoń na jego piersi, chcę go pocałować, pokazać mu, że jest mój. Chociaż nie jest. Nawet jeszcze nie jest swój.

– Dlaczego, Ashton? Dlaczego kłamałeś na temat jej śmierci?
– *Dlaczego... to wszystko się stało?*

– Nie kłamałem. Nie wyprowadziłem cię tylko z błędu, gdy założyłaś, że ona nie żyje. – Słowo „dlaczego” znów jest na moich ustach, ale Ashton ciągnie dalej, nim mam szansę się odezwać. – Tak było łatwiej, niż przyznać, że matka mnie nie poznaje. Że każdego dnia budzę się z nadzieją, że ona umrze, bym mógł być wolny od mojego popieprzonego życia. Żebym mógł żyć w spokoju.

Zamykam oczy, by powstrzymać łzy. Spokój. Teraz rozumiem, co znaczyło to dziwaczne spojrzenie, gdy Ashton dowiedział się o śmierci moich rodziców. Chciał tego samego dla siebie.

Biorąc głęboki wdech, szepczę:

– Musisz mi opowiedzieć. O wszystkim.

– Taki mam zamiar, Irlandko. Wszystko ci powiem. – Ashton odchyła głowę, by zebrać myśli. Jego klatka piersiowa przywiera do mojej, gdy bierze głęboki oddech. Niemal potrafię dojrzeć ciężar spoczywający mu na sercu, gdy po raz pierwszy pozwala sobie na szczerą i zaczyna otwarcie mówić:

– Mama ma zaawansowaną postać choroby Alzheimera, która rozwinęła się u niej bardzo wcześnie... Wcześniej niż normalnie się to dzieje.

Natychmiast w gardle tworzy mi się gula łez.

– Urodziła mnie po czterdziestce. Byłem nieplanowany i

nieoczekiwany. I mocno niechciany przez ojca. On... nie potrafi się dzielić. To prawdopodobnie dotyczyło też uczuć mamy. – Milknie, by obdarować mnie smutnym uśmiechem. – Matka, na wiele lat przed tym, gdy poznała mojego ojca i przeniosła się do Ameryki, pracowała w Europie jako modelka. Mam niektóre z magazynów, na okładkach których były jej zdjęcia. Kiedyś ci pokażę. Była oszałamiająca. To znaczy, powalająco piękna.

Unoszę dłoń, by pogłodzić go po policzku.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

Ashton zamyka oczy, opiera się o moją dłoń i kontynuuje:

– Kiedy poznała tatę, również nie chciała mieć dzieci, więc im się układało. Pobrali się piętnaście lat przed moimi narodzinami. Przeżyli piętnaście szczęśliwych lat, nim wszystko im zrujnowałem, przynajmniej tak twierdzi ojciec. – Ostatnie zdanie mówi obojętnie, wzruszając ramionami, wiem jednak, że daleko mu do obojętności. W tych brązowych tęczęwkach dostrzegam głęboko skryty ból.

Choć wiem, że nie powinnam, opieram dłoń na jego piersi.

Ashton nakrywa ją swoją i zamyka oczy.

– Myślałem, że już nigdy tego nie zrobisz – szepcze.

Daję mu chwilę, po czym delikatnie popycham:

– Mów dalej. – Pozostawiam jednak dłoń na jego piersi, pod palcami czując mocny rytm bicia serca.

Usta Ashtona wykrzywia grymas. Otwiera oczy i mruga, by pozbyć się błyszczących w nich łez. Świadomość płaczu Ashtona rozrywa moje wnętrze. Walczę, by też się nie rozplakać.

– Pamiętam dzień, kiedy siedziałem z mamą w kuchni, nad talerzem ciasteczek, które pomagałem jej piec. Miałem siedem lat. Uszczypnęła mnie w policzek i powiedziała, że byłem szczęściem w nieszczęściu i że nie zdawała sobie sprawy, że czegoś jej brakowało, aż do dnia, w którym dowiedziała się, że będzie mnie miała. Powiedziała, że w końcu coś w niej zaskoczyło. Instykt macierzyński sprawił, że pragnęła mnie bardziej niż wszystko inne na świecie. Powiedziała też, że uczyniłem ich z ojcem szczęśliwymi. – Pojedyncza łza w końcu spływa mu po policzku. –

Nie miała pojęcia, Irlandko. Nie wiedziała, co on mi zrobi – szepcze, ponownie zamykając oczy, gdy bierze głęboki, uspokajający oddech.

Ocieram mu tę łzę z policzka, ale na moim pojawia się ich strumień, jednak i te szybko ocieram, nie chcę, żeby je widział.

Odchrząkuję.

– Kiedy to się zaczęło?

Ashton ciągnie dalej, bez wahania zdradzając mi swoje tajemnice. W końcu.

– Miałem prawie sześć lat, gdy pierwszy raz zamknął mnie w szafie. Do tego czasu nie widywałem go za często. Pracował do późna, a przez resztę czasu mnie unikał. To nie miało znaczenia. Mama wynagradzała mi to swoją miłością. Była wylewną kobietą. Ciągle mnie przytulała i całowała. Pamiętam, że jej koleżanki żartowały, że kiedyś udusi mnie z miłości. – Marszczy czoło. – Patrząc na to teraz, myślę, że to przeszkadzało tacie. Bardzo. Wcześniej miał jej niepodzielną uwagę, a później... – Głos Ashtona staje się gorzki. – Pewnego dnia coś się zmieniło. Zaczął zostawać w domu, gdy mama miała swoje plany, na przykład spotkanie z koleżankami. Zwykł wtedy zamykać mnie z zaklejonymi ustami w szafie. Zostawiał mnie tam na wiele godzin, byłem głodny i płakałem. Mówił, że nie chce mnie widzieć ani słyszeć. Że nie powinienem być na tym świecie. Że zrujnowałem im życie.

Nie potrafię zrozumieć, dlaczego Ashton jest tak spokojny, a jego serce może bić tak równo, podczas gdy ja, pomimo postanowienia, by zachować spokój, zaczynam wyglądać jak zasmarkany miś panda, cały czas mając w głowie obraz małego chłopca skulonego w szafie. Muszę walczyć, by wydobyć z siebie głos:

– I nic jej nie powiedziałeś?

Ashton ociera część moich łez.

– Kilka miesięcy wcześniej niechący wypuściłem na ulicę naszego szpica, który wpadł pod samochód... Mama tygodniami płakała za tym psem. Tata groził, że powie jej, iż zrobiłem to

celowo, że jestem złym, małym chłopcem, który robi straszne rzeczy zwierzętom. Bałem się, że ona mu uwierzy... – Wzrusza ramionami. – Skąd mogłem wiedzieć? Miałem tylko sześć lat. – Milknie na chwilę. – Na miesiąc przed moimi ósmymi urodzinami, mama zaczęła zapominać dat, nazwisk i tego, że była z kimś umówiona. Wcześniej zdarzało jej się to sporadycznie, ale wtedy przybrało na sile. – Jabłko Adama podskakuje mu, kiedy przełyka ślinę. – Zdiagnozowali ją w ciągu roku. To tego dnia... – Oddychając głęboko przez nos, pociera pasek na nadgarstku. Ten, który nadal nosi, który nadal go więzi. Stałe przypomnienie. – Nigdy wcześniej nie użył na mnie paska. Nie sądzę, by wiedział, jak mocno może uderzyć, by nie uszkodzić skóry. I był wściekły. Wściekły na mnie. Obwinił mnie o wszystko. Powiedział, że chorobę wywołała ciąża, że hormony zaczęły niszczyć jej mózg, od kiedy przyszedłem na świat. – Ashton mimowolnie drapie się po ramieniu, gdzie ma bliznę. – Zakazał mi mówić jej o tym, co mi zrobił, żeby stres nie przyspieszył i nie pogorszył choroby. Więc kłamałem. Powiedziałem jej, że wywróciłem się na rowerze. Potem okłamywałem ją coraz częściej. Kłamałem na temat siniaków na żebrach, kiedy mnie popchnął, na temat pręg, gdy ponownie bił mnie pasem, na temat guza na głowie, gdy popchnął mnie na drzwi. Przywykłem do kłamania, mimo to stan mamy tak szybko się pogarszał, że to, co mi robił, stało się... nieistotne. Przywykłem do tego.

– Przestał mnie bić w dniu, w którym przeniósł mamę do wysokiej klasy ośrodka leczniczo-opiekuńczego. Miałem czternaście lat. W tamtym czasie nadal miałem nadzieję, że jej się poprawi, że leczenie odwróci chorobę lub przynajmniej ją spowolni. Nadal śmiała się z moich żartów i śpiewała mi tę hiszpańską piosenkę... Nadal gdzieś tam była. Miałem nadzieję, że możemy dać jej wystarczająco dużo czasu, by wynaleziono lekarstwo. – Ashton pochyla głowę. – Potem przyszedł dzień, w którym pierwszy raz spytała, kim jestem. A kiedy tamtej nocy przyszedł do mnie ojciec... Powaliłem go na plecy. Byłem dużym dzieciakiem. Nawrzeszczałem na niego, by uderzył mnie, ile ma

siły. Przestało mi zależeć. Jednak tego nie zrobił. Nigdy później nie podniósł na mnie ręki.

Z westchnieniem rezygnacji, Ashton unosi wzrok i patrzy mi w oczy, kciukami ocierając niekończący się strumień łez z moich policzków.

– Znalazł lepszy sposób karania mnie za to, że oddycham. Wtedy jednak nie zdawałem sobie z tego sprawy. Sprzedał dom i przeprowadziliśmy się na drugą stronę miasta, tylko po to, by odebrać mi życie, które znałem, zmuszając mnie do zmiany szkoły, do opuszczenia przyjaciół. Mógł wysłać mnie do szkoły z internatem i umyć ręce od odpowiedzialności za mnie, ale tego nie zrobił. Zamiast tego zaczął dyktować mi, z kim mam rozmawiać, z kim się umawiać, jakie uprawiać sporty. – Z prychnięciem mówi: – Właściwie to on nakazał mi dołączyć do osady. Ironiczne, biorąc pod uwagę fakt, że wioślarstwo jest jedyną rzeczą, którą kocham... Tak czy inaczej, gdy miałem piętnaście lat, wrócił wcześniej z pracy do domu i zastał mnie z niezatwierdzoną przez niego dziewczyną, jak ją pie... – Ciemne oczy patrzą znów na mnie, gdy mimowolnie spinam mięśnie. – Przepraszam... jak się z nią zabawiałem. Nazwał ją dziwką i wyrzucił z naszego domu. Rzuciłem się na niego. Powaliłem na ziemię, gotowy sprać go na kwaśne jabłko. – Ramiona Ashtona tężeją wokół mnie, gdy przyciąga mnie bliżej. – Wtedy właśnie zaczął wykorzystywać przeciwko mnie matkę.

Marszczę brwi w konsternacji.

– Rzuciał liczbami, cenami utrzymania jej w droгим ośrodku, mówił, ile będzie kosztowała jej opieka, jeśli będzie żyła kolejne dziesięć lat. Powiedział, że zaczyna wątpić w sens tego. Że ona nie wydobrzeje, więc dla niego to strata kasy. – Ashton przesuwając językiem po przednich zębach. – Strata kasy. Tym stała się dla niego miłość jego życia. Odkąd umieścił ją w tym ośrodku, nie odwiedził jej ani razu. Obrączka dawno temu zniknęła z jego palca.

– Nie chciałem w to wierzyć. Nie mogłem z niej zrezygnować. Była dla mnie wszystkim, a on o tym wiedział.

Warunek był prosty: miałem żyć życiem, które on mi wyznaczył lub matka, czekając na śmierć, kilka swoich ostatnich lat spędziłaby w jakiejś śmierdzącej dziurze. Znalazł nawet wycinki z gazet, opisujące przerażające historie z takich ośrodków: zaniedbanie, przemoc... Wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo ojciec gardzi mną tylko dlatego, że się urodziłem. I wiedziałem, że z łatwością spełni swoją groźbę.

Wypuszczam powietrze z płuc. Zatem cały czas w ten sposób szantażował Ashtona.

Matką.

– Poddałem się. Przez wiele lat nie protestowałem, akceptując jego żądania. – Ashton prychnął, po czym mamrocze pod nosem: – A co najgorsze, nigdy na to nie narzekałem. To znaczy, no spójrz na moje życie! Chodzę do Princeton, mam kasę, samochód, gwarantowaną pracę w jednej z najlepszych firm prawniczych w kraju. To nie tak, że on mnie torturuje. On tylko... – Ciężko wzdycha. – On tylko odebrał mi wolność decydowania o swoim życiu.

– Cóż, zmuszanie cię do tego, byś ożenił się z kimś, z kim nie chcesz, jest podstawą do narzekania – mówię cicho z goryczą.

Ashton znów pochyła głowę, a jego głos staje się szorstki.

– To był najgorszy dzień mojego życia. Tak bardzo cię przepraszam, że cię w to wciągnąłem. I przepraszam, że nie powiedziałem ci o zaręczynach.

– Spójrz na mnie – żądam, unosząc jego podbródek. Bardzo chcę go pocałować, ale w tym momencie nie mogę przekroczyć granic. Nie, póki się nie dowiem... – Co stało się z Daną? Na czym stanęło? – Ślub nadal w planach? Czy to, że siedzimy tu teraz, to coś złego?

Te cudowne, brązowe oczy przez chwilę przyglądają się mojej twarzy, po chwili Ashton podejmuje wątek.

– Trzy lata temu brałem udział w firmowym turnieju golfa. Grałem z ojcem, gdy jego nowy klient przedstawił nam córkę. Ona też grała. Właśnie tak poznaliśmy się z Daną. Jej ojciec chyba wspomniał, jak bardzo podobałoby mu się, gdyby jego córeczka

spotykała się z kimś takim jak ja... – Ashton się spina. – Mój ojciec dostrzegł w tym szansę. Ojciec Dany powierzał mojemu jedynie część spraw swojej firmy, podczas gdy trzy inne kancelarie załatwiały równocześnie pozostałe sprawy. Pełna współpraca z ojcem Dany równała się ogromnym zyskom. Około dziesięciu milionom, może nawet więcej. Zatem zostałem poinstruowany, by Dana mnie pokochała. – Ashton przyciąga mnie do siebie, wtula twarz w mój obojczyk, sprawiając tym samym, że serce mi przyspiesza. Kontynuuje: – Była naprawdę ładna i słodka. Nigdy do niej nic nie czułem, ale nie mogłem też narzekać z powodu posiadania takiej dziewczyny. Do tego większość czasu spędzała po drugiej stronie kraju, bo tam chodzi do szkoły, więc nie komplikowała mi stylu życia. Nie, póki nie pojawiłaś się ty. – Opieram się pokusie, by się przytulić. To byłoby takie łatwe... wystarczyłoby, bym się delikatnie przesunęła i nakryła jego usta swoimi.

– Trzy tygodnie temu ojciec zadzwonił do mnie i kazał się oświadczyć. Spotkanie się z Daną pozwoliło przejąć sporo spraw firmy jej ojca. Tata wykombinował, że małżeństwo zapewniłoby przejście reszty. Odmówiłem. Następnego dnia zadzwoniono do mnie z ośrodka, w którym przebywała mama, z pytaniem o warunki przeniesienia do państwowego domu opieki w Filadelfii. Ledwie się rozłączyłem, dostałem e-mail od ojca z co najmniej kilkunastoma raportami odnośnie znęcania się nad pacjentami w tym ośrodku. Nawet dotyczącymi sprawy molestowana seksualnego, która skończyła się w sądzie. Chory drań tylko czekał na moją decyzję, by móc zlecić przeniesienie. – Klatka piersiowa Ashtona unosi się i opada z westchnieniem rezygnacji. – Nie miałem wyboru. Gdy dwa tygodnie temu, po regatach wręczył mi pierścionek, poprosiłem Danę, by za mnie wyszła. Powiedziałem jej, że jest miłością mojego życia. Nie mogłem ryzykować, że mi odmówi. Chciałem przekonać ją, by nasze narzeczeństwo trwało na tyle długo, bym zdołał ukończyć studia prawnicze. Musiałbym być z nią aż do śmierci matki, potem mógłbym z nią zerwać. – Wstrętu do samego siebie w jego głosie nie można zignorować.

Nienawidzi się za to.

Walczę, by zrozumieć całą tę sytuację, ale nie potrafię. Nie umiem znaleźć w tym sensu. Jak mężczyzna może tak bardzo nienawidzić własnego dziecka? Jak może odczuwać satysfakcję z powodu całkowitego dominowania nad czyimś życiem? Ojciec Ashtona jest chory. Sama myśl o tym, że tak wielkie okrucieństwo może być opakowane w drogi garnitur i satysfakcjonującą karierę, ściska mi żołądek. Nie obchodzi mnie, ile mrocznych demonów skrywa przeszłość ojca Ashtona, która go takim stworzyła. Ktoś taki jak ja nigdy nie znajdzie usprawiedliwienia dla wszystkiego, co zrobił ten człowiek.

Delikatnie popycham Ashtona, na tyle, bym mogła zobaczyć jego twarz, zauważam kilka łez znaczących jego policzek. Przyglądam się jego twarzy, podczas gdy on przez dłuższą chwilę patrzy na moje usta.

– Kiedy tamtej nocy przyszedłeś do mojego pokoju i... – Przetęka ślinę i marszczy czoło. – Chciałem ci powiedzieć. Powinienem był ci powiedzieć, zanim... – Na twarzy Ashtona maluje się ból. – Przepraszam. Wiedziałem, że skończy się to twoim cierpieniem, a i tak na to pozwoliłem.

– Nie chcę, by karał się za to choćby sekundę dłużej.

– Ashton, nie żałuję tamtej nocy – odpowiadam zgodnie z prawdą, obdarowując go niewielkim uśmiechem pocieszenia. Jedynym błędem w moim życiu, którego nie będę żałować, jest Ashton Henley. – I co dalej? – Waham się, nim powtarzam pytanie: – Co się stało z Daną?

– Krzyczała i płakała. Po czym powiedziała, że jeśli przysięgnę, że to się więcej nie powtórzy, wybaczy mi.

Żołądek kurczy mi się jeszcze bardziej. Ashton nadal jest zaręczony. Ojciec nadal go kontroluje. A ja nie powinnam tu być, przynajmniej nie tak blisko. Brutalna rzeczywistość przytłacza mnie, zamykam oczy, wzdycham i szepczę:

– W porządku.

Starając się zapanować nad emocjami, Ashton szepcze ostro:

– Irlandko, spójrz na mnie.

Przez mgłę łez widzę jego niewielki uśmiech i zdezorientowana marszczę brwi. Unosząc dłoń, by złapać mnie za podbródek, Ashton obdarowuje mnie delikatnym pocałunkiem. To tylko cmoknięcie i nie trwa długo, ale i tak pozostawia mnie bez tchu. Czuję się jeszcze bardziej skołowana.

Ashton szepcze:

– Powiedziałem jej, że nie mogę.

– Ale... – Odwracam się, by wskazać na wielki dom, w którym leży jego matka. – On ją stąd zabierze do tego okropnego miejsca...

– To jest nowy ośrodek, Irlandko. Tydzień temu przenieśliem tu mamę. – Dziwny uśmiech maluje się na twarzy Ashtona, to mieszanina ulgi, radości i mnóstwa wrażeń. To potęguje łzy w jego oczach.

– Nie... nie rozumiem. – Moje serce rozpadło się na kawałki, a teraz galopuje i potyka się, gubiąc rytm w oczekiwaniu. Wiem, że sugeruje coś znaczącego, ale nie wiem co i muszę się dowiedzieć. – Ashton, powiedz mi, co się dzieje.

Wyraz jego twarzy staje się ponury.

– Zerwałem z Daną. Zdałem sobie sprawę, że ten bałagan niszczy nie tylko moje życie. – Na jakieś wspomnienie ból migocze w jego oczach. – W tamtą noc, gdy schodziłaś po schodach i szłaś do drzwi, na twojej twarzy widziałem pustkę. To mnie zniszczyło. Po tym zrobiłem jedyną rzecz, którą mogłem zrobić. Poszedłem zobaczyć się z trenerem. On jest... Zawsze zazdrościłem Reagan takiego ojca. Cóż, trener otworzył butelkę Hennessy'ego, więc opowiedziałem mu całą historię. – Jego słowa przypominają mi noc szczerości z Kacey i tequilą. To nawet zabawne, że robiliśmy te same rzeczy w tym samym czasie... – Trener zażądał, bym został z nim na kilka dni, póki sprawy się nie poukładają. Oczywiście w poniedziałek rano rozdzwonił się mój telefon, ojciec kazał mi naprawić relacje z Daną, bo inaczej spełni swoją groźbę. Kupiłem sobie nieco czasu, informując go, że się staram. Tymczasem z trenerem zaczęliśmy prosić o pomoc przyjaciół, prawników, lekarzy, absolwentów Princeton, by

znaleźli jakiś sposób, aby pozbawić ojca prawnej opieki nad mamą i by przenieść ją w jakieś bezpieczne miejsce. Nie wyglądało, jakby miało nam się udać. Byłem pewien, że pozostanę w moim więzieniu. – Łobuzerski uśmieszek rozciąga mu usta. – Cztery dni później doktor Stayner pojawił się w drzwiach trenera.

Moje oczy robią się wielkie jak spodki.

– Co? Jak? – Cztery dni oznaczają, że bezpośrednio ode mnie, z Miami, musiał polecieć do New Jersey.

– Najwyraźniej znalazł trenera, kombinując, że przez niego dotrze do mnie.

Oczywiście.

– Ja... – Wzdycham, czując się winna zdrady tak wielu detali z życia Ashtona. – Przepraszam. Kiedy byłem w Miami, opowiedziałam mu o tobie. Musiałam to z siebie wyrzucić. Nie pomyślałam, że tu przyjedzie. – *Dlaczego nie pomyślałam, że jest do tego zdolny?*

Ashton ucisza mnie, kładąc mi palec na ustach.

– Jest okej. Naprawdę. To... nawet więcej niż okej.

Właściwie wszystko dzięki temu się ułożyło. – Ashton kręci głową i się śmieje. – Ten gość jest specyficzny. Zawsze znajdzie sposób na wyciągnięcie z ciebie historii, no wiesz, przesłuchanie, tylko w przyjacielski sposób. Nigdy nie widziałem, by trener ulegał komuś tak, jak ulegał Staynerowi.

Przewracam oczami i mimowolnie chichoczę.

– Dokładnie wiem, o czym mówisz.

– W cztery godziny, bez ściemy, Irlandko, bo dokładnie w cztery godziny facet przebrnął przez całą moją przeszłość, dochodząc do obecnej sytuacji. Potem wykonał parę telefonów do kolegów. – Wskazując ruchem głowy na dom, Ashton mówi: – Dyrektor tego ośrodka to jego dobry przyjaciel. Znalazł dla mamy pokój. – Uśmiecha się smutno. – Nie sądzą, by zostało jej wiele czasu. Może rok lub dwa. Poprzedni ośrodek, w którym przebywała, był wyższej klasy, ale nie widzę sensu dłużej jej tam trzymać, biorąc pod uwagę kosztowną opiekę i leczenie. Nic mi już jej nie zwróci. Musiałem się z tym pogodzić. Potrzebuje

miejsca, gdzie będzie bezpieczna i dobrze traktowana. Potrzebuje już tylko spokoju.

„Oszołomienie” to raczej zbyt słabe słowo, by opisać, jak się teraz czuję. Wrą we mnie emocje – to wybuchowa mieszanka szczęścia, smutku i uwielbienia – uwielbienia dla tego szalonego doktora, który w jakiś sposób zwrócił mi kolejną osobę, którą kocham. Nie dbam o to, by otrzeć świeże łzy, marszczę brwi, nadal starając się to wszystko pojąć.

– Ale jak udało ci się ją tutaj przenieść? Jak sprawiłeś, by tata...?

Ashton wybucha śmiechem i przerywa mi.

– Och, Irlandko. To jest w tym wszystkim najlepsze. – Ociera łzę, która ześlizguje mu się po nosie i patrzy gdzieś w dal, przez chwilę zamyślony. – To szokujące, co niektórzy ludzie są w stanie zrobić, gdy wiedzą, że mogą uciec. Chociaż bardziej szokującym jest, co robią, gdy odkrywają, że tak naprawdę nie mogą. Ojciec uciekał przed odpowiedzialnością za dręczenie mnie przez szesnaście lat. Dzień po przyjeździe Staynera, razem z nim i z trenerem pojechaliśmy do biura ojca, by to zakończyć. W życiu się bardziej nie bałem. Ale to, że już nie byłem sam... – Głos Ashtona łamie się, a mi pęka serce.

Przyciągam go do siebie i tulę tak mocno, jak tylko potrafię. Chcę wysłuchać reszty. Muszę. Ale przez moment muszę też tulić Ashtona, bym mogła pogodzić się z tym wszystkim. Być może straciłam rodziców parę lat temu, ale przynajmniej mam wspomnienia wspaniałego i szczęśliwego dzieciństwa, by nimi walczyć z tą stratą. Ashton nie ma nic prócz mroku i odrazy. Do tego dźwiga ciężar ochrony kobiety, która nawet nie pamięta chłopczyka, dla którego oszalała z miłości.

– Mój ojciec to potężny człowiek. Nie przywykł, by ktokolwiek mówił mu, co ma robić. Kiedy Stayner nieproszony wparował do jego gabinetu i zajął jego fotel... – Ashton uśmiecha się słabo. – Było jak w filmach. Stayner spokojnie wyłożył fakty: znęcanie się, manipulacje, aż po skandaliczny szantaż. Nawet się nie zająknął, nie przeklinał, nie krzyczał, nic z tych rzeczy.

Doktorek dopilnował, by ojciec był w pełni świadom tego, co wie on, co wie trener. Wtedy położył mu na biurku karteczkę z adresem tego miejsca i poinformował tatę, że pokój został zabezpieczony, że przenosimy mamę, że zajmie się rachunkami, a ona nie opuści tego ośrodka, póki nie opuści ciała.

Opada mi szczeka, gdy próbuję wyobrazić sobie tę scenę.

– I co się stało? Co powiedział?

Ashton dosłownie obnaża zęby, jakby warczał.

– Próbował zastraszyć Staynera jakimś prawniczym bełkotem, groził pozwaniem oraz cofnięciem jego licencji lekarskiej. Stayner tylko się do niego uśmiechał. Uśmiechał się, po czym naszkicował wiele mówiący obraz tego, co zrobi ojciec Dany, gdy się dowie, dlaczego serce jego córki jest złamane i jak to będzie stracić kluczowego klienta. To, plus zachowane przeze mnie e-maile na temat domów opieki, które mi przysłał, dowodzące jego umyślnej złośliwości w stosunku do żony, cóż, to pewnie wystarczyłoby, żeby zniszczyć jego nieskazitelny wizerunek, na jaki ciężko pracował. Przyjaciel Staynera, prawnik, być może miałby zajęcie na kilka lat. Przyjaciel, który z zamiłowaniem przyjmuje trudne sprawy i pracuje nad nimi *pro bono*, i który notorycznie je wygrywa. Stayner rzucił nazwiskiem, a twarz ojca zrobiła się biała jak papier. Najwyraźniej są w Nowym Jorku prawnicy bardziej przerażający niż David Henley. – Milknie na chwilę. – Po tym wyszliśmy. Odwróciłem się plecami do ojca i opuściłem jego gabinet. Od tamtej pory go nie widziałem.

– To... – Wskazuję w zamyśleniu na dom. – Zrobił, co kazał mu Stayner? Tak po prostu?

Na twarzy Ashtona maluje się grymas.

– Nie do końca... Przeniesienie miało miejsce. Dwa dni później mama była już w tym ośrodku. Po czym, cztery dni temu, kurier przyniósł dokumenty i list intencyjny. Ojciec ustanowił mnie jej pełnomocnikiem. Mam kontrolę nad zdrowiem mamy, podobnie jak nad jej finansami. Dostałem wszystkie jej papiery finansowe. Pamiętasz, jak mówiłem, że była modelką, prawda?

Kiwam głową, a on ciągnie dalej:

– Miała sporo własnych pieniędzy. Gdy dowiedziała się, że jest chora, zadbała, by wszystko zostało przeznaczone na jej leczenie. Od początku zapewniła sobie dobrą opiekę. Żaden dolar nigdy nie pochodził z jego kieszeni.

– Więc tak po prostu... pozwolił ci odejść?

Powoli przytakując, Ashton mówi:

– Postawił jeden warunek, bym podpisał umowę o nieujawnianiu mojego z nim... związku. Całej historii, łącznie z tą o Danie. O wszystkim. Jeśli to podpiszę, on zagwarantuje, że nigdy go nie zobaczę ani o nim nie usłyszę.

Na twarzy muszę mieć wymalowane pytanie, ponieważ Ashton potwierdza:

– Mam zamiar to podpisać. Mam to gdzieś. To przeszłość. Wszystko, na czym mi zależy, siedzi mi właśnie na kolanach. – Ashton przyciąga mnie bliżej, a głos drży mu z powodu emocji. – Nigdy nie cofnę błędów, które popełniłem, kłamstw, jakie powiedziałem, sposobów, w jakie cię skrzywdziłem. Ale... czy moglibyśmy... – Zaciska na chwilę usta. – ...jakoś o tym zapomnieć, proszę, i zacząć od nowa?

To się naprawdę dzieje. Jestem tutaj, z Ashtonem – jedynym wyborem, jakiego jestem pewna – i to w końcu może się udać.

Prawie.

– Nie – odpowiadam.

Czuję, jak Ashton wzdryga się na to pojedyncze słowo, jak walczy ze łzami napływającymi mu do oczu.

– Irlandko, zróbę wszystko. Wszystko, co będzie trzeba.

Palcami łapię go za nadgarstek, za tę okropną rzecz, o jakiej wiem, że nadal tam jest.

Nie muszę nic mówić, ponieważ on już wie. Unosi rękaw kurtki i odsłania rażący dowód dręczenia, które przeżył. Patrzy na niego przez bardzo długą chwilę.

– Po tamtej nocy ojciec wyrzucił ten pasek. Zakładam, że chciał się pozbyć zakrwawionego dowodu swojej winy – mówi cicho. – Jednak znalazłem go w śmietniku i przez wiele lat ukrywałem w pokoju. W dniu, kiedy pokryłem blizny tatuażami,

zrobiłem z tego paska bransoletę. Dla stałego przypomnienia, że mama potrzebuje, bym wytrzymał.

Patrząc w okno na trzecim piętrze – bez wątpienia od pokoju mamy – uśmiecha się smutno. Serce mi pęcznieje, gdy obserwuję, jak palcami zręcznie odpina klamrę. Zsuwa mnie z kolan, wstaje, odchodzi kilka kroków, po czym, z siłą, która wydaje się wszystką, jaką ma, wyrzuca w kierunku kępy drzew ostatni kawałek kontroli, którą sprawuje nad nim ojciec.

Odwraca się do mnie z błaganiem w przepięknych, brązowych oczach, zmieszanym z żarem, który zmiękcza mi kolana.

Podchodzę do niego, opieram dłoń na jego galopującym sercu i zamykam oczy, zapamiętując tę chwilę.

Chwilę, w której dokonałam wyboru. Wyboru wyłącznie dla siebie.

Wyboru, który jest właściwy, ponieważ jest dla mnie dobry.

Chichoczę, zanim podaję Ashtonowi ostatnie warunki...

Ashton nigdy nie był cierpliwy. Widząc mój uśmiech, bierze go jako przyzwolenie. Jego usta natychmiast miażdżą moje, w pochłaniającym pocałunku, który osłabia mi kolana, ale wzmacnia serce.

Udaje mi się jednak odsunąć.

– Czeka! Jeszcze dwie rzeczy.

Oddycha ciężko, gdy ze ściągniętymi brwiami, zmieszany patrzy mi w oczy.

– Co jeszcze? Chcesz też moje ciuchy? – Unosząc brwi, dodaje: – Z przyjemnością ci je oddam, gdy tylko znajdziemy się w nieco cieplejszym miejscu, Irlandko. Właściwie będę na to nalegał.

Kręcę głową i szepczę.

– Chcę, abyś skorzystał z pomocy. Uważam, że powinieneś z kimś o tym porozmawiać. Musisz nad tym popracować.

Ashton uśmiecha się krzywo.

– Tym się nie martw. Stayner już dobrał mi się do dupy. Mam wrażenie, że wygryzłem cię z sobotnich telefonicznych pogawędek

o dziewiątej.

Wzdycham głęboko, gdy zalewa mnie fala ulgi. Jeśli miałabym komukolwiek zaufać w sprawie zdrowia psychicznego Ashtona, chciałabym, by był to doktor Stayner.

– To dobrze.

Cmokając mnie szybko w usta, Ashton mruczy:

– A ta druga sprawa?

Przełykam ślinę.

– Mówiłeś, że chcesz o wszystkim zapomnieć, ale... ja nie chcę, byś zapominał o tym, co stało się między nami. Nigdy.

Najłagodniejszy, jaki kiedykolwiek widziałam, uśmiech maluje mu się na twarzy.

– Irlandko, nie potrafiłbym zapomnieć żadnej sekundy, w której byłem z tobą.

EPILOG

– Wiesz, że nie jadłam sernika prawie od roku? – mruczę, dźgając ciasto widelcem, leżąc na leżaku na tarasie i obserwując, jak czerwcowe słońce zachodzi nad plażą Miami. – Chyba mi już nie smakuje.

– No to ja go zjem – mówi Kacey, niemal wylizując swój talerz. – Albo Storm zje. Przysięgam, że karmiąc to prosiątko wchłania dziennie pięć tysięcy kalorii. – Maleńka Emily jakby usłyszała Kacey ze swojego fotelika w kuchni, bo głodna zaczyna donośnie płakać. Znowu.

Emily urodziła się na początku stycznia, natychmiast przysysając się do sutków Storm i walcząc, by mogła pozostać tam na zawsze. Ponowne macierzyństwo okazało się trudne dla Storm, ale nauczyła się radzić sobie z córeczką z cierpliwością i miłością, jakiej można było się po niej spodziewać.

Mój powrót do domu dał jej nieco wytchnienia. Teraz Emily da mi się nakarmić butelką. Storm nazywa mnie dobrą wróżką.

Mimo wszystko zostałam w Princeton, by dokończyć pierwszy rok, udało mi się nawet podciągnąć ogólną średnią do solidnej czwórki. Ironią stało się to, że najlepszy stopień na semestr dostałam z literatury angielskiej, biorąc pod uwagę fakt, że przedmiot ten był dla mnie najtrudniejszy.

Ashton był czynnikiem motywującym do pozostania w Princeton. Gdy całe zamieszanie ucichło, a kłamstwa wybrzmiały, zostałam postawiona w obliczu niekończących się wyborów. Małych, wielkich, prostych i trudnych – musiałam z nimi wygrać. Podejmować decyzje wyłącznie dla siebie.

Oczywiście zaczęłam od tych łatwych. Jak na przykład od wyboru widywania się z Ashtonem, kiedy i gdzie tylko chciałam. To było instynktowne. Zdecydował się pozostać na ten ostatni rok w Princeton, by ukończyć studia, niezależnie od motywu, jakim

kierował się przy wybieraniu zarówno kierunku, jak i uczelni. Poza tym zobowiązał się pełnić rolę kapitana osady do wiosennych regat.

Connor, Ashton i ja w końcu się pogodziliśmy. Connorowi nie zajęło dużo czasu, by zorientować się, że nie byłam laską na jedną noc, z którą zabawiał się jego najlepszy przyjaciel. Sam zaczął spotykać się z blondynką – Julią – która podeszła do niego wtedy, gdy byliśmy w klubie bractwa. Poszliśmy nawet na podwójną randkę. Było dziwnie, ale myślę, że pomogło to naszej przyjaźni. Sądząc po spojrzeniach, jakie wtedy i teraz rzuca mi Connor, wnioskuję, że jego uczucia do mnie nie wygasły. Mam nadzieję, że z czasem zrozumie, iż nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

Ashton wrócił do domu chłopaków na początku wiosennego semestru. Często go odwiedzałam. Na początku to też było dziwne, ale Ashton szybko sprawiał, że zapominałam o zdenerwowaniu... i wszystkim innym, co go nie dotyczyło.

Jedną z najtrudniejszych decyzji, które musiałam podjąć dotyczyła tego, czy zostać w Princeton po pierwszym roku. Złożyłam podanie o przeniesienie do Miami i oczywiście zostałam przyjęta. Nic już nie trzymało mnie w New Jersey, nic poza Ashtonem. W tym roku miał skończyć studia, ale jego matka nadal tu była, a ojciec Reagan zaproponował mu posadę asystenta trenera. Przez wiele tygodni męczyłam się nad tym wyborem, nie byłam pewna, co bardziej mnie uszczęśliwi.

Pewnej nocy, gdy leżałam z nim w łóżku, palcami śledząc celtycki wzór na jego piersi, Ashton powiedział, że pojedzie ze mną do Miami, jeśli będę chciała się tam przenieść. Z pomocą doktora Staynera zaczął szukać hospicjum. Robert zapewnił, że posada asystenta trenera będzie na niego w razie czego czekać.

To uczyniło moją trudną decyzję niezwykle łatwą i utwierdziło mnie w przekonaniu, że wybieram prawidłowo.

Chciałam wracać do domu.

I chciałam zabrać ze sobą Ashtona.

Drzwi od tarasu otwierają się i dwie silne dłonie zaciskają się

na moich ramionach.

– Zapomniałaś wspomnieć, jak cholernie gorąco jest w Miami – narzeka mój wspaniały facet, pochylając się, by ukraść mi kawałek sernika, który nadal trzymam na widelcu, a potem, by pocałować mnie w usta. Piszczę, gdy krople jego potu lądują na mojej twarzy.

Przesuwam wzrokiem po jego lśniącej klatce piersiowej. Ashton, odkąd się tu sprowadził, codziennie wieczorem biega bez koszulki, a to sprawia, że codziennie moje hormony dostają szału.

– Dzieciak się przyzwyczai. – Słyszę pomrukiwanie Trenta, gdy wychodzi na taras również spocony i bez koszulki, z ręcznikiem przewieszonym na szyi. Między Trentem a Ashtonem jest prawie osiem lat różnicy, ale ich dojrzałość wydaje się być na podobnym poziomie, bo doskonale się dogadują. Chociaż jeszcze nie jestem pewna, czy to coś dobrego.

– Co to ma być? Zgromadzenie spoconych facetów? – Z kocem na ramieniu przysłaniającym ssące pierś dziecko, Storm dołącza do nas, a za nią wchodzi trzeci spocony i bez koszulki, Ben. I w ten oto sposób taras ożywa.

– Jesteś za szybki, Princeton – narzeka blondyn, przybijając piątkę Ashtonowi.

Uśmiecham się z powodu tego przezwiska. Każdy natychmiast zapalał sympatią do Ashtona. Włączając w to grupkę kobiet codziennie przychodzącą na plażę. Każdego wieczora. Odkryły, że gdy późną porą będą się włóczyć obok naszego domu, napatrzą się na wysportowanych, półnagich facetów, wyciągających się na leżakach na naszym tarasie. To, że zazwyczaj siedzimy tu z Kacey i Storm, zdaje się być dla nich jedynie drobną niedogodnością...

– Cześć wam! – Macha do nich Kacey, kiedy, jak co wieczór, przechodzą obok naszego domu, śliniąc się na widok naszych facetów. Wskazuje na Trenta. – Możecie go mieć za pięć stów na dwie godziny! – Wskazując Ashtona, dodaje: – A tego za siedemset pięćdziesiąt, bo jest młodszy. Powinnyście posłuchać, jak doprowadza moją siostrę do krzyku!

– Kacey! – warczę, ale jest za późno. Wszyscy się śmieją, a moje policzki stają w ogniu. Ashton pochyla się i całuje mnie w szyję, by odwrócić moją uwagę od zawstydzającej atmosfery. Pomimo iż wyszłam, że tak to ujmę, ze swojej skorupy stłumienia seksualnego, nadal wolę, by rzeczy intymne pozostały... intymne. Ashton to respektuje i nie dogryza mi tak bardzo jak reszta. Jednak czasami nie potrafi się oprzeć, gdy wszyscy na mnie wsiadają. Mają na mnie teraz o wiele więcej haczyków, biorąc pod uwagę moją powitalną imprezę z galaretkowymi shotami i cienkie ściany.

– A co ze mną? Nie jestem wart dobrej monety, panienko Kacey? – Ben prezentuje mięśnie, a na jego przystojnej twarzy maluje się pytanie.

– Dopłacę im pięć stów, by choć na jedną noc zabrały cię z mojego leżaka – mówi Kacey. Jednak natychmiast puszcza do niego oko.

– Dobra, biorę to za wskazówkę. I tak wybierałem się do *Penny* na piwo. Hej, Princeton, jesteś pewien, że nie chcesz, bym ci załatwił tam robotę? Dobra kasa, dużo...

– Nie, dziękuję! – odpowiadam, zanim Ashton otwiera usta. Nie ma mowy, by mój przystojny, śródziemnomorski model pracował w klubie ze striptizem. Nie mam takiej pewności siebie, jaką ma moja siostra.

Ashton wzrusza ramionami, po czym z lubieżnym uśmiezkiem poślany w moją stronę, mówi:

– Tu mi dobrze. Przy niej mam pełne ręce roboty.

– Myślę, że może być gorsza niż siostra – dodaje ironicznie Trent.

Kolejna salwa śmiechu rozgrzewa moje policzki.

– A może zajmiesz te ręce, idąc pod prysznic. Sam – rzucam, szturchając go w twarde jak skała mięśnie brzucha. Po czym uświadamiam sobie, co zasugerowałam i nakrywam twarz dłońmi, gdy wszyscy ponownie wybuchają śmiechem.

Prawdę mówiąc, Ashtonowi nie spieszo, by znaleźć pracę. Nie przenieśliśmy jego matki do Miami. Zmarła pod koniec kwietnia, tuż przed egzaminami. Tamtego ranka, gdy odebrał

telefon z wiadomością, byłam przy nim. Przytuliłam go mocno, gdy łkał po cichu – myślę, że były to łzy smutku i jednocześnie ulgi.

Zostało jeszcze sporo pieniędzy, by dać Ashtonowi nieco czasu, zanim pozalátwia swoje sprawy. Nie jest bogaty, ale na jakiś czas mu wystarczy. Storm nalegała, by się do nas wprowadził, więc nie płaci za wynajem. Zdążył już zapisać się na lekcje pilotażu, ponieważ po raz pierwszy w życiu mógł zdecydować, co chce robić. Myślę, że delektował się każdą sekundą procesu podejmowania decyzji.

Patrząc wstecz na ostatni rok, nie mogę uwierzyć jak Ashton i ja, wychodząc z tak różnych sytuacji rodzinnych – mojej wypełnionej miłością, a jego bólem – skończyliśmy w tym samym czasie, w tym samym miejscu: ucząc się, jak samodzielnie dokonywać prawidłowych wyborów.

Oboje jesteśmy zgodni co do jednej sprawy: chcemy dla siebie nawzajem możliwości podejmowania właściwych decyzji. Głęboko wewnątrz wiem, że medycyna nie była mi pisana, niezależnie od moich ocen. Pozostałam jednak w kontakcie ze szpitalem, póki Eric i Derek nie zakończyli chemioterapii i zostali zwolnieni do domu. Wtedy na dobre zamknęłam ten etap. Poważnie zastanawiam się nad posadą pracownika opieki społecznej. Chociaż wiem, że nie będzie to łatwe – niektóre z tych dzieci znajdują się w gorszej sytuacji niż był Ashton – mimo to nadal bardzo chcę im pomagać. Dowiedziawszy się o tym, doktor Stayner załatwił mi wolontariat w domu dziecka, by sprawdzić, czy moja wrażliwa natura wytrzyma tę próbę. A jeśli tak się nie stanie? No cóż...

Życie składa się z prób i błędów.

Często rozmawiamy z doktorem Staynerem. Chociaż doktor Stayner z Ashtonem rozmawia jeszcze częściej. Doktor żartuje, że jest naszym domowym psychiatrą. Powiedziałam mu, że po prostu powinien z nami zamieszkać. Nadal szukam właściwego sposobu, by wyrazić uwielbienie dla tego człowieka za to, co zrobił dla nas wszystkich. Za to, co nadal dla nas robi.

Oddanie mu pierworodnego zaczyna brzmieć jak rozsądna decyzja.

– Kiedy przyjeżdżają twoi przyjaciele, Livie? – pyta Storm, poprawiając bluzkę. Pulchne policzki Emily w końcu wyglądają zza koca, po czym mała uracza nas beknięciem.

– Jutro po południu. – Chłopaki i Reagan przylatują na kilka dni.

Byli w szoku, gdy dowiedzieli się, że mama Ashtona żyła. Później, w kwietniu, gdy dowiedzieli się, że zmarła, po prostu byli przy nim, po czym aż do wczesnych godzin porannych w *Tiger Inn* wszyscy uczciliśmy jej pamięć. Ashton zgodnie z umową z ojcem nigdy nie ujawnił wszystkich szczegółów dotyczących jego historii, mimo to myślę, że chłopaki domyślili się, że życie ich kapitana dalekie było od doskonałości.

A Reagan? No cóż, oprócz trzytygodniowych dąsów, jakie musiałam znieść, gdy obwieściłam jej, że nie wracam do Princeton na jesień, Reagan była najlepszą współlokatorką i przyjaciółką, o jaką mogłam prosić. Nadal jest szaleńczo zakochana w Grancie. Być może to wystarczy, by poskromić jej dziką naturę.

– Super! No to jutro wieczorem imprezka! – woła Ben, klaszcząc w dłonie. Pochyla się, by pocałować Emily w policzek.

– Śmierdzisz! – Storm odpycha go, chichocząc i marszcząc nos.

– Zapamiętam to sobie... – Ben wyciska niedbały pocałunek na czole Storm, po czym wchodzi do domu, rzucając przez ramię: – Cześć wam!

Trent wyciąga długie, muskularne ramiona ponad głowę.

– To co, dzisiaj idziemy do *Grilla*?

– Tak! Potrzebuję gdzieś wyjść – mówi Storm, z szaleństwem w oczach. Jak zwierzę zamknięte w klatce. Właściwie to trochę nim jest. – Za godzinę wróci Dan, pozwólcie mi tylko opróżnić te worki z mleka i możemy iść. – W ułamku sekundy znika z Emily w domu.

Chłopaki podążają za nią, kłócąc się, który pierwszy idzie pod prysznic, i pozostawiają nas z Kacey na tarasie.

Przez długą chwilę siedzimy w ciszy, słuchając pisku mew i przyglądając się falom rozbijającym się o brzeg.

– Wiesz, że od tamtej nocy minął prawie rok? – Boże, wszystko wydaje się inne! Nadal jestem sobą. Chociaż tak bardzo się zmieniłam.

– Noo. – Kacey mruczy, gdy zabiera mi talerzyk. – To znaczy od nocy, kiedy powiedziałam ci, że jesteś popieprzona? – Na jej ustach dostrzegam uśmiešek rozbawienia, gdy przełyka ostatni kawałek mojego ciasta.

– Tak, tej. – Wyciągam ręce i zaplatam je na karku. I uśmiecham się.

PODZIĘKOWANIA

To niczym cud, by wpaść na to, czym jest wymarzona praca i by móc się z niej utrzymać. Nadal jestem w szoku, że to jest teraz moje życie. Wielu ludziom muszę za nie podziękować.

Przede wszystkim pragnę podziękować czytelnikom. Niektórzy z was są ze mną od *Anathemy*, a wielu z was odkryło mnie w książce *Dziesięć płytkich oddechów*. Wszyscy jesteście dla mnie cenni, ponieważ wybieracie moje książki, doceniacie mój styl i dzielicie się moim nazwiskiem z przyjaciółmi i rodziną, więc mogę być dzisiaj tu, gdzie jestem.

Dziękuję najlepszym blogerom na świecie – niektórym to najbardziej namiętni czytelnicy, jakich poznałam – nie napisałabym tej strony, gdyby nie wy. Nie byłoby o tym mowy. Specjalne podziękowania dla: Aestas Book Blog, Autumn Review, Maryse's Book Blog, Shh Mom's Reading, Three Chicks and Their Books, Tsk Tsk What to Read, Natasha Is a Book Junkie oraz dla The Sub Club. Ekstra specjalne podziękowania dla: Mandy z I Read Indie Books za recenzję *Dziesięciu płytkich oddechów*. - Myślę, że twoja ciężka praca przyciągnęła czytelników. Z łatwością mogłabym wymienić tu kilkaset blogów. Wszyscy naprawdę byliście niesamowici.

Podziękowania dla Heather Self – wspaniałej pisarki, blogerki, przyjaciółki. Dziękuję za twoje szalone umiejętności nazewnictwa, lawendową wódkę i twoją naturę, która zaraża pozytywnym myśleniem. Spodziewaj się, że Kanadyjka pewnego dnia pokaże się w Teksasie w twoich drzwiach. Bądź gotowa.

Podziękowania dla Courtney Cole – za przeczytanie *Jednego małego kłamstwa*, gdy gonił cię własny termin. Uwielbiam to, co powiedziałaś na temat okładki. Po prostu to kocham.

Podziękowania dla Kelly Simmon z Inkslinger PR – zatem podróż trwa. Stałaś się dla mnie kimś więcej niż fenomenalną publicystką. Jesteś moją prawdziwą przyjaciółką.

Życzę ci wszystkiego dobrego.

Podziękowania dla Stacey Donaghy z Corvisiero Literary Agency – gdzie bym była bez ciebie? Nadal mówię mężowi, że jestem genialna, bo odważyłam się do ciebie napisać. No dobra, może tak nie mówię. Ale myślę, że nie przesadzam, gdy twierdzę, że jestem najszcześniejszą pisarką, mając ciebie za agentkę. Dziękuję, że rzuciłaś wszystko i przyjechałaś z pomocą na jedenaście godzin, dziękuję za niekończącą się zachętę i nieustającą wiarę we mnie. I za to, że nie pozwoliłaś mi zabić wszystkich moich postaci w gniewie napędzanym Red Bullem.

Podziękowania dla Sarah Cantin – chcę cię ukraść, schować w kieszeni i zabierać wszędzie ze sobą. Jesteś redaktorem marzeń. Tak pozytywnym, tak wspierającym, tak chętnym do pomocy. Ekscytuję się za każdym razem, gdy w skrzynce e-mail widzę twoje nazwisko. Jestem szczęśliwa, mogąc cię mieć przy sobie.

Podziękowania dla Maryi Stansky – za wiedzę na temat klubów bractw w Princeton. Dziękuję za odpowiedzi na moje przypadkowe pytania i za dostarczenie ton materiału, na którym mogłam się oprzeć.

Podziękowania dla mojego wydawcy, Judith Curr i zespołu Atria Books: Benowi Lee, Valerie Vennix, Kimberly Goldstein i Alyshii Bullock za ciężką pracę nad tą książką, by można ją było oddać czytelnikom. Nawet nie umiem wyjaśnić, jak idealna jest ta okładka dla Livie.

Dziękuję mężowi – za miesiąc opieki nad dziećmi, bym mogła zaszyć się w jaskini i ukończyć książkę w wyznaczonym terminie. Pewnego dnia ponownie nauczę się gotować.

Dziękuję dzieciom – ponieważ są najmiłszymi, najśłodszymi diablątkami na świecie.

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY: ZBYT IDEALNA

ROZDZIAŁ DRUGI: GALARETKOWE SHOTY

ROZDZIAŁ TRZECI: BESTIA

ROZDZIAŁ CZWARTY: ŻAL

ROZDZIAŁ PIĄTY: DIAGNOZA

ROZDZIAŁ SZÓSTY: „KIEDY” KONTRA „CZY”

ROZDZIAŁ SIÓDMY: JAKI TEN ŚWIAT MAŁY

ROZDZIAŁ ÓSMY: ŻIGOLAK

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY: ROZGRYWKI

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY: ZAZDROŚĆ

ROZDZIAŁ JEDENASTY: PRZYCIĄGANIE

ROZDZIAŁ DWUNASTY: TĘSKNOTA ZA DOMEM

ROZDZIAŁ TRZYNASTY: ZAKOCHIWANIE

ROZDZIAŁ CZTERNASTY: WYRZUĆ Z SIEBIE MYŚLI

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY: OGIER

ROZDZIAŁ SZESNASTY: MIERNOTA

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY: 31 PAŹDZIERNIKA

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY: ODPUSZCZANIE

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY: WYBORY

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna



K.A. Tucker

DZIESIĘĆ PŁYTKICH ODDECHÓW

Jak sobie radzisz
gdy na Twoich oczach świat rozsypuje się na kawałki?
Co robisz gdy wszystko idzie źle?
Co robisz, gdy ból rozsadza Twoją duszę?
Po prostu oddychasz. Dziesięć płytkich oddechów...

K A Tucker

Orfeusz zszedł do piekła po swoją Eurydykę.
Miłość Andrew i Camryn
także zmierzy się z ostatecznością.



NA KRAWĘDZI NIGDY
&
NA KRAWĘDZI ZAWSZE

